

MARVEL

POWIEŚĆ
UNIWERSUM MARVELA

X-MEN



ADAM
KUBER
J-FB

SAGA MROCZNEJ PHOENIX

NA PODSTAWIE POWIEŚCI GRAFICZNEJ
CHRISA CLAREMONTA, DAVE'A COCKRUMA I JOHN BYRNE'A

STUART MOORE

MARVEL

POWIEŚĆ UNIWERSUM MARVELA

X-MEN

SAGA MROCZNEJ PHOENIX

POWIEŚĆ UNIWERSUM MARVELA

X-MEN

SAGA MROCZNEJ PHOENIX

STUART MOORE

na podstawie powieści graficznej
CHRISA CLAREMONTA, DAVE'A COCKRUMA I JOHNA BYRNE'A

przekład

TOMASZ MACIOS

 **insignis**

MARVEL

Tytuł oryginału
X-Men. The Dark Phoenix Saga

First published in May 2019 by Titan Books
A division of Titan Publishing Group Ltd
144 Southwark Street, London SE1 0UP

Niniejsza powieść jest fikcją literacką. Imiona, nazwiska, postaci, miejsca i wydarzenia są wytworem wyobraźni autora i jakakolwiek zbieżność z rzeczywistymi wydarzeniami, miejscami, instytucjami, przedsiębiorstwami lub osobami, żyjącymi bądź zmarłymi, jest całkowicie przypadkowa.

Żadna część niniejszej publikacji nie może być reprodukowana, przechowywana jako źródło danych i przekazywana w jakiegokolwiek formie zapisu bez zgody posiadacza praw. Niniejsza publikacja nie może być rozpowszechniana w jakiegokolwiek oprawie lub okładce innej niż ta, w której została opublikowana, oraz bez podobnego zastrzeżenia nałożonego na kolejnego nabywcę.



© 2019 MARVEL

Marvel Publishing: Jeff Youngquist (wicedyrektor produkcji, projekty specjalne), Caitlin O'Connell (zastępca redaktora, projekty specjalne), Sven Larsen (dyrektor działu licencji), David Gabriel (wicedyrektor działu sprzedaży publikacji drukowanych i cyfrowych), C.B. Cebulski (redaktor naczelny), Joe Quesada (dyrektor kreatywny), Dan Buckley (prezes Marvel Entertainment), Alan Fine (producent)

Twórcy X-Menów: Stan Lee i Jack Kirby

Wydanie polskie: Tomasz Macios (przekład),
Julia Diduch (redakcja), Marcin Piątek (korekta),
Tomasz Brzozowski (skład)

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Konwersja do wersji elektronicznej
Aleksandra Pieńkosz

ISBN pełnej wersji 978-83-66360-06-8



Insignis Media

ul. Lubicz 17D/21–22, 31-503 Kraków

tel. +48 (12) 636 2519

biuro@insignis.pl, www.insignis.pl

facebook.com/Wydawnictwo.Insignis

twitter.com/insignis_media (@insignis_media)

instagram.com/insignis_media (@insignis_media)

Snapchat: insignis_media

Spis treści

Okładka

Strona tytułowa

Strona redakcyjna

Dedykacja

EPILOG

AKT I. ZNAKI ŻYCIA

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

INTERLUDIUM 1

AKT II. POTĘPIENIE I OGIEŃ PIEKIELNY

11

12

13

14

15

16

17

18

19

20

21

INTERLUDIUM 2

AKT III. ZWIASTUN ZAGŁADY

22

23

24

25

26

27

28

29

30

31

32

PROLOG

PODZIĘKOWANIA

O AUTORZE

*Dla Johna Byrne'a, Dave'a Cockruma,
a zwłaszcza dla Chrisa,
który zawsze sięgał do gwiazd*

EPILOG



WAHADŁOWIEC leciał w dół z łoskotem przez górne warstwy atmosfery, z każdą sekundą nabierając prędkości. Osłony termiczne wygięły się i pękły z trzaskiem, odpadając i znikając w największym słonecznym rozbłysku, jaki Ziemia widziała od ponad wieku.

Wysoka rudowłosa kobieta w fotelu pilota mocno chwyciła za podłokietniki, starając się zignorować nieustępliwy głos w głowie:

Witaj w ostatnich minutach swojego życia.

Jean Grey potrząsnęła głową i wyteżyła siły, by się skoncentrować. Omiotła wzrokiem konsolę, przyglądając się każdemu z dziesięciu śnieżących ekranów. Rozbłysk spalił elektronikę wahadłowca. Statek stał się ślepy i głuchy. Wszystkie czujniki były bezużyteczne. Tylko jeden ekran wciąż działał, ukazując kipiącą energię rozbłysku, mieniającą się na przemian czerwienią, pomarańczem i żółcią. Ten widok hipnotyzował niczym pierwotne energie wszechświata.

Ekran zamigotał i zgasł.

Jean nacisnęła kilka przełączników i szarpnęła sterem.

Nie wiem, co robię – pomyślała. – Ten statek się rozpada, a ja nawet nie mogę zobaczyć, dokąd zmierzamy!

Odchyliła się i zamknęła oczy. Jej myśli podążyły ku ludziom w osłoniętej komorze przetrwania na rufie wahadłowca. Koledzy z drużyny, przyjaciele, na których zależało jej najbardziej na świecie. Umysł Jean mimowolnie sięgał ku nim i kolejno dotykał myśli każdego z nich. Nightcrawler, Storm. Wolverine wypełniony ponurym żalem. Dr Peter Corbeau, błyskotliwy przedsiębiorca i konstruktor tego statku. Profesor Charles Xavier, założyciel X-Menów.

Cyclops. Scott Summers.

Mężczyzna, którego kochała.

Gdy wahadłowiec stęknął i zadrżał, Jean oderwała się od umysłu Scotta. W tej chwili nie mogła sobie poradzić z jego cierpieniem i lękiem. W jej głowie pojawiło się wspomnienie: dłoń Scotta w jej dłoni, mocna i silna, gdy szli razem wśród drzew na północnych obrzeżach Nowego Jorku. Opadające liście pokrywały ciemną trawę lśniącem przepychem żółci, rudości i brązu.

Ostatnie minuty twojego życia.

Głośny trzask wyrwał ją z zadumy. Wahadłowiec zachwiał się, z powrotem wciskając ją w fotel. Pochyliła się do przodu, używając innej zdolności mutanta – telekinezy – żeby choć trochę złagodzić działanie grawitacji. Sztuczny horyzont był czerwony. Jeden z ekranów przełączył się na tryb LAN, wyświetlając wielkimi literami ostrzeżenie:

NIEPOPRAWNE USTAWIENIE PRZEDNIEGO PODWOZIA

Ogarnęła ją panika. *Nie jestem pilotem – pomyślała. – Nie potrafię tym latać!*

Wtedy sobie przypomniała...

Tak, jesteś. Dzięki doktorowi Corbeau.

Jean otworzyła folder wspomnień – myśli, które nie były jej własne. Przeglądała je, aż znalazła potrzebne informacje. Drżąc, sięgnęła do przełącznika obciążenia, starając się ustawić odpowiedni poziom.

Dzięki, doktoru... – pomyślała.

Godzinę wcześniej

– **OGIEŃ** dotarł prawie do hipergolicznych ogniw paliwowych, doktorze Corbeau. Nie mamy wiele czasu.

– Wręcz przeciwnie, Cyclops – odparł Corbeau. – Mamy całą wieczność.

Jean przyglądała się uważnie obu mężczyznom. Scott Summers – Cyclops – stał nad fotelem pilota z dłońmi zaciśniętymi mocno na oparciu. Niebiesko-żółty mundur miał poszarpany i umorusany po niedawnej walce. W jego oczach, ukrytych za soczewkami z kwarcu rubinowego, które utrzymywały śmiertcionośne siły wewnątrz, pulsowała energia.

Corbeau obrócił fotel, przechylając głowę, i rzucił Summersowi ponury uśmiech. Obdarzony błyskotliwym umysłem i nietuzinkową osobowością Corbeau, wykorzystując obie te cechy, zbudował prywatne imperium podróży międzygwiazdnych. Nawet teraz, w obliczu śmierci na pokładzie wahadłowca, trzymał fason. Jedyłą

oznaką jego niepokoju była ręka obsesyjnie przeczesująca gęste, starannie ułożone włosy.

– Nigdzie się nie wybieramy – wyjaśnił Corbeau, wskazując na konsole wahadłowca. – Komputer kontroli lotów zmienił się w garść popiołu podczas naszej awantury z Sentinelami. Bez niego ten ptaszek nie poleci.

Cyclops z grymasem na twarzy zwrócił się do Nightcrawlera:

– Jakież wieści od Logana i Storm?

Smukły mutant o niebieskiej sierści podniósł krótkofalówkę, niespokojnie wymachując spiczastym ogonem.

– Znaleźli profesora – powiedział z ciężkim niemieckim akcentem. – Są w drodze.

Cyclops przytaknął. Kiedy spojrzenia jego i Jean spotkały się na krótką chwilę, posłał jej wymuszony uśmiech.

Ledwo mnie zauważają – pomyślała. – Oni wszyscy. Nawet Scott zakłada, że prostu podporządkowuję się wszystkiemu, cokolwiek zdecyduje.

A dlaczego miałby myśleć inaczej? Zawsze tak robiłam.

Kręciła się niespokojnie. Roboty Sentineli porwały ją z eleganckiego balu. Nadal miała na sobie strzępki bardzo drogiej czarnej sukni.

Cyclops zasiadł w fotelu drugiego pilota.

– A co z ręcznie sterowaną kapsułą powrotną? – spytał.

Uśmiech Corbeau stał się sardoniczny.

– Na wypadek gdybyś nie zauważył – powiedział – pobliską stację kosmiczną pochłania ogień. Co więcej, nie mamy kombinezonów ciśnieniowych, ale wierz lub nie, to najmniejsze

z naszych problemów.

Nightcrawler wydał z siebie syczący dźwięk.

– Rozbłysk – powiedział.

– Rozbłysk słoneczny! – Corbeau rozpostarł ramiona w teatralnym geście. – Najgorsza erupcja od 1859 roku, która już niedługo dotrze do Ziemi. Komputer miał nas przez to przeprowadzić, siedzących bezpiecznie w osłoniętej komorze przetrwania wahadłowca.

Cyclops spojrzął ze złością na tablicę rozdzielczą.

– Ale nie mamy komputera.

– Racja – Corbeau znów przejechał dłonią po włosach, tym razem szybciej. – Mogę pilotować kapsułę powrotną jedną ręką. I w tym czasie wymyślić nowy biznes. – Nagle zmienił się wyraz jego twarzy. – Hmm... może nadszedł wreszcie czas, żeby, że tak powiem, poderwać do góry tę stację monitorowania Słońca. Założę się, że mógłbym przygotować trochę słodkich funduszy kapitału podwyższonego ryzyka dla...

– Doktorze!

– Tak, tak. – Corbeau spojrzął na Cyclopsa i Nightcrawlera, jakby widział ich po raz pierwszy. – Mówiłem, że mogę pilotować statek z zamkniętymi oczami, ale nigdy nie przeżyję pożaru, siedząc w tej nieosłoniętej kabinie. Jednak mógłby ktoś z was, z umiejętnościami mutanta, mógłby. Może Wolverine...

Z wahadłowca dobiegł przenikliwy hałas, po którym nastąpił głośny łomot. Powietrze stawało się coraz cieplejsze. Stację od rozpadnięcia się dzieliły ostatnie minuty, wszystkie pomieszczenia były wystawione na chłód kosmicznej próżni.

– Właściwie – ciągnął Corbeau – wysoki poziom naładowanych cząsteczek mógłby teoretycznie wywoływać mutacje w DNA. Coś takiego jak ten rozbłysk byłoby w stanie spowodować powstanie waszego własnego *homo superior*... – Dostrzegł spojrzenia, które mu posłali. – Ach, przepraszam. Nieważne. Chodzi o to, że nikt z was nie potrafi pilotować promu. Potrzebujemy kogoś, kto może przetrwać promieniowanie i bezpiecznie pokierować tym maluchem, a nie ma nikogo, kto byłby do tego zdolny.

– Ja mogę to zrobić – powiedziała Jean.

Wszystkie głowy zwróciły się w jej kierunku. Corbeau zmarszczył brwi. Usta Cyclopsa były zacięte, ponure. Jego oczy jak zwykle skrywał ochronny wizjer.

– *Fräulein* – zwrócił się do niej Nightcrawler – jesteś moją zafaną przyjaciółką i nieocenioną koleżanką z drużyny, ale kiedy zostałam wyszkoloną astronautką?

– Teraz.

Zrobiła krok naprzód, unosząc dłoń. Corbeau lekko się wzdrygnął, ale nie wykonał żadnego ruchu, by wstać z fotela.

– Jestem telepatą, doktorze – wyjaśniła. – Mogę uzyskać dostęp do wszystkiego, co wiesz o lataniu tym promem kosmicznym. Nie będę Johnem Glennem, ale mogę nas bezpiecznie zawieźć na Ziemię.

Corbeau spojrział na nią. W jego zazwyczaj spokojnych oczach pojawił się cień strachu. Potem prawie niedostrzegalnie kiwnął głową. Kiedy dotknęła jego czoła, opadło ją kłębowisko myśli. Ostatnie wspomnienia X-Menów – Cyclopsa i Nightcrawlera – którzy przyszli do biura Corbeau w Houston, błagając, aby pomógł

im uratować schwytych członków drużyny. Lot wahadłowcem do tej stacji, opuszczona szpiegowska instalacja T.A.R.C.Z.A., gdzie Jean, Storm, Wolverine i profesor X byli przetrzymywani w niewoli. Walka z Sentinelami, ucieczka przez zadymione korytarze do promu.

Z głębi umysłu Corbeau zaczęło podnosić się więcej. Dzieciństwo, obrazy kochającej matki, ojca, który nigdy nie był usatysfakcjonowany. Dreszczyk emocji towarzyszący założeniu pierwszej firmy, start-upu telekomunikacyjnego, który zrewolucjonizował komunikację satelitarną. Dwa, a potem trzy nieudane małżeństwa, odsunięte w cień przez sukcesy Corbeau w branży prywatnych podróży międzygwiazdnych.

Kiedyś taka fala wrażeń byłaby dla niej nie do zniesienia, ale przez lata profesor X uczył ją techniki ścisłego skupienia myśli. Techniki, którą tylko Xavier – sam będąc niezwykle potężnym telepatą – mógł doprowadzić do perfekcji.

Uświadomiła sobie, że Corbeau to człowiek szczególny – czarujący, arogancki, przyzwyczajony do tego, że wszystko idzie po jego myśli. Zwykle postrzegała go jako mężczyznę innego rodzaju. Ta niespodziewana, nieprzyjemna intymność wywołała u niej dyskomfort. Odłożyła te myśli na bok i zaczęła przeglądać jego wspomnienia. Kiedy znalazła potrzebną wiedzę, skopiowała ją do mentalnego schowka i szybko się wycofała.

Potrząsnęła głową i uśmiechnęła się.

– Wszystko gotowe.

Corbeau nie odpowiedział uśmiechem. W jego oczach był strach.

– Nie wiedziałem – powiedział i zawahał się. – Nie wiem, kim jesteś.

Arogancja go opuściła. Z jakiegoś powodu wstrząsnęło to Jean nawet bardziej niż dotknięcie jego umysłu. Zadrżała, odwróciła się – i prawie zderzyła z Cyclopsem. Jego szczupła, muskularna postać zablokowała jej drogę, trzymając sztywno ramiona po bokach. Usta wykrzywił mu grymas, a oczy za soczewkami pulsowały gniewną czerwienią.

– Nie zrobisz tego – powiedział.

Teraz

NIE MOŻESZ tego zrobić!

Myśl Cyclopsa, czysta jak sygnał radiowy, przebiła ścianę komory przetrwania, wpijając się w jej umysł. Nagle poczuła jego strach, żal i gniew. Potrząsnęła głową, wyrzucając go ze swych myśli. Teraz nie ma na to czasu. Liczy się tylko jedno: doprowadzenie promu bezpiecznie na ziemię.

Przednie ekrany nadal śnieżyły, ale niewielki monitor LCD nad jej głową lśnił równomiernie, wyświetlając serię równań. Korzystając ze wspomnień Corbeau, rozpoznała liczby jako wskazania wysokości i ciśnienia. Niestety czujniki zewnętrzne nadal nie działały. Odczyty migotały, podając niekompletne i niewiarygodne informacje.

A jednak...

Wiedziała, że Corbeau zdołał kiedyś zresetować uszkodzony moduł czujnika, wysyłając do systemu impuls elektryczny.

Wpatrywała się w umieszczone na suficie ręczne przełączniki obok ekranu LCD.

Krzywiąc się, wyjęła moduł i zaczęła resetować przełączniki do maksymalnego przeciążenia. Jej palce skubały kable i manipulowały nimi, wycofując się za każdym razem, kiedy pojawiała się iskra elektryczna. Była to powolna, niemal automatyczna praca, jakby jej rękami kierował ktoś inny.

Część jej umysłu znów zaczęła wędrować. Przypomniała sobie szelest kruchych i zimnych liści, na których stawiała stopy, i nagle powróciła do tego dnia wśród jesiennych drzew.

– Uwielbiam jesień – powiedziała, wyciągając rękę do Scotta. Spojrzał na nią z dziwnym wyrazem twarzy. Jego oczy były schowane za szkarłatnymi okularami przeciwsłonecznymi, zastępującymi wizjer. Powiedział jej wtedy coś, co ją zaniepokoiło.

Nie mogła sobie przypomnieć tych słów.

Prom gwałtownie skręcił, rzucając Jean na boczną ścianę. Zahaczyła ręką o sufit, przejeżdżając nią po opuszczonym panelu. Metal przeorał jej ramię, pozostawiając krwawą ranę. Zakłęła głośno.

Odległy trzask – prawdopodobnie oderwała się kolejna osłona termiczna. Prom pozostawał ślepy i głuchy.

Pot pokrył jej czoło. *Musi tu być ponad trzydzieści stopni. Ale zdała sobie sprawę, że to nie tylko upał. Rozbłysk słoneczny trzymał wahadłowiec w uścisku i zalewał statek niezmiernymi poziomami promieniowania. Jej telekinetyczna osłona zatrzymywała tylko ich część. Skóra Jean się marszczyła, żołądek podchodził do gardła. Miała wrażenie, że serce zaraz wyskoczy*

z jej piersi.

Co powiedział Corbeau wcześniej na stacji kosmicznej? *Wysokie poziomy naładowanych cząstek mogą teoretycznie powodować mutacje DNA.* Czy burza miała wpływ na nią na pierwotnym poziomie, zmieniając jej kod genetyczny? Spojrzała na powiększające się ciemne plamy krwi na ramieniu. Patrzyła, jak kropla się odrywa, jakby w zwolnionym tempie, i opada na pokład.

Ostatnie minuty twojego życia.

Znowu ten głos. Myślała, że to tylko panika przez nią przemawia, jednak był to ktoś inny. Coś innego. Coś... obcego. Czy to była tylko burza? A może coś się z nią działo? Coś głębszego, bardziej drastycznego?

Umrzesz.

Nie – pomyślała. – Nie, będę żyć. Uratuję ich.

Umrzesz.

Oderwała skrawek czarnej sukienki i przycisnęła go do rany.

To będzie wspaniałe.

Nie odpowiedziała, nie zdążyła, bo jej telepatia jakby się rozszerzyła, sięgnęła we wszystkich kierunkach. Jean zobaczyła wewnątrz statku, setki tysięcy obwodów i połączeń elektrycznych, uszkodzonych i sponiewieranych przez rozbłysk słoneczny. Na zewnątrz wzbierały szalejące zorze, skacząc z góry na dół ultrafioletowego widma.

Daleko w dole, na powierzchni Ziemi, ludzie wyrzucali niepotrzebne telefony oraz radia i wbijali wzrok w niebo wypełnione niecodziennym kolorowym blaskiem. Nikt nie widział maleńkiego promu, zagubionego pośród tej masywnej poświaty

gwiazdnej energii.

Wszyscy ci ludzie na Ziemi sprawiali wrażenie tak małych. Tak pozbawionych znaczenia. Tak bezradnych w obliczu kosmicznych energii, które na nich spadają.

Przeszedł ją dreszcz. *Tyle mocy... tyle pięknych przepływów.* Pierwotne siły, wzywające ją jak pieśń. Superstruny, akordy czasu, które łączyły wszystkie rzeczy. Życie i śmierć, i cały ból, radość i smutek, które leżą pomiędzy.

Gwiazdy. Bezmiar gwiazd!

Jej krew zaczęła się zmieniać, mutować. Jak krew, komórki i wody starożytnej Ziemi.

Jean! Proszę!

Scott!

Pokręciła głową i zamrugła. Zmusiła się do wycofania z jego umysłu, ograniczając swoją świadomość do wnętrza kabiny pilota. Skupiła się na uszkodzonym sterze, migotaniu odczytów i śnieżących ekranach.

Jean, nie rób tego!

Przerwała połączenie z umysłem Scotta. Poczwała pozostałych w komorze życia: Logana, Storm, Nightcrawlera, Corbeau i nieprzytomnego profesora. Jedyne umysłem, z którym nie mogła sobie teraz poradzić, był Scott. Wiedziała, że jeśli ponownie nawiąże kontakt; jeśli pozwoli, by jego żal i strach, i – tak – jego miłość ją rozproszyły, załamie się i straci kontrolę.

Umrzesz.

Tym razem nie sprzeciwiła się. Wiedziała.

Tak – pomyślała – umrę. Ale nie pozwolę umrzeć jemu.

Przestała zwracać uwagę na pot spływający po jej ciele i kurczącą się skórę, sięgnęła do otwartego panelu na suficie i wróciła do pracy.

Godzinę wcześniej

NIE zrobisz tego.

Słowa Cyclopsa zawisły w powietrzu. Jean stała nieruchomo, unikając jego spojrzenia. Corbeau i Nightcrawler odeszli, próbując dać im trochę prywatności w ciasnym kokpicie.

Ze Scottem czuła się swobodniej niż z kimkolwiek, kogo знаła. W świecie udręczonych umysłów – bezpańskich myśli, wtargnięć, mentalnego szumu, który musiała znosić całe swoje życie – jego umysł stanowił oazę spokoju. Najłatwiej było do niego wejść i z niego wyjść, stanowił źródło stałej pociechy i wsparcia.

Do teraz.

– Czy naprawdę sądzisz, że możesz przetrwać rekordowy rozbłysk słoneczny? – krzyknął Cyclops, chwytając zaskoczoną Jean za ramiona.

Potem poczuła gniew. Nagły, nieoczekiwany. Kiedy przemówiła, jej głos był zimny.

– Moja telekineza zapewni mi bezpieczeństwo.

– Na jak długo? – Wskazał ręką ponad nią. – Słyszałaś, co Corbeau powiedział o promieniowaniu.

Doktor Corbeau wpatrywał się we własną dłoń.

– Nawet nie jestem mutantem, a wydaje mi się, że czuję, jak to działa. – Wzruszył ramionami. – Może to tylko pycha.

Jean zignorowała go, spoglądając na Cyclopsa stanowczym wzrokiem. Przez chwilę odwzajemniał jej spojrzenie, po czym ją puścił.

– Słuchaj – powiedział – to zbyt ryzykowne. Wymyślimy coś innego. Potrzebuję cię do zabezpieczenia mojej gry tutaj.

– Zawsze zabezpieczałam twoją grę.

Doszedł ich hałas spoza kokpitu wahadłowca. Cyclops spojrzął w tamtą stronę. Przez jego wizjer przemknęły szkarłatne iskierki. Nightcrawler skoczył na pozycję, stając naprzeciw drzwi, a Jean ruszyła, by osłonić doktora Corbeau.

– Nie strzelaj, koleś. To my.

Wolverine wpełzł przez właz z nieprzytomnym profesorem X przerzuconym przez ramię. Storm podążyła za Loganem do środka, unosząc się na ciepłych prądach powietrza, które zalały stację kosmiczną.

– Ogień dotarł już prawie tutaj – powiedziała.

Z zaskakującą łagodnością Logan położył profesora na małym stoliku. Cyclops i Nightcrawler ruszyli jednocześnie, żeby go zbadać, przy tym niemal zmiatając się wzajemnie z drogi.

– Nie rusza się – stwierdził Nightcrawler.

Cyclops zwrócił się do Wolverine'a:

– Wszystko z nim w porządku?

– Nie jestem lekarzem, Summers. – Logan wzruszył ramionami. – Sentinele nieźle go poharatali.

Jean wysłała swój umysł. Fale mózgowe profesora pozostawały w stanie uśpiania, ale aktywność elektryczna była stała.

– Wróci do zdrowia – oznajmiła.

– A Sentinele? – zapytał Cyclops.

– Pokonani. – Storm z błyskiem w oku rozłożyła ciemne ramiona. – Mieli awarię elektryczną.

– Ale ogień wciąż wymyka się spod kontroli – powiedział Wolverine. – Więc może ruszmy ten autobus ze stacji, zanim wszyscy usmażymy się na śmierć?

Corbeau wpatrywał się w Jean.

– Właśnie... dyskutowaliśmy o tym.

– Logan – odezwał się Cyclops – zabierz profesora z powrotem do komory przetrwania. Zabezpiecz go... Lepiej użyj pasów.

– Ostrzegałem cię, zanim tu przylecieliśmy, Summers. – Wolverine przerwał, jego ręce drgnęły. – Nie lubię, kiedy ktoś mi rozkazuje.

– Logan. – Wizjer Cyclopsa zapłonął. – Nie teraz.

Wolverine uśmiechnął się, udając, że zamierza się na niego. Potem znieruchomiał. Jego oczy zwęziły się, jakby wyczuł wyostrzonymi zmysłami jakiś śmiercionośny zapach na wietrze. Wzruszył ramionami, znów przełożył Xaviera przez ramię i odszedł.

Cyclops zwrócił się do Storm.

– Ororo, pomożesz mu?

Ta zmarszczyła brwi, poprawiła opaskę, a potem skrzyżowała ręce na piersi.

– Jean – zagadnęła. – Co planujesz?

Jean zmusiła się do uśmiechu.

– Dalej – powiedziała. – Dopilnuj, żeby Logan przypadkowo nie podziurawił profesora pazurami.

– Albo nieprzypadkowo – dodał Cyclops.

Przepraszam, Ororo – pomyślała Jean. – Jesteś dobrą przyjaciółką, ale będziemy musiały omówić to później. Jeśli istnieje dla mnie jakieś później.

Kiedy Storm zniknęła, Nightcrawler przez chwilę patrzył na Jean i Cyclopsa. Potem wskoczył na miejsce drugiego pilota i zaczął cicho, ale z ożywieniem dyskutować o czymś z Corbeau. Cyclops podszedł bliżej Jean i wydał długie, ledwo słyszalne westchnienie.

– Przepraszam.

Pokiwała głową, nie patrząc na niego.

Dotknął jej policzka i uśmiechnął się. Ten uśmiech zawsze topił lód w jej sercu, przywracając wiarę, że wszystko jest możliwe.

– Czy możemy po prostu wymyślić jakiś plan? – zapytał.

– To jest plan.

Wystrzeliła telepatyczny pocisk w mózg Scotta. On natychmiast stracił przytomność, osuwając się na nią.

Tak łatwo – pomyślała. – Zawsze mi ufał. Wpuścił mnie do swojego umysłu bez wahania, bez żadnej obrony.

Miała nadzieję, że jej wybaczy.

Nightcrawler zmaterializował się w obłoku siarki, szeroko otwierając błyszczące żółte oczy. Zanim zdążył coś powiedzieć, wepchnęła mu w ramiona bezwładne ciało Scotta.

– Zabierz go na rufę – powiedziała. – Zabezpiecz siebie i innych i przygotuj się do startu.

Nightcrawler zawahał się.

– Jesteś pewna, że to przeżyjesz?

– Sprowadzę nas na dół.

Niebieski mutant skrzywił się, mocno obejmując ramionami ciało przywódcy. Potem teleportował się, zabierając go ze sobą.

– Ty też, doktorku. – Jean ruszyła w stronę miejsca pilota. – Zadbaj o to, by dobrze zamknąć komorę przetrwania. Trochę może nami rzucać.

Corbeau otworzył usta, jakby chciał zaprotestować. Wtedy w jej oczach znów pojawił się strach. Doktor wstał z fotela. Obszedł ją jak kot i ruszył w kierunku rufy.

Jean została sama. Samotna z zabójczą misją, przejmującym lękiem... i czymś jeszcze. Dotychczas nieznanym poczuciem władzy i mocy. Wewnętrznej siły, wydobywającej się z głębi. Cokolwiek to było...

...dało o sobie znać w chwili, gdy sprawiła, że Scott stracił przytomność.

Drżąc, opadła na fotel pilota i odpaliła silniki.

Teraz

WAHADŁOWIEC zanurkował w stronę Ziemi. Jean zakłęła, kiedy nagłe szarpnięcie niemal wyrzuciło ją z fotela. Wyciągnęła rękę, by włączyć zabezpieczenia, i wrzasnęła, gdy dosięgła ją fala promieniowania.

Zwinięta w kłębek odpaliła swoje telekinetyczne osłony z pełną mocą. Ból ustąpił, gdy jej zmutowana moc odfiltrowała promieniowanie, ale części uderzenia nie zdołała powstrzymać. Poczwała, jak cała ta energia wwierca się w nią i zagłębia w jej DNA.

Głupia! Straciła koncentrację, osłabiając swą ochronę. Jeszcze jedna chwila nieuwagi i...

...cóż, umrze trochę szybciej. Może zanim zdoła zakończyć misję.

– *Jean.*

Podskoczyła.

– *Scott?*

Nie. Ten „głos” był ostrzejszy, wyraźniejszy. Głęboki, dojrzały głos telepaty.

– *Profesorze* – odpowiedziała.

– *Bardzo mi przykro, moje dziecko.* – Jego myśli były tak jasne, jakby siedział obok niej, zamiast leżeć w komorze życia. – *To powinienem być ja. Powinienem być tym, który...*

– *Poświęca się?*

– *Cóż...*

– *Profesorze, lecę na oślep. Próbowałam zrestartować czujniki, ale to nie działa. Nie wiem, czy potrafię to zrobić!*

– *Jean, posłuchaj mnie. Jesteś najpotężniejszym telepatą na Ziemi.*

– *Ha! Po tobie.*

– *Naj-po-tęż-niej-szym.* – Przerwał. – *Masz wszystkie informacje, jakich potrzebujesz.*

Zamknęła oczy, znów skupiła się na wszystkim, co zaabsorbowała. Było tego tak dużo! Wspomnienia Corbeau to cała masa informacji, morze danych.

Nie było czasu...

– *Jean, słuchaj! Czy pamiętasz ćwiczenia medytacyjne, których*

cię uczyłem?

Instynktownie skinęła głową.

– *Wykorzystaj je teraz.*

– *Profesorze, tu jest tak gorąco. Moja twarz płonie. Mój żołądek zwinął się jak precel.*

– *JEAN.*

Jego myśli były teraz głośniejsze i zimne, jak u rozczarowanego nauczyciela. Wcześniej rozmawiał z nią tym tonem tylko kilka razy, kiedy – jako młoda uczennica, przytłoczona myślami otaczających ją osób – pozwoliła na to, by uzalanie się nad sobą przeszkodziło jej w nauce.

– *Musisz to zrobić. Nie ma nikogo innego. Gdyby był...*

Popatrzyła na śnieżące ekrany.

– *Rozumiem* – powiedziała.

– *Chwyć ster* – polecił profesor. – *Nadchodzi czas.* – Sięgnęła obiema rękami i chwyciła drążki, jak linę ratunkową, którą, jak sobie uświadomiła, właśnie dla niej były.

– *Teraz* – kontynuował. – *Oddychaj.*

Patrzyła prosto przed siebie, chcąc, aby jej świadomość pozostała w tej ograniczonej przestrzeni. Tego właśnie ją nauczył. Niezbędnej dla telepaty kontroli. Wszystko sprowadza się do opanowania.

– *Nauczyłem cię wszystkiego, co potrafię* – powiedział profesor. – *Reszta zależy od ciebie.*

Dostrzegła przebłysk bólu. *To jego rany*, uświadomiła sobie. Muszą być dotkliwsze, niż przypuszcza.

– *To nic* – powiedział. A potem powtórzył: – *Naprawdę mi*

przykro.

Xavier przerwał połączenie. Cała wymiana trwała kilka sekund.

Walcząc z powracającym uczuciem samotności, Jean zmusiła się do regularnego oddychania. Wdech, wydech. Wdech, wydech. Skoncentrowała się na sterze, mocno trzymając go w dłoniach. Siłą woli odwróciła uwagę od szalejących dookoła energii.

Po raz trzeci zobaczyła się pod drzewami, z ciepłą dłonią Scotta w jej dłoni.

– *Uwielbiam jesień* – powtórzyła.

Scott pokiwał głową z wymuszonym uśmiechem na twarzy. Tym razem, kiedy się odezwał, przypomniała sobie jego słowa.

– *To wtedy wszystko zaczyna umierać.*

Wówczas się zaśmiała. Ależ z jej chłopaka ponurak. Wszystko traktuje śmiertelnie poważnie! Scott był wrażliwą duszą, łagodnym mężczyzną, który prawdopodobnie byłby szczęśliwszy, wiodąc spokojne życie. A jednak zgodził się poprowadzić X-Menów, ponieważ ktoś musiał to robić, a on najlepiej się do tego nadawał. Od tamtej pory każda decyzja – każda ofiara – wiele go kosztowała. Każda strata była ciosem w serce.

Właśnie miał otrzymać kolejny.

Na jej skórze pojawiło się dziwne mrowienie. Spojrzała na dłonie, wciąż zaciśnięte na sterze, i na chwilę zaparło jej dech.

Jej ciało było w rozsypce... Pękało, rozpadało się, rozrywało na jej oczach. Skóra mieniła się dziwnymi kolorami: zielenią pleśni, indygo, ciemnoczerwonym. Czuła, jak promieniowanie omija jej osłonę, rozchodząc się po całym ciele. Mięśnie napinały się i rozciągały, ściany komórkowe rozdymały się i pękały. Kości

próbowały wyskoczyć z ciała.

Jedno z pęknięć na dłoni rozszerzyło się. Mały szkarłatny płomień wystrzelił z niego w górę, rozprzestrzeniając się na zewnątrz jak ptasie skrzydła. Kiedy pochyliła się, by mu się przyjrzeć, zniknął.

Co się z nią działo?

Przypomniała sobie słowa profesora. *Nadchodzi czas.*

Pozostało tylko czekać.

Godzinę wcześniej

JEAN PRZEBIEGŁA WZROKIEM procedury przygotowania do startu, przenosząc spojrzenie z jednego ekranu na drugi. Ciśnienie w kabinie: normalne. Podwozie: sprawne. Powierzchniowe urządzenia uruchamiające: włączone. Usłyszała dudnienie silników – trochę nierówne, ale coraz głośniejsze. W ciągu kilku minut będą gotowi do startu.

Zdalne ramiona zostały odstrzelone, jednak nie miało to znaczenia. Wstała i podeszła do bocznej przegrody i sprawdziła obraz z zewnętrznych kamer. Kamera rufowa miała peryferyjny widok na drzwi hangaru. Jean zobaczyła najbardziej wysunięty jęzor ognia pochłaniający stację, płomień liżący drzwi.

– Co robisz, Jeannie?

Obróciła się. Wolverine przykucnął, jakby był gotowy do walki. Jego oczy kryły się za białymi soczewkami maski.

– Przestraszyłeś mnie – powiedziała.

– Pierwszy raz w życiu – odparł. – Niełatwo jest ominąć twoją

obronę.

Skrzywiła się. Podteksty na bok, Logan miał rację. Bardzo trudno jest zaskoczyć telepatów.

– Byłam rozkojarzona. – Westchnęła. – Powiedziałam Corbeau, żeby zablokował komorę przetrwania.

– Mam wytrychy. – Uśmiechnął się, podniósł pięść i z brzękiem wysunął jeden z sześciu śmiercionośnych pazurów. – Wbudowane.

– Czego chcesz, Logan?

– Chcę, żebyś wróciła do komory przetrwania, a ja siądę za kółkiem.

Nie odpowiedziała. Jej wzrok padł na jeden z ekranów. Poziom paliwa: dwie trzecie...

– Bez kitu, Jean. Wiesz, że mam moc uzdrawiania... Ze wszystkiego mogę się wykaraskać. W moich genach ten rozbłysk nie namiesza.

– Logan, nie mamy na to czasu.

– A co z twoim chłopakiem? – Wskazał kciukiem w kierunku komory na rufie. – Cyke zaczyna się drzeć, a ja nie zniosę tego przez całą godzinę.

Wbrew sobie, pomimo wiszącej nad nimi katastrofy zaśmiała się. Wolverine należał do nowszych X-Menów, nie znała go zbyt długo. Był surowy, szorstki i miał skłonność do lekceważenia rozkazów. Niewiele wiedziała o jego pochodzeniu poza kilkoma niejasnymi wzmiankami o kanadyjskich służbach specjalnych. Jego pazury przypominały raczej jakieś cybernetyczne implanty niż naturalną mutację.

Wiedziała tylko, że od miesiący jest w niej zadurzony. Nie

pozwalala sobie na odwzajemnienie żadnych tego rodzaju uczuć. Co za banał – kobieta, która ma porządnego chłopaka, przyciąga łobuza! Ale nie mogła zaprzeczyć, że pozostawali z Loganem w jakiejś dziwnej relacji.

– Moja moc mnie ochroni – powiedziała. Jednak głos zabrzmiał słabo, nawet w jej uszach.

– Jean, masz przed sobą wiele lat. – Wolverine zrobił krok naprzód, blokując jej drogę do fotela pilota. – Ja żyłem wystarczająco długo.

– Czuję się, jakbym żyła wiecznie – szepnęła.

Zmarszczył brwi.

– Logan, potrafię pilotować prom, a ty nie. Tylko to się liczy. – Uśmiechnęła się, próbując powstrzymać łzy. – To nasza jedyna szansa.

Silniki zaszumiały głośniejsze. Dwa sygnały z konsoli lotu wskazywały, że przygotowanie do startu było niemal zakończone.

– Nie jesteś sobą, dziecinko. – Wolverine zacisnął pięści. – Nie jesteś do tego stworzona.

Znowu poczuła gniew. *Tak jak Scott* – pomyślała.

Oni tego nie rozumieją. Nigdy nie zrozumieją.

Zrobiła krok naprzód, patrząc wyzywająco na Logana. Warknął, spojrzał jej w oczy i zatrzymał się.

– Ha.

– Masz rację – powiedziała, zachowując spokój w głosie. – Nie jestem sobą. Ale jeśli będę i wykonam rozkazy, jeśli się powstrzymam i oddam komuś stery, wszyscy zginiemy.

Patrzył na nią. Przeniósł wzrok na konsolę lotu, zatrzymując go

na ekranie podglądu rufowego. Ogień ogarnął podłogi hangaru, obejmując brzegi komputerów i monitorów. Dotrze do promu w ciągu kilku sekund.

– Mógłbym cię zatrzymać – syknął.

Spojrzała na niego bez słowa.

Rozległ się ostry dźwięk. Na wszystkich dziesięciu ekranach ukazał się tekst:

GOTOWY DO URUCHOMIENIA

Kiedy Jean odwróciła się w stronę Logana, już go nie było.

Drżąc, usiadła w fotelu pilota. Logan był jak tykająca bomba. Najbardziej niebezpieczny mutant, jakiego kiedykolwiek zwerbowali X-Meni. I nie blefował. Moc Jean budziła grozę, ale jeśli zdecydowałby się użyć siły, nie zdołałaby go powstrzymać. Logan to zabójca, ona jednak postawiła na swoim – pokazała mu determinację równą jego własnej. Zmusiła go do dokonania wyboru, a on postanowił się wycofać.

Przez chwilę siedziała sama, myśląc o dobrym mężczyźnie, którego bardzo kochała, cierpiącym w komorze przetrwania. I o innym mężczyźnie, który kochał ją taką, jaką była – jego dotyku nigdy nie poznała, ale właśnie on podjął bolesną decyzję, by pozwolić jej umrzeć.

Scott przeżyje. Będzie zdruzgotany. Mogą minąć lata, zanim dojdzie do siebie po tej stracie. Ale w końcu to zrobi – zapomni o niej i ruszy dalej.

Jednak Logan...

W jakiś sposób wiedziała, że to będzie go sporo kosztować.

Zadzwoił alarm: ogień dotarł do zewnętrznego kadłuba.

Jean Grey syknęła. Potem potrząsnęła głową, sięgnęła do przełączników i odpaliła silniki.

Teraz

W JEDNEJ CHWILI rozbłysk minął. Silniki wahadłowca zakaszły; instrumenty zaczęły klikać i uruchamiać się ponownie; ekrany jaśniej zamigotały. System komunikacyjny ożywił się – mrugały setki nakładających się komunikatów.

– Wracam teraz...

– Tower One, czy mnie słyszysz...

– ...ryjny system nadawczy ponownie działa...

Jean pokręciła głową, usiłując uporządkować myśli. Ogień tańczący po jej skórze ustąpił, powietrze było chłodniejsze. Ale promieniowanie wciąż wrzało w ciele.

– Rozbłysk się cofnął...

– ...szę, trzymaj wszystkie kanały czyste.

Wyłączyła system łączności, korzystając z telekinezy. Jej dłonie nadal zaciskały się na sterze. Testowała je, szarpiąc lekko, a na najbliższym ekranie pojawił się komunikat.

URUCHAMIANIE SILNIKÓW

Słowa profesora odbijały się echem w jej głowie: *nadchodzi czas*.

Środkowy ekran obudził się do życia. Z czerwonożółtej mgiełki zaczęły wyłaniać się kształty. Setki jesiennych liści na gałęziach

drzew w zagajniku. Dokładnie pod nią, na ścieżce promu.

I jeszcze jeden głos z głębi jej pamięci: *Kiedy wszystko zaczyna umierać.*

Sygnał z konsoli lotu. Na mniejszym ekranie pojawił się nowy tekst.

SILNIKI WŁĄCZONE

Mocno odciągnęła ster. Prom zakołysał się, siła grawitacji wcisnęła ją z powrotem w fotel. Chrząknęła, ponownie szarpnęła ster i westchnęła, gdy obraz z przodu przesunął się w górę z prędkością przyprawiającą o zawrót głowy. Jasne niebo, niebieskie i czyste, wypełniło ekran.

Wydała z siebie okrzyk radości.

Skorzystała ze wspomnień Corbeau i przywołała mapę GPS. Obszar pod drzewami, który widziała, nazywał się Rockaway Community Park. Rozpościerał się wzdłuż Jamaica Bay, po południowej stronie Long Island – w Nowym Jorku, na skraju Brooklynu i Queens. I tuż po drugiej stronie zatoki.

Mały ekran zapłonął na czerwono.

NIEBEZPIECZEŃSTWO

AWARIA SILNIKA

Prom zacharczał, ucichł i zaczął spadać. Żołądek podszedł Jean do gardła. Pochyliła się i pociągnęła za ster. Żadnej reakcji.

Głos wrócił. Starożytna obecność, która była nią, a jednak kimś innym.

– *Czas umrzeć* – powiedział.

Jean zanurkowała we wspomnienia Corbeau, pośpiesznie przerzucając kolejne opcje. Główne silniki: nie działają. Pakiet ratunkowy: brak czasu, a Scott i pozostali nadal pozostaną uwięzieni w komorze przetrwania. Podwozie: przy tej prędkości zostanie zmiażdżone przy uderzeniu.

– *Wszystko w porządku* – powiedział głos.

– *Zamknij się* – odparła. – *Zamknij się, zamknij się, ZAMKNIJ SIĘ!*

Była jedna szansa: sterolotki. Corbeau zaprojektował prom tak, by mógł działać w trybie ślizgowym, bez silników. Uświadomiła sobie, że zrobił to pewnie tylko po to, żeby się popisać. Teraz jego próżność może ocalić wszystkim życie.

Szybko i fachowo rozłożyła skrzydła na pełną długość. Wahadłowiec szarpnął i zwolnił, gdy uderzyło w nie powietrze. Jean zatrzęsa się w fotelu. Nadal szybko opadali, ale udało się jej uzyskać pewien stopień kontroli nad kursem.

Teraz muszę tylko gdzieś wylądować!

Wkładając wszystkie siły w poruszanie sterolotkami w dół i w górę, skierowała pikującego ptaka w kierunku lotniska JFK. Mijała niskie i ciemne budynki, prowadzące do masywnej wieży kontrolnej najeżonej reflektorami. W dole cienki zielono-szary pas lądowania przypominał wyciągnięty palec, dotykający połyskującej na niebiesko zatoki.

Włączyła system komunikacyjny.

– Trzymaj kurs...

– Niezidentyfikowane wezwanie...

– Mayday! – zawołała. – Kontrola lotu JFK, schodzę ostro. Zatrzymaj cały ruch, proszę!

Lawina nakładających się komunikatów.

– Niezidentyfikowany promie, tu wieża kontrolna. Jesteś za nisko. Powtórz...

Sprawdziła wysokość: 210 metrów. Kontroler miał rację. Przy tak szybkim zejściu nigdy nie ominie budynków.

Jean wyciągnęła telekinetyczne macki, żeby objąć swoją siłą cały wahadłowiec. Chwyciła go, usiłując powstrzymać gwałtowny spadek. Potem zacisnęła zęby i uniosła go.

Prom wzniósł się, ledwie omijając główną wieżę, i runął na asfalt. Jean przeżyła krótką chwilę triumfu – zanim uderzenie strzaskało jej kręgosłup.

Wahadłowiec przeorał pas startowy, a potem odbił się w stronę rosnącej obok trawy. Gdy cofnął się, znowu mocno uderzając o podłoże, z podwozia poleciały iskry. Siłą rozpędu pojechał do przodu, ryjąc gorącą bruzdę w asfalcie.

Jean czuła pieczenie, gdy ogień obejmował jej potrzaskane ciało. Umysły przyjaciół, kochanka, nauczyciela – wszystkie krzyczały z więzienia z tyłu promu. Nie miała siły, by je wyłączyć.

To już koniec – pomyślała.

Nie – odpowiedział głos, który nie był nią. – To jest początek.

Gdy wahadłowiec z hukiem ruszył do przodu, świadomość Jean eksplodowała. Obrazy zalały jej umysł. Płomienie tańczące na skórze; eksplodujące światy, umierające w paroksyzmie ognia. Okrutna kobieta w skórzanym kombinezonie i wysokich butach, z włosami jak lód.

Jean ujrzała skulonego Cyclopsa z twarzą pokrytą szkarłatnym metalem i ustami otwartymi w niemym krzyku.

Prom podskoczył raz jeszcze, a jego kadłub pękł na pół. Dwa kawałki zawisły na chwilę w powietrzu i zanurzyły się w zatoce. Silniki zawyły i zabulgotały pod wodą. Jean Grey nie złapała za ster ani nie wykorzystała swoich mocy, by zapobiec zatonięciu statku.

Była martwa.

CYCLOPS WYNURZYŁ SIĘ na powierzchnię, wypluwając brudną słoną wodę. Wstrzymał oddech, gdy przelatowała nad nim fala, potem napiął potężne ramiona, odpychając się do góry, aby utrzymać głowę nad powierzchnią wody.

Rozejrzał się wokół, starając się zobaczyć jak najwięcej przez szkarłatne soczewki wizjera. Na płycie lotniska błysnęły światła awaryjne. Postrzępiona krawędź pasa startowego zanurzała się w zatoce. Spadający prom narobił wiele szkód.

Niektórzy z pozostałych X-Menów wychynęli na powierzchnię i oszołomieni pływali zaledwie kilka metrów dalej. Logan, Storm i Nightcrawler byli najbliżej. Tuż obok nich dr Corbeau utrzymywał oszołomionego profesora X nad wodą przy pomocy bojki ratowniczej. Co zaskakujące, profesor zdawał się odzyskiwać przytomność.

To byli wszyscy. Prawie.

Brakowało tylko jednego.

– Storm, Kurt! – zawołał Cyclops. – Zabierzcie Corbeau i profesora w bezpieczne miejsce.

– Chwileczkę, Scott – Storm zaczęła odpowiadać, a potem zakasłała.

– *Ja* – odezwał się Nightcrawler.

– Nie spiesz się. – Corbeau strząsnął wodę z gęstych włosów. – Na studiach należałem do olimpijskiej drużyny pływackiej.

Z góry dobiegł ich głuchy warkot helikoptera. Bez wątpienia NYPD reaguje na wypadek.

Mam nadzieję, że profesor wkrótce dojdzie do siebie – oczywiście troszczę się o jego zdrowie, ale dzięki siłom jego umysłu ekipy ratownicze może nie zauważą grupy dziwnie ubranych mutantów w zatoce. Nie, nie mogę się teraz o to martwić, pomyślał Cyclops. Spuścił wzrok na powierzchnię wody, tam, gdzie prom zanurzył się w mroku. Potem podniósł głowę i zaczął łapczywie nabierać powietrza.

Woda zaczęła się burzyć. Spojrzał na Wolverine'a sunącego w jego stronę z zaciśniętymi zębami.

– Schodzę po nią, Logan – powiedział Cyclops. – Nie próbuj mnie zatrzymać, bo przysięgam, że cię zabiję.

– Nie będę cię powstrzymywał, Cyke. Idę z tobą.

Nie – pomyślał Cyclops. – *To moja miłość, moja odpowiedzialność. Muszę uratować Jean!* Jednak wytrzymałość dawała Wolverine'owi przewagę. Z nich dwóch to raczej on miał większe szanse na jej uratowanie. Cyclops niechętnie kiwnął głową.

Kiedy przygotowali się do zanurkowania, Wolverine zamarł. Jego oczy rozszerzyły się, gdy wciągnął nosem powietrze. Cyclops rzucił mu spojrzenie, a potem dostrzegli, że woda wokół nich bulgocze. Nawet przez szczelny kombinezon czuł wzrost temperatury.

Nagle powierzchnia eksplodowała wzbijającym się w górę

blaskiem opalizującego ognia. Cyclops poleciał w jedną stronę, zachłystując się wodą z zatoki, Logana wyrzuciło w drugą. Pomiędzy nimi wystrzeliła w niebo lśniąca postać.

Cyclops wstrzymał oddech, ścierając wodę z wizjera.

Jean Grey wisiała w powietrzu z zamkniętymi oczami i rękami wzniesionymi ku niebu. Powoli uniosła powieki i spojrzała w dół jak monarcha lustrujący poddanych. Kiedy przemówiła, jej głos zdawał się wypełniać całą przestrzeń.

– SŁUCHAJCIE MNIE, X-MENI – powiedziała. – NIE JESTEM JUŻ KOBIETĄ, KTÓRĄ ZNALIŚCIE.

Cyclops zmarszczył brwi. Jean miała na sobie nowy kostium. Połyskiwał zielenią i złotem, a jego długa szarfa powiewała na wietrze.

– JESTEM OGNIEM – kontynuowała – I WCIELONYM ŻYCIEM.

To była ona, a jednak nie ona. Wszystko w niej się zmieniło.

Skąd się to wzięło? Jean nigdy wcześniej nie wykazywała takiego poziomu zdolności telekinetycznych...

– TERAZ I NA ZAWSZE: JESTEM PHOENIX!

– Jean! – zawołał.

Na dźwięk jego głosu spojrzała w dół. Przez chwilę jakby walczyła, żeby się na nim skupić, a potem napięcie na jej twarzy ustąpiło przerażeniu. Złapała się za skronie i krzyknęła.

– Jean!

Przez długą chwilę jaśniała. Ogniste skrzydła błyskawicznie wyrosły z jej ramion, zasłaniając słońce. Helikopter policyjny zatrzymał się i zawrócił, zachowując dystans.

Potem energia się rozproszyła.

Jean wstrzymała oddech, pociemniała i spadła z nieba.

Kiedy uderzyła w powierzchnię wody, pierwszy dotarł do niej Cyclops. Powstrzymał Logana i podniósł ją, trzymając jej głowę nad powierzchnią.

– Jean? – zapytał. – Jean!

Nie było odpowiedzi.

– Oddycha – zauważył Wolverine.

Cyclops oparł głowę na piersi Jean i odetchnął z ulgą. Jej serce mocno biło.

Unosił się w wodzie, trzymając ją w oczekiwaniu na powrót helikoptera. Nagle uświadomił sobie, że profesor odzyskał siły na tyle, by dotrzeć do zespołów ratowniczych i wyjaśnić im sytuację. Kiedy droga była czysta, Xavier wysłał mentalny sygnał. Cyclops zawahał się, rzucając ostatnie spojrzenie w głąb zatoki.

– Scott?! – zawołała Storm.

Odwrócił się i podążył za pozostałymi, płynąc powoli w kierunku brzegu.

Trzymał mocno Jean Grey, kobietę, którą kochał. Kobietę, którą zawsze będzie kochał, wiedział z całą mocą – w każdej chwili, każdego dnia, do końca życia.

X-MEN

AKT I

ZNAKI ŻYCIA

1



Rok później

KITTY PRYDE śmiertelnie się nudziła. Właśnie zaczął się wykład z analizy matematycznej na poziomie podstawówki. Nauczyciel wygadywał takie oczywistości, że mogła wypowiadać każde słowo równocześnie z nim. Wokół niej dwa lata starsze dzieciaki notowały ze zmarszczonymi brwiami, starając się nadążyć.

Na dodatek znowu rozboleła ją głowa.

Kiedy na korytarzu rozległ się dzwonek, wysłała SMS-a do swojej przyjaciółki Robin.

POTRZEBUJĘ TLENU!

Robin była już na dachu, więc Kitty pobiegła tam, przeskakując po dwa schody naraz, i pchnęła drzwi. Miała na sobie tylko dżinsy i koszulę z krótkimi rękawami. Nagle poczuła jesienny chłód i przebiegł ją dreszcz.

Robin stała oparta o balustradę obok ogródka kółka ogrodniczego. Choć wyższa od Kitty, była niezgrabna. Gapiała się

w ekran smartfona.

– Hej, Kats – rzuciła, nie podnosząc wzroku.

– Hej, Birds – odparła Kitty. Ruszyła w kierunku przyjaciółki i skrzywiła się. Ból głowy stawał się coraz silniejszy. Miała wrażenie, że promieniuje gdzieś ze środka, jakby ktoś zamontował silnik elektryczny u podstawy jej czaszki.

Robin nawet tego nie zauważyła.

– Tato, daj spokój! – powiedziała, przeciągając palcem po ekranie telefonu. – Dość SMS-ów. Powiedz mi, że nie tylko ja tak mam, Kats. Czy twoi rodzice robią wszystko, by zmienić Boże Narodzenie w koszmar, zaczynając przygotowania do świąt już miesiąc wcześniej?

– Chanukę. Pamiętasz?

– Chanukę, racja – dodała, wciąż wpatrując się w telefon. – Och, wspaniale, kolejne zadanie w historii Dumbass Illinois. Myślałam, że liceum będzie super, Kats. Pamiętasz, że nie mogłyśmy się doczekać Deerfield Middle?

– Tak.

– Ale to miejsce jest do bani. Ciągle. Nikt tutaj nawet nie gra w *Dragon Quest* oprócz ciebie.

Kitty zachwiała się i oparła o fotel zostawiony po zajęciach z ogrodnictwa. Lekarze nie byli w stanie zidentyfikować źródła bólu głowy, który narastał – a na dodatek pojawiał się coraz częściej. Na przyszły tydzień miała zaplanowany rezonans magnetyczny. Może on coś pokaże...

– Tato, przestań! Weź pigułkę! – Robin nie odrywała wzroku od telefonu. – Odkąd rozeszli się z mamą, nie daje mi spokoju. A co

u twoich rodziców? Czy naprawdę się rozwodzą, czy to tylko jakieś dramaty w stylu *Żon Beverly Hills*?

– B-birds...

Ból zdawał się przewiercać głowę Kitty. Pochyliła się do przodu, łapiąc się za skronie.

Boże, proszę – pomyślała. – *Mam tylko trzynaście i pół roku. Nie mogę umierać!*

– Och, stara, dzwonek! – Głos Robin wydawał się dochodzić z bardzo daleka.

– Spóźnimy się. Co tam, już mnie to nie obchodzi. Niech mnie zawieszą, zamkną, zastrzelą o świcie. Wszystko jest lepsze niż Deerfield High.

Nagle coś się zmieniło. Miała wrażenie, że ból ustępuje, zmieniając się w dziwne uczucie mrowienia. Rozprzestrzeniało się ono od jej głowy przez tułów, obejmując całe ręce i nogi. Poczowała bezwład i bezradność.

– Kats?

Niemal w zwolnionym tempie Kitty zobaczyła zbliżającą się przyjaciółkę. Potem oczy Robin otwarły się szeroko. Zatrzymała się nagle, a na jej twarzy malował się szok.

Spadam – uświadomiła sobie Kitty. Dach stawał się coraz bliższy... Wyciągnęła ręce, by ochronić twarz przed uderzeniem.

Ale ono nie nadeszło.

Po prostu spadała dalej.

Docierały do niej jakieś mgliste obrazy – drewniane belki, izolacja z włókna szklanego i... zdechły szczur? A potem znalazła się w dużym pomieszczeniu z ekranami, wykresami oraz układem

okresowym na ścianach. Dookoła biegały dzieci ubrane w fartuchy laboratoryjne i ochronne okulary, ze zlewkami i różnymi przyrządami w dłoniach. Pani Gennaro, nauczycielka biologii, spojrzała ze zdziwieniem.

Pracownia biologiczna? Ale to...

Kitty wymachiwała rękami i nogami, próbując się zatrzymać. Jej dłoń uderzyła w szklany słoik z karaluchami w formaldehydzie, który spadł z kontuaru i roztrzaskał się na podłodze.

Znowu padła jak długa na posadzkę. Skrzywiła i ponownie jakaś siła zaczęła ją pchać w dół.

Uczucie mrowienia rozchodziło się po jej ciele, stopniowo przeciągając ją przez podłogę...

...do pracowni multimedialnej. Ahmed, jej kolega z klasy, zerwał się na równe nogi, wykrzykując jej imię, gdy runęła u jego stóp.

Przeszła przez jego monitor, podnosząc snop iskier. Ekran zaczął śnieżyć, niszcząc komputerowy model statku kosmicznego, nad którym pracował. Nie miała nawet czasu na przeprosiny...

...zanim poleciała w dół między krokiewcami sali gimnastycznej. *Nie – pomyślała. – To musi się skończyć. Czymkolwiek to jest, STOP!*

Nagle uczucie zniknęło. Ból, mrowienie – wszystko odeszło. Kitty opadła jak głaz. Wylądowała na kilku dziewczynach, zwalając je z nóg. Piłka do koszykówki, którą sobie podawały, spadła na podłogę i odskoczyła.

Oszołomiona Kitty podniosła wzrok. Wokół stało kilkanaście wysokich dziewcząt, wszystkie w krótkich spodenkach i luźnych T-

shirtach.

Świetnie. Najstarsza klasa.

– Cześć, dziewczyny. – Skrzywiła się. – Naprzód Deerfield?

Gapiły się. Kilka z niedowierzaniem kręciło głową.

– Co u diabła... – Pan Dido, wuefista, przepychał się przez tłum uczennic. Kiedy zobaczył Kitty, jego zrośnięte brwi się zmarszczyły. – Pryde? Nie masz stroju!

Wysoka czarnoskóra dziewczyna zwróciła się do niego:

– To jest dla pana problem?

– Ona spadła z jakichś dziesięciu metrów! – powiedziała inna dziewczyna.

Kitty spojrzała w sufit. Nie było dziury ani gruzu – żadnego śladu jej przejścia. Oznaczało to, że mogło się wydarzyć tylko jedno.

To, co niemożliwe.

Zanim pan Dido zdołał odzyskać swój nadszarpnięty autorytet, ożywił się starożytny głośnik na ścianie.

UWWWAGA... KKKKATHERINE PRYDE PILLLNIE
PROSZSZSZONA DO GABINETU DYREKTORA...

Łał. – Kitty była pod wrażeniem. – *Ten dzień naprawdę udało się jeszcze bardziej spieprzyć!*

Dziewczyny wciąż na nią patrzyły. Niektóre z nich wydawały się rozbawione, inne zaintrygowane. Pan Dido podszedł do niej i zagrzmiął.

– Słyszałaś ogłoszenie. – Kiwnął głową w stronę głośnika na ścianie. – Oszczędź mi kłopotu.

Kitty odwróciła się i ruszyła dalej. Szepty i stłumione śmiechy

towarzyszyły jej w drodze do drzwi. Wyciągnęła telefon, włączyła aplikację czatu i wysłała SMS-a do Robin.

BIRDS. NIE UWIERZYSZ, DOKĄD IDEĘ.

Odpowiedź była szybka i druzgocąca.

TRZYMAJ SIĘ ODE MNIE Z DALEKA, KATHERINE.

Kitty poczuła się, jakby dostała obuchem w głowę. Przypomniała sobie wyraz twarzy Robin na dachu, jej ostatnie spojrzenie. Był w nim szok, zaskoczenie, ale również... niesmak.

Na wyświetlaczu telefonu pojawiły się trzy emotikony. Godzilla, dwugłowy mężczyzna i symbol promieniowania. Kitty nie potrzebowała programu do tłumaczenia, by zrozumieć, co to znaczy.

Mutant.

Wlokła się przez pusty korytarz, ledwie dostrzegając świat dookoła. Miała w tej szkole prawdziwą przyjaciółkę, a teraz nie zostało jej nic. Sekretarka zaprosił ją gestem do gabinetu dyrektora.

Kitty pchnęła drzwi, nerwowo przełykając ślinę.

Podeszła do niej elegancka kobieta w garsonce.

– Cześć, Kitten.

– Mama? – Kitty rozejrzała się po małym biurze, instynktownie szukając wyjścia. – Tata? Co wy tu robicie?

Pan Chiang, dyrektor, wstał i obszedł biurko.

Poruszał się jak policyjny saper, który zbliża się do niezidentyfikowanego pakunku. Nie wyglądał na wkurzonego, ale zdecydowanie był mocno zaniepokojony.

– Kitty – powiedział. – Poprosiłem twoich rodziców, aby przyszli.

– Co? – Zakręciło jej się w głowie. – *Nie mogą wiedzieć, co ja właśnie... co się właśnie stało. Nie sądzę, żeby ktokolwiek naprawdę to zauważył... oprócz Birds. Czy... czy to ona na mnie nakablowała?*

– Kitten, nic się nie stało. – Ojciec posłał jej jeden ze swoich żalonych uśmiechów. – Dyrektor Chiang pomyślał, że powinniśmy porozmawiać o twojej sytuacji w szkole.

– O moim czym? – powiedziała. – Posłuchajcie, wiem, że ostatnio opuściłam się w nauce, ale to tylko dlatego... że jestem znudzona, to wszystko.

– Znudzona. – Ojciec pokręcił głową. – Jest znudzona.

– Wiemy, że jesteś inteligentna, kochanie. – Matka posłała piorunujące spojrzenie ojcu. – Właśnie dlatego masz kłopoty.

– Inteligentna, tak, inteligentna! – Powiedziała szybko Kitty. – I jestem... zbuntowana, w tym problem. Wiecie, wciąż jeszcze przyzwyczajam się do liceum. Badania wykazały, że młodsze nastolatki są w wieku, w którym dostosowanie do nowego środowiska wymaga...

– Kitty! Uspokój się. Tu nie chodzi o żadne twoje kłopoty. – Pan Chiang wskazał na dalekie drzwi za swoim biurkiem. – Chcemy tylko, żebyś kogoś poznała.

Do gabinetu weszła uderzająco piękna platynowa blondynka o bladej cerze. Nosila nieskazitelnie biały kostium z rozcięciem w długiej spódnicy i okulary w grubej oprawie, które wydawały się powiększać jej zimne, przenikliwe oczy.

– To jest pani Frost – powiedział dyrektor Chiang. – Reprezentuje bardzo ekskluzywną, prywatną akademię.

Kitty spojrzała na buty kobiety. Były białe jak reszta jej kreacji, z obcasami odrobinę za wysokimi jak na strój biznesowy.

– Cześć, Katherine. – Pani Frost obeszła biurko z uśmiechem błakającym się w kącikach warg. – Miło cię poznać. – Wyciągnęła perfekcyjnie wypielęgnowaną dłoń.

Kitty popatrzyła na nią, zwracając uwagę na matowy lakier do paznokci. Kiedy podniosła wzrok, wyraz twarzy Pani Frost przyprawił ją o dreszcz.

Sposób, w jaki patrzyła na Kitty...

Jakbym była jakimś smakołykiem.

– Kitten? – zagadnął ojciec. – To może być ważne dla twojej przyszłości.

– Nie bądź niegrzeczna – dodała matka.

Pani Frost podeszła bardzo blisko i uśmiechnęła się – ale w tym uśmiechu pojawił się cień groźby. W białych ubraniach i jasnym makijażu wyglądała jak wykuta z lodu.

– Jestem pewna, że zostaniemy najlepszymi przyjaciółkami – powiedziała pani Frost.

Kitty wyciągnęła rękę, by podać jej dłoń, przygotowana na chłodny dotyk. Ku zaskoczeniu dziewczyny uścisk był mocny i bardzo, bardzo ciepły.

Z jakiegoś powodu wzbudziło to w niej jeszcze większy niepokój.

2



SIERŻANT policji dobiegał siedemdziesiątki. Przykuśtykał do swojego biurka i opadł na krzesło, jakby to było ostatnie miejsce na Ziemi, gdzie chciałby się znaleźć, i wyrzucił z siebie serię szybkich pytań, wszystkie po grecku.

– Przepraszam – powiedziała młoda kobieta. – A może po angielsku?

Sierżant spiorunował ją wzrokiem.

Odwróciła oczy i odsunęła z czoła kilka mokrych kosmyków zmierzwionych rudych włosów. Byli sami w ciasnym pokoju w komisariacie. Cztery biurka, na jednym piętrzyły się stosy papierów, na pozostałych trzech stały komputery ze starymi, kineskopowymi monitorami. Niebiesko-biała grecka flaga wisiała luźno na ścianie, niezupełnie zakrywając popękany tynk.

– Imię i nazwisko? – zapytał sierżant.

– Jean Grey.

Zaczął pisać na wiekowej klawiaturze, głośno literując.

– G-R-A...

– ...E.

Podniósł ręce i zwrócił się do niej.

– Po prostu proszę powiedzieć, co się stało, pani Grey.

– Już mówiłam posterunkowemu. Dwa razy.

– A teraz powie to pani mnie – uśmiechnął się nieprzyjaźnie. –

Trzy razy, jeśli będzie trzeba.

Zacisnęła mocno pięści na biodrach. *Mogłabym czytać w twoich myślach. Mogłabym zmienić twoje myśli. Sprawić, żebyś mi pomógł, żebyś zrobił, co tylko zechcę.* Ale nie. Już nie śmiała używać swych mocy... nawet w prostych sprawach, takich jak poruszanie przedmiotów na odległość. Nie po tym, co się stało.

– Kiedy przyplłynął mój statek, wysiadłam i wyszłam na plażę. Wspięłam się na skałę, żeby się rozejrzeć. Podkradła się do mnie grupa chłopców. Wyrwali mi torebkę i wepchnęli mnie do wody.

Sierżant zmarszczył brwi. Postukał ołówkiem w biurko, jak gdyby rozwiązywał zagadkę o wielkiej wadze.

– Nie widziała pani zbliżających się chłopców?

– Zapatrzyłam się.

– Na nasze piękne plaże?

– Na... wodę.

W jej głowie błysnęły obrazy. Miażdżące uderzenie o asfalt, ból przeszywający kręgosłup. Zalewająca wszystko woda, która wypełniała przebite płuca. Dziwna transformacja.

Sierżant mówił.

– Przepraszam. Co pan powiedział?

– Pytałem, czy przyjrzała się pani tym chłopakom?

Spojrzała w górę, gdy wszedł inny funkcjonariusz. Ten musiał być po osiemdziesiątce. Jej wzrok przemknął obok niego ku

przystojnemu, dobrze zbudowanemu cywilowi w garniturze, pod krawatem i w drogim płaszczu. Miał gęste ciemne włosy i starannie przystrzyżoną brodę.

– Pamięta pani cokolwiek? – ponaglił ją sierżant. – Jak byli ubrani?

– Ja... widziałam przez moment tego, który mnie popchnął. Miał ciemne włosy i... wydaje mi się, że także bliznę na policzku.

Sierżant powrócił do żmudnej pracy – pisania na maszynie. Dobrze ubrana mężczyzna spojrzał na Jean. Uśmiechnęła się, nieco skrępowana.

– Pan Wyngarde? – zawołał drugi oficer. Mężczyzna wzruszył ramionami i poszedł za nim do innego biurka.

– Nie wiem, czy możemy pani pomóc, pani Grey.

– Co też pan powie? – odparła gniewnie. – Połowa ludzi na tej wyspie jest po sześćdziesiątce. Ileż tu może być dzieciaków?

Wzruszył ramionami i uśmiechnął się leniwie.

– To nie takie proste – odpowiedział.

– Zabrali mi walizkę ze wszystkimi ubraniami. Karty, paszport, nawet telefon. Nie mam żadnych pieniędzy!

– Posterunkowy może pani pomóc z załatwieniem paszportu. To potrwa kilka dni.

Westchnęła.

Po drugiej stronie pokoju osiemdziesięcioletni oficer mówił coś cichym, drżącym głosem. Przystojny mężczyzna – Wyngarde, tak miał na nazwisko – wydawał się ćwiczyc cierpliwość. Nieco wymuszony uśmiech błysnął na jego twarzy.

Mogłabym czytać w ich myślach – przeszło jej przez głowę. Ale

nie, to nie wchodziło w grę. Może już nigdy nie będzie.

– Niech pan spojrzy. – Zwróciła się do sierżanta, z przyklejonym uśmiechem na twarzy wyciskając kilka kropel wody z rąbka letniej sukienki. – Moje ubrania są przemoczone. Nie mam pieniędzy, nie mogę nawet wyjechać, dopóki nie dostanę nowego paszportu. Gdzie mam się podziać?

– Jak już wspomniałem, plaża jest piękna o tej porze roku. – Wzruszył ramionami i zapytał: – Skończyliśmy, tak?

Patrzyła na jego plecy. Coś jakby w niej narastało, jakiś gniewny duch. Coś, co zawsze z nią było, a jednak wydawało się równie nowe jak życie, które próbowała zbudować w tym odległym, obcym miejscu.

Przeraziło ją to.

Wstała bez słowa i wyszła z komisariatu.

SIEDZIAŁA na schodach, drząc w jasnym jesiennym słońcu. W oddali, za niskimi białymi budynkami miasta z jałowej ziemi wyrastały starożytne kamienne ruiny. Jeszcze jeden funkcjonariusz w wieku emerytalnym przetoczył się obok, rzucając jej wrogie spojrzenie.

Nie płacz, powiedziała sobie. Nie rób tego. Nie dawaj im satysfakcji.

– Przepraszam panią.

Zerwała się na równe nogi. Ze stopnia tuż nad nią uśmiechał się mężczyzna, którego widziała w biurze – Wyngarde. Stał w zawadiackiej pozie, z jedną nogą nieznacznie uniesioną, jakby pozował do zdjęcia reklamowego w starym stylu.

– Nie mogłem się powstrzymać przed podsłuchiowaniem – jego głos był głęboki, basowy, ale bardzo kuszący, z akcentem, który przypominał brytyjski, prawdopodobnie z wyższych sfer.

– Wydaje mi się, że możemy mieć podobny problem.

Przekrzywiła głowę. Coś w tym człowieku wzbudzało zaufanie. Czują się z nim dziwnie swobodnie.

– Czy to twój stały tekst na podryw? Czy to działa?

Roześmiała się wbrew sobie.

– Moje oczekiwania – kontynuował – ograniczają się do lunchu. Póki co. – Wyciągnął rękę. – Czy mogę?

Zawahała się. Potem rozłożyła ramiona, wskazując swoją mokrą sukienkę.

– W tych okolicznościach – powiedziała – jak mogłabym odmówić?

DOSTOJNE oblicze kelnerki rozjaśniło się, kiedy weszli do restauracji. Marzycielski wyraz przemknął przez jej twarz, gdy prowadziła ich do narożnego stolika na drugim piętrze, z widokiem na skąpaną w słońcu plażę. Zanim Jean zdążyła się zorientować, stała przed nią lampka wina.

– Domyślam się, że często tu przychodzisz – powiedziała, pochylając się nad obrusem w kratkę.

Wyngarde uśmiechnął się. Powiedział, że ma na imię Jason.

Sprawił wrażenie człowieka, który wszędzie czuje się jak w domu. Miał w sobie coś staroświeckiego... coś z prawdziwego dżentelmena, co wydawało się nie na miejscu w dzisiejszych czasach.

– Uwielbiam Cyklady – powiedział. – Zwiedziłem wszystkie wyspy na Morzu Egejskim. A Kirinos zajmuje szczególne miejsce w moim sercu.

– Naprawdę? – zapytała, po czym ściszyła głos, gdy kelnerka wróciła z koszykiem chleba. – Myślałam, że to... Mam na myśli to, że mój stary profesor mówił o tym miejscu z uznaniem. Zdaje się, że mieszkają tu głównie emeryci.

– Jest ich wielu na tej wyspie – zgodził się – ale znaleźć się tutaj, to... jakby wejść w boczną odnogę czasu. Pod wieloma względami nic się tu nie zmieniło odkąd Jazon i jego Argonauci szukali mitycznego Złotego Runa.

Podniosła lampkę do ust i z przyjemnością wzięła duży łyk wina.

– Moja praca jest... wymagająca – kontynuował. – Czasami po prostu muszę porzucić współczesny świat. I znaleźć prostszy, spokojniejszy sposób życia.

– Ja też przybyłam na tę wyspę z tego powodu, jak sądzę. – Skrzywiła się. – Wygląda na to, że ty lepiej się tu odnajdujesz.

– Cóż, przynajmniej udało ci się pozbyć telefonu.

Zaśmiała się.

– Czy twoja sukienka jeszcze jest mokra? – spytał.

– Trochę.

– Nie odzyskasz swoich rzeczy – powiedział poważnym tonem. – Ojciec tego łobuza, który cię okradł... jest tutaj burmistrzem. Policja nic nie może w tej sprawie zrobić.

– Ach. – Obdarzyła go kwaśnym uśmiechem. Alkohol właśnie zaczął działać. – Domyślałam się, że miałeś na pieńku z tym samym

bachorem?

– Przeszedłem na posterunek policji, by się na niego poskarżyć.

– Jeśli policja nie może pomóc, po co zawracać sobie głowę? – powiedziała, marszcząc brwi.

– Gdzież miałbym spotkać piękną młodą kobietę na tej wyspie emerytów?

Zawstydzona spuściła wzrok.

Kiedy jego dłoń dotknęła jej dłoni, była zaskoczona. Podniosła wzrok i ujrzała wpatrujące się w nią ciemne oczy.

– Jest w tobie smutek – powiedział – nie z powodu tego napadu. Ani przemoczonej sukienki.

Mrugnęła potakująco.

– Czy jest ktoś? – zapytał. – Albo... był?

– Był – odpowiedziała. – Umarł.

Wyngarde skinął głową i mocno ścisnął jej dłoń.

– Wszyscy zginęli – szepnęła. Scott... Czują, jak wino uderza jej do głowy, psychiczne mury rozpadają się. *Nie*, pomyślała, *nie rób tego. Nie pozwól, aby twój umysł dotknął jego.*

– Jean Grey. – Wymówił jej nazwisko powoli i starannie. Zabrzmiało dziwnie obco, jakby należało do kogoś innego. – Nic nie mogę poradzić na twoje cierpienia. Ale mogę ci zaoferować nowe ubrania.

– Nie wątpię – prychnęła.

– Już niedługo zrobi się zimno. Przypuszczam, że straciłaś swetry wraz bagażem.

– Tak – westchnęła. – Kiedyś uwielbiałam jesień.

– Ja też ją kocham. – Przechylił głowę, nie odrywając wzroku

od oczu Jean. – To czas obietnicy.

Popatrzyła na niego zaskoczona.

– Nowych początków – dodał. Przyszedł kelner i stanął przy stoliku, czekając na zamówienie. Wyngarde skinął wielkodusznie w stronę Jean. – Pani zamawia...?

Szeroki uśmiech pojawił się na jej twarzy. Podniosła lampkę i powiedziała do Jasona:

– Za nowe ubrania.

WYNAJMOWANY PRZEZ WYNGARDE’A dom leżał na obrzeżach miasta, w pobliżu ruin. Rozsypująca się, łukowato sklepiona kamienna brama, wysoka na kilka metrów, która donikąd nie prowadziła, rzucała długi cień na prosty domek.

– Nie ma tego za wiele – powiedział, wprowadzając ją do skromnie umeblowanej sypialni – ale powinnaś znaleźć coś w swoim rozmiarze. Tam jest garderoba.

– To „coś” – odpowiedziała – należy do twojej przyjaciółki? Czy masz przyjaciółkę?

– Miałem. Pewnego dnia może znowu będę miał. Żywię taką nadzieję. – Posłał jej szeroki łobuzerski uśmiech. – Nie spiesz się. – Wyngarde wyszedł i zamknął drzwi.

Jean stała przez chwilę, ciężko oddychając. Dotarło do niej, że po raz pierwszy od przybycia na Kirinos jest całkiem sama. Usiadła na łóżku i wpatrywała się w białe ściany oraz kwiaty na typowo hotelowym obrazie, który wisiał nad zagłówkiem. Potem podniosła się, podeszła do garderoby, otworzyła drzwi – i zatrzymała się zaskoczona. Przestrzeń wewnątrz była dość duża. Jean pociągnęła

za łańcuszek zwisający z gołej żarówki, włączyła światło...

...i zaparło jej dech.

Na wieszakach, zgodnie z obietnicą, wisały rozmaite kobiece ubrania. Ale nie takie, jakich się spodziewała. Wszystko tutaj było inne, wręcz staroświeckie. Bawełniane krynoliny, sukienki z epoki wiktoriańskiej, reformy, usztywnione halki. Rząd różnobarwnych, szerokich, bufiastych sukienek. Stanik z kokardką pod szyją.

Weszła głębiej do środka. Oświetlenie stawało się coraz słabsze, potęgując ponurą atmosferę. Ubrania również do niej pasowały.

Na półkach wisały podwiązki. Na jednej z półek leżały starannie pozwijane pończochy... trochę kabaretek, trochę czarnych ze szwem. Gorsety w całej gamie kolorów – niektóre z nich ozdobione kwiatami, inne białe lub czarne – wszystkie wisały, jakby chciały pochwalić się cienką, szczupłą talią. Na podłodze stał rząd sznurowanych butów z cholewkami o różnych długościach – od tych sięgających po kostki aż do zakrywających całe uda. Wszystkie na obcasach, co prawda nie na szalonych koturnach, ale i tak nieprzyzwoicie wysokich.

Skrzywiła się i prychnęła z odrazą.

Tyle na temat nowych początków. Chyba będę dziś spała na plaży.

Wyszła z garderoby i zamarła. Pokój się zmienił, stał się ciemniejszy. Grube popielate zasłony wisały obok tapety w tureckie wzory. Bliźniacze lampy gazowe sterczały ze ściany, okalając łoże z baldachimem i ponurymi czarnymi zasłonami.

Podeszła do niego, uklękła na krawędzi i odsunęła kotary na bok. Na ścianie nad wezgłowie, gdzie wisiał niewinny obraz

z kwiatami, pojawił się teraz pozowany portret... Jasona Wyngarde'a? Ta twarz bardzo go przypominała, łącznie ze starannie przystrzyżoną brodą, ale ten mężczyzna nosił cylinder i obcisły frak, a w odzianej w rękawiczkę dłoni trzymał szpicrutę. Jego oczy łypały lubieżnie ze ściany, świdrując mózg Jean.

Instynktownie odskoczyła, niemal się przewracając. Zrobiła krok do tyłu ku garderobie i zatrzymała się ponownie, tuż za jej drzwiami.

Na stojaku wisiał błyszczący czarny gorset, a obok peleryna, ciemna jak noc, ze szkarłatną podszewką. Jedyne ubrania przy tej ścianie. Jean wyciągnęła rękę i z uczuciem odrazy, a jednocześnie ciekawości, dotknęła gorsetu. Był ciężki i ciepły w dotyku. Przebiegła palcem po jego mocnej teksturze, grubych czarnych koronkach, zatrzymując się dopiero, gdy jej palec dotarł do wąskiej talii.

W jej umyśle pojawiło się jedno nieproszone słowo.

Mój.

Przebiegł ją lodowaty dreszcz. *Głos* – pomyślała. Nie odzywał się do niej od czasu katastrofy wahadłowca. Od kiedy stała się... czym?

Czym się stała?

– Znajdziesz coś?

Wyngarde stał w drzwiach garderoby z pytającym spojrzeniem na twarzy. Na ramieniu miał zwykłą torbę plażową.

– Jason. – Odsunęła rękę od gorsetu. – Co to jest?

Cofnął się o krok.

– Przepraszam, co masz na myśli?

Zamrugnęła, potrząsnęła głową. Pokój za Jasonem powrócił do poprzedniego wyglądu – białe ściany, niskie łóżko bez zasłon. Obraz na ścianie znowu był niewinną martwą naturą, a nie portretem jakiegoś zdeprawowanego przodka.

– Ja...

Potknęła się i poleciała do przodu. Wyciągnął rękę, żeby ją złapać, z łatwością przesuwając torbę na plecy. Jego dłonie były mocne, pewne. I ciepłe.

Co jest ze mną nie tak? – pomyślała. – Moja paranormalna moc... robi mi psikusy? Ten głos, halucynacje... czy to tylko moja zgryzota karze mnie w sposób, którego nawet nie rozumiem?

Czy oszaleję?

– Spokojnie – głos Wyngarde’a był jak zwykle pocieszający i przyjemny dla ucha. – Och, twoja sukienka wciąż jest mokra. Tutaj... a co powiesz na to?

Objął ją ramieniem i wprowadził z powrotem do garderoby, wskazując na ścianę, pod którą wisiał czarny gorset. Teraz zobaczyła tam prosty, jednoczęściowy strój kąpielowy na plastikowym wieszaku.

Przejrzała pozostałe stojaki. Spodnie, dzinsy, koszulki, trampki. Półka z niechlujnie złożonymi legginsami do jogi. Jean wzięła do rąk strój kąpielowy i uniosła brew.

– Ma trochę za duży dekolt.

Kiedy spojrzała na Wyngarde’a, uśmiechnął się do niej. Sięgnął do torby plażowej i wyciągnął dwie maski do nurkowania.

– Idealny do nurkowania – powiedział.

ZABRAŁ ją aż na samo dno morza zasnutę ciemnym, ledwo widocznym koralowcem. Twarda, postrzępiona powierzchnia z jaskiniami, które wyglądały, jakby prowadziły do jądra Ziemi. Jean miała pewne doświadczenie w nurkowaniu, ale nigdy wcześniej nie była tak głęboko.

Cóż, raz. Ale nie pamiętała tego zbyt dobrze.

Morze kipiało życiem. Ławice małych pasiastych rybek kłębiły się jak burzowe chmury. Płaszczka szeroko rozpościerała skrzydła. Po dnie chodziło stworzenie w kształcie rozgwiazdy, ale o pulsującym, bulwiastym ciele. Coś, co wyglądało jak arkusz atramentowego papieru, zwijało się i rozwijało w oceanicznym prądzie.

W pewnej chwili Wyngarde dotknął jej ramienia. Kiedy odwróciła się do niego, wskazał jej dużą kłodę. Jean spojrzała na nią i w tym momencie bliższy koniec kłody przesunął się w górę ku nurkom. Otworzyły się w nim oczy wielkie jak srebrne dolarówki i pysk dwa razy dłuższy niż ciało mężczyzny.

Jean odskoczyła przerażona.

Spojrzenie Wyngarde'a było dziwne – niemalże głodne. Jakby cieszył się jej strachem.

Odwróciła się, skierowała w górę i popłynęła na powierzchnię.

– **PRZEPRASZAM**, jeśli zepsułem ci zabawę.

Usiadła na kamiennej ławce pośród ruin, z których roztaczał się widok na wyspę. Jean wpatrywała się w majaczące w oddali morze. Pochodnie rozświetlały mrok, więc domyśliła się, że w mieście na dole odbywa się jakaś feta.

– Ja... po prostu uwielbiam nurkować – kontynuował Wyngarde. – Na dnie morza jest tak wiele fascynujących rzeczy.

– Nawet nie masz pojęcia – mruknęła.

Podciągnęła nogi pod brodę, starając się usiąść wygodniej.

Pożyczony strój kąpielowy wydał się nagle niewystarczający. Jak gdyby w odpowiedzi Wyngarde zaszedł ją od tyłu i objął.

– Sama mogę się ogrzać – zaprotestowała. Wcisnęła się jednak mocniej w jego ramiona.

– Świątują Afrodyzje. – Usiadł tuż obok niej na kamiennej ławce. Jean poczuła ciepło jego ciała. Wskazał na światła pochodni. – To noc poświęcona miłości, podczas której zapomina się o wszystkich troskach i nieszczęściach.

Znów odwróciła wzrok.

– To powinno być takie proste.

– Jean.

Jego palec delikatnie przesuwał się po jej podbródku, jakby gdzieś ją prowadził. Bez pośpiechu, w swoim tempie. Popatrzyła w jego przenikliwe oczy.

– Co ci się stało?

Czuła, jak w jej wnętrzu kruszą się mury. Prawda wychodziła na jaw, wbrew zdrowemu rozsądkowi.

– Umarłam – powiedziała z lekkim śmiechem.

Otworzył szeroko oczy.

– To znaczy, prawie umarłam. – Wstała, poczuła, że mury znowu się wznoszą. – To skomplikowane. – Niewielka fala mocy uniosła się z jej dłoni. Bliźniacze płomienie, tworzące kształt wściekłego drapieżnego ptaka. Zamrugła i stłumiła je siłą woli.

Wyngarde znowu wpatrywał się w nią tym głodnym spojrzeniem. Na krótką chwilę wpadła w panikę.

Widział to?

Wskoczył na kamienny podest. Starożytne schody prowadziły do ruin, oplatając na wpół zawaaloną świątynię. Wskazał na ścieżkę.

– Chodź ze mną – powiedział.

– Myślę, że powinnam zostać sama.

Rozłożył ramiona na całą szerokość, obejmując gestem wyspę i biesiadników poniżej.

– Chcesz zawieść Afrodytę?

SCHODY urywały się gwałtownie na szczycie najwyższego wzgórza na wyspie. Stojący za nią Wyngarde położył ręce na jej ramionach. Czowała się dezorientowana, miała mętlik w głowie. Było w tym wszystkim coś bardzo niewłaściwego – ale też coś bardzo, bardzo słusznego.

– Spójrz na dół – powiedział. – Czy potrafisz sobie wyobrazić, jak czuli się dawni bogowie? Żyjąc wysoko nad światem śmiertelników i spoglądając na ludzkość ze szczytu Olimpu? Wiedząc, że oni, że my istnieliśmy, żyliśmy zdani całkowicie na ich łaskę?

Z tej wysokości jego dom ginał w mroku. Pochodnie były zwykłymi kropkami, linią drobnych plam płomieni, które wiły się od miasta aż do plaży.

– Bogowie – powtórzył – żyjący tylko chwilą. Niedbający o konsekwencje swych czynów, zawsze sami sobie prawem. Czy potrafisz sobie wyobrazić taką moc?

– Tak.

Chwycił ją za ramię i obrócił do siebie. Zanim się zorientowała, złapał ją za kark, przyciągnął do siebie i wpił się w jej usta. Pachniał nocnym wiatrem i staroświecką pizmową wodą kolońską. Przez chwilę Jean poczuła się odurzona, zagubiona.

Potem odsunął się i wymamrotał przeprosiny. Podeszła do krawędzi, wpatrując się w jasne, wyraźne gwiazdy.

– Powiedziałaś, że był ktoś – zagadnął ją. – I że umarł.

Skinęła głową.

– Czy to było wtedy, gdy miałaś... kiedy prawie umarłaś?

– Nie. Znacznie później, niedawno. – Poczuela, jak łyzy napływają jej do oczu.

– Umarł piętnaście dni temu.

– Ten mężczyzna... Myślę, że prawdopodobnie cię kochał. Prawdopodobnie bardzo, tak jak kochałoby wielu na jego miejscu.

– Nie wiem... tak. Tak, kochał.

– Ale może nigdy naprawdę cię nie rozumiał.

Ponownie poczuła, że coś w niej rośnie. Coś mrocznego, coś przerażającego.

– Czy mogę zapytać o okoliczności jego śmierci?

W jej oczach pojawił się ogień.

– Czy słyszałeś kiedykolwiek o Magneto?

Wyngarde odwzajemnił jej spojrzenie bez drgnięcia powiek.

– Tak.

– On zabił... *Scotta* – pomyślała, ale nie mogła się zdobyć na wypowiedzenie jego imienia. *Scott. Och, Scott.*

– Zabił ich wszystkich – skończyła.

– Magneto. – Wyngarde popatrzył na nią.

– Tak. Uwięził nas w wulkanie głęboko pod szelfem Antarktydy, a potem ich zabił.

Zalał ją cały smutek, cały żal, który tłamsiła w sobie przez ostatnie dwa tygodnie. Myślała o Storm, jej łagodności i błysku w oczach. O skorym do uśmiechu i zawsze znajdującym słowa pociechy Nightcrawlerze z niebieską sierścią i diabelskim ogonem. O Colossusie, chłopaku z rosyjskiej wsi, którego metalowa skóra skrywała ogromne, delikatne serce. O Loganie, którego dzikiej miłości nigdy nie była w stanie odwzajemnić.

O Scotcie Summersie. I jego pięknych, błyszczących, ale zabójczych oczach.

Jason znowu stanął tuż za nią i delikatnie położył ręce jej ramionach.

– Zostań ze mną, Jean. To ważne.

Poczuła, jak wypełnia ją żal, którego nie była w stanie powstrzymać. Zakryła twarz dłońmi, nie dbając już o to, czy rozplącze się przed nieznanym. Jednak ku jej zaskoczeniu łzy się nie pojawiły.

– Kiedy Magneto... zamordował twoich przyjaciół. Twojego kochanka – powiedział Wyngarde, mocno zaciskając dłonie na jej ramionach. – Co zrobiłaś?

W jednej chwili żal zmienił się w zupełnie inne uczucie. Jak surowe żelazo przekształcone w jakimś alchemicznym procesie w ostrą, przeszywającą stal.

– Zabiłam go – wyszeptała.

Z płonącym wzrokiem podniosła głowę. Bez najmniejszego

wysiłku wyrwała się z uścisku Wyngarde'a. Wzbiła się w górę, rozłożyła szeroko ramiona i rozjarzyła się jasno.

Mężczyzna wpatrywał się w nią głodnym wzrokiem.

– Taka moc. – Przerwał, a potem powtórzył: – Sami sobie prawem, patrzyli z góry na śmiertelnych ludzi.

W jej wnętrzu rosła moc – moc, którą tłumiała, której bała się bardziej niż czegokolwiek na świecie. Bała się zarówno ze względu na to, do czego owa moc jest zdolna, jak i dlatego, że zawiodła ją, kiedy Jean najbardziej jej potrzebowała. Ale teraz nie mogła jej powstrzymać. Gdy otworzyła usta, wewnętrzny głos zdawał się mówić bezpośrednio przez nią.

– Głupi człowieku – powiedziała. – Posiadam już tę moc, o której mówisz.

Wyngarde patrzył, kiwając głową.

– Dar stwarzania należy do mnie – kontynuowała. – Dzięki mnie krąg pozostaje nieprzerwany. Ode mnie pochodzi koniec, który jest nowym początkiem.

Po raz pierwszy stracił pewność siebie. Zrobił krok do tyłu, odsuwając się od krawędzi.

– Mój ogień pochłania, ale z jego popiołów powstaje nowe życie. – Podniosła głowę, owładnięta silnym uczuciem. – Bo ja jestem PHOENIX!

Moc stopniowo wzrastała. Jean czuła, jak przechodzi przez nią. Miała wrażenie, jakby gorące igły przebijały każdą komórkę jej ciała. Wydawało się, że gwiazdy przywołują ją z powrotem do domu, którego istota ludzka nie mogła pamiętać.

Nagle, tak jak przedtem, moc zaniknęła. Fala minęła,

wściekłość ustąpiła. Jean zakołysała się w powietrzu, po czym opadła. Unosiła się teraz zaledwie metr nad Wyngarde'em. Pokręciła głową, próbując opanować przepływające przez nią gwałtowne, chaotyczne impulsy.

– Tak jak wcześniej – wyszeptała.

– Wcześniej. – Przyglądał się jej teraz szeroko otwartymi oczami. – Z Magneto?

– Tak – skinęła głową. – Cała ta moc. Moc... bogów...

Jej oczy błysnęły.

...I nie mogłam ich uratować!

Znowu poczuła w sobie moc. Ogień wystrzelił we wszystkich kierunkach. Osmalił starożytne mury i zapalił małe krzewy. Kamienna kolumna przewróciła się i spadła ze wzgórza.

Gdy Jean się uniosła, po raz ostatni spojrzała na Wyngarde'a. Wycofywał się, schodząc po długich kamiennych schodach. Odwrócił się tylko raz, osłaniając oczy przed boskim światłem. A jednak mogłaby przysiąc, że widziała w jego oczach ten sam zwierzęcy głód, podniecenie dzikiego tygrysa zbliżającego się do ofiary.

Jean Grey – Phoenix – obróciła się w powietrzu i spojrzała na wyspę Kirinos. Mieszkańcy stali teraz w skupieniu wzdłuż ciemnej plaży, wskazując pochodniami na światło widoczne na niebie. Niektóre z nich już zgasły.

Odwróciła się i wzleciała nad morze. Błysnęła jasnym światłem niczym jeszcze jedna migocząca pochodnia bogów – i zniknęła w mroku jesiennej nocy.

LOUKAS biegł po kamiennych schodach, przeskakując po dwa stopnie naraz. Zwinnymi palcami łapał uchwyty w zwietrzalej skale. Było jeszcze ciemno, kilka godzin przed świtem, ale znał każdy cal tych ruin.

Loukas był najlepszym wspinaczem na Kirinos.

Na górze, na szczycie schodów, paliło się małe ognisko, z którego unosił się dym. Loukas wskoczył na górę i zatrzymał się.

Na podeście siedział mężczyzna i wpatrywał się w ogień – nie był to jednak człowiek, którego oczekiwał Loukas. Ten mężczyzna był chudy, miał zapadniętą klatkę piersiową i dziobatą, naznaczoną wiekiem twarz. Rozczochrane siwe włosy na jego nieforemnej głowie wyglądały jak stary mop. Zimne małe oczy odbijały słabe światło ognia.

Chłopak cofnął się, jego stopa zachręściła na kamyczku. Mężczyzna obrócił się i zerwał na nogi. Loukas poprawił plecak i spojrzał w dół, zastanawiając się, czy uciekać. Mimowolnie podrapał nerwowo bliznę na twarzy. Kiedy znowu się obejrzał...

...na miejscu chudego mężczyzny stał Jason Wyngarde. Wysoki, władczy. Na jego przystojnej brodatej twarzy malował się wyraz zniecierpliwienia.

– Spóźniłeś się – powiedział Wyngarde po grecku.

– Musiałem poczekać, aż mój ojciec padnie. – Loukas wskazał ręką na plażę. Tylko kilka pochodni wciąż migotało w nocy.

– Masz to? – Zapytał Wyngarde.

– Masz moje pieniądze?

– Nie drażnij mnie, chłopcze. – W oczach Wyngarde'a pojawił się niebezpieczny błysk.

Loukas szybko skinął głową. Przesunął plecak do przodu, otworzył go i wręczył mężczyźnie torebkę w kwiaty.

– Wszystko tam jest – powiedział chłopiec. – Pieniądze, karty kredytowe, paszport. Nawet jej telefon. Wykonałem kilka zagranicznych połączeń – uśmiechnął się.

Oczy Wyngarde'a rozszerzyły się, gdy przejechał palcami po portmonetce.

– Jean Grey – mruknął.

– Była łatwą ofiarą – Loukas roześmiał się. – Głupia Amerykanka.

Wyngarde posłał mu piorunujące spojrzenie. Loukas cofnął się o krok, nagle ogarnął go lęk. Jakby chcąc go uspokoić, Wyngarde sięgnął do kieszeni swojego fantastycznego płaszcza i wyciągnął zwitek euro.

– Ona jest królową – syknął, podsuwając chłopcu pieniądze pod nos. – Moją królową.

– Ja-jasne – zająknął się Loukas, sięgając po banknoty. Wyngarde podał je i podniósł rękę na znak, że chłopak może odejść. Potem Anglik podszedł do ognia, przez chwilę patrzył na płomienie i rzucił w nie torebkę. Kiedy Loukas odchodził, dotarł do niego zapach palącego się plastiku.

Wariat – pomyślał. – Wszyscy ci turyści to świry. Ale ten przynajmniej wyglądał na naprawdę kasiastego. Loukas przeliczył banknoty, myśląc o wszystkich słodyczach i grach, które mógł za nie kupić. Muszę tylko je ukryć przed starym, żeby ich nie przepił.

Jeszcze raz obejrzał się, zanim zszedł po schodach. Wyngarde znów usiadł przed ogniem, wpatrując się w papiery i karty, które

skręcały się w ogniu i zmieniały w popiół. Loukas nie był pewien, ale zdawało mu się, że słyszał, jak mężczyzna wyszeptał w mrok:
„*Moja Czarna Królowa*”.

3



Akademia Massachusetts

*Miejsce, w którym od 1825 roku
rosną szczególne kwiaty*

KITTY PRYDE przejechała palcami po wytłaczanej okładce folderu. Pod eleganckim odręcznym pismem widniała stara akwaforta, podobna do tych, które znała z „Wall Street Journal” taty. Przedstawiała starą gotycką wieżę z wysokim oknem i pojedynczą różę wijącą się przez cały obraz.

Miało to wyraźnie sugerować wiekowe tradycje przekazywania wiedzy. Pokolenia naukowców, mnisi ślęczący nad iluminowanymi manuskryptami, rozmyślania i rozmowy z przenikliwymi umysłami do późnej nocy. Uczeni ludzie spędzający czas na wzniosłych zajęciach.

To sprawiło, że Kitty pomyślała o lochach.

– Kitten? Nie chcesz się pożegnać z panią Frost?

– Nie, tato.

Nie podniosła głowy znad kuchennego stołu. Pani Frost była

równie przerażająca jak jej szkoła. Kitty wyobraziła sobie, że jest zamknięta w tej wieży jak jakaś baśniowa księżniczka.

– Nie wiem, co wstąpiło w naszą córkę, pani Frost. – Głos mamy dochodził od frontowych drzwi przez przedpokój. – Przepraszam za jej zachowanie.

– Normalnie gęba jej się nie zamyka – powiedział tata.

– Carmen!

– W porządku, pani Pryde. – Powiedziała słodkim głosem Emma Frost.

– Kitty jest w trudnym wieku. Z dziewczętami takimi jak ona mam do czynienia na co dzień.

Kitty zmarszczyła brwi, zasłaniając twarz folderem. *Szczególne kwiaty? Czy ja mam być jednym z nich?*

– Mają państwo moje broszury – kontynuowała Frost. – Będziemy w kontakcie. – Drzwi wejściowe otworzyły się i zamknęły.

Mama wróciła do kuchni i opadła na krzesło.

– Co się z tobą dzieje? – zapytała stanowczym tonem. – Tylko nie próbuj się zasłaniać tymi bólami głowy.

Kitty machnęła do niej broszurą.

– Przepraszam, że nie chcę iść do Strasznie Złego Hogwartu.

Tata podszedł do żony, z zakłopotaniem przestępując z nogi na nogę.

– Pomyślałem, że pani Frost jest całkiem, hm...

– Nie wątpię, że tak pomyślałeś – mruknęła mama.

– Słuchajcie – powiedziała Kitty. – Wiem, o co tak naprawdę chodzi. – Mama i tata wymienili zaniepokojone spojrzenia. – Jeśli

poważnie myślicie o wysłaniu mnie do tej szkoły, to chyba naprawdę chcecie się rozwieść.

Mama spuściła wzrok i zaczęła kręcić młynka palcami. Tata podszedł do szafki, przez chwilę przyglądał się butelce szkockiej, w końcu nalał sobie jednak szklanek wody.

– To nie jest takie proste – zaczął.

– A właśnie na takie wygląda.

– Może bardziej spodobają ci się ludzie z innej szkoły.

– Inna szkoła?

Od drzwi wejściowych dobiegł dzwonek.

– Uratowana przez...

– Nawet nie...

Wkurzona Kitty podskoczyła i podeszła do drzwi.

– Kitten...

Kitty zignorowała ich.

– Witamy w rezydencji Mugoli – warknęła, otwierając drzwi. – Jestem twoją biedną, nierozumianą czarodziejką... to znaczy kwiatem...

Zamilkła.

Mrugnęła raz i drugi.

Przy drzwiach stała wysoka, majestatyczna kobieta z pytającym spojrzeniem. Jej ciemna skóra i jasne niebieskie oczy tworzyły uderzający kontrast ze śnieżnobiałymi włosami, zaczesanymi do tyłu pod kanciastym afrykańskim diademem. Miała na sobie długą sukienkę z elegancką kamizelką, która podkreślała muskularne ramiona.

– Mugoli? – Kobieta zmarszczyła brwi i rzuciła okiem na ekran

swojego telefonu. – Może mamy zły adres.

Włochaty mężczyzna w skórzanej kurtce wyrósł za nią, wymachując kluczykami samochodowymi. Włosy miał ułożone w dwa sterczące rogi, gęste szerokie bokobrody okalały jego szyderczą twarz.

– Może – warknął – trafiliśmy na mądralę, ‘Roro.

Kitty otworzyła usta, żeby odpowiedzieć, gdy zauważyła trzeciego gościa. Był wysoki i potężnie zbudowany, z wielkimi mięśniami prężącymi się pod obcisłą koszulą i miłym spojrzeniem. Nie mógł być dużo starszy niż Kitty. Cóż, może trochę starszy...

– Hej – powiedziała.

– *Dobroje utro* – odpowiedział. Potem dodał z nieśmiałym uśmiechem: – To znaczy dzień dobry.

Kitty zarumieniła się.

– Ładny akcent.

Kobieta zrobiła krok do przodu i odchrząknęła.

– Jesteśmy z Instytutu Nauk Wyższych Xaviera. Nazywam się Ororo Munroe... czy jesteś może Katheriną Pryde?

– Może.

– Dziecino! – warknął mężczyzna – jesteś czy nie?

– To zależy – powiedziała Kitty. Za nią słychać było podniesione głosy. Odwróciła się. W kuchni, na wpół widoczni zza zakrętu korytarza, mama i tata kłócili się, gestykułując ze złością.

– Od, hm... – Wysoki chłopak posłał jej kolejny czarujący, rozbajający uśmiech. – Od czego to zależy?

Kitty pomachała rodzicom i wyszła na zewnątrz. Otoczyła ją trójka nieznajomych.

– Czy możecie mnie stąd na chwilę zabrać?

– **MAMA** i tata kompletnie mnie zaskoczyli całą tą historią z prywatną szkołą. Nawet mi o was nie wspomnieli. Kitty sączyła napój, wzdychając, gdy małe kawałki lodu spływały jej przez gardło.

– Dziękuję za ‘cino, panno Munroe. To jedyna rzecz, która pomaga na moje bóle głowy.

Osobliwa grupa siedziała przy małym stoliku w lokalnej kawiarni. Rano w tygodniu nie było tam zbyt wielu klientów.

– Dlaczego trzymali to w tajemnicy? – zapytał wysoki chłopak. Jak się dowiedziała, miał na imię Peter.

– Wiedzieli, że bym związała – odparła. – Tak jak przed tą przerażającą damulką dziś rano.

– Kobieta w bieli – odparła Ororo. – Widzieliśmy, jak wychodziła z twojego domu.

– Niezła laska – powiedział włochaty mężczyzna, Logan. – Ale miała dziwny zapach.

– Zapach? – Kitty uniosła brew.

Logan wzruszył ramionami.

– Logan – powiedziała Ororo – może razem z Peterem chcielibyście zobaczyć, jakie napoje serwują w tym lokalu?

– Nie mają piwa – powiedział Logan. – Więc po co się fatygować?

Kobieta posłała mu coś, co wyglądało jak miłe, ale nieznoszące sprzeciwu spojrzenie.

Kitty odniosła wrażenie, że już to przerabiali.

– Dobra, dobra. – Logan zwinnie wstał z krzesła. – Chodź,

Petey. Spójrzmy na napoje gazowane po sześć dolców. – Peter uśmiechnął się ciepło do Kitty, po czym ruszył za Loganem do baru.

– Ten facet jest trochę porywczy – Kitty pochyliła się nad stołem.

– Logan? – Ororo skinęła głową. – Tak. To jego siła, a zarazem przekleństwo.

Kitty przyglądała się jej przez chwilę. Coś w Ororo – w nich wszystkich – sprawiało, że im ufała. A to, że ten wielki facet miał wspaniałe mięśnie i cudowny uśmiech, też nie stanowiło przeszkody.

– Jesteś modelką? – spytała. – Po prostu... ach, przepraszam. Nigdy nie widziałam nikogo o ciemnej skórze, niebieskich oczach i białych włosach. To piękne... to znaczy... ty jesteś piękna. Za dużo gadam. Znowu.

– W porządku – odparła Ororo z uśmiechem. – O ile wiem, Kitty, jestem jedyna w swoim rodzaju... i ty też.

– Ponieważ jestem inteligentna? Wiem, wiem, że ostatnio opuściłam się w nauce...

– Nie. Nie, nie o to chodzi. – Ororo zawahała się. – Kitty, nasza szkoła miała ostatnio trudny okres. W rzeczywistości byliśmy zmuszeni zamknąć ją na jakiś czas.

– Ale znowu otwieracie?

– Tak. – Spojrzała na dziewczynę jasnymi niebieskimi oczami. – Czy kiedykolwiek słyszałaś o Magneto?

– Pewnie – powiedziała Kitty. – To ten terrorysta, który zaatakował centrum kosmiczne w...

Urwała w pół słowa.

Popatrzyła w stronę baru. Zgarbiony włochaty mężczyzna patrzył z obrzydzeniem na jakiś kolorowy napój owocowy. A Peter, opierając się o gablotę, chrupał ciasto z owocami.

– Jesteście X-Menami – wyszeptała.

– Tak – odparła Ororo. – Uzgodniliśmy, że mogę ci powiedzieć.

– Jesteście mutantami. – Kitty zawiesiła głos. – Niektórzy z moich przyjaciół uważają... uważają, że mutanty są niebezpieczne.

– A ty jak myślisz?

– Sądzę, że twoja szkoła raczej nie jest lochem.

Ororo zmarszczyła brwi i zaintrygowana spojrzała na dziewczynę.

– Opowiedz mi o Magneto – powiedziała Kitty.

ORORO opowiedziała jej całą historię. Zaledwie kilka tygodni temu Magneto – ich największy wróg – bez najmniejszego wysiłku złapał członków podstawowego zespołu X-Menów.

Więził ich w niedostępnej twierdzy w sercu aktywnego wulkanu, głęboko pod zamrzniętymi pustkowiami Antarktydy. W miejscu, skąd pozornie nie da się uciec.

Oczywiście im się to udało. Kiedy Magneto zareagował na alarmy bazy, złapali go w przygotowaną przy ścisłej współpracy całego zespołu zasadzkę. Jean Grey połączyła ich umysły w telepatyczną sieć, pozwalając im działać razem z prędkością myśli.

W końcu zdołali pozbawić Magneto jego mocy, jednak X-Meni

odkryli, że jak na ironię tylko jego moc powstrzymywała szalejącą furię wulkanu. Kiedy ich wróg został pokonany, śmiercionośna magma wniknęła przez szczeliny w suficie, zalewając bazę. Rzeka stopionej skały, wystarczająco gorąca, by spalić ludzkie ciało, oddzieliła X-Menów od Jean i Magneto. Widzieli, jak magma oblewa Jean – słyszeli jej krzyk...

...a potem uciekli, ratując własne życie.

Wzmocnione zmysły Wolverine'a znalazły ukrytą drogę ucieczki. Nightcrawler teleportował się naprzód, prowadząc innych przez tajemniczy tunel, wiodący do ukrytego antarktycznego schronienia. Wrócili do wnętrza wulkanu najszybciej, jak mogli, w zmodyfikowanym samolocie SR-71 Blackbird, wyposażonym w najnowocześniejszy sprzęt sejsmiczny, ale wszystkie odczyty pokazywały to samo. Wulkan się zawalił i magma zalała każdy centymetr podziemnych jaskiń.

Nie było schronienia, żadnego miejsca, w którym można się ukryć – ani śladu życia.

Normalnie odetchnęliby z ulgą. Magneto, ich najpotężniejszy wróg i nieustanne zagrożenie dla pokoju na świecie, w końcu był martwy.

Niestety Jean Grey również.

ORORO przez chwilę milczał. Kitty sęczyła napój i marszczyła brwi, próbując wymyślić, co powiedzieć.

– Przykro mi z powodu twojej przyjaciółki.

– Jean była najbardziej... – Ororo przerwała i otarła łzę. – Najbardziej pełną życia osobą, jaką kiedykolwiek znałam. Umarła

już raz wcześniej i jestem przekonana, że dosłownie zmusiła się do życia. Wszyscy wierzyliśmy, że będzie z nami na zawsze.

– Wydaje się kimś... kimś, kogo chciałoby się poznać.

– Była najlepsza z nas. Ale odeszła. – Ororo skierowała intensywne spojrzenie na Kitty. – A teraz szukamy nowych członków.

– Nowych... – Przeszedł ją dreszcz podniecenia i niepokoju zarazem. – Masz na myśli nowych X-Menów?

– Na początek uczniów. Mutantów, którzy chcą się dowiedzieć, jak korzystać ze swoich zdolności, i nauczyć się nad nimi panować. W końcu być może również X-Menów.

– Ty... jesteś Storm, prawda? A ten ze złym nastawieniem to Wolverine.

Ororo skinęła głową.

– Nie rozpoznaję tego wielkiego faceta – powiedziała Kitty.

– To Colossus – odparła Ororo z uśmiechem. – Ale myślę, że wolałby, żebyś nazywała go Peter.

Kitty znów się zarumieniła.

– Peter jest młody – kontynuowała Storm. – Nie przywykł do utraty kolegów z drużyny i ciężko przeżył śmierć Jean.

Przy kontuarze młody barman zagadnął Logana o trzymaną przez niego butelkę soku. Peter patrzył, jak pojedynczy pazur wystrzelił z dłoni Logana, wydając dźwięk *snikt*, i przebił plastikową butelkę. Wolverine podniósł ją do ust, pijąc przez zrobioną właśnie szponem dziurę.

Barman cofnął się z szeroko otwartymi oczami.

– Ale martwi mnie Logan, Wolverine – powiedziała Storm. –

W najlepszym razie jego temperament go pożre. Teraz wydaje się przy każdej okazji prosić o kłopoty.

– Chwileczkę. – Kitty uniosła dłoń. – Przed chwilą powiedziałaś, że szukasz mutantów.

– Tak. Takich jak my.

– Więc myślisz, że ja jestem...?

– A jesteś?

Kitty odwróciła wzrok.

– Mamy metody wykrywania mutantów, Kitten. Maszyna o nazwie Cerebro daje nam znać, gdy młode osoby zaczynają przejawiać zdolności. Twoje działania wywołały niedawno taki alarm.

Kitty nerwowo przełknęła ślinę. Pamiętała dziwne uczucie spadania przez drewno i tynk, jedno piętro po drugim, przez ściany i sufity Deerfield High.

– Jednak – kontynuowała Storm – Cerebro zostało zbudowane przez naszego założyciela, profesora Xaviera. Obecnie znajduje się on poza tym światem...

– Poza tym światem?

– To długa historia. – Storm uśmiechnęła się. – Chodzi o to, że tylko umysł profesora jest w stanie w pełni połączyć się z Cerebro. W wypadku pozostałych z nas... cóż, nie możemy mieć pewności, zdarzają się pomyłki. Pochyliła się i wzięła Kitty za rękę. – Więc zapytam cię jeszcze raz. Czy uważasz, że jesteś mutantem?

Myśli Kitty zaczęły pędzić. X-Meni to bohaterowie, którzy wiele razy ocalili świat, ale ludzie wciąż im nie ufają – nadal ich nienawidzą i boją się ich, ponieważ są inni. Nie, nie tylko dlatego,

że są inni. Ale ponieważ pogodzili się ze swoją innością.

I dlaczego mieliby tego nie zrobić? Mutanci są zdolni do niesamowitych rzeczy. Latają, czytają w myślach, podnoszą budynki. Jeśli Kitty naprawdę była jedną z nich – jeśli jej zdolności mogą pomóc potrzebującym, przyczyniając się do postępu ludzkości – z jakiego powodu miałyby to ukrywać? Udawać, że jest kimś gorszym?

Znała odpowiedź, już zanim postawiła sobie to pytanie. Z powodu ludzi takich jak Robin. Ona i Kitty od lat były najlepszymi przyjaciółkami. Razem chodziły na lekcje tańca, składały w domu komputery i niezliczoną ilość razy grały na nich aż do rana. Nikt na świecie nie znał jej lepiej. Ale wystarczył tylko jeden pokaz mocy, aby wymazać tę przyjaźń na zawsze.

– Storm... – zaczęła Kitty, nie wiedząc, co zamierza powiedzieć. Nagle poczuła, że chce zniknąć, uciec i zapomnieć, że kiedykolwiek słyszała słowo mutant.

Tylna ściana eksplodowała.

4



KITTY poderwała się na nogi, osłaniając oczy przed gradem szkła i metalu. Zanim dotarło do niej, co się dzieje, poczuła na sobie rękę Storm, która odepchnęła ją od stołu.

W olbrzymiej dziurze prowadzącej do parkingu na tyłach lokalu stało trzech ogromnych mężczyzn. A przynajmniej zakładała, że to ludzie – równie dobrze mogli być robotami. Mieli na sobie szczelnie okrywające ich ciała grube, czerwone metalowe zbroje. Każdy z nich posiadał identyczną zaawansowaną technologicznie broń, która wyglądała jak skrzyżowanie starych pistoletów skałkowych z laserowymi.

Na ich widok klienci kawiarni uciekli w popłochu, niemal zdeptując się wzajemnie w biegu przez frontowe drzwi. Hipsterski barman tylko się gapił, jakby skamieniał. Z jego dłoni wyslizgnął się porcelanowy kubek i roztrzaskał się na podłodze.

Jeden z opancerzonych mężczyzn wystąpił naprzód.

– Cel osiągnięty – powiedział mocno zniekształconym głosem. – Znaleźliśmy X-Menów.

Logan podszedł do nich. Podniósł obie pięści i wyciągnął

pazury.

– Jasne – powiedział.

– Kitty – odezwała się Ororo, odsuwając ją – zostaw to nam. Przeniosła wzrok ze Storm na opancerzonych mężczyzn. Jeden z nich podniósł broń, celując w ich stolik.

– Uciekaj! – krzyknęła Storm.

Kitty poderwała się i pobiegła. Ominęła okrągły stół i ruszyła w stronę ścian kawiarni. Kiedy tam dotarła, zatrzymała się, obejrzała za siebie... i wstrzymała oddech.

Peter, młody X-Man, stanął między kolegami z drużyny i napastnikami. Kitty obserwowała, jak cała jego sylwetka nabrzmiwa i staje się jeszcze bardziej masywna. Jego skóra lśniła, gdy każdy jej centymetr zamieniał się w solidny, połyskujący metal.

Z luf broni, którą trzymali zakuci w zbroje mężczyźni, buchnął ogień. Kitty poczuła ucisk w gardle, ale stalowy korpus X-Mana zablokował płomień, osłaniając Storm i Wolverine'a przed palącym żarem.

Oni naprawdę są mutantami – uświadomiła sobie Kitty. Przywykli do tego, wykorzystując swoje moce w walce, stawiając czoła niewiarygodnie potężnym wrogom.

Ryzykując życiem.

Przywykli do tego.

Ja nie.

Skoncentrowała się, odwróciła i pobiegła prosto przez boczną ścianę. W ostatnich kilku dniach przenikanie przez solidne obiekty przychodziło jej łatwiej. Poczuła tylko lekkie pulsowanie w głowie. Znalazła się w wąskim magazynie wypełnionym koszulkami

i płóciennymi torbami z ziarnami kawy.

Nie uciekam – powiedziała sobie. – Nie. Po prostu idę po pomoc!

Pod wpływem impulsu odwróciła się i ruszyła w stronę zaplecza kawiarni. Przeszła przez ścianę, wychodząc na parking tuż obok ziejącej dziury, przez którą napastnicy wpadli do budynku. Kawałki drewna i gipsu leżały porozrzucane po całym chodniku, zaśmiecając pustą strefę załadunkową. Z pobliskich sklepów rozległa się kakofonia alarmów.

Dziwny czarny pojazd wielkości minibusa oderwał się od ziemi nieco ponad metr dalej. Wyglądał jak skrzyżowanie poduszkowca i płaszczki i miał na masce logo w formie stylizowanej litery „H” z trójzębem. Kolejni uzbrojeni mężczyźni wyskoczyli z pojazdu. Nosili kevlarowe kamizelki kuloodporne i przerażająco gładkie maski z pionową linią przez środek. Wyciągnęli ręczne lasery i pobiegli ku odsłoniętemu teraz wnętrzu kawiarni.

Zanim napastnicy zdążyli ją dostrzec, Kitty schowała się do magazynu. Stamtąd słyszała dźwięki wystrzałów lasera i przewracanych stolików, dochodzące z sąsiedniego pomieszczenia.

Co ja robię? – pomyślała. – Nie jestem X-Manem, ale po prostu nie mogę ich tak zostawić!

Podeszła do bocznej ściany, by powoli zebrać moc. Potem przykucnęła i pchnęła głowę przez ścianę, z powrotem do głównej sali lokalu. Pierwszą rzeczą, jaką zobaczyła, był mężczyzna z miotaczem ognia. Przyparł Colossusa do ściany, przysuwając płonąca lufę broni coraz bliżej jego twarzy. Stalowa skóra X-Mana

pozostała nietknięta, ale jego mina wskazywała, że nie jest odporny na ból.

Oko Kitty uchwyciło błysk stali – pazury Wolverine’a. Nigdy nie widziała nikogo, kto tak szybko biegał, skakał i ciął. Machając w powietrzu śmiercionośnym pazurem, zmusił do odwrotu kolejnego z mężczyzn w czerwonej zbroi.

– Nie wiem, kim jesteście, leszcze – powiedział Wolverine – i szczerze mówiąc, zwisa mi to. W tej chwili po prostu mam ochotę spuścić komuś łomot.

Wysunął pozostałe pazury i dźgnął nimi prosto w kierunku klatki piersiowej mężczyzny. Błyszczące metalowe ostrza zdawały się zwalniać i zatrzymały się, odskakując od niewidzialnej bariery i wznecając snop iskier.

– Logan! – zawołała Storm. – Chroni go jakieś pole siłowe!

Mężczyzna zadał Wolverine’owi cios bronią, trafiając go w brodę. Włochaty X-Man stęknął i upadł na ziemię, ale zaraz się podniósł.

Po drugiej stronie sali Storm zmagала się z trzecim napastnikiem, trzymając go na dystans oddzielającego ich stołu. Kiedy przeciwnik zrobił krok do przodu, podniosła rękę; znikąd pojawił się podmuch wiatru, wywracając stół i wbijając go w opancerzoną pierś mężczyzny. Ten chrząknął, odchylił się i odrzucił stół machnięciem metalowej rękawicy.

Kitty przyglądała się temu zszokowana. Widziała walki superbohaterów w wiadomościach, czytała informacje o tych gwałtownych wymianach potężnych ciosów – ale nigdy nie widziała ich na własne oczy. X-Meni naprawdę przewyższali ludzi.

Czy ja też taka jestem? – pomyślała. – Czy też będę zmuszona toczyć walki na śmierć i życie?

Storm odwróciła się w stronę dziury w ścianie, jej oczy pulsowały białym i żółtym światłem. Na zewnątrz niebo stało się ciemne. Błysnął piorun.

– Ororo! – wrzasnął Wolverine.

Storm zignorowała go i wyciągnęła rękę, przywołując piorun. Błyskawica opadła w dół, wskakując przez dziurę w ścianie, i trafiła napastnika. Opancerzony mężczyzna stał nieruchomo, wokół niego zapłonęła jasna elektryczna poświata i po chwili zgasła. Potrząsnął głową, przejechał dłonią po ramieniu – nie miał żadnych obrażeń. Natychmiast ruszył do ataku.

– Posłuchaj – powiedział Wolverine. – Wygląda na to, że każdy z tych klaunów został wyposażony tak, by zneutralizować konkretne moce każdego z nas.

– Też to zauważyłam – powiedziała Storm, spoglądając na zbliżającego się do niej mężczyznę.

– Co proponujesz?

Logan podskoczył, chwycił wiszącą lampę i ruszył na mężczyznę atakującego Storm.

– Zamieńmy przeciwników – powiedział.

Storm spojrzała na Colossusa, który wciąż stał przyparty do ściany przez trzeciego napastnika. Na chwilę przyciągnęła wzrok Petera, a potem rozłożyła ramiona i poleciała – poleciała! – zrzucając zakutego w zbroję mężczyznę z nóg dzikim podmuchem wiatru. Jego broń zakołysała się w powietrzu, ciągnąc za sobą płomień. Storm wyciągnęła rękę, wywołując w miejscu pożaru

deszcz, by zgasić ogień.

Wolverine wylądował na grzbiecie pierwszego przeciwnika Storm. Mężczyzna szarpnął się i machnął rękami, ale Logan trzymał się mocno, unosząc pięść i wbijając pazury głęboko w pancerz napastnika, który krzyknął i upadł na podłogę.

Z nieruchomego ciała sączyła się krew, tworząc kałużę. Kitty wpatrywała się w nią zszokowana. *Zaraz zwymiotuję...*

Po drugiej stronie sali stalowa pięść Colossusa trafiła w głowę ostatniego przeciwnika. Pole siłowe opancerzonego mężczyzny zatrzymało cios tuż przed jego hełmem, ale uderzenie było wystarczająco silne, żeby go znokautować. Padł na podłogę z metalicznym *clang*.

– Kolorowych snów, *tawariszcz* – powiedział Peter.

W jednej chwili było po wszystkim. Trzej napastnicy leżeli nieruchomo wśród tego, co zostało z kawiarni – poprzewracanych stolików i ciemnobrązowych kałuż rozlanej kawy na podłodze. Storm ruszyła w kierunku Wolverine'a, który do niej pomachał.

– Jestem niezły – powiedział. – Nawet się nie spociłem.

– Ja się trochę spociłem – rzucił Colossus, wskazując na miotacz ognia na podłodze. Jego twarz lśniła metalicznie, w oczach miał pustkę.

Kitty zamrugała. Żaden z nich jeszcze jej nie zauważył, ukrytej do połowy w bocznej ścianie kawiarni.

Jeśli znów się pokażę – pomyślała – pewnie zostanę z nimi. Ale jeśli ucieknę – jeśli tylko teraz zwieję...

Nagle poczuła ból. Miała wrażenie, jakby ledwie słyszalny dźwięk wwiercał się w jej czaszkę. Colossus krzyknął, łapiąc się za

skronie. Storm upadła. Wolverine zgiął się wpół. Zanim dotarło do Kitty, co się dzieje, trójka X-Menów leżała na podłodze.

– Są nieprzytomni.

Kitty wstrzymała oddech. Znała ten głos. Zmusiła się do skupienia na tym, by pozostać niezauważoną. Nie odważyła się drgnąć.

Przez dziurę w tylnej ścianie do kawiarni weszła kobieta. Od stóp do głów była ubrana na biało: buty z cholewami do połowy uda, obcisłe szorty, gorset z kości słoniowej ciasno zszyty z tyłu i wirująca peleryna zapięta na szyi rubinową broszką.

Kitty rozpoznała ją od razu mimo dziwnego ubrania.

To pani Frost!

Mężczyźni o pustych twarzach wypełnili kawiarnię. Dwaj z nich zajęli pozycje w ramionach i nogach Wolverine'a, podnosząc go z wysiłkiem. Kolejna para zabrała z podłogi Storm.

– Załaduj wszystkich do speedera – rozkazała pani Frost. – Nie, czekaj, najpierw ich rozbierz. Przeszukaj dokładnie kostiumy i ciała; usuń wszystko, co może być bronią lub urządzeniem sygnalizacyjnym. Poświęć szczególną uwagę Storm. Wiemy o wytrychach w jej nakryciu głowy, upewnij się, że nie ma żadnych innych niespodzianek.

– A co z córką Pryde'a? – Zapytał jeden z mężczyzn.

Pani Frost rozejrzała się. Kitty schowana za regałem z książkami pozostała poza zasięgiem jej wzroku.

– X-Meni to nasz główny cel – powiedziała Frost. – Mogę znaleźć dziewczynę, kiedy tylko zechcę. Gdzie ona się schowa? W klasie matematycznej?

Rozległ się dźwięk syren.

– Wystarczy – rzuciła. – Pionki! Do mnie. Ruszajmy.

Zespoły przydzielone do Logana i Storm podniosły ich ciała, zabierając je do poduszki. Colossus – Peter – powrócił do swojej ludzkiej postaci, ale i tak dwaj mężczyźni, którzy mieli go zabrać, bez powodzenia usiłowali podnieść jego wielkie ciało. Pani Frost pstryknęła palcami, wzywając posiłki.

Postać w gładkiej masce wskazała na jednego ze swoich ciężko opancerzonych towarzyszy leżących bezwładnie na podłodze.

– A co z rycerzami?

Pani Frost uśmiechnęła się. Jadowicie i okrutnie.

Tak – pomyślała Kitty. – Zamknęłaby mnie w wieży jak nic.

Frost spojrzała na leżących mężczyzn.

– Rycerze – wycedziła szyderczo. – Mieli całą moc, której potrzebowali, aby pokonać X-Menów, ale zachowali się jak amatorzy. Opuściła głowę i zmarszczyła brwi. Kitty poczuła lekkie echo bólu, podskórne zawroty głowy, które pozbawiło X-Menów przytomności.

Pani Frost też jest mutantką! – pomyślała Kitty.

Dziewczyna podskoczyła, gdy trzy małe wybuchy rozerwały pancerze leżących. Ich ciała skurczyły się, wygięły w łuk i znieruchomiały.

Dwaj odziani w kevlar mężczyźni wymienili spojrzenia. Jeden westchnął.

– Weźcie się w garść – warknęła Frost. – Hellfire Club dobrze płaci i oczekujemy, że te pieniądze nie będą wydane na darmo.

Hellfire Club?

Dotrzymując kroku Frost, Kitty szła wzdłuż bocznej ściany. *Peter* – pomyślała. Ledwo go znała, ale widok tak bezradnego X-Mena sprawił, że...

...cóż, po prostu ogarnęła ją furia.

Przeszła przez ścianę, wyłaniając się na otwartej przestrzeni, i zniknęła z pola widzenia. Mężczyźni w kevlarowych kombinezonach ładowali Logana i Storm do dziwnego poduszkowca w kształcie płaszczy, *Peter* już tam leżał.

Nadal jej nie zauważyli.

Pani Frost przystanęła w drzwiach poduszkowca. Rzuciła ostatnie spojrzenie na zdewastowaną kawiarnię i uśmiechnęła się. W pelerynie i butach koloru kości słoniowej wyglądała jak zła królowa z baśni przeniesiona do współczesnego świata.

Kitty zawahała się. Przeszło jej przez myśl pytanie, w co, do diabła, właśnie się wpakowała. Ostatni raz poczuła pokusę, żeby uciec i pozostawić X-Menów ich własnemu losowi.

Och, pieprzyć to.

Gdy pojazd wzbił się w powietrze, rzuciła się w jego stronę, sprawiając, że jej ciało stało się niematerialne, i wskoczyła do środka.

5



NA NAJBARDZIEJ wysuniętym na północ krańcu Szkocji – ponad Highlands za Orkanami, a nawet za archipelagiem Szetlandów – leży wyspa, której próżno szukać na mapach czy zdjęciach satelitarnych. Z przelatującego nad nią samolotu można zobaczyć tylko jałową skałę uderzaną falami, jej kamienistą powierzchnię, nieskalaną najmniejszym śladem żywej fauny czy flory.

Ale gdyby ten samolot zszedł niżej, skała zaczęłaby się rozmazywać i migotać. Pojawiłby się zespół kopuł i wież, chroniony przez niezwykle wyrefinowaną maskującą zasłonę. Tym odległym kawałkiem skały jest wyspa Muir, siedziba wiodącego Centrum Badań nad Mutantami.

W centralnej kopule Jean Grey unosiła się w powietrzu, ubrana w zielono-złoty kostium Phoenix. Energia płynęła z jej rozłożonych ramion, rozpościerając się na tyle wysoko i szeroko, by wypełnić cztery piętra komory testowej. Kolektory i czujniki, osadzone w ścianach i kopulastym suficie, szumiały i obracały się, monitorując i analizując ogniste zjawisko.

Energie Phoenix przepływały przez nią. *To odczucie jest... zachwycające* – pomyślała. – *Wspaniałe... niezwykłe...*

– Nie dajesz z siebie wszystkiego.

Jean spojrzała w dół. Dr Moira MacTaggart – chuda kobieta pod pięćdziesiątkę, założycielka i właścicielka centrum badawczego – siedziała przy konsoli, przerzucając wzrok z dużego monitora na mniejszy ekran laptopa.

– Co? – Jean poczuła ukłucie gniewu. – Moira, nawet stąd widzę te wyniki. Przekraczają skalę.

Moira opuściła wizjer, by osłonić oczy przed oślepiającą energią.

– Niemniej jednak nie dajesz z siebie wszystkiego – powtórzyła.

Jean westchnęła, spojrzała na zaokrąglony sufit i zamknęła oczy. Zagłębiła się w sobie, budząc moc – Siłę Phoenix – aby wyłonić się w całej okazałości, rozwinąć skrzydła i wzlecieć. Jednak jakaś jej część opierała się tym staraniom.

Cała jej moc, cała siła odrodzonej Phoenix nie wystarczyła, by uratować Scotta i X-Menów. A kiedy próbowała ukoić ból, szukając schronienia na wyspie Kirinos, ta sama moc zniszczyła obiecujący związek z przystojnym mężczyzną.

Nie – powiedziała sobie – *to unikanie prawdy*. Tak, jej moc zawiodła ją w kluczowych momentach. Tak, czuła się winna z powodu utraty przyjaciół, czuła smutek z powodu śmierci Scotta Summersa i strach, że moc znów ją zawiedzie, kiedy będzie najbardziej jej potrzebowała, a ona spadnie i umrze. Ale jeszcze bardziej bała się czegoś zupełnie przeciwnego: że moc wyłoni się w pełni jako zupełnie niepojęta siła, której nie da się opanować.

– Wyłącz moc, kochanie – powiedziała Moira, wstając.

Szum czujników nagle ustał. Zapadła cisza. Jean opuściła ramiona, pozwalając, by słabnące energie zanikły, i cicho opadła na podłogę komory. Moira podeszła do niej, stukając w tablet.

– Więc jestem rozczarowaniem? – Jean zmusiła się do uśmiechu.

– Raczej zagadką. – Moira zmarszczyła brwi nad ekranem. – Twoje komórki są w stanie nieustannej mutacji.

– Mutacji w co?

– Nie wiem. Ale wygląda na to, że ten proces trwa od jakiegoś czasu.

– Od katastrofy wahadłowca – syknęła Jean. – Kiedy umarłam.

– Być może. – Moira posłała jej zatroskane spojrzenie. – Szkoda, że nie przyszedł do mnie wcześniej.

– Profesor mnie monitorował... dopóki nas nie opuścił.

– Charles! – powiedziała drwiąco MacTaggart. – Nigdy nie był dobrym diagnostą, nie takim, jakiego potrzebujesz. Chodź, spróbujemy czegoś jeszcze. – Trzy razy stuknęła w ekran. Jean odwróciła się ze zdziwieniem, gdy z metalowej podłogi uniosło się krzesło ze skomplikowanym osprzętem. Z jego oparcia i podłokietników wyrastały czujniki oraz metalowe obręcze na nadgarstki, kostki i szyję.

– To urządzenie pomiarowe skalibrowane precyzyjniej niż duża komora badawcza. – Moira gestem wskazała Jean, żeby usiadła. – Odkryłam, że jest szczególnie przydatne do zbierania danych na temat telepatii i telekinezy.

Jean usadowiła się na krześle i dotknęła jednej z obręczy na

nadgarstki. Były wystarczająco mocne, by utrzymać goryla. Spojrzała pytająco na Moirę.

– Stop adamantium – wyjaśniła Moira. – Miałam tu kilku dość niebezpiecznych mutantów.

– Czy ja się do nich zaliczam?

Moira spojrzała jej w oczy.

– Jesteś młodą dziewczyną obdarzoną wielką mocą – odpowiedziała. – I możesz mieć, albo nie, pełną kontrolę nad nią.

Jean skrzywiła się i skinęła głową. Moira zapięła obręcze na jej nadgarstkach.

– Czy możemy darować sobie obrożę?

– Tak, myślę, że to wystarczy. – Moira cofnęła się, przytaknęła i się odwróciła.

– Poczekaj – Jean poczuła ukłucie paniki. – Dokąd idziesz?

– Bez obaw, kochanie. – Przeszła obok konsoli monitorującej do zewnętrznego krańca pomieszczenia i ponownie stuknęła w ekran.

Jean patrzyła, jak przezroczysta plastikowa osłona, wzmocniona metalowymi włóknami, opadła z sufitu. Dotknęła podłogi z głuchym łomotem, szczelnie zamykając kobietę wewnątrz komory. Jej panika jeszcze wzrosła. Sprawdziła obręcze, lekko nimi potrząsając. Phoenix zdawała się w niej miotać niczym bestia w klatce.

– Czy mnie słyszysz, Jean? – Głos Moiry dobiegł z trzaskiem z głośników komory.

– Tak – Jean starała się zachować spokój. – Co mam robić?

– Po prostu bądź sobą.

– Nie jestem pewna, czy wiem, kim jestem.

Za osłoną na twarzy Moiry na moment pojawiło się zmartwienie. Przykryła je sztucznym uśmiechem i spuściła wzrok na tablet.

Jean wzięła głęboki oddech, odchyliła się i skoncentrowała. Sięgnęła umysłem do swojego wnętrza, usiłując pochwycić Siłę Phoenix. Jak zwykle była ona nieuchwytna i niesforna. Należała do niej, a jednocześnie jej się wymykała. Starożytna, obca, przerażająca.

– Nie spiesz się – powiedziała Moira. – Mamy czas. – Chodziła tam i z powrotem. – Może byśmy nadrobiły zaległości? Opowiedz mi o Antarktydzie.

– Antarktydzie – powtórzyła Jean. – Co chcesz wiedzieć?

– Czy rzeczywiście zabiłaś Magneto? Najpotężniejszego mutanta na ziemi?

To nie jest pytanie dla zabicia czasu – uświadomiła sobie.

– Ja... nie jestem pewna. – Odchyliła się do tyłu. Ogarnęło ją nieprzyjemne uczucie, powrót mrocznych wspomnień, o których usiłowała zapomnieć. – Stopiona skała... oddzieliła mnie od Scotta i innych. Zostałam sam na sam z nim, człowiekiem, który mnie schwytał i upokorzył, który całymi dniami torturował moich przyjaciół.

– Posłał mi to pogardliwe spojrzenie – kontynuowała. – To, które widziałam u niego kilkanaście razy wcześniej. Błysk, w oku, który mówił: „jesteś niczym. Wszyscy jesteście tacy sami: ludzie i mutanci. Zabiłbym was wszystkich, aby się uratować”. Chciałam go uderzyć, złamać na pół, sprawić, by go zabolalo. Ale czułam się

zdana na jego łaskę. A potem dotarł do moich uszu krzyk Scotta. Nigdy nie słyszałam takiego odgłosu i nie mogłam go usłyszeć w moim umyśle. Ale wiedziałam, że to był on. Magneto... wyrwał kawał rudy metalu ze ściany wulkanu i cisnął nią we mnie, jakbym była muchą, jakimś owadem, który wlaźł do jego domu. I poczułam nieznaną dotąd wściekłość. Nie ludzką wściekłość, lecz coś innego.

– Phoenix – powiedziała Moira.

– Tak. – Jean zamknęła oczy. – Sięgnęłam umysłem, moją mocą, nic podobnego nigdy nie czułam. Nie musiałam myśleć, kiedy go chwyciłam i podniosłam z ziemi. Poczułam, że jego żebra pękają, słyszałam, jak krzyczy w agonii. I... Moira, spodobało mi się to. Chciałam więcej. Więc ścisnęłam mocniej. Myślę, że poczułam, jak jego serce pęka. Nie jestem pewna. Wtedy magma... nas zalała. Poczułam pieczenie, palący żar, więc rzuciłam się, zmuszając ją do wycofania. A potem nagle moja moc opadła i zaczęła zanikać. Pamiętam, jak myślałam: „Nie! Nie teraz!” Ale to nic nie dawało. Byłam zmęczona, całkowicie wyczerpana. Poczułam, że tracę przytomność, patrzyłam bezradnie, podczas gdy płynny ogień zalewał jaskinię.

Otworzyła oczy. Siła Phoenix znów rozbłysła wokół niej, tworząc znajomy kształt drapieżnego ptaka. Krzesło trzymało ją mocno, małe obwody pracowały, szumiąc.

– Świetnie sobie radzisz – powiedziała Moira. – Tak trzymaj. Jak udało ci się przeżyć?

– Obudziłam się kilka dni później na powierzchni. Leżałam w śniegu, mój kostium był w strzępach. Nie wiem, czy ktoś mnie uratował i tam mnie zostawił, czy...

– Żadnych obrażeń?

– Ani śladu.

– Hmmmm.

Jean wiedziała, co myśli starsza kobieta. *Phoenix*. *To ona przejęła kontrolę, poprowadziła mnie na powierzchnię i utrzymywała przy życiu, kiedy moje ciało wracało do sił. Wszystko bez jednej świadomej myśli z mojej strony.*

– Moira – powiedziała. – Nie mogę się ruszyć.

– To nie potrwa długo. – Moira zajrzała przez osłonę.

– Co się działo później?

– Kilka kilometrów dalej znajdowała się baza ONZ. Dotarłam tam pieszo. – Zadrzała na to wspomnienie. – Naukowcy tam... byli tacy mili. Sprawdzili wszystkie raporty radiowe, ruch lotniczy. Nie było śladu X-Menów ani Magneto, nikogo, kto by przylatywał lub wylatywał.

Wtedy dowiedziałam się, że oni nie żyją.

Moja moc... zdawała się cofać, ukrywać głęboko we mnie. Nie mogłam latać, ledwo utrzymywałam ciepło wokół siebie. Musiałam się stamtąd wydostać, ale myśl o powrocie do szkoły... do Xaviera... to mnie przerastało. Nie byłam gotowa.

Wsiadłam na pierwszy statek opuszczający Antarktydę... płynął do Włoch. Mieliśmy jednak jakieś kłopoty techniczne, musieliśmy zmienić kierunek. Najbliższą wyspą była Kirinos, mały grecki port. Zbieg okoliczności... Przypomniałam sobie opowieści profesora Xaviera o jego wizytach na Kirinos. Powiedział, że na tej wyspie spędził najszcześniejsze chwile swojego życia. Wyglądało to na przeznaczenie, więc cóż... postanowiłam się tam zatrzymać. Taka

decyzja pod wpływem impulsu, ale wydawała się słuszna. –
Zaśmiała się. – Czy to brzmi głupio?

– Jesteś potężnym telepatą. Za twoimi „impulsami” może się kryć coś głębszego.

– Tak... tak przypuszczam.

Poczuła dziwnie ciepło. Z ciała Jean płynęła energia, promieniując na zewnątrz – ale krzesło zdawało się ją powstrzymywać, formować ją w fale. Powietrze jarzyło się purpurowo. Moira zniknęła teraz z jej pola widzenia za grubą plastikową osłoną, ale Jean nadal ją słyszała.

– Co znalazłaś na Kirinos? – zapytała badaczka.

– Co? – odparła Jean. – Nic... właściwie nic.

Po prostu mężczyznę – pomyślała – który sprawił, że poczułam się... dziwnie. Jakby moje życie mogło nie być tym, które powinnam prowadzić. Nie była jednak gotowa na rozmowę o tym – a nawet gdyby o tym opowiedziała, Moira by tego nie zrozumiała.

– Zgubiłam paszport – kontynuowała. – Chciałam poczekać na nowy, ale potem postanowiłam się tym nie przejmować. Latałam nad oceanem, dopóki moja moc nie osłabła, a potem dostałam się na przepływający statek.

– Niezła z ciebie autostopowiczka.

– Ha! Tak, tak sędzę. W każdym razie wtedy pomyślałam, że lepiej zasięgnąć opinii eksperta na temat moich, powiedzmy, kapryśnych mocy. Jesteś drugim największym autorytetem w dziedzinie mutacji genetycznych, więc...

– Jean...

Zaskoczona spojrzała na obręcze, które topiły się, ześlizgując

się z nadgarstków. Spływały jak magma pod wulkanem Magneto, pozostawiając jej rękawiczki i skórę bez szwanku.

– Wystarczy – powiedziała Moira. – Dość! Wyłącz to, proszę.

Jean zacisnęła pięści, chcąc, by Phoenix się wycofała. Blask wokół niej zniknął powoli, ale systematycznie. Kiedy plastikowa osłona zaczęła podnosić się do sufitu, Moira zanurkowała pod nią i ruszyła do środka.

– No cóż – powiedziała, badając stopione obręcze na nadgarstki. – To był pierwszy raz, tak?

Jean wierciła się niespokojnie. Czuła się jak uczeń ogólniaka, który właśnie wygłupił się przed nauczycielem.

– I co o tym sądzisz? – spytała.

Moira przechyliła głowę.

– Przede wszystkim – powiedziała – będę ci wdzięczna, jeśli przyjmiesz do wiadomości, że jestem największym autorytetem w dziedzinie ludzkich mutacji. A gdyby łysy patriarcha się tu zjawił, powtórzyłabym mu to tu i teraz.

Jean roześmiała się.

– Po drugie... – Moira uśmiechnęła się. – Co powiesz na herbatę?

JEAN odsunęła swoje drewniane krzesło. Pozwoliła ciepłej herbacie spłynąć do gardła. Zmieniła ubranie na dżinsy i luźną koszulę, używając telekinetycznych mocy do przekształcenia cząsteczek swojego kostiumu. Jean Grey sprzed roku nie mogłaby dokonać takiego wyczynu, ale Phoenix wystarczyło tylko o tym pomyśleć.

Moira wyciągnęła słoik z ciastkami ze starej drewnianej szafki. W rogu płonął piec opalany drewnem, wypełniając pomieszczenie ciepłem. Jean spojrzała na zwykły dębowy stół, prosty toster i drewnianą deskę do krojenia.

– To jest bardzo... rustykalne – powiedziała.

– Nie tak jak reszta kompleksu, co? – Moira pojawiła się przy stole z tacą w dłoniach. – Kupiłam to miejsce od starego... pustelnika, tak ich kiedyś nazywano. Zbudował swój dom gołymi rękami. Budynek nie nadawał się do remontu. Rozebrałam go prawie w całości, ale zachowałam ten pokój. Całe centrum zostało zbudowane wokół niego.

– Można się tu zrelaksować – powiedziała Jean.

– To moje małe schronienie przed promieniami mocy, Ślepymi Siłami Zniszczenia i Zwielokrotnionymi Ludźmi. – Moira wskazała na ciasteczka. – Śmiało.

Jean podniosła jedno i ugryzła. Rozpłynęło się na jej języku, słodkie i pyszne.

– Więc do jakif doflaś fniosków? – spytała, zakrywając pełne usta.

– Jean, czy możesz mi coś jeszcze powiedzieć? – Moira pochyliła się ku niej z drugiej strony stołu. – Twierdzisz, że twoje moce pojawiają się i znikają od katastrofy wahadłowca. Czy ostatnio doświadczyłaś jakichś, nie wiem, anomalii? Skoków energii, niezwykłych manifestacji?

Jean próbowała sobie przypomnieć. *Kirinos* – pomyślała. Jej moc pojawiła się, płonąć jasno, a do tego ten dziwny głos – Phoenix – przemawiał przez nią. „*Mój ogień pochłania*”. Czy

naprawdę to powiedziała? Skąd pochodzą te złowieszcze słowa i stojąca za nimi moc? To pozostawało tajemnicą, ale wiedziała, co je wywołało.

Jason Wyngarde. Jego dziwny sposób bycia, niesamowity dom i szorstki pocałunek, który wciąż czuła na ustach. Ten mężczyzna był zagadką – ledwie drgnął, kiedy wspomniała o Magneto lub kiedy jej moc rozświetliła niebo. Jeśli cokolwiek w niej pociągało Wyngarde'a, to furia oraz opowieści o tragedii i śmierci. Jaki był naprawdę?

– Jean? – Moira wpatrywała się w nią.

– Wszystko się zepsuło... – powiedziała. – Ze Scottem.

Przerwała, zaskoczona. Nie chciała tego przyznać.

Nawet nie zdawała sobie sprawy, że to prawda, dopóki nie wypowiedziała tego na głos.

– Kocham go – kontynuowała. – To znaczy kochałam go i wiem, że on kochał mnie. Ale po katastrofie wahadłowca to się zmieniło. Byłam inna. Czułam, że się wycofuję, odsuwam od niego... od nich wszystkich. – Poczwała łzy napływające do oczu. – Myślę, że się mnie bał, Moira.

Spojrzała na starszą kobietę, szukając pocieszenia, ale to, co zobaczyła w oczach Moiry, sprawiło, że serce jej zamarło. Moira nerwowo bawiła się imbrykiem.

Ty też się mnie boisz – uświadomiła sobie Jean.

– Grzebałaś we mnie od wielu dni – powiedziała Jean. – Musisz mieć jakieś odpowiedzi.

– Moja droga, ledwo potrafię sformułować pytania – westchnęła Moira. – Porównałam twoje wyniki z danymi, które w zeszłym roku

przesłał mi Charles. Długości fal są różne, poziomy mocy rzędy wielkości wyższe. Cokolwiek się z tobą stało w tym wahadłowcu, twoje moce psi wykonały kwantowy skok.

– I martwisz się, że sobie z nimi nie poradzę – stwierdziła Jean. Cóż, ja też się martwię. Wstała i podeszła do pieca. Podniosła rękę, by je ogrzać, i poczuła w środku echo płomienia.

– Może powinnam pozostać martwa – wyszeptała.

– Co?

– Nic.

Musiła poczekać chwilę, żeby się pozbierać, a potem zawróciła do Moiry.

– Powinnam odezwać się do rodziców. Wysłałam im e-mail, kiedy opuściłam Antarktydę, ale od tamtej pory nie dałam znaku życia. – Pogrzebała w kieszeniach, po czym zaśmiała się zakłopotana. – Wiesz, jeszcze nawet nie kupiłam sobie nowej komórki.

Moira sięgnęła do szuflady, wyciągnęła mały telefon i rzuciła go Jean. – Wybierz swój numer.

Jean postukała w ekran, a potem zmarszczyła brwi.

– „Brak połączenia”.

– Ach, momencik – powiedziała Moira. – To jest skała na oceanie, nie ma tu wież telekomunikacyjnych. Liczą się również względy bezpieczeństwa. Podeszła do lady i sięgnęła za toster. Po dotknięciu ukrytego przycisku na ścianie otworzył się panel, odsłaniając ekran dotykowy.

– To by było na tyle, jeśli chodzi o rustykalny styl – powiedziała Jean, uśmiechając się.

Moira wystukała kod bezpieczeństwa.

– Spróbuj teraz. Powinnaś mieć połączenie satelitarne.

Jean wzięła telefon do ręki i zamarła. Kolejne SMS-y wypełniały ekran, brzęcząc za każdym razem, gdy się pojawiały.

JEANNIE – ŻYJESZ, MOJA DROGA?

TO KURT. SPRÓBUJĘ PONOWNIE.

WŁAŚNIE WRÓCIŁEM DO WESTCHESTER.

JEŚLI JEST JAKAŚ SZANSA, ŻE TU JESTEŚ...

– O mój Boże – odetchnęła Jean.

Zaniepokojona Moira podeszła i zajrzała jej przez ramię.

– Och! – ścisnęła ramiona Jean, uśmiechnęła się krótko i wycofała.

Telefon dzwonił bez przerwy, a na ekranie pojawiały się wiadomości tekstowe. Przesunęła SMS-y, włączyła klawiaturę i wybrała numer, który знаła lepiej niż własny. Potem, drżąc, osunęła się na blat i czekała na sygnał nadchodzącej odpowiedzi.

– Scott? – wyszeptała.

6



– **PROJEKTANCI KRAJOBRAZU** oczyszczają teraz teren – powiedział Nightcrawler. – Skyship jest gotowy do pracy, Blackbird w trakcie serwisowania. Sypialnie są trochę zakurzone... na górze miała miejsce inwazja gryzoni.

– Myszy i mutanty – zadumał się Cyclops, dziarskim krokiem przemierzając korytarz. Ubrany był w spodnie khaki i sportową kurtkę.

– Najpierw zamówmy deratyzację, a potem sprzątanie.

– Słusznie. – Nightcrawler miał na sobie strój X-Mena; szedł tuż za Cyclopsem, rozglądając się i kręcąc po zakurzonych komnatach dworku. – Aha, za naszych czasów pękła rura w bibliotece. Została naprawiona, ale będziemy musieli dokupić kilka książek na temat badań wielokulturowych. Prawdopodobnie i tak powinniśmy zaktualizować księgozbiór.

Nightcrawler ciągnął listę zadań do wykonania: systemy bezpieczeństwa, wymiana światłowodów, nowe komputery do pracowni naukowych, zestaw pralek o dużej pojemności do obsługi większej liczby studentów. Cyclops ledwie go słyszał. Jedno

zdanie, dwa proste słowa, odbijały się echem w jego umyśle: *Ona żyje.*

– Nie pytaj o Salę Ćwiczeń – powiedział Nightcrawler.

– Nie pytałem.

– Dobrze. – Nightcrawler westchnął. – Pracuję nad tym. – Skoczył naprzód, postawił obie stopy na ścianie i wyprężył ciało poziomo, aby zastawić Cyclopsowi drogę. Potem uśmiechnął się.

– Rozmawiałeś z nią?

Cyclops uśmiechnął się.

– Kilka minut temu – odpowiedział. – Jej samolot właśnie wylądował... resztę drogi ma zamiar przelecieć dzięki własnej mocy.

– To cud – mruknął Nightcrawler. – Jean Grey znowu żyje.

– Trudno ją zabić, to fakt.

Trzech robotników przecisnęło się obok nich, niosąc stos drewna.

– Zostawcie to przy windach – powiedział Nightcrawler. – *Danke.* – Potem spochmurniał. – Scott, ja...

Cyclops uniósł rękę, przerywając mu. Mówienie o uczuciach nigdy nie przychodziło mu łatwo, a teraz nie był jeszcze gotowy, by dać upust swym emocjom.

Ona żyje.

– Czy nasza strona internetowa już działa? – zapytał. – Będziemy musieli obsłużyć zalew aplikacji. – Przerwał, a potem dodał: – A przynajmniej mam taką nadzieję.

– Wkrótce będzie. – Nightcrawler opadł na podłogę i potrząsnął głową.

– Jest tyle do zrobienia. Otwarcie szkoły na nowo to jedno... naszym głównym celem jest jednak jej rozbudowa.

– To wina Storm. Uparła się, i argumentowała, że mimo naszych strat nadal mamy obowiązek pomagać tak wielu młodym mutantom, ile zdołamy. Nie tylko by zrealizować marzenia profesora, ale także by je rozwijać.

Nightcrawler przekrzywił głowę.

– Miałem wrażenie, że Storm chciała też oderwać cię od myślenia o twojej stracie.

– Możliwe. – Cyclops uśmiechnął się niepewnie. – Ale teraz chyba mamy ten problem z głowy.

– Powrót Jean to naprawdę najlepsze, co mogło nas spotkać. – Nightcrawler wyciągnął rękę, by dotknąć ramienia przyjaciela. – Może będzie to dla nas wszystkich nowy początek.

Cyclops zmarszczył brwi. Ogarnęło go dziwne uczucie niepokoju, którego źródła nie mógł znaleźć.

– Jakies wieści od Storm? – spytał. – Była pełna entuzjazmu, kiedy opowiadała o naszej pierwszej nowej studentce.

– Wciąż nic. Spóźnia się na odprawę. – Nightcrawler wyciągnął telefon, zmarszczył brwi. – Zadzwonię do niej. Jak tylko... – Przerwał, zadrżał. – ...sprawdzę Salę Ćwiczeń.

Cyclops zaśmiał się cicho.

– Daj mi znać, gdy przyjedzie Jean – powiedział Nightcrawler. Obrócił się i zniknął w kłębie siarkowego dymu.

Cyclops został sam na korytarzu, który pachniał świeżym drewnem, środkami dezynfekującymi i nową elektroniką. Wszystko to zmieszane z odrobiną świeżego powietrza i... siarki.

Ruszył korytarzem, przez foyer, prosto do salonu ze skórzanymi fotelami i kominkiem. Spędził w tym domu ponad połowę życia, ucząc się panowania nad swoimi śmiercionośnymi zdolnościami. Była to szkoła i centrum treningowe, ale również bezpieczna przystań. Dom.

Tutaj poznałem Jean.

Kiedy wczoraj usłyszał jej głos przez telefon – kiedy dowiedział się, że ona żyje – miał wrażenie, że jego serce pęknie. Przez całe życie Scott Summers doskonalił umiejętność tłamszenia wszystkiego w sobie. Swojej mocy, swoich uczuć. Jean była jedyną osobą, przed którą się otworzył, jedyną, przy której mógł się śmiać i płakać bez żadnych zahamowań. Jego partnerką, zarówno w życiu, jak i w drużynie X-Menów.

Kiedy zginęła, walcząc z Magneto, jego emocje zostały zamrożone. Nie mógł sobie pozwolić na żadne uczucia. Był głęboko przekonany, że gdyby dopuścił do siebie żal – i poczuł tę stratę w sercu – całkowicie by się załamał.

Teraz Jean wracała. Wkrótce ponownie się połączą. Jak nazwał to Nightcrawler? *Nowy początek.*

Scott Summers – Cyclops – wybuchnął płaczem. Osunął się na podłogę oparty o drzwi. Jego ciałem wstrząsał głęboki spazm. Uniósł dłoń do oczu, stanowczym gestem poprawiając okulary z kwarcu rubinowego. Nawet teraz, kiedy całkiem się rozkleił, nie mógł zapominać o szkodach, jakie mogłyby spowodować jego promienie optyczne.

Za chwilę zobaczy Jean. Na samą myśl o tym poczuł ucisk w żołądku... z niecierpliwości, tak. Ale również...

Zmieniła się. Od czasu katastrofy wahadłowca Jean była odległa. Czasami wydawała się niemal wyższą formą życia różniącą się od niego jak...

Zmroziła go niepokojąca myśl.

Jak mutant od zwykłego człowieka.

Pokręcił głową. To nie miało znaczenia. Te rzeczy się nie liczyły.

Jeśli Jean wróci, jeśli będą razem, reszta się ułoży.

Ona żyje.

Wstał i otrzepał kurtkę. Spojrzał na drzwi przed sobą i przesunął palcami po wizytówce.

PROFESOR C. XAVIER

Przez chwilę zastanawiał się, co go czeka. Potem ruszył do frontowych drzwi, wyszedł na trawnik i zaczął wpatrywać się w niebo.

JEAN GREY unosiła się nad wsią Westchester, płomiennie rude włosy powiewały za nią niczym ogon komety. Stworzyła dookoła mentalne zasłony, chroniąc się przed przypadkowym obserwatorem. Każdy, kto patrzyłby z ziemi, zobaczyłby spadającą gwiazdę, rzadki w ciągu dnia, ale niewzbudzający podejrzeń widok.

Odetchnęła chłodnym powietrzem, przyjmując z ulgą, że po długim transatlantyckim locie w końcu znalazła się na wolnej przestrzeni. W jej wnętrzu odezwały się dziwne odczucia: poczucie winy, szepczące głosy i nieokreślony lęk wydawały się narastać z każdym kilometrem.

Przypominające swym kształtem półksiężyc miasto Mount

Kisco ustąpiło miejsca gęstemu dywanowi drzew. Niektóre nadal były zielone, ale większość mieniła się całą gamą jesiennych barw: kasztanu, rudości i żółci. Kilka było już tylko szarymi kikutami, ogołocionymi z liści.

Na małej polance, od której dzieliło Jean jeszcze kilka kilometrów, leżał ustronny Instytut Xaviera. Gdy zauważyła bliźniacze iglice przy głównym wejściu, jej serce podskoczyło. Poczula mdłości, miała dziwne wrażenie, że ktoś ją obserwuje...

... a potem znalazła się zupełnie gdzieś indziej.

POTEŹNY czarny ogier, na którym siedziała, nie szczędził nóg, galopując przez wieś. Cztery mniejsze konie w kolorze od kasztanowca przez dereń po ciemnoszary dotrzymywały mu kroku, a uderzenia ich kopyt niosły się po okolicy Westchester. Przed nimi pędziła sfera dzikich psów, które szczekały w pogoni za niewidzialną ofiarą.

Przyjrzała się jeźdźcom. Nosili bryczesy, buty z cholewami i cylindry, dzierżąc w dłoniach cienkie szpicruty. Jean miała na sobie obcisłe spodnie i śnieżnobiałą bluzkę pod długą, ciasno ściśniętą w pasie kurtką. Wszystko było idealnie dopasowane, jak szyte na miarę.

Jestem Lady Jean Grey – przeszło jej przez głowę. – To moja rezydencja, a ci mężczyźni są moimi gośćmi.

Nie miała czasu na zastanawianie się, skąd pochodzą te myśli. Sześć potężnych koni z rzeniem zatrzymało się obok niej. Obejrzała się i ogarnęło ją ciepłe uczucie.

Jason Wyngarde posłał jej z siodła szelmowski uśmieszek. To

nie był Wyngarde, którego spotkała na Kirinos – a przynajmniej tak jej się wydawało. Człowiek w cylindrze, z dłońmi w rękawiczkach i z groźnym wyrazem twarzy przypominał tego z portretu, który widziała w domu Wyngarde’a.

Wszystkie te rozważania w jednej chwili ustąpiły miejsca jednej myśli. *Mój ukochany*. Tym właśnie dla niej był. Sir Jason Wyngarde, małżonek i prawdziwa miłość Lady Jean Grey. Pizmowa woń jego wody kolońskiej wypełniła powietrze, sprawiając, że z podniecenia jej krew zaczęła szybciej krążyć.

Koń pod nią wydał ostre rżenie. Jean spojrzała przed siebie i ujrzała psy zgromadzone wokół jakiegoś niewidocznego stworzenia.

– Prrrr, Szatan – zawołała, gwałtownie szarpiąc lejce. – Prrrr!

Wyngarde obrócił się w siodle, zsiadając jednym pełnym wdzięku ruchem, zanim koń się zatrzymał.

– Zajmę się psami, milady – powiedział, posyłając innym szeroki uśmiech. Wlazł między nie, wymachując swą szpicrutą na lewo i prawo. – Z drogi, parszywe kundle, z drogi! – krzyczał. – Z drogi, powiedziałem!

Psy zaskomlały i wycofały się.

Zanim Jean zdołała zatrzymać swojego wierzchowca, Jason stał już w gęstej wysokiej trawie. Był odwrócony plecami do niej, ale widziała rosochate poroże jelenia w jego dłoni – ogromne, dłuższe niż muskularna ręka Wyngarde’a.

– Mamy szczęście, milady – powiedział. – Bestia wciąż żyje.

Uśmiechnęła się. Dzika siła, moc, która rosła w ciągu tych ostatnich miesięcy, zdawała się wypełniać ją dumą.

– Jako pierwsza powaliłaś go na ziemię – kontynuował – tobie przypada zaszczyt zadania *coup de grâce*.

Jean odrzuciła włosy do tyłu, przerzuciła nogę przez siodło i zeskoczyła na ziemię. Goście krążyli na koniach w półokręgu, przyglądając się gospodarzom. Wydawali się spragnieni, głodni zabijania.

Wyngarde wyciągnął długi, zakrzywiony nóż. Jean chwyciła jego rękojęść, czując dziwny dreszcz, gdy jej palce zamknęły się na wyrytym w drewnie symbolu „H” i trójzębie.

– Najlepsza rozrywka, jaką kiedykolwiek cieszył się Hellfire Club, milady – powiedział Wyngarde. – Kiedy wybrałaś tę szczególną ofiarę...

Puls Jean galopował. Podniosła nóż, czując, jak budzi się w niej melodia.

– „...to było mistrzowskie pociągnięcie.

Spojrzała w dół i wstrzymała oddech.

Na ziemi leżał nie jeleni, lecz człowiek. Włochaty mężczyzna, zupełnie nagi, z ostrymi, zakrzywionymi rogami, przymocowanymi do głowy za pomocą ciasno zapiętych skórzanych pasków. Na nogach miał kilkanaście krwawych śladów po ugryzieniach psów; jego oczy były szkliste, na wpół zamknięte. Wydawał z siebie nieludzkie jęki.

Jean zamarła na chwilę z nożem w dłoni. Przeszłość i przyszłość zderzyły się w jej umyśle, dwie bliźniacze rzeczywistości walczące o dominację. Jedna była mrocznym i dzikim światem, w którym Jean Grey, Lady Wyngarde Manor, polowała na ludzkie ofiary dla rozrywki.

Druga...

– Milady? – odezwał się Wyngarde.

Wszystko wokół jakby pociemniało. Zemdlała, ziemia usunęła się spod jej stóp. Cała moc, wściekłość zdawały się ją opuszczać. Jean upadła i przeturlała się na plecy, próbując zachować przytomność.

– *Jean!*

Spojrzała w górę. Jak przez mgłę ujrzała Wyngarde'a, który patrzył na nią z troską w ciemnych oczach.

– J-Jason?

Opuściła powieki.

Kiedy znów je podniosła, pojawiła się nad nią twarz Scotta, jak zwykle ukryta za rubinowymi okularami.

– Co? – spytał.

Usiadła i potrząsnęła głową. Otaczały ją znajome tereny Instytutu Xaviera. W oddali ekipa zajmująca się zielenią przycinała żywopłoty. Przed główną bramą kilka kobiet sadziło drzewa.

– Scott – powiedziała. – Och, Scott.

– Schodziłaś do lądowania. A potem jakbyś... spadła gdzieś po drugiej stronie nieba...

Przyjrzała się sobie badawczo. Jeździecki strój zniknął wraz z końmi, psami i... ofiarą. Znowu miała na sobie kostium Phoenix, złote buty, rękawiczki i limonkowozielone body. Scott ukląkł przed nią, kładąc umięśnione ręce na jej ramionach, i zmarszczył czoło, zmartwiony.

Był najpiękniejszą istotą, jaką Jean kiedykolwiek widziała.

Rzuciła się ku niemu – objęli się mocno, z twarzami wtulonymi

we włosy, ciesząc się sobą. Czuła jego siłę i ciepły, znajomy zapach.

– Nigdy – westchnęła ze łzami spływającymi po policzkach. – Nigdy cię nie stracę. Nigdy więcej.

– Jean. – Jego głos był zduszony, ochrypły. Trzymał ją mocno, wplatając dłonie w jej długie rude włosy. – Och, Jean.

Nagle poczuli woń siarki i usłyszeli charakterystyczny Dźwięk *bamf*. Jean cofnęła się, odwróciła i ujrzała Nightcrawlera, który się im przyglądał.

– Elf! – krzyknęła.

Ale jedno spojrzenie na twarz Nightcrawlera sprawiło, że zerwała się na równe nogi. Scott już stał.

– Bardzo dobrze cię widzieć, Jean – powiedział Nightcrawler. – Ale obawiam się, że mamy problem.

7



MIAŁA wrażenie, że biegnie przez całą wieczność.

Kitty Pryde pędziła długą ulicą Chicago. O tej porze South Loop była całkowicie pusta. Wzdłuż szerokiej alei stały rzędy cztero- i pięciopiętrowych budynków, ale sklepy na parterze były już zamknięte.

Przystanąła przy wejściu do dawno opuszczonego hotelu i pochyliła się, łapiąc oddech. Czy naprawdę zostawiła swoich prześladowców w tyle? Od północy już cztery razy wydawało jej się, że ich zgubiła. Za każdym razem znajdowali ją ponownie.

Może tym razem...

Para oślepiających reflektorów rozświetliła noc. Kitty spojrzała w górę, zmęczenie walczyło w niej z instynktem przetrwania.

Nie – pomyślała. – Nie kolejny raz!

Limuzyna pędziła ulicą prosto w jej stronę. To był turbodoładowany pojazd jadący z prędkością, której żaden inny tej wielkości nie miał prawa rozwinąć. Na jego masce, między jasnymi reflektorami, widniało stylizowane „H” i trójząb.

Muszę się ruszyć!

Odwróciła się w stronę hotelu, skoncentrowała i przeniknęła przez ceglany mur. Trzy minuty i cztery zakurzone, wypełnione karaluchami pokoje później pojawiła się w szerokiej alei za budynkiem. Oparła się o ceglany mur, ciężko dysząc.

Szczur grzebiący w przewróconym koszu na śmieci na chwilę znieruchomiał i popatrzył na Kitty. Zmarszczył nos i wrócił do swojego zajęcia.

To koniec – jestem wyczerpana. Kimkolwiek są ci ludzie... cokolwiek mają do mutantów... mogą mnie dopaść.

Limuzyna skręciła w aleję z piskiem opon. Jej reflektory przesunęły się po Kitty.

A jednak nie. Nie, nie mogą!

Wybiegła na ulicę – i potknęła się. Kiedy zaczęła się przewracać, kierowca limuzyny nacisnął hamulec. Pojazd skręcił – o kilka sekund za późno. Bok zderzaka zahaczył o ramię Kitty, rozciągając ją na chodniku pod ścianą naprzeciw budynku.

Krzyknęła z bólu, a potem przez chwilę leżała nieruchomo, mocno zaciskając powieki. Dotknęła ramienia.

Czy je złamałam?

Drzwi samochodu otworzyły się. Wszedł mężczyzna i zastukał o ulicę ciężkimi butami. Miał na sobie zbroję z kevlaru i gładką maskę. Zrobił kilka ciężkich kroków w stronę Kitty. Potem się zatrzymał i spojrzał w górę, a w jego oczach pojawiło się bezgraniczne zdziwienie.

– Co to, do diabła, jest? – spytał.

Kitty odwróciła się w tej samej chwili, gdy na drugim końcu alei wybuchł płomień, który wzniósł się, tworząc kształt

mitycznego drapieżnego ptaka.

JEAN GREY stała u wylotu alei, czując rosnącą moc. Mężczyzna w gładkiej masce zamarł. Nastolatka odskoczyła, kuląc się z powrotem pod ścianą budynku i spoglądając to w jedną, to w drugą stronę.

Zamaskowany mężczyzna wskoczył z powrotem do swojego pojazdu i trzasnął drzwiami. Jego partner odpalił silnik i limuzyna ruszyła jak pocisk prosto w kierunku Jean.

Uśmiechnęła się i rozłożyła ramiona.

Siła Phoenix eksplodowała prosto w samochód. Maski natychmiast się stopiła; silnik wybuchł. Opony odskoczyły na boki, kiedy przód limuzyny uderzył w chodnik, wzniecając snop iskier. Pasażerowie wylecieli przez przednią szybę.

Jedna z opon potoczyła się w bok alei, niemal uderzając przerażoną dziewczynę. Znienacka w kłębach siarki pojawił się Nightcrawler i odciągnął ją na bok.

– *Guten Abend* – powiedział. – *Fräulein Pryde*, jak sądzę?

Uśmiechnął się, pokazując spiczaste zęby. Dziewczyna wzdrygnęła się.

Popatrzył na nią przepraszająco i wziął ją na ręce. Kiedy próbowała wyrwać się z jego uścisku, zaczął wspinać się po ścianie, opuszczając pole walki.

– Nie bój się, *Liebchen* – uspokajał ją. – Jestem jednym z tych dobrych, rozmawialiśmy przez telefon! Spadamy stąd, co nie?

Jean podeszła do wraku limuzyny i przyjrzała mu się badawczo. Z jej formy Phoenix promieniowało światło, rozjaśniając ciemną

jeszcze aleję odcieniami żółci i karmazynu. Jeden z zamaskowanych mężczyzn wił się i jęczał, wciśnięty w metalowe szczątki samochodu. Drugi, uwięziony pod kierownicą, nie poruszał się.

Jean sięgnęła i dotknęła jego umysłu. Jeszcze tliło się w nim życie.

– Jean! – Cyclops podbiegł za nią, niosąc nieporęczne przenośne Cerebro: urządzenie, którego używali do szukania młodej mutantki. – Wszystko w porządku?

– Lepiej niż kiedykolwiek.

– Coś ty zrobiła? Prosiłem cię, żebyś zatrzymała ten samochód, a nie zmieniała go w kupę złomu.

Gdzieś w środku poczuła ukłucie gniewu. Ślad starych uraz i niedokończonych spraw.

– Nie jesteś telepatą, Scott. Nie czułeś przerażenia tej dziewczyny ani sadyzmu ścigających ją zabójców. – Wskazała na dymiący wrak. – Dostali dokładnie to, na co zasłużyli.

Scott zmarszczył brwi. Przesząpił z nogi na nogę i przełożył mini-Cerebro z jednego ramienia na drugie.

Nadal się mnie boi – uświadomiła sobie Jean. – *Nic się nie zmieniło.*

– Cyclops!

Podnieśli wzrok. Cztery piętra wyżej pochyłony nad krawędzią dachu Nightcrawler wymachiwał rękami.

– Chodźcie tutaj! – zawołał. – Szybko!

Zanim Scott zdążył odpowiedzieć, Jean wyciągnęła rękę i otoczyła go polem siły telekinetycznej. Niemal machinalnie

uniosła ciała swoje i Scotta w powietrzu i łagodnie przeniosła je na dach. Ku ich zaskoczeniu Nightcrawler był sam.

– Gdzie dziewczyna? – Zapytał Cyclops.

– Dobre pytanie – odpowiedział Nightcrawler. – Wyrwała mi się, kiedy wylądowaliśmy, i dała nura przez dach!

– Cóż, zdecydowanie jest naszym mutantem. – Cyclops zmarszczył brwi, zaczął naciskać ikony na ekranie urządzenia. – Myślę, że mogę ją wysledzić, używając...

– Mam ją – przerwała mu Jean.

Rozłożyła ramiona, zataczając nimi kręgi w powietrzu niczym tancerka. Kiedy jej ręce opadły na boki, kostium Phoenix zniknął. Teraz miała na sobie podkoszulek, zwykły żakiet i obcisłe dżinsy.

Sięgnęła umysłem, otworzyła zapadnię na dachu i podeszła do niej, nie zwracając uwagi na Cyclopsa i Nightcrawlera.

Czuła ich zwątpienie i zmartwienie, które kłębiły się w powietrzu jak niewyraźne, rozproszone chmury. Niektóre z tych trosk dotyczyły bezpieczeństwa Kitty Pryde – ale martwili się także o nią. Odgoniła te myśli, zmuszając się do skupienia.

Schody na poddaszu prowadziły do nieużywanej powierzchni magazynowej wypełnionej po sufit kartonowymi pudłami. Jean znów odsunęła swoje myśli w poszukiwaniu jedynej poza nią umysłu w tym pomieszczeniu.

Ten umysł wypełniało przerażenie.

– Hej – powiedziała Jean.

Wskazała na półtonowe pudło, odsuwając je na bok za pomocą telekinezy. W przeciwległym kącie pomieszczenia ukazała się Kitty Pryde. Spojrzała na Jean, a potem opadła na czworaki i zaczęła

przechodzić przez ścianę.

– Zaczekaj! Spokojnie. Nie bój się.

Dziewczyna zatrzymała się, wciąż trzymając dłoń w ścianie. Zwróciła szeroko otwarte oczy ku Jean.

– Jesteś wśród przyjaciół, Kitty. Jestem Jean Grey – jedna z X-Menów.

– X-Menów? – powtórzyła Kitty.

Jest kompletnie wyczerpana – uświadomiła sobie Jean i powiedziała:

– Nasi przyjaciele, Storm i Logan, przyszli się z tobą spotkać. Pamiętasz?

Dziewczyna wyciągnęła rękę ze ściany.

– Jean Grey – powtórzyła. – Storm... powiedziała, że umarłaś.

– Tak. Ale już ze mną lepiej. Aura Phoenix uniosła się z jej dłoni, kiedy Jean sięgnęła w stronę Kitty. – Nie ma się czego bać. Obiecuję.

Dziewczyna ponownie się cofnęła.

Mogę sprawić, żeby zrozumiała – pomyślała Jean. – *Mogłabym jednym gestem wypełnić jej umysł obrazami, wrażeniami. Do diabła, mogłabym zmienić jej myśli, gdybym chciała. Ale ona nie jest wrogiem, ale przerażoną młodą... mutantką.*

– Posłuchaj – powiedziała Jean. – Zdaję sobie sprawę, jak bardzo to wszystko może być przerażające. Miałam zaledwie czternaście lat, kiedy ujawniła się moja moc... piętnaście, kiedy trafiłam do instytutu – zrobiła pauzę, uśmiechając się. – Nazywali mnie wtedy Marvel Girl. Dasz wiarę? Marvel Girl.

Kitty uśmiechnęła się nieśmiało.

– Są ludzie, którzy pragną nas skrzywdzić – kontynuowała Jean. – Chcą nas wykorzystać jako broń lub po prostu zmieść z powierzchni ziemi. Powstrzymywanie się przed czytaniem w myślach dzieciaka, który siedzi obok ciebie na lekcji biologii kosztuje naprawdę dużo wysiłku.

– Albo przechodzenie przez ściany – Kitty skinęła głową.

– Tak, albo przechodzenie przez ściany – uśmiechnęła się Jean. – Chodzi o to, że nie musisz pozwalać, by to cię zniszczyło. Możesz nauczyć się kontrolować swoje moce, stawić czoła światu na własnych warunkach. Ale nie jesteś w stanie tego dokonać sama.

Zrobiła krok do przodu. Tym razem dziewczyna nie drgnęła.

– Pozwól, że ci pomożemy – powiedziała Jean. – Pozwól, że ja ci pomogę...

Zanim Jean zdążyła dokończyć, Kitty podbiegła do niej. Dziewczyna objęła ją brudnymi rękami i zaczęła szlochać, wydając ze swojego drobnego ciała głębokie westchnienia. Jean opadła na kolana na podłodze magazynu i mocno przytuliła Kitty.

Kiedy Cyclops i Nightcrawler je znaleźli, Kitty już spała. Jean kołysała głowę dziewczyny, po raz pierwszy od długiego czasu czując się tak bardzo ludzko.

– WIĘC siedzieliśmy wyluzowani nad naszymi frappuccinos, kiedy ci goście w zbrojach po prostu rozwalili ścianę! I twoi przyjaciele, Storm, Peter i ten włochaty koleś z pazurami, wszyscy rzucili się na podłogę, ale ci opancerzeni faceci mieli miotacze ognia, wiesz? Jak w tej grze *Call of Duty*, którą lubi mój tata.

– Spokojnie, mała – powiedział Nightcrawler, podchodząc do niej. – Zwolnij.

Kitty odskoczyła od niego i usadowiła się przy konsoli naprzeciwko fotela pilota. Miała podarte dzinsy, a na ramieniu zakrzepłą krew.

Nie można jej winić za to, że jest roztrzęsiona – pomyślała Jean. – Oswojenie się z diabolicznym wyglądem Kurta zajęło nam wszystkim trochę czasu.

Siedzieli w obszernej kabinie statku X-Menów, unosząc się tuż nad brzegiem jeziora Michigan. Ekrany maskujące chroniły pojazd przed wzrokiem ciekawskich. Jean nie ufała tej technologii, więc dodatkowo zabezpieczyła teren sondą psioniczną.

Jak dotąd nic – ani pływacy, ani łodzie – nie spowodowało włączenia alarmów.

Z tylnej części statku wyszedł Cyclops, niosąc apteczkę pierwszej pomocy.

– Kitty, pozwól mi spojrzeć na to ramię.

Dziewczyna wyciągnęła rękę i wróciła do swojej opowieści.

– Storm, Peter i Włochaty rzucali tymi opancerzonymi zbirami po ścianach i podłodze, ale wtedy pojawiła się ta pani. Ta, o której mówiłam wam wcześniej, że przyszła do mojej szkoły i próbowała mnie zrekrutować w moim domu. Wyglądała... no, wyglądała inaczej, na pewno. Miała na sobie całkiem inne ubranie... mniej eleganckie, coś jak tancerka z variété.

– Emma Frost – mruknęła Jean.

– Ona podobno prowadzi tę szkołę w Massachusetts – kontynuowała Kitty. – Chyba taką, jak wasza. No, może taką bardziej złowrogą wersję waszej. W każdym razie ona tylko... jakby mrugnęła... a twoi przyjaciele złapali się za głowy, jak gdyby

ktoś poraził ich paralizatorem.

Ja też to słyszałam. Przypominało wiertło dentystyczne w mojej głowie, ale na mnie to tak nie zadziało. Załatwiła ich bez jednego strzału.

Jean spojrzała na Cyclopsa. Przestał odwijać bandaże; kiwnął głową, gdy ich oczy się spotkały.

– Telepatka – powiedział.

– Potężna – przytaknęła Jean.

– Potem grupa innych facetów zaniósła ich do takiego poduszkowca jak z filmów SF. Zwołała swoich pionków, nosili inne broje. – Kitty wskazała ręką. – Takie.

Jean spojrzała w tył kabiny. Dwójka napastników z alei siedziała oparta o szafkę ze związanymi nadgarstkami i kostkami.

– Nie wiedziałam, co robić, więc zabrałam się z nimi na przejażdżkę. Pani Frost zawiozła Petera i pozostałych do tego wielkiego parku przemysłowego za miastem. Zamknęli ich w klatkach, mówili o przeprowadzaniu na każdym z nich po kolei jakichś eksperymentów. Chyba trochę spanikowałam i pani Frost mnie zauważyła. Myślę, że naprawdę wyczuła przerażenie w moich myślach.

Pobiegłam i ukryłam się w jednym z tych ich poduszkowców, który właśnie startował. Kiedy dotarliśmy do granic miasta, zwałam. Od tamtej chwili cały czas uciekałam.

Cyclops zacisnął duży bandaże wokół cienkiego ramienia Kitty. Skrzywiła się.

– W większości to tylko draśnięcia – powiedział – ale niektóre cięcia są dość głębokie. Nie zdejmuj tego opatrunku przez dzień lub

dwa, a wszystko powinno się zagoić.

Wstał, podszedł do Jean i uśmiechnął się. Tęskniła za tym uśmiechem, bardziej niż myślała. Wyciągnęła rękę i dotknęła jego rękawiczki swoją.

– Skończyłem z błędzeniem pośród cieni – powiedział.

Jean skinęła głową i wstała. Kitty i Nightcrawler patrzyli z zainteresowaniem na Jean i Cyclopsa, którzy przeszli do tyłu kabiny. Przez chwilę stali nad więźniami, uważnie im się przyglądając. Jak to Kitty ich nazwała?

Pionki.

– Czy możesz przeskanować jego umysł? – Cyclops wskazał na jednego z mężczyzn. Pionek wciąż miał na twarzy tę gładką, przepołowioną maskę, ale Jean czuła emanujący z niego strach.

– Załatwione.

Uklękła i wyciągnęła rękę w kierunku głowy jeńca. Próbował się wykręcić, ale jego nadgarstki i kostki były związane. Ogień Phoenix wzniósł się, tworząc tym razem słabą aureolę. Jean dotknęła głowy mężczyzny, pozwalając wnikać w nią swej mocy. I nagle znalazła się w środku jego umysłu...

– **NAZWISKO** *Quinones, imię Juan dla jednej części rodziny, Johnny dla drugiej. Matka z Teksasu, ojciec z Puerto Rico. Akt urodzenia? Nie wiem, nikt nie wie. Trudne dzieciństwo w Chicago, popychadło, Johnny/Juan worek treningowy dla czterech starszych braci – pokażę im, na co mnie stać, zapłacą mi za wszystkie krzywdy. Oszukiwanie na wyścigach, to dobre pieniądze, aż się skończyło... przeklęty internet. Biedny, głodny, bez gotówki – a na*

dodatek jeszcze cholerna nadkwasota matki. Filipe mówi, że Frost Enterprises szuka pracowników. Głupia maska, ciężka zbroja, ale płacą szybko i dobrze. Co to za miejsce, do diabła ? Nazywają nas pionkami – inni to rycerze, biskupi. Bogaci ludzie, drogie garnitury. Rządzi taka jedna – Biała Królowa – lepiej o nią nie pytaj. Ostatni, który próbował, ślini się w kaftanie bezpieczeństwa. Nie... Ktoś jeszcze. Jeszcze gorszy. Nie wiesz wokół niego, bardzo tego nie lubi. Mówią, że zmienia wygląd w nocy lub kiedy jest zły. Czasami wymuskany i pachnący, czasem brudny jak żebrak. Nazywa siebie Mastermind. Master... Master... MASTERMIND...

MEŹCZYŻNA zadrżał i zaczął więc się jak piskorz. Jean trzymała jego głowę, zacisnęła zęby i wniknęła głębiej. *Mastermind* – pomyślała. Ktokolwiek to był, wystarczyło tylko jego imię, by przerazić tego pionka.

Frost Enterprises – pomyślała. – *Powiedz mi coś więcej.*

Za miastem. Mapa, miejsce, ogrodzenia dookoła. Strażnicy przy każdym posterunku – Skoncentrowała się, studiując plan budynku w jego umyśle. Harmonogram zmiany wart, rodzaj i zasięg uzbrojenia strażników oraz ich zabezpieczeń. On nie wiedział wszystkiego...

Kim oni są? – Naciskała mocniej. – *Kto za tym wszystkim stoi?*

Wewnętrzny... Wewnętrzny krąg...

Trafiła na ścianę. Zamrugnęła zaskoczona. Ten człowiek nie miał żadnych niezwykłych mocy ani wrodzonych zabezpieczeń – ale jej zagłębianie się uaktywniło jakąś barierę, zmuszając ją do odwrotu. Co dziwne, wywołało to uśmiech na jej twarzy.

To mogłoby powstrzymać Marvel Girl – pomyślała. – Ale nie Phoenix.

Dla kogo? – Ruszyła do przodu, a moc odezwała się w niej niczym gniewna pieśń. – Dla kogo pracujesz?

Mężczyzna zeszywniał i krzyknął. Ściana w nim zaczęła ustępować. *Dla...*

Phoenix rozbłysła jaskrawo, wciskając się do jego umysłu. To było ostre, przerażające. Nie do powstrzymania.

– Dla Hellfire Club...

– JEAN!

Dłonie Cyclopsa na jej ramionach przywróciły ją do rzeczywistości. Rozluźniła uścisk na głowie zamaskowanego mężczyzny, ledwie zauważając, że osunął się na podłogę.

Hellfire Club – pomyślała.

Nightcrawler pojawił się w kłębach dymu, zaskakując ją. Mutant o niebieskim futrze ściągnął mężczyźnie maskę i zaczął mu się badawczo przyglądać. Oczy pionka były puste, wpatrzone w jeden punkt.

– Co mu zrobiłaś? – zapytał Cyclops.

Zapłonął w niej gniew. Jeszcze raz? Znowu się mnie czepiasz?

– Potrzebuję chwili – powiedziała.

Odeszła w kierunku fotela pilota. W kabinie statku nie było miejsca na prywatność, ale musiała na chwilę zostać sama. Nie tylko po to, by uspokoić myśli, ale też przetrwać to, czego się dowiedziała.

Hellfire Club.

Słyszała tę nazwę już wcześniej, w wizji, którą miała tuż przed przybyciem do rezydencji. Od tego czasu wszystko działo się bardzo szybko – młoda mutantka wpadła w tarapaty, koledzy z drużyny zostali schwytani, stoczyła walkę z mężczyznami w zbrojach. Nie miała czasu na analizowanie natury przeskoków czasowych ani na to, by zrozumieć, co się z nią działo. Złowrogi pokój w domu Jasona Wyngarde’a na Kirinos, przerażające polowanie – co to wszystko znaczyło?

Wyngarde. To on wspominał o klubie, którego był członkiem. Czy to jakieś tajne stowarzyszenie? Czy przodek Wyngarde’a należał do niego kilkadziesiąt lub kilkaset lat temu?

– Jean?

Cyclops znów się w nią wpatrywał. Nie z niepokojem, ale z troską – troską zakochanego mężczyzny. To spojrzenie, ten wyraz twarzy ścisnął ją za serce.

Muszę mu powiedzieć – pomyślała. – O wszystkim, co się ze mną dzieje. Wytłumaczę mu, że jakaś nieznana siła, może nowa manifestacja mojej zmutowanej mocy, wyrzuca mnie w przeszłość. Będzie zaniepokojony, ale zrozumie. Razem możemy stawić czoła wszystkim.

Potem przypomniała sobie ciarki na plecach, kiedy dotknęła czarnego gorsetu. Ekscytujący zapach wody kolońskiej Wyngarde’a. Bicie serca, gdy zbliżała się do psów, z nożem w dłoni, by zakończyć życie bezradnego mężczyzny.

Jak to wszystko wyjaśnić?

– Ten człowiek żyje – powiedział Nightcrawler, podnosząc się.
– Ale wydaje się, że jest w śpiączce.

– To nie ja mu to zrobiłam – powiedziała Jean.

Wszyscy odwrócili się w jej stronę.

– Ja tylko... wcisnęłam jakiś mentalny przełącznik w jego mózgu – wyjaśniła. – Ktoś inny musiał go tam umieścić. Żeby trzymać wścibskich telepatów z daleka.

– Ktoś inny? – Kitty roześmiała się. – Założę się, że ktoś ufarbowany na platynowo.

– Biała Królowa. – Jean skinęła głową.

– Biały kto? – Kitty mrugnęła.

– To nie ma znaczenia. – Jean wyprostowała się. – Wiem, gdzie przetrzymują Logana i resztę. I wiem, jak się tam dostać.

Scott gapił się na nią. W jego oczach zobaczyła straszliwy błysk zwątpienia. Odwrócił się szybko, ale już było za późno. Po raz pierwszy zaczęła się zastanawiać: *czy on naprawdę myśli, że go okłamuję?*

Cyclops podszedł do konsoli pilota, unikając jej wzroku.

– Uruchom silniki, Kurt – powiedział. – Ruszajmy.

8



FROST ENTERPRISES zajmowało siedem hektarów zacisznego terenu na południowy zachód od Chicago. Ze wszystkich stron otaczały je gęste lasy jodłowe, pogrążając kompleks w ciemności.

Limuzyna mknęła przez nocne powietrze, wytracając stopniowo prędkość; zatrzymała się niemal bezgłośnie, gdy dotarła do posterunku strażnika. Lakier samochodu lśnił nieskazitelnie, jak gdyby został przed chwilą wypolerowany. Kierowca opuścił przyciemnioną szybę i wystawił głowę. Nosił maskę pionka i zbroję z kevlaru.

– Juan Quinones – przedstawił się, podając kartę. – Melduję się. Strażnik przeciągnął kartę, a potem uśmiechnął się do kierowcy.

– Juan?

Kierowca spojrzał na niego.

– Daj spokój, Johnny. – Strażnik machnął ręką w powietrzu. – Człowieku, od kiedy to jesteś Juan?

– Nie mogę być dla odmiany? – Kierowca wzruszył ramionami.

Strażnik omiótł wzrokiem przednią kabinę. W fotelu pasażera

skulony pod kocem siedział drugi pionek. Widoczna była tylko jego zamaskowana twarz.

– Co ci się stało, Rick? – zapytał strażnik.

– Mutasy go trochę poharatały – odpowiedział kierowca. – Trzeba będzie go pozszywać.

Pasażer słabo machnął ręką.

Strażnik wskazał na tylne siedzenie, ukryte za przyciemnianymi szybami, i zapytał:

– Upolowałeś ich?

– Wracam z pustymi rękami.

Strażnik gwizdnął.

– Królowa nie będzie zadowolona.

– Nie musisz mi o tym mówić. – Kierowca westchnął. – Czas przełknąć gorzką pigułkę.

– *Vaya con Dios... Juan.* – Strażnik sięgnął do kabiny i otworzył bramę. – Będziesz go potrzebował.

Za bramą wokół kompleksu wiała się wąska, brukowana droga. Magazyny i laboratoria wznosiły się w nierównych odstępach, odgródzone od siebie drzewami i metalowymi płotami. Limuzyna jechała w kierunku parkingu dla pracowników, poruszając się w równym, niespiesznym tempie.

Cyclops zaparkował samochód. Zdjął maskę pionka i okulary z kwarcu rubinowego, wciskając w ich miejsce wizjer, zanim z jego oczu wystrzeliły zabójcze wiązki. Pasażer zrzucił z ramion koc i również zerwał maskę.

– Dobra robota, Juan – powiedziała Kitty Pryde.

Cyclops uniósł brew.

– Przedrzeźniasz szefa na rozmowie kwalifikacyjnej do X-Menów?

Wzruszyła ramionami, uśmiechając się. Cyclops zwinął przegrodę i odwrócił się w stronę tylnego siedzenia.

– Kurt, jesteś gotowy?

Nightcrawler wsunął głowę przez przegrodę, zamasyście zadzierając kciuk do góry.

– Dobrze, idziesz ze mną. Kitty, byłaś tu wcześniej, mówiłaś, że dobrze sobie radzisz z komputerami... rozejrzyj się, zobacz, czy możesz się włamać do systemu, ale uważaj, żeby ci ludzie cię nie zobaczyli. Są uzbrojeni i niezwykle niebezpieczni. Kapujesz? – przerwał i dodał: – Jeśli znajdziesz naszych, najpierw uwolnij Wolverine’a. Potem stań z boku.

Kitty pokiwała głową z szeroko otwartymi oczami. Zasalutowała, wtopiła się w drzwi samochodu i zniknęła.

– Ta mała – powiedział Nightcrawler – jest całkiem niezła.

Cyclops skinął głową.

– Może być właśnie tym, czego potrzebujemy. Nowym początkiem. – Otworzył drzwi. Wyszli na zimne powietrze. W pobliżu stał dwupiętrowy budynek laboratoryjny. Wejścia do niego strzegło trzech mężczyzn w mundurach pionków. Nawet nie spojrzeli na samochód. Parking był wystarczająco ciemny i ponury, aby ukryć dwie postacie w uniformach.

– Coś tu jest nie tak – powiedział Nightcrawler szeptem. – Mam na myśli tę misję.

– To plan Jean. – Cyclops wzruszył ramionami.

– Może to dlatego.

– O wilku mowa...

Wskazał na niebo tuż ponad drzewami. Widać tam było odległy jeszcze blask zbliżającego się światła. Pionki też je zauważyły. Odeszły od budynku, patrzyły w górę i rozmawiały stłumionymi głosami.

– Idź moim tropem. – Nightcrawler uśmiechnął się i zniknął w obłoku dymu, pojawiając się kilka metrów bliżej budynku.

Cyclops pobiegł schylony, nie spuszczać wzroku z linii drzew. Wysoko nad nimi jaśniał charakterystyczny ślad ognistej Phoenix, rozświetlając niebo. Strażnicy podbiegli w jego stronę, powarkując w nadajniki na ramionach.

Cyclops obejrzał się, gdy dotarł do drzwi. Strażnicy zgromadzili się na parkingu, widoczni w blasku słupa światła, i patrzyli w górę. Jean była zbyt wysoko i poruszała się zbyt szybko, żeby mogli dostrzec w płomieniu jej ludzką postać.

Nightcrawler teleportował się, zaskakując Cyclopsa.

– Masz kartę dostępu? – zapytał. Cyclops skinął głową, wyciągając kartę Johnny’ego Quinonesa, i wsunął ją do czytnika elektronicznego zamka. Drzwi kliknęły i rozsunęły się.

Korytarz był w całości wyłożony metalem, wzdłuż niego ciągnęły się ciężkie drzwi i ciemne okna. Odtworzyli przybliżony układ kompleksu z opisu Kitty i wyników skanowania umysłu pionka przez Jean. Jeśli informacje były dokładne, w tym budynku znajdowało się laboratorium badawcze, w którym uwięziono pozostałych X-Menów.

– Jak dotąd mamy szczęście – powiedział Nightcrawler, wskazując na pusty korytarz. Ledwie to zrobił, usłyszeli zbliżające

się zza rogu kroki, kilka metrów od nich.

– Musiałeś to powiedzieć? – Cyclops sięgnął po wizjer.

– Poczekaj chwilę, *mein Freund*. Nightcrawler dotknął jego ramienia. – Jest coś, czego chciałem spróbować.

Cyclops cofnął się, marszcząc brwi. W jego polu widzenia pojawił się pionek z podniesioną bronią. Po chwili dołączył do niego drugi strażnik, a potem trzeci.

– Kurt? – odezwał się Cyclops.

Mutant z niebieskim futrem zniknął i pojawił się w powietrzu tuż przed pierwszym pionkiem. Zdzielił mężczyznę w twarz i teleportował się ponownie, materializując się za drugim pionkiem. Uderzył go pięściami w kark i zniknął w chwili, gdy trzeci pionek odwracał się w jego stronę.

Nightcrawler pojawił się ponownie, tym razem nieco wyżej.

– A kuku! – krzyknął Nightcrawler i walnął pięścią w zamaskowaną twarz mężczyzny. Trzej strażnicy upadli na podłogę jednocześnie. Kolejne *bamf* i Nightcrawler powrócił tam, skąd wystartował. Stał u boku Cyclopsa. Ani razu nie dotknął podłogi.

– Bardzo imponujące – powiedział Cyclops.

– Dziękuję panu! – Nightcrawler uklonił się teatralnym gestem.

– *Scott*.

Cyclops podskoczył i rozejrzał się. Głos rozbrzmiewał w jego głowie.

– *Jean*?

Nie. To był ktoś inny.

– *Scott Summers*? – odezwał się ponownie głos.

– Kurt, zauważyli nas. – zwrócił się do Nightcrawlera.

– Ruszaj. Znajdź Storm i pozostałych!

– Ale... – zawahał się Nightcrawler.

– Oni mają telepatkę, jest w mojej głowie. Zostałem zaatakowany. Musisz iść sam. To rozkaz.

– Bądź ostrożny – odparł Nightcrawler i skinął głową. Potem znów zniknął.

Cyclops potrząsnął głową, jakby starał się pozbyć intruza. Kiedy podniósł wzrok ponad ciała poległych strażników, wiedział, co zobaczy.

– Emma Frost, jak sądzę.

Stała sama, lodowate zjawisko w wysokich butach, ciasnym gorsecie i dramatycznej białej pelerynie. W jej przenikliwych oczach nie było śladu strachu czy wahania, kiedy stanęła twarzą w twarz z jednym z najpotężniejszych X-Menów. Jej głos znowu zabrzmiał w głowie Cyclopsa.

– *Miło mi.* – Czuł macki myśli, elektryczne impulsy, które wniknęły do jego mózgu i sondowały go. – *Cierpisz z powodu straty* – powiedziała. – *Tyle się dowiedziałam od twoich przyjaciół. Ale twoja struktura psychiczna... nie pasuje do człowieka w żałobie.*

Cyclops cofnął się, z wszystkich sił próbując ograniczyć dostęp do swojego umysłu. Zmusił się do myślenia o trywialnych rzeczach – plotkach na temat gwiazd, komunikatach o natężeniu ruchu w Westchester, topiarach wokół rezydencji.

– *Chłodno na zewnątrz. Czy powinienem iść do fryzjera?*

– Och! – powiedziała głośno Emma. – Ktoś cię nauczył obrony. Może jakaś bliska osoba?

– W co ty grasz? – zapytał. – Dlaczego porywasz mutanty?

– To? – Wykonała lekceważący gest w powietrzu. – To był pomysł Shawa. Wkrótce go poznasz.

Zrobił krok do przodu, dotykając przełącznika z boku wizjera. Nie poruszyła się.

– Czy muszę usunąć cię z drogi? – zapytał.

– To jedna z opcji. – Uśmiechnęła się, a potem spojrzała dziwnie poważnie. – Myślę jednak, że oboje mamy ze sobą wiele wspólnego.

Poczuł wybuch gniewu. Oczy za wizjerem rozbłysły na czerwono.

– Teraz jestem tego pewna – mruknęła. – Summers, oboje zajmujemy się szkoleniem mutantów, ucząc ich używania mocy. Moja szkoła jest tylko trochę... bardziej surowa niż twoja.

Potrząsnął głową, starając się ją oczyścić. Wycofała macki, z nieznanego powodu szanując jego prywatność... Jednak jej widok, jej słowa, potrafiły w nim jakąś strunę, budząc coś, czego nie potrafił zidentyfikować.

– Pani Frost... Emmo – powiedział. – Czego chcesz?

– Wiesz, nikt mnie o to nigdy nie spytał. – Uśmiechnęła się lekko. – Uważam się za feministkę czwartej fali. Staram się podnosić mój status w bardzo zamkniętej, zdominowanej przez mężczyzn, ale potężnej organizacji.

– Hellfire Club.

– Tak! – odpowiedziała. – I nie chodzi tylko o mnie. Jestem w pewnym sensie wojowniczką walczącą za sprawę wszystkich kobiet. Dlatego chciałam zrekrutować twoją małą Kitten. Pamiętasz

ją? Kędzierzawą prymuskę z irytującym nawykiem przechodzenia przez ściany?

– Co z nimi zrobiłaś? – zapytał z naciskiem. – Ze Storm i pozostałymi?

– No cóż... opukiwałam ich umysły. Gromadząc to, co wiedzą, zdobywając cenne fragmenty, powiedzmy, wrażliwych danych. Wiele się dowiedziałam o twojej szkole, twoim zespole. I dużo o tobie.

– Czy oni żyją?

– Nie cackam się, Scott, ale odzyskają siły. A przynajmniej na to wygląda. – Zrobiła krok do przodu. – Mam jednak inne plany co do nas.

Miał wrażenie, że jest wrośnięty w podłogę, nie mógł się ruszyć. Czuł zapach jej perfum – ostrą, odurzającą woń.

– Nie atakuję cię, Scott. – Wyciągnęła rękę i dotknęła jego piersi. – Daję ci szansę. Shaw jest... cóż, nasz związek nie należy do najprostszych. Wiesz coś o tych sprawach.

Wiem – uświadomił sobie.

– Chodzi o to... – uśmiechnęła się – że być może wolałabym innego partnera. Kogoś mniej przesiąkniętego dusznymi tradycjami klubu, mniej zakorzenionego w przeszłości. Kogoś równego mnie. – Podniosła głowę, dotykając nią podbródka Cyclopsa. – Wyobraź sobie – westchnęła – twoich żołnierzy X-Menów w najbardziej ekscytującej grze. Grze z zasadami, nagrodami... i karami...

Ich usta dzieliło teraz zaledwie kilkanaście centymetrów.

– ...a ty byłbyś ich Białym Królem.

Jej słowa były absurdalne, szalone. A jednak Emma miała w sobie coś... Poczul się przez nią przyciągany, hipnotyzowany na poziomie, który ledwo rozumiał.

Jean – powiedział sobie. – Pomyśl o Jean! Właśnie wstała z martwych po raz drugi. Nie możesz jej teraz zdradzić, nie możesz dać się złapać na jakieś telepatyczne sztuczki...

Emma odsunęła się i uniosła brew.

Z bocznej alejki emanowała ciemnoczerwona poświata, rozszerzając się i wypełniając cały korytarz. Cyclops patrzył, jak światło ułożyło się w ognistą postać drapieżnego ptaka, który wymachiwał płonąca głową z boku na bok w cichej furii. W sercu bestii stała Jean Grey. Jej oczy rozblęły jasno, a potem pociemniały, tłąc się nieludzką żółtą barwą.

Gdy odwróciła się do Frost, wydawało się, że każdy centymetr ciała Jean pulsuje wściekłością.

– Biała Królowa – powiedziała.

Oczy Emmy rozszerzyły się – to była pierwsza oznaka zwątpienia, słabości, którą dostrzegł w niej Cyclops. Wpatrywała się w Phoenix badawczo przez długą chwilę, nie zdradzając strachu. Na jej twarzy grała dziwna emocja.

Zszokowany uświadomił sobie, że była to litość.

– Och – powiedziała. – Och, Scott, tak mi przykro.

WEJŚCIE do kompleksu Frost nie przysporzyło X-Menom problemów, ale poruszanie się po tym labiryncie – owszem. Kitty nie do końca zapamiętała plan piętra. Podczas swojej poprzedniej wizyty zbyt pochłaniało ją ratowanie własnego życia.

W połowie wąskiego korytarza usłyszała kroki i zamarła. Przeszła przez ścianę do małej spiżarki i zaczęła, aż ciężki odgłos butów zniknie w oddali.

Pomyśl, Pryde! Co powiedziała Jean Grey o tych celach? Dowiedziała się, gdzie one są, skanując mózg tego faceta. Kitty zatrzymała się na chwilę, by rozważyć absurdalność tej myśli. Potem przeniknęła z powrotem na korytarz i ruszyła dalej.

Wchodziła i wychodziła na korytarz, chowając się za każdym razem, gdy ktoś się zbliżał – lekarze w fartuchach, pionki w swoich przerażających maskach. Ledwo zdążyła przejść przez ścianę, gdy trójka rycerzy w ciężkich czerwonych zbrojach przebiegła obok z pistoletami w dłoniach.

Coraz łatwiej przychodzi mi korzystanie z mojej mocy – uświadomiła sobie. Czy na tym właśnie polega bycie X-Manem? Mimo całego niebezpieczeństwa musiała przyznać: *To nie jest złe.*

Korytarz kończył się masywnymi stalowymi drzwiami. Rozglądając się szybko wokół, pochyliła głowę i ruszyła ostro do przodu – po czym stanęła jak wryta, tłumiąc westchnienie.

W pomieszczeniu były trzy klatki, wszystkie zawieszane u sufitu. W pierwszej znajdowała się Storm, w drugiej Wolverine, a Colossus w ostatniej. Wciśnięci w zakratowane pomieszczenia, wszyscy wyglądali na odurzonych. Żadne z nich nie zauważyło jej pojawienia się.

Kitty ruszyła w stronę Petera, lecz zatrzymała się w pół drogi. Rozkazy Cyclopsa były jasne.

– Najpierw Wolverine – powiedział. – A potem stań z boku.

Podeszła do Wolverine'a. Klęczał na podłodze klatki, prawie

nagi, z rękami uczezionymi krat. Naprawdę wyglądał jak zwierzę, bezmyślna bestia. Nawet nie wrogo – po prostu bezradnie.

– W-Wolver... – powiedziała. – Logan?

Nie zareagował. Wyciągnęła do niego rękę i poczuła falę zawrotów głowy.

Klatki – uświadomiła sobie. – *Muszę... robić coś z twoim mózgiem!* Cofając się, okrążyła boks. Na jego tylnej ścianie znajdował się ekran dotykowy LCD z małą klawiaturą tuż nad centralnym zamkiem klatki. Ekran został zamontowany na metalowym ramieniu, wystarczająco daleko od klatki, by mogła go dosięgnąć bez większego wysiłku. Kitty podwinęła rękawy i strzeliła knykciami.

– Czas włamać się do tego złego chłopca – powiedziała, po czym podniosła rękę do ust, nagle przerażona tym, że ktoś mógł ją usłyszeć. Wstrzymała oddech i przez chwilę nasłuchiwała.

Nic.

PIĘĆ FRUSTRUJĄCYCH minut później wciąż nie znalazła komendy otwierającej klatki, ale przy użyciu ekranu dotykowego udało jej się włamać do głównego serwera Hellfire Clubu. Na stronie startowej widniały insygnia klubu – stylizowana litera „H” i trójząb, z których wznosiły się wyrysowane płomienie. Widziała to już na poduszku. Podprogowe obrazy migwały i gasły, zbyt szybko, by mogła je zobaczyć.

Przejrzała menu. Strona z maską komediową, ozdobioną złowrogimi wąsami. Tablica ogłoszeń poświęcona wyłącznie biczom. Witryna aukcyjna z niepokojącym wyborem skórzanej

odzieży.

Jestem w Dark Webie – uświadomiła sobie. – Tutaj są strony poświęcone niewolnictwu i handlowi ludźmi. Czym jeszcze zajmują się ci goście? Jak głęboko sięga ta sieć?

Jedno jest pewne. To nie są „odpowiednie treści” dla trzynastolatki!

Wolverine jęknął. Kitty podniosła wzrok znad ekranu. Sfrustrowana uderzyła w zamek wierzchem dłoni. Jej moc aktywowała się instynktownie, chroniąc ją przed zranieniem. Gdy tylko jej dłoń przeszła przez mechanizm, zamek otworzył się z cichym szczękiem.

Cofnęła się zaskoczona. Łał – pomyślała. – Wygląda na to, że nie wiem wszystkiego o mojej mocy. Może jednak potrzebuję kilku lekcji od Storm!

Drzwi klatki otworzyły się i wytoczył się z niej Wolverine. Kitty wyciągnęła ręce, złapała go i razem upadli na podłogę. Logan znów jęknął i złapał się za głowę. Potem ją zauważył.

– Jesteś... tą małą.

– A ty jesteś zaskakująco ciężki – odparła.

– Dlaczego tak trudno mi... pozbierać myśli?

– To klatki, one cię ogłupiają. Chodź... za minutę dojdiesz do siebie. – Nadal przyglądając mu się z niepokojem, poprowadziła go z dala od klatki. Logan poruszał się jak zranione zwierzę, szarpiąc się i wydając ciche pomruki. Wiedziała, że to jeden z tych dobrych, ale był także najbardziej przerażającym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek spotkała.

– Nie tylko klatki – warknął Logan, tym razem głośniej

i gniewniej. – Ta lodowa dama... zrobiła coś z moją głową. – Spojrzał na uwięzionych Storm i Colossusa, po czym warknął ponownie.

– Co tu robisz, mała?

– Ratuję cię!

– Całkiem sama?

Zanim Kitty zdążyła odpowiedzieć, poczuła z tyłu uderzenie energii. Wykręciła się i próbowała przeniknąć, ale było już za późno. Jakiś ładunek przebiegł przez nią, wysysając jej moc. Upadła na podłogę, tracąc przytomność.

– **DOBRA, MUTASIE.** Stój, gdzie stoisz.

Wolverine spojrzał na dwóch pionków w drzwiach. Zwykli ludzie. Bez specjalnych mocy, tylko broń w rękach.

Ogarnęła go fala zawrotów głowy. Już tak się kiedyś czuł, podczas projektu Weapon X. Wtedy został porwany, odurzony i siłą przymocowany do warstwy niezniszczalnego adamantium.

Co ta czarownica ze mną zrobiła?

Zawroty głowy minęły. Ignorując opancerzonych mężczyzn, przykucnął, żeby zobaczyć, co z Kitty. Jej oczy były zamknięte, ale miała regularny puls.

– Wracamy do klatki, mutancie – powiedział pionek zniekształconym przez maskę głosem i lekko potrząsnął ręką z karabinem. – Grzecznie i powoli.

Wolverine podniósł obie pięści.

– Szefie, właśnie popełniłeś największy błąd swojego życia... – *Snikt.* – ...i ostatni.

9



MOC JEAN rozbrzmiewała w jej wnętrzu niczym pieśń. Głośna, dudniąca, zagłuszająca wszystkie myśli i wszelki rozsądek. Słowa stojącej przed nią lodowatej kobiety ledwo do niej docierały.

– A zatem – powiedziała Emma Frost. – Jean Grey w końcu nie jest taka martwa.

Jean wpatrywała się w oczy Białej Królowej. Kiedy się odezwała, jej głos wypełnił powietrze, odbijając się echem w umyśle Emmy. Jean ledwo sama mogła go rozpoznać.

– Rozumiem, że uważasz się za kogoś w rodzaju telepaty.

Frost utrzymywała kontakt wzrokowy, ale cofnęła się o krok.

– Ty i ja... nie różnimy się tak bardzo – odpowiedziała. – Niespokojne, potężne kobiety. Kierowane potrzebą i otoczone przez mężczyzn... – Jej oczy zbłądziły na krótko w stronę Scotta Summersa obserwującego całą scenę. – ...którzy nigdy ich nie rozumieją.

Jean podeszła do przodu, wyciągając mentalne czułki. Frost odbiła je, starając się zachować myśli w ukryciu. Wysięk wypisany na jej twarzy nie umknął jednak uwadze Jean.

– Znam cię – powiedziała Jean. – Znam twoje małe gierki. Twój Hellfire Club.

Frost roześmiała się.

– Myślisz, że to jest Hellfire Club? – zatoczyła ręką wokół. – Ta klatka dla chomika, ten wspaniały kompleks biurowców? Nie. O nie, kochana. Hellfire Club jest tak stary jak drzewa, równie pierwotny jak płomień w ludzkich sercach. – Uśmiechnęła się. – Uważaj, żebyś się nie poparzyła.

– Powiedz mi, mała królowo. – Jean wskazała na Cyclopsa. – Czy przyszła ci do głowy ta przestroga, gdy próbowałeś zabrać to, co należy do mnie?

Scott wzdrygnął się. Na jego twarzy pojawił się błysk strachu – a może poczucia winy?

Frost przyglądała mu się przez chwilę. Wydawało się, że szuka odpowiednich słów, by wyrazić jakąś nieznaną ideę. Kiedy spojrzała na Jean, jej wyraz twarzy był dziwnie łagodny. Prawie... miły?

– Jesteście ze sobą tak... połączeni – powiedziała Emma. – Oddani sobie, pełni dobrych chęci, a jednak niosący brzemię wspólnej historii. Jesteście...

– Kim? – Jean poczuła moc, narastającą wściekłość. – *Powiedz to.*

– To... nie należy do mnie.

– Powiedz mi. Powiedz mi, co widzisz, jaki jest werdykt Białej Królowej.

– Jean – odezwał się Scott.

Znów ta pieśń. Ogłuszająca, wrząca, wypełniająca ją. Czysty

gniew, pasja poza wyobrażeniem. Umysł w ogniu, szpony gotowe do ataku. Rozpostarte płomienne skrzydła.

Frost przysunęła się bliżej, prawie do krawędzi płomieni. Spojrzała w oczy Jean niemal bez drżenia.

– Jesteś stracona – powiedziała.

Phoenix uderzyła z nieludzkim okrzykiem.

IMPET poderwał Cyclopsa z nóg, ciskając go w tył. Krzyknął, osłaniając twarz przed żarem, i uderzył w ścianę z głuchym łoskotem. Potem oszołomiony osunął się na podłogę.

Podniósł wzrok i ujrzał niewyraźny obraz dwóch kobiet stojących przed nim w wąskim korytarzu. Moc Jean była jak żywa istota, wijący się ognisty pazur wydobywający się z jej wyciągniętej dłoni.

Emma trzymała się obiema rękami za głowę.

– Tak – oznajmiła Frost. – Uważam się za telepatkę.

Szpon Phoenix wysunął się, ciągnąc za sobą ogień, i chwycił Białą Królową. Frost opierała się, ale płomień mocno owinał się wokół niej. Podniósł ją, potrząsnął i rzucił nią o ścianę. Tynk i metal wgięły się i odpadły, odsłaniając sterylne laboratorium medyczne po drugiej stronie.

Jean Grey uśmiechnęła się.

Znajomy dźwięk *bamf* i powiew siarki. Nightcrawler wyciągnął rękę z trzema palcami i podniósł Cyclopsa na nogi.

– Co... – Mutant z niebieskim futrem spojrzał na Jean i Emmę. – Co tu się wyrabia?

Storm i Wolverine wyrosli jak spod ziemi. Za nimi szedł

Colossus, niosąc na rękach bezwładną postać.

– Kitty! – krzyknął Cyclops. – Czy coś jej się stało?

– Wydobrzeje. – Colossus opuścił dziewczynę na podłogę. Kitty poruszyła się. – Uderzyła ją moc.

– Nic mi nie jest – powiedziała nastolatka, pocierając głowę. – Tylko trochę... co, do cholery, wyrabia panna Grey?

Cyclops obrócił się i zobaczył, że Emma Frost zerwała się na nogi i wysunęła głowę do przodu, by wystrzelić w przeciwniczkę serię mentalnych błyskawic, tak intensywnych, że było je widać gołym okiem. Jean stała niewzruszona. Wydobywały się z niej ogniste fale psi. Sprawiała wrażenie całkiem obojętnej, jakby atak w ogóle jej nie dotknął.

Bawi się – pomyślał Cyclops. – *Droczy się ze swą ofiarą.*

Płyty sufitowe runęły na podłogę. Cyclops nakazał pozostałym odwrót, ale Wolverine przepchnął się obok niego, prawie go przewracając.

– Jeannie? – zapytał Logan. – Ona żyje?

– Och – szepnęła Storm.

– Przepraszam, *mein Freunde* – odparł Nightcrawler. – Nie miałem kiedy ci o tym powiedzieć.

– Cyclops – odezwała się Storm, wpatrując się w niego. – Ta kobieta... która walczy z Jean. To ona nas schwytała. Badała nasze umysły. – W jej zazwyczaj spokojnym głosie pojawiło się drżenie.

– To bolało – dodał Colossus.

– Dwie telepatki – powiedział Cyclops. – Nie możemy nawet dostrzec poziomów, na których one walczą. – W jego umyśle powróciły wypowiedziane zaledwie przed chwilą słowa Frost: *gra*

z zasadami, nagrodami... i karami.

Potrząsnął głową, zaniepokojony wspomnieniem.

Ognisty pazur rzucił Frost w dół, przyciskając ją do podłogi. Jean zawisała nad nią jak gniewny bóg, z szeroko rozłożonymi ramionami. Wyraz jej twarzy był przerażający, niehumaniczny. Parapsychiczna energia wypełniła powietrze, brzęcząc w głowie Cyclopsa. Zaczął „słyszeć” fragmenty ich myśli, oderwane skrawki umysłów dwóch kobiet.

Mała królowo

Opróżniając mój...

Mogłabym

Potężny, mocniejszy niż

Mogłabym ci pokazać

Hellfire Hellfire Hell...

Odgłos kroków narastał ponad zgiełkiem walki. Do Cyclopsa podeszło trzech mężczyzn w ciężkich czerwonych zbrojach, każdy uzbrojony w połyskującą broń.

– Rycerze! – krzyknęła Kitty.

Cyclops ruszył do przodu, sięgając po wizjer.

– Mam ich – zaczął.

Ale Storm była już w powietrzu. Rozłożyła ręce i przywołała gwałtowny wiatr, który zawirował mocnymi podmuchami w wąskim przedpokoju. Rycerze pokrzykiwali i wymachiwali bronią, próbując się uchylić przed pędzącymi prądami powietrza.

Kiedy Colossus ruszył w kierunku napastników, jego ciało przekształciło się w stal.

Zamachnął się i rąbnął jednego z nich w kask. Całe pomieszczenie zatrzęsło się od uderzenia metalu o metal. Rycerz runął na podłogę bez zmysłów.

Logan wskoczył na drugiego napastnika. Pazury Wolverine'a przeorały zbroję mężczyzny, z którego brzucha i nogi trysnęła krew. Krzyknął oszalały z bólu i uciekł w dół korytarza, potykając się o kawałek płyty opadłej z sufitu.

– Przepraszam, Cyke. – Logan schował swoje pazury. – Nadal nie wychodzi mi słuchanie rozkazów.

– Tym razem ci daruję – odpowiedział Cyclops.

Ostatni rycerz podniósł broń do ataku. Nightcrawler teleportował się w stronę napastnika z Kitty na rękach. Z szeroko otwartymi oczami wcisnęła palce w hełm mężczyzny. Jego kończyny zeszywniały, w złączeniach pancerza błysnęły iskry. Zachwiał się i upadł.

Cyclops spojrzął w stronę walczących kobiet. Ściana korytarza zmieniła się w stertę gruzu, odsłaniając dwukondygnacyjne laboratorium w głębi. Stoły i zlewozmywaki leżały poprzewracane, z pękniętych rur tryskała woda. A na środku pomieszczenia...

Emma Frost kulila się, trzymając się biurka. Jean wisiała w powietrzu. Sięgnęła w dół Siłą Phoenix i otoczyła nią swoją

przeciwniczkę. Gdy Emma krzyknęła, Cyclops ponownie usłyszał jej myśli:

Zabijasz mnie

Mogłabym

Ostatni raz

Mogłabym ci pokazać

Ostatnia szansa

Logan wpatrywał się w Jean.

– Musimy jej pomóc – powiedział.

– Nie sądzę, żeby to akurat ona potrzebowała pomocy. – Cyclops wskazał na korytarz. – Wyjdźcie stąd, wszyscy. To miejsce zaraz wyleci w powietrze.

– Nie zostawię Jeannie. – Wolverine stanął między Scottem a laboratorium.

– Logan – powiedział Cyclops – jesteś wyczerpany. Idź w bezpieczne miejsce.

Wolverine wysunął pazury z groźnym *snikt*.

– Zabierz małą w bezpieczne miejsce – nalegał Cyclops.

Logan warknął głośno. Następnie rzucił gniewne spojrzenie Cyclopsowi i Kitty, która stała obok Storm, Colossusa i Nightcrawlera.

– Chodźmy – powiedział Logan i ruszył. Storm uniosła się, zatrzymując się wyłącznie po to, by spojrzeć za siebie na płomienne energie Jean. Colossus chwycił Kitty na ręce, a Nightcrawler zawahał się tylko chwilę i teleportował się przed nich.

W laboratorium Jean trzymała Emmę za szyję. Ognistym pazurem uniosła platynowowłosą kobietę z podłogi. Oczy Frost rozszerzyły się; chwyciła się za gardło, łapiąc powietrze. Jean unosiła się nad nią ze złośliwym uśmiechem na twarzy. Kiedy pochyliła się, by przemówić do swojej przeciwniczki, jej słowa wypełniły umysł Cyclopsa:

Mogę pokazać ci tajemnice.

Pochylił się. W oczach Jean zobaczył... wszystko. Światy, gwiazdy, galaktyki. Starożytne prawdy, ogniste energie dzierżone przez olbrzymy w dawnych epokach. Pierwotne siły wybuchające w sercach słońc, moc, która mogłaby wyrwać dziury w czasie. Wszystko minione, zapomniane, zagrzebane pod piaskami czasu. Do teraz.

Chciałabyś?

– Nie! – Frost odwróciła głowę.

– Jean! – krzyknął Cyclops.

Chciałabyś zobaczyć?

– JEAN!

Kręciła głową, starając się skupić wzrok. Po raz pierwszy zdawała się go zauważać.

– Nie rób tego.

Jej oczy, w których krążyły gwiazdy i atomy, zwęziły się.

Ona mnie zabije – pomyślał. – Tylko ułamkiem jej nowo odkrytej mocy mogłaby wyciągnąć pazur i zakończyć moje życie. Najpierw ja, potem Emma, a potem...

Nagle Jean spojrzała w niebo, upuszczając Emmę Frost niemal swobodnym ruchem. Frost złapała się za gardło, upadając na

spaloną żarem podłogę. Phoenix rozbłysnęła jasno...

...i zmiotła dach z budynku.

Instynkt Cyclopsa nakazywał mu uciekać, ale nie mógł opuścić Jean. Nie potrafił porzucić kobiety, którą kochał, bez względu na to, co robiła – lub czym się stawała. Wystrzelił wiązkę optyczną w górę, obracając w pył płytę sufitową, zanim spadła mu na głowę. Kolejna wiązka z oka przepołowiała spadające okno. Cyclops poruszał głową z boku na bok, w górę i w dół, odchylając się i niszcząc kawałki ścian, sufitu oraz izolacji.

Rozległy się alarmy. W oddali biegali ludzie, krzycząc i wydając rozkazy. Para pionków przemknęła obok z maskami luźno zwisającymi z twarzy. Nie zatrzymali się nawet, by na niego popatrzeć.

Powietrze wypełniał pył. Cyclops nie widział Jean ani Emmy, ledwie mógł zobaczyć cokolwiek w odległości większej niż pół metra. Kaszląc, zmusił się do zachowania czujności. Jeden zabłąkany kawałek gruzu mógłby obciąć mu głowę.

Wkrótce fragmenty sufitu przestały spadać. Alarmy ucichły. Jedna ściana korytarza nadal stała, w miejscu dachu była jednak wielka dziura. Pierwsze promienie porannego słońca wnikały z jednej strony, oświetlając drobiny pyłu, które zebrały się w podziurawionej podłodze.

Cyclops z narastającym przerażeniem odwrócił się w stronę laboratorium. Ogromna przekątna belka podtrzymująca dach zablokowała otwór w wysadzonej ścianie. W głębi zobaczył krajobraz po bitwie – spiętrzone stoły, sprzęt laboratoryjny, rozszczerzone płyty sufitowe i kawałki potłuczonych dachówek.

Jean!

Wypuścił strzał z wizjera i przepołowił krokiew. Zanim jej kawałki uderzyły o ziemię, wbiegł do pomieszczenia. Schylił się i zaczął kopać w gruzach. Podniósł drewnianą deskę i odrzucił ją na bok. Złapał oderwany laboratoryjny zlew, podniósł go i rzucił z głośnym hukiem.

Jean – pomyślał, próbując wysłać impuls ze swojego umysłu na zewnątrz. Jesteś tutaj?

Kopał dalej, odgrzebując dachówki i nogi stołów. Komputer stacjonarny z rozbitym ekranem. Jego rękawice rozerwały się na rampie oświetleniowej, która spadła z sufitu. Metal przeciął mu skórę, ale Cyclops nawet nie zauważył krwi kapiącej z palców.

Odpowiedz mi. Nie możesz być martwa. Nie możesz!

Stos gruzu za nim stał się większy niż ten przed nim. Nadal kopał, chwytając... kawałek złotej szarfy? Podniósł go i poczuł, że serce w nim zamarło.

Kimkolwiek jesteś, kimkolwiek chcesz być... Nie obchodzi mnie to. Po prostu cię pragnę. Dzisiaj. Jutro. Na zawsze.

Coś poruszyło się w stercie gruzu. Pochylił się, grzebiąc gołymi rękami.

Nie stracę cię ponownie!

Jean wystrzeliła w górę, rozrzucając gruz. Gdy Cyclops cofnął się o krok, potykając się, forma Phoenix pojawiła się dookoła Jean, skrzeczając w otwarte niebo. Uniosła się, a z jej ust wydobył się cichy krzyk.

Potem osunęła się prosto w ramiona Scotta. Złapał ją i ścisnął mocno, upadając na kolana. Pogłaskał ją po włosach, czując ciepło

jej silnego ciała, dotyk dłoni luźno owiniętych wokół jego karku. Jęknęła i wygięła się w jego uścisku.

Kiedy spojrzała na niego, płomień Phoenix zniknął. Wyglądała na zaskoczoną i dezorientowaną. Tak całkiem po ludzku.

– Tu jest tak cicho – powiedziała.

– Chodź – zachęcił Jean z uśmiechem. Postawił ją na ziemi i objął ramieniem. Odwzajemniła jego uśmiech i razem pokuśtykali do wyjścia ze zdewastowanego budynku.

NA ZEWNĄTRZ zrobiło się już całkiem jasno i wybuchł chaos. Pionki i rycerze, niektórzy w niekompletnych zbrojach, wsiadali do jeepów i poduszkowców. Syreny wyły i cichły w oddali. Płomienie pożerały budynek laboratorium, sięgając niebezpiecznie blisko sąsiednich drzew.

Jean czuła się dobrze w ramionach Scotta. *Brakowało mi tego* – uświadomiła sobie. *Brakowało mi wielu rzeczy.*

Po raz kolejny moc Phoenix przejęła nad nią kontrolę. Znowu rozszerzała się, stopniowo nabrzmiewała – a potem opadała, pozostawiając ją całkowicie wyczerpaną. Udało jej się nad tym zapanować, pokonać wroga i uratować życie przyjaciół. Za każdym razem moc rozpalala się jednak coraz bardziej. Płomień podnosił się wyżej, kusząc ją, by poddała się jego niezemiowskiemu głodowi.

Gdzie to się skończy?

Gdy kuśtykali chodnikiem z dala od budynku, czarna limuzyna z piskiem opon zatrzymała się tuż przed nimi. Otworzyło się okno od strony kierowcy, ukazując Logana za kierownicą i Nightcrawlera obok niego.

– Potrzebujecie podwózki? – zapytał Logan.

Okno na tylnym siedzeniu uchyliło się. Storm uśmiechnęła się do Jean. Z drugiej strony Kitty siedziała trochę zbyt blisko Colossusa.

– Byłeś tam taki dzielny – powiedziała do niego Kitty.

– Byłem? – Oczy Colossusa rozszerzyły się.

– Jean – Storm otworzyła drzwi. – Tak bardzo się cieszę, że cię widzę.

– Mamy dużo do nadrobienia – dodał Colossus.

Scott gestem dłoni wskazał Jean samochód. Zawahała się, zerknęła na chwilę w stronę płonącego budynku. Wydobywający się z niego dym wypełniał powietrze. Zakaszłała, czując zapach ciemnego popiołu – i coś jeszcze.

Piżmową wodę kolońską.

Zamarła. Obróciła się w samą porę, żeby zobaczyć mężczyznę na koniu, jadącego w kierunku głównej bramy. Mężczyznę z innej epoki – w jeździeckich bryczesach, cylindrze, rękawiczkach i nienagannie skrojonym fraku.

Jason?

Odwrócił się i rzucił jej uśmiech. To wilcze, lubieżne spojrzenie, które zdawało się budzić w niej najgłębsze, najbardziej zakazane pragnienia.

Nie – pomyślała. – Nie, nie znowu!

Kiedy mrugnęła, zniknął.

– Jean?

Cyclops przytrzymał drzwi limuzyny, patrząc na Jean. Twarz Scotta była tak blisko, że mogła dostrzec jego źrenice przez gruby

wizjer z kwarcu rubinowego. Bez ostrzeżenia pochyliła się i pocałowała go mocno.

Z zaskoczenia zaparło mu dech, a jego soczewki rozbłysły na czerwono. Objął ją za szyję i przyciągnął do siebie.

– Oooo! – powiedziała Kitty.

– Tak, to jest piękne – warknął Logan. – Ale czy możemy ruszyć tę gablotę, zanim pojawią się gliny?

Jean odsunęła się, wstrząśnięta intensywnością chwili. Cofnęła się o krok i wskazała na samochód.

– Ty pierwszy – powiedziała.

Scott zatrzymał się z dziwną miną. Potem skinął głową, uśmiechnął się i wszedł do środka. Jean podążyła za nim i zajmując miejsce, ścisnęła rękę Storm.

– Moi przyjaciele – powiedziała Jean.

Logan przechylił głowę przez okno przegrody. Przez chwilę przyglądał się Jean, a potem skinął głową. Uśmiechnęła się, powstrzymując łzy. Czowała na sobie spojrzenie Scotta, dostrzegając zmartwienie w jego umyśle. Ale teraz to nie miało znaczenia.

Znowu jesteśmy razem. – Wypełniła ją radość. – *Wszyscy.*

Logan uruchomił silnik. Limuzyna pomknęła daleko, prosto ku wschodzącemu słońcu.

10



– **TO TEN!** – powiedziała Kitty, wskazując biały dom nieco większy niż pozostałe na tej ulicy. Ruszyła biegiem w kierunku frontowych drzwi.

Nad jeziorem Michigan zerwał się ostry wiatr i powietrze stało się chłodniejsze. Scott i Jean mieli na sobie spodnie i lekkie kurtki. On rozejrzał się po cichej ulicy wypełnionej starannie przyciętymi żywopłotami i ścisnął jej dłoń.

– Tu jest miło – powiedział. – Tak... normalnie.

Jean uśmiechnęła się, gdy Kitty włożyła klucz do drzwi.

– To wspaniały dzieciak.

– Tak. – Spojrzał na Jean. – Może kiedyś...

Drzwi otworzyły się.

– Kitten! – Elegancka kobieta w średnim wieku chwyciła zaskoczoną dziewczynę w ramiona.

Scott skrzywił się. Bali się tej chwili. Kitty była poza domem przez prawie trzydzieści sześć godzin, i nadal miała na sobie brudne i poszarpane ubrania. Nie trzymali na statku dżinsów w rozmiarze odpowiednim dla nastolatki.

– Mamo! Wszystko w porządku. – Kitty próbowała wyrwać się z objęć matki. – Hej, już wiem, do której szkoły chcę chodzić, a do której nie.

Kiedy się odezwała, w drzwiach pojawił się rosły mężczyzna.

– Ja się tym zajmę, Thereso – powiedział.

Scott wyciągnął rękę.

– Panie Pryde, jestem Scott Summers. Rozmawiałem z panem o...

– Wiem, kim jesteś – warknął ojciec Kitty. – Chcę wiedzieć, co robiłeś z moją córką.

– Tato – zaprotestowała Kitty – nic mi się nie stało.

– Nic? – Theresa Pryde podniosła ramię Kitty. – Popatrz tylko na te siniaki!

– Ludzie z twojej szkoły powiedzieli, że odwiozą ją do domu za godzinę. To było wczoraj.

– A kawiarnia, do której poszli, została praktycznie zrównana z ziemią! Myśleliśmy, że nasza córka nie żyje.

Scott na chwilę zawiesił wzrok na Jean. Coś w jej twarzy go zaniepokoiło. Szybko odwrócił się do Pryde'ów.

– To był niefortunny... zbieg okoliczności – powiedział. – Czy możemy wejść i o tym porozmawiać?

– Nie sądzę. – Carmen Pryde skrzyżował ramiona, patrząc na niego zimnym wzrokiem. Jego żona stała obok niego w drzwiach, ściskając Kitty, która wydawała się umierać ze wstydu. – Właściwie to żądam, żebyś trzymał się z dala od mojej córki. Nie chcę cię więcej widzieć w jej pobliżu.

– Tato! – krzyknęła Kitty.

– Twój ojciec ma rację. – Oczy Theresy Pryde zwęziły się. Spojrzała na Scotta, a potem na Jean. – Zamierzam nawet przeprowadzić dochodzenie w sprawie tak zwanego „Instytutu”. Jakie są twoje tajemnice, Summers? Co właściwie robisz z dziećmi, które...

W jednej chwili atmosfera się zmieniła. Scott poczuł dziwne mrowienie, uczucie ciepła na skórze. Pani Pryde urwała w pół zdania i spuściła wzrok, potrząsając głową.

– Co ja mówiłam? – spytała. – Carmen?

– Ja... – Pan Pryde pokręcił głową. Kiedy znów uniósł głowę, na jego twarzy pojawił się szeroki uśmiech. – Summers – powiedział, wyciągając dłoń. – Oczywiście. Miło pana wreszcie poznać.

Co do cholery? – Scott przez chwilę wpatrywał się w rękę Pryde’a. Wreszcie wyciągnął dłoń i potrząsnął nią niepewnie.

– Moja żona i ja byliśmy pod wielkim wrażeniem wczorajszej prezentacji pani Munroe – kontynuował pan Pryde. – Prawda, kochanie?

– Tak. O tak. – Pani Pryde również się uśmiechnęła. – W rzeczywistości od tamtej pory dużo rozmawialiśmy o twojej szkole.

– Właśnie mieliśmy zjeść brunch. – Carmen Pryde zaprosił ich gestem do środka. – Może do nas dołączycie?

Scott przyglądał mu się przez chwilę, po czym spojrzał na Kitty. Dziewczyna wydawała się zaskoczona. Popatrzyła na matkę, na ojca, a potem znów na Scotta. Potem wzruszyła ramionami.

Jean – pomyślał. – Zrobiła to.

Spojrzał na nią pytająco. Rzuciła mu dziwny uśmiezek samozadowolenia i wzruszyła ramionami.

Użyła swoich telepatycznych zdolności – pomyślał z rosnącym niepokojem. – Nie przeciwko wrogowi, ale dwojgu zwykłych ludzi. Zmodyfikowała ich wspomnienia, zmieniła ich postrzeganie, aby pasowały do jej celów. Jean nigdy wcześniej tego nie robiła. Było to sprzeczne ze wszystkim, w co wierzyła.

Potem przypomniał sobie pionka Hellfire – mężczyznę na statku. Kiedy Jean go przesłuchiwała, upadł. Zrzuciła to na Emmę Frost, ale... czy w tym wypadku Jean też posunęła się za daleko?

– Z przyjemnością wejdziemy, panie Pryde – powiedziała Jean. Ruszyła za Pryde'ami do środka, nie oglądając się za siebie.

Scott został sam na schodach. Drżał z zimna, przypominając sobie zachowanie Jean w laboratorium Frost. Była dzika, prawie jak zwierzę. Tak różniła się od dziewczyny, z którą dorastał, kobiety, w której się zakochał. Silniejsza, bardziej stanowcza. Bardziej bezwzględna.

A jednak pod wieloma względami w ogóle się nie zmieniła.

Jest coś, czego nie dostrzegam – pomyślał. – Ktoś nami manipuluje, jakaś niewidzialna obecność. Muszę dowiedzieć się, kto lub co to jest.

Zmarszczył brwi, przypominając sobie uśmiezek na twarzy Jean. Wydawał się znajomy; widział go u kogoś innego, i to niedawno. Z przerażeniem uświadomił sobie, kto to był.

Emma Frost. Biała Królowa.

– Scott? – Jean pojawiła się w drzwiach, uśmiechając się przyjaźnie. – Nie wchodzisz?

Przełknął ślinę, skinął głową i wszedł do środka.

INTERLUDIUM 1



EMMA FROST usiadła przed lustrem, skrzywiła się i złapała za ramię. Szybkim, gwałtownym ruchem wcisnęła je z powrotem do panewki stawu.

Przeszył ją ból, ale starała się nie krzyzczeć. Nawet tutaj, w jej prywatnej kwaterze głęboko pod ulicami Nowego Jorku, nie mogła sobie pozwolić na okazywanie słabości. Hellfire Club miał oczy i uszy wszędzie – również we własnym Wewnętrznym Kręgu.

Uniosła ramię i poruszyła nim. Będzie obolałe przez tydzień – Jean Grey naprawdę spuściła jej niezły łomot, ale wyglądało na to, że niczego jej nie złamała. Spojrzała na swoje odbicie w lustrze, a potem nałożyła na siniec odrobinę korektora.

Podeszła do uchylonych drzwi w kamiennej ścianie. W przestronnej garderobie miała cały asortyment wysokich butów i innych akcesoriów Hellfire. Zawiązała czysty gorset, krzywiąc się, gdy nacisnęła na bolące żebro. Choć niewygodny jak diabli, kostium był jednak częścią roli, którą wybrała.

Zwróciła uwagę na wysuniętą szufladę komody przy toalecie. Było w niej pełno wygodnych ubrań: białe dzinsy i streczowe

spodnie. Popatrzyła na nie i westchnęła smutno.

W tym świecie kobieta musiała dokonywać wyborów.

– Pani Frost? – Przystojny mężczyzna w średnim wieku wetknął głowę przez drzwi. – Potrzebują nas.

– Momencik, Shaw.

Spojrzała na komodę i na leżące w niej wygodne ubrania. Przewróciła oczami, wyciągnęła buty na wysokim obcasie i kopniakiem wsunęła szufladę.

Nie dzisiaj.

Zdjęła z haczyka pelerynę koloru kości słoniowej, zarzuciła ją na ramiona i zamarła, zauważając w lustrze swoją szyję. Podniosła rękę do gardła, dotykając bladoczerwonego śladu pozostawionego przez płonący szpon Phoenix. Podczas walki zobaczyła coś zaledwie przez chwilę. Nieskończony głód i głęboki ból, tak straszny, że mógłby podpalić wszechświat.

Słowa Jean Grey rozbrzmiały w jej mózgu:

Mogłabym pokazać ci tajemnice.

– Pani Frost?

– Już idę!

Odrzuciła głowę do tyłu, celowo zaciskając usta w wyniosłym, królewskim grymasie. Potem zapięła na szyi rubinowy klejnot i ruszyła, by dołączyć do swojego Króla.

SALA Wewnętrzznego Kręgu była duża i mroczna. Jej ciemność rozświetlały tylko świece, pochodnie i kilka ekranów LCD.

Na kamiennych ścianach wisiała broń – muszkiety, topory i pojedynkowe pistolety. Na końcu sali, nad kilkoma kamiennymi

stopniami prowadzącymi do umieszczonego na podium stołu konferencyjnego, wisiał szereg potężnych portretów mężczyzn z dawnych wieków, które otaczały duży ekran ścienny.

Emma weszła do sali, trzymając się za gardło. Shaw chodził tam i z powrotem po stopniu tuż poniżej stołu konferencyjnego. Większy mężczyzna – Harry Leland – siedział przy stole, przeżuwając pieczoną kurę. Kawałki mięsa pokrywały jego niesforną rudą brodę.

– Po raz kolejny z powodzeniem wykorzystałem transakcje wysokich częstotliwości, by poprawić nasze wyniki finansowe – powiedział Shaw. – Z przyjemnością donoszę, że Hellfire Club jest teraz o miliard osiemset milionów dolarów bogatszy niż wczoraj.

– Mmhh! – wymamrotał Leland.

Emma weszła do środka, przepychając się między dwiema służącymi odzianymi w lateks, które niosły tace z jedzeniem i koktajlami. Omiotła komnatę wzrokiem, spoglądając ku rzędom drewnianych stołów, gdzie Krąg urządzał swe prywatne ceremonie. Teraz siedziała tam tylko jedna postać. Mężczyzna był ukryty w cieniu po drugiej stronie sali. W milczeniu obserwował Shawa i Lelanda.

– Większość przychodu zawdzięczamy produkcji broni na dużą skalę – kontynuował Shaw. – Skoro już o tym mowa, Pierce i ja mamy zaplanowane całkiem interesujące spotkanie z nowo wybranym księciem saudyjskim.

Leland wypluł kość, rzucił na bok obgryziony szkielet i znów sięgnął po pieczonego kurczaka. Natychmiast podbiegła służąca ze stosem kolejnych na tacy.

– Nie pochwalasz tego? – Shaw spojrzał na Lelanda.

Zwalisty mężczyzna przestał jeść, odsuwając kęs od ust. Spojrzał na Shawa.

– Dyplomacja – uśmiechnął się drwiąco. – Transakcje wysokich częstotliwości. Czy do tego zostaliśmy zredukowani?

– Przynajmniej pomnażam majątek klubu. – Shaw wskazał na stół. – Wygląda na to, że ty zajmujesz się tylko jego trwonieniem.

– Po to się urodziliśmy! – Leland uderzył pięścią w stół i wstał. – W czasach oryginalnego Hellfire Club człowiek był panem swojego losu. Kształtował go własną wolą i zbrojnym ramieniem na mocy boskiego prawa samych swych narodzin. Cieszył się przyjemnościami, kiedy tylko miał na to ochotę, gdziekolwiek chciał!

Emma skrzywiła się zdegustowana. Leland – znany jako Biskup – to zwykły gbur, marnotrawny syn bogatych rodziców. Shaw, jej Biały Król, jest dwa razy bardziej męski od niego. Nie uszło jednak jej uwadze, że styl życia Shawa, jego pogoń za przyjemnościami, odcisnął swój ślad także na nim. Nie był już tak szczupły jak w zeszłym roku, a wory pod oczami zdradzały jego upodobanie do alkoholu.

Dekadencja miała swoją cenę.

A jednak – zreflektowała się – obaj są bardzo potężnymi ludźmi. Kamieniami milowymi na mojej własnej drodze do władzy.

Leland kontynuował swoje brednie.

– Służący powinni być biczowani! – zagrzemiał. – Szaraczkom należy pokazać, gdzie jest ich miejsce. A kobiety...

Emma odwróciła się, jej peleryna zawirowała w powietrzu. Gdy

Leland urwał w pół zdania, by na nią spojrzeć, na twarzy Frost pojawił się najbardziej przerażający z jej uśmiechów.

– Tak, sir Lelandzie? – zagadnęła. – Kobiety powinny być...?

Zamrugał. Okruch jedzenia spadł z jego ust. Po chwili odzyskał panowanie nad sobą, podniósł kurzą nogę i jednym kęsem ugryzł duży kawałek mięsa.

– Naczyniami – wypluł z siebie.

Emma podeszła do niego, zbierając parapsychiczne moce.

Dosyc – pomyślała. – *Dość obelg. Dość tego... faceta.*

Nagle usłyszała w głowie głos – spokojny, władczy. Głos Shawa, przekazywany przez mentalne łącze, które dzielili. *Nie warto, moja droga. Pozwól wydarzeniom płynąć własnym tokiem.*

Najeżyła się. Shaw był jej Królem. Zgodnie z tradycją Hellfire Club, miał nad nią władzę. Wierzył, że jest jej panem. Pewnego dnia dowie się, że to ona była jego panią.

Ale jeszcze nie dziś. Emma rzuciła ostatnie gniewne spojrzenie na Lelanda, zmarszczyła brwi i odwróciła się. W tym momencie znad stołów rozległ się głośny śmiech. To był trzeci mężczyzna, ten ukryty. Świece na ścianie podświetlały jego sylwetkę, ukazując głowę pokrytą gęstymi włosami i starannie przystrzyżoną brodę.

– Wyngarde? – odezwał się Shaw. – Uważasz, że to zabawne?

Jason Wyngarde wstał. Jego czarne oczy były szeroko otwarte. Machnął ręką w stronę Lelanda.

– Ten tam głądzi o przeznaczeniu, boskim prawie narodzin. O kobietach – przerwał. – Cóż on może wiedzieć o którejkolwiek z tych rzeczy?

– Jak śmiesz? – Leland uderzył pięścią w stół. – Ty żaloszny

wieśniaku!

– To prawda – odpowiedział Wyngarde. – Urodziłeś się jako bogacz, ale roztrwoiłeś majątek w pogoni za przyjemnościami. Jedzeniem, trunkami, narkotykami na specjalne zamówienie i oczywiście kobietami. A ja? Urodziłem się na podłodze jarmarcznej budy. Wszystko, co mam, wszystko, czym jestem, zawdzięczam tylko sobie.

– Sir Jasonie – powiedział Shaw. – Choć ta wymiana zdań może być zajmująca, mam do ciebie bardziej naglące pytanie.

Wyngarde odwrócił się, unosząc brew.

– Wiedziałeś o moich planach dotyczących X-Menów. – Shaw zmrużył oczy. – Dlaczego nie poinformowałeś Wewnętrznego Kręgu, że Jean Grey żyje?

– Ona jest moim... indywidualnym projektem. – Wyngarde wyszczerzył zęby w wilczym uśmiechu. – Kształtowałem ją. Poznawałem jej potencjał.

– Co samo w sobie spotęgowało problem. – Shaw wskazał na Emmę. – Pani Frost nie była przygotowana na spotkanie z panią Grey, lub raczej z jej znacznie zwiększonym poziomem mocy. Nasza droga Biała Królowa mogła przyplącić to życiem.

Emma nie lubiła być pionkiem w ich sporach, ale zachowała wyniosłe milczenie. Wyngarde wstał od stołu, podszedł do niej i pocałował jej dłoń w rękawiczce. Jego oczy były ciemne jak u węża.

– Przepraszam, milady – powiedział.

Z rezerwą skinęła głową.

Wyngarde szybko przemierzył salę i wszedł po schodach na

podium. Usiadł na jego krawędzi i z niesmakiem spojrział na resztki posiłku Lelanda, rozrzucone na stole poniżej.

– Mówisz o kobietach, sir Lelandzie – powiedział. – Ja też jestem niewolnikiem piękna. Ale szukam czegoś więcej.

Jego spojrzenie było dziwnie niepokojące. Emma ruszyła w kierunku podium, a Shaw tuż za nią.

– Pragnę ich tajemnic – kontynuował Wyngarde. – Wszystkich tajemnic.

Podniósł ręce, rozkładając je w geście magika. Otoczony nimbem energii niewyraźny obraz młodej kobiety wypełnił powietrze. Emma wiedziała, że to dzieło iluzji – zmutowanej mocy Wyngarde'a.

Przyciągnął i rozciągnął obraz, sprawiając, że stał się ostrzejszy. Oczom zebranych ukazała się nastoletnia dziewczyna o płomiennych włosach, ubrana w dżinsy i żakiet, ciągnąca za sobą podniszczoną walizkę.

– To jest Jean Grey – powiedział – w dniu, w którym po raz pierwszy dołączyła do X-Menów.

Wyngarde znów poruszył rękami. Dziewczyna stała się wyższa. Jej strój zmienił się w niebiesko-żółty kostium ze stylizowaną literą „X” na sprzączce pasa.

– To jest droga Jean w swoim oryginalnym kostiumie... jako Marvel Girl...

Jego ręce ponownie śmignęły w powietrzu. Twarz dziewczyny stała się bardziej pociągła, spojrzenie dojrzałe. Kostium ustąpił miejsca wyzywającej zielonej sukience mini i masce domino.

– Starsza, bardziej doświadczona Marvel Girl...

Kostium ponownie się zmienił, tym razem w szmaragdowe body ze złotymi butami i rękawiczkami. Żółta szarfa zawiązana wokół talii powiewała dramatycznie.

– I wreszcie jako Phoenix.

Wyngarde przeszedł przez obraz i zszedł po schodach w kierunku Shawa i Emmy. Za nim rozjarzyła się iluzja Phoenix, wokół której błysnęła energia, tworząc kształt dzikiego drapieżnego ptaka.

– Mój pionek posuwa się szybko – kontynuował. – Wkrótce dotrze do końca szachownicy. Na sam skraj jej świata.

– Królowa. – Leland roześmiał się, plując jedzeniem. – Szukasz Królowej, by rywalizować z Lordem Shawem! I oczywiście z tobą również, milady. – Wycelował kurze udko w Emmę.

Starła się zachować spokój. Obraz Phoenix świecił jasno na podwyższeniu, ognista korona ptaka na przemian rozjarzała się i przygasła. Emma przypomniała sobie żar tego płomienia na swoim gardle i wokół talii.

Mogłabym ci pokazać sekrety...

Shaw patrzył na Emmę, która ze stoickim spokojem na twarzy wzruszyła ramionami, spoglądając w jego stronę.

– No cóż – powiedział Shaw, odwracając się do Wyngarde’a. – Niech gra się rozpocznie.

Słudzy minęli ich, rozdając kieliszki i napełniając je winem. Wyngarde uśmiechnął się i wzniósł toast.

– Za grę.

Trzej mężczyźni spełnili toast. Emma zawahała się, a potem podniosła swoją lampkę, by do nich dołączyć.

– Za piekło – powiedziała.

X-MEN

AKT II

**POTĘPIENIE
I OGIEŃ PIEKIELNY**

11



PETER RASPUTIN, X-Man znany jako Colossus, pochylił się nad tabletem. W jego rękach mały komputer wyglądał jak dziecinna zabawka.

– Odrażające bezceństwa – czytał. – Co to znaczy?

Nightcrawler zajął się ramieniem przyjaciela.

– Wróć do wyników wyszukiwania. – Kiedy Colossus usiłował wcisnąć „wstecz”, Nightcrawler dodał: – Twoje palce są za wielkie. Daj mi to.

Storm przeleciała przez duży kokpit Blackbirda, samolotu X-Menów. Unosiła się kilka centymetrów nad podłogą, poruszając się na lekkim prądzie powietrza.

– Co wy dwaj robicie?

– Googlujemy „Hellfire Club”. – Colossus uśmiechnął się głupkowato.

– „Hellfire Club. Odniesienia”. – Nightcrawler oparł stopy na przegrodzie i zwiesił się na bok, czytając z tabletu trzymanego mocnym uściskiem zwiniętego ogona. „XVIII-wieczne tajne stowarzyszenie w Wielkiej Brytanii. Złoczyńcy Risqué

w programie telewizyjnym z lat 60. XX wieku. Seksklub istniejący w latach 80. w Nowym Jorku”.

– Pozwól mi rzucić okiem na ten ostatni – powiedziała Storm.

Colossus i Nightcrawler ze zdziwieniem patrzyli, jak chwytła tablet. Trzymała go pod różnymi kątami, studiując ekran z mieszaniną zainteresowania i pogardy. Potem oddała tablet Nightcrawlerowi, wzruszając ramionami.

– Podobają mi się te irokezy – powiedziała.

– Nie wydaje mi się, żeby jakakolwiek z tych organizacji była Hellfire Clubem, z którym mamy do czynienia – powiedział Colossus, w pośpiechu usuwając obraz z ekranu.

– Nie – odpowiedział Nightcrawler – ale nasi przyjaciele polujący na mutantów mogli się inspirować poprzednikami.

Po drugiej stronie kokpitu Cyclops siedział w fotelu pilota. Słuchając ich rozmowy, odetchnął z ulgą. Wyglądało na to, że Storm i Colossus odzyskali siły po przejściach we Frost Enterprises. Wiadomość, że Jean żyje, również podniosła ich na duchu.

Ale z drugiej strony Logan...

Na drugim końcu kokpitu siedział samotnie Wolverine z zaciętym spojrzeniem wbitym w okno. *Wycierpiął najwięcej z rąk Hellfire Club – pomyślał Cyclops. – Z rąk Emmy Frost. Ale czy właśnie to go trapi?*

Cyclops sprawdził wysokość, a potem przyjrzał się znajdującemu się przed nimi krajobrazowi na ekranie. Zielone plamy ustąpiły miejsca skałom, gdy Blackbird sunął coraz dalej w głąb pustyni Nowego Meksyku. Scott przełączył ster na autopilota i odpiął pas.

Wolverine nie podniósł wzroku, gdy Cyclops zbliżył się do niego.

– Podziwiasz widoki?

Przykucnął obok Logana i wyrzwał przez okno. Na zewnątrz, pod niebem w odcieniu morskiego niebieskiego, Jean Grey unosiła się dzięki swej własnej mocy. Jej ogniste włosy zdawały się wtapiać w płomień Phoenix, który w jasnym świetle słonecznym wyglądał jak ogon komety.

– Tak się domyślam – powiedział Cyclops.

– Cieszę się, że ona oddycha! – warknął Logan.

– Czy to wszystko?

– Nieważne. – Logan nadal nie odwrócił głowy. – To był jej wybór.

– Tego się boję.

Logan spojrział na niego ze zmarszczonymi brwiami.

– Gdzie, do cholery, lecimy, Summers? Zostawiliśmy za sobą Albuquerque dobrych kilkaset kilometrów temu. Jesteśmy daleko od uczęszczanych szlaków.

– Nazwij to miejsce... sanktuarium. Możemy się w nim przegrupować i obmyślić nasz kolejny krok.

– To ma sens. – Logan wpatrywał się w rudowłosą postać lecącą obok Blackbirda nad bezkresnym pustkowiem. – Jest inna, no nie? Od czasu wahadłowca.

– Tak.

– Wiesz, mogłem ją powstrzymać.

Zanim Cyclops zdążył odpowiedzieć, Wolverine usiadł wyprostowany, oparł dłonie o szybę i spojrział przez nie.

– Co to, do diabła, jest?

Storm, Nightcrawler i Colossus rzucili się do okien. Poniżej widać było duże wystające z ziemi płaskie skaliste konstrukcje, rozrzucone na ogromnej pustyni. Skrzydlata postać ponad nimi wzniosła się w górę, zbliżając się do Blackbirda. Potężne mięśnie poruszały rytmicznie śnieżnobiałymi skrzydłami, by unieść ją wyżej.

– Czy to... ptak? – zapytał Colossus.

– Nie – odparł Cyclops.

Jean zmieniła kurs, oddalając się od Blackbirda. Obniżyła lot, aby przechwycić postać, która się pojawiła, zwalniając, w miarę jak się do niej zbliżała. Skrzydlaty mężczyzna z łatwością ustawił się w pozycji pionowej i unosił się na suchych prądach powietrza, czekając na spotkanie z nią.

Potem się przytulili.

– To jest Warren Worthington trzeci – powiedział Cyclops. – Znany również jako Anioł.

WARREN WORTHINGTON był członkiem-założycielem X-Menów, zrekrutowanym jako nastolatek przez profesora Xaviera, uczniem jego pierwszej klasy maturalnej. A także spadkobiercą jednej z największych amerykańskich prywatnych fortun. Dzięki odziedziczonym pieniądзом mógł sobie pozwolić na zakup Aerie's Angelie, supernowoczesnego, zasilanego energią słoneczną kompleksu, który znajdował się na szczycie odległego stromego wzgórza na pustyni w Nowym Meksyku.

Warren, odkąd osiągnął pełnoletność, przez większość czasu był

zajęty prowadzeniem Worthington Industries. Na tyle zajęty, że nigdy nie poznał większości obecnych X-Menów. Cyclops wahał się, czy wezwać go na pomoc, ale jak zwykle skrzydlaty mutant wyśmiał obiekcje Scotta.

– Przepraszam za nagłe wezwanie, Warren – powiedział Cyclops, wyskakując z Blackbirda. Pozostali ruszyli za nim.

– Nonsens! Wszystko dla starej alma mater. – Warren uśmiechnął się, patrząc, jak Jean rozciąga ramiona i z wdziękiem ląduje. – Poza tym warto było przylecieć choćby tylko po to, by znów zobaczyć Reda. Ty wciąż z tym nieudacznikiem, Jean?

Uśmiechnęła się i klepnęła go w ramię.

Jak za dawnych czasów – pomyślał Cyclops.

Jeden po drugim X-Meni wyszli na odsłoniętą płaską skałę. Łupkowe patio prowadziło do domu z wysokimi oknami i panelami słonecznymi na dachu. Prawdziwą atrakcją był jednak widok. Wszędzie wokół wznosiły się góry usiane jodłami, iglastymi krzewami i oszalałymi połączeniem terenu w kolorze łupku i rdzy.

– To piękny dom, Angel – powiedział Colossus, patrząc w dal. – Piękny kraj.

– Takie suche powietrze. – Storm rozłożyła ramiona, przywołując wiatr. – Wspaniałe uczucie.

– *Wunderbar*. – Nightcrawler teleportował się raz po raz po całym patio, skacząc i zaglądając w każdy kąt. – Nie uważasz, Wolverine?

Logan oparł się o poręcz i wzruszył ramionami.

– Canadian Rockies – powiedział. – To dopiero piękny kraj.

– Czujcie się, jak u siebie – rzekł Warren. – Dom jest całkowicie zautomatyzowany. Jeśli chcecie coś do jedzenia lub picia, po prostu użyjcie tego pada przy drzwiach. Uśmiechnął się do Jean. – Jeannie, mam to, co lubisz najbardziej: świeżą lemoniadę.

– Nie piję tego, od kiedy skończyłam piętnaście lat – powiedziała, marszcząc nos.

– Warren – powiedział Cyclops. – Możesz na minutę?

Warren uchwycił jego spojrzenie i skinął głową. Razem ze Scottem oddzielił się od grupy i we dwóch udali się w stronę innej części domu. Nightcrawler i Colossus podeszli do pada i zaczęli w niego stukać. Logan stał za nimi, łypiąc gniewnie.

– Pisz się p-i-w-o – warknął. – Czy to takie cholernie trudne?

Cyclops mógł poczuć wzrok Jean na plecach. *Czy ona śledzi moje myśli?* Dawniej zawsze wiedział, kiedy nawiązywała z nim telepatyczne połączenie, ale ostatnio stała się o wiele potężniejsza – i miała znacznie mniejsze opory przed wykorzystywaniem swej mocy.

– Czy, hmm... – Cyclops zawiesił głos. – Czy możemy porozmawiać gdzieś na osobności?

– Chcesz prywatności? – Warren uśmiechnął się.

Zanim Scott zdążył zareagować, Warren chwycił go za rękę i uniósł w niebo.

– Masz prywatność.

– Warren!

Warren roześmiał się i uniósł go jeszcze wyżej. Dom został daleko w dole, a X-Meni skurczyli się do maleńkich kropek.

– Warren, czy ta podróż naprawdę jest konieczna?

– Nigdzie nie mogę zapewnić ci większej prywatności niż tu, Scott. – Warren zmienił kurs, schodząc w kierunku kolejnej nagiej skały. – Nikogo w zasięgu wzroku i żadnych ukrytych mikrofonów. Nawet jeśli szpieg jest na orbicie, nikt nie będzie zakładał podsłuchu na skale. – Cyclops spał się, kiedy szybko podeszli do lądowania, ale Warren w ostatniej chwili rozpostarł skrzydła, zręcznie hamując.

Poczytnił postępy – pomyślał Cyclops. – Znacznie lepiej panuje nad swymi skrzydłami.

Warren miękko wylądował.

– W porządku! Jesteśmy sami, Cyclops. O co chodzi?

Cyclops otworzył usta – i poczuł pustkę w głowie. Nagle wydarzenia ostatnich kilku dni wydały mu się przytłaczające, niemożliwe do streszczenia.

– Ktoś ściga X-Menów – powiedział w końcu.

– Zawsze ktoś ściga X-Menów – roześmiał się Warren.

– Tym razem to co innego.

Cyclops opowiedział całą historię Warrenowi, który uważnie jej wysłuchał. O Jean i jej – jak mu się wtedy wydawało – śmierci z rąk Magneto oraz decyzji o ponownym otwarciu szkoły. O zrekrutowaniu przez Storm nowej mutantki, Kitty Pryde, i o tym, jak część drużyny została porwana przez tajemniczą szajkę, na której czele stała telepatka zwana Białą Królową.

– Biała Królowa – powtórzył Warren. – Czy ona ma jakieś normalne imię i nazwisko?

– Emma Frost – odpowiedział Cyclops.

– Frost? – Warren wyglądał na zaskoczonego. – Słyszałem

o Frost Enterprises, ale zawsze wydawało mi się, że to legalna firma. Czy wiesz, czego chcą ci łowcy mutantów?

– Jean zeskanowała umysł jednego z ich... pionków, jak ich nazywają – powiedział Cyclops. – Ta organizacja to Hellfire Club.

Zaskoczenie Warrena ustąpiło miejsca szokowi. Cyclops gapił się na niego.

– Znasz ich?

– Jestem członkiem tego klubu.

Scott zmrużył oczy.

– Podobnie jak Candy. Moja dziewczyna – dodał Warren. – Odziedziczyłem członkostwo wraz z biznesem, kiedy zmarli moi rodzice.

– Co to jest? Ten cały klub?

– To... to stare, drętwe towarzystwo wpływowych osób, które ma siedzibę w Nowym Jorku. Jednak trochę perwersyjne. Wiele nieprzyzwoitych zdjęć na ścianach, lochy na zapleczu. – Wzruszył ramionami. – Candy i ja byliśmy tam kiedyś, ale nam się nie spodobało. Nigdy nie mieliśmy ochoty na ponowną wizytę.

Scott skinął głową, zastanawiając się.

– Naprawdę nas zaskoczyli, Warren. Dlatego zabrałem zespół tutaj, zamiast wracać do Westchester. Częściowo po to, by wytrącić naszych wrogów z równowagi i trochę odetchnąć...

– ...a częściowo dlatego, że nie sądzisz, by wasza rezydencja była bezpieczna.

– Tak. – Zawahał się. – Ale to nie wszystko.

– Scotty. – Warren uśmiechnął się. – Wyduś to z siebie.

– Martwię się, cóż... martwię się o Jean.

– Ktoś wymienił moje imię?

Obrócił się zaskoczony. Jean uniosła się z pustyni poniżej i wzleciała ku nim, lekko jak piórko lądując na skale. Miała na sobie strój Phoenix, ale pod pachą trzymała dziwną błękitną lodówkę piknikową.

– Czas na przerwę – powiedziała, rozkładając koc na ziemi. – Czy ktoś jest głodny?

– Ja... ach... – Warren spojrzał na nich oboje. – Czuję się tu trochę jak piąte koło u wozu.

– Kumaty chłopak. – Jean uśmiechnęła się do niego.

– Zostawiam was samych. – Warren rozłożył skrzydła i uniósł się, wzbijając chmurę pyłu i piasku. – Scott, dokończymy naszą rozmowę później?

Cyclops skinął głową.

– Do zobaczenia, Jeannie.

Zostali sami na płaskiej, jałowej skale, pięćset metrów nad powierzchnią pustyni.

Jean uklękła na kocu i zaczęła wyciągać z małej lodówki plastikowe pojemniki. Scott zerknął na słońce, które wspinało się w kierunku najwyższego punktu na ogromnym niebie, i szybko odwrócił wzrok. Było zbyt jasne, nawet przez jego soczewki.

– Więc – powiedział.

– Więc – odparła, nie podnosząc głowy.

– Co jest grane, Jean?

– Mogę cię zapytać o to samo.

Jej kostium zaczął się zmieniać. Teraz miała na sobie parę zwykłych szortów i luźną, krótką bluzkę. Podczas tej przemiany

nawet nie drgnęła.

– Nigdy nie potrafiłaś tego zrobić – powiedział.

– Wiele rzeczy się zmieniło – odparła. – Przeszliśmy długą drogę z Sali Ćwiczeń.

– To wszystko jest Salą Ćwiczeń. – Wskazał na niebo i ziemię dookoła.

W odpowiedzi skinęła głową, robiąc ponurą minę.

– Jean... – Usiadł na kocu, tuż przed nią. – Nie rozumiem, co się z tobą dzieje.

– Nie rozumiesz? – Sięgnęła do lodówki, nie patrząc na niego.

– Co? – Zmarszczył brwi.

– Słyszałam was dwoje. – Zajęła się pojemnikami z sałatką, jajkami i frytkami. – Widziałam, jak na nią patrzyłeś.

Serce mu zamarło. *Emma Frost.*

– Jean. To było tylko...

– Nie rozumiesz. Posłuchaj, co mówię. – Spojrzała w końcu na Scotta oczami pełnymi cierpienia. – Kiedy ją poznałeś... kiedy dotknęła twojego umysłu. Czy nie poczułeś czegoś?

Przełknął ślinę.

– Czy coś... się w tobie nie poruszyło? Coś mrocznego, zakazanego? Może było to coś, o istnieniu czego w ogóle nie wiedziałeś?

Czuł się porażony, jakby zahipnotyzowany jej spojrzeniem – a ona nawet nie użyła swej mocy. Pochyliła się do przodu, przysuwając usta blisko jego warg.

– Właśnie to się ze mną dzieje – wyszeptała. – Tak właśnie się czuję, przez cały czas. I to mnie dobija, ponieważ tak bardzo cię

kocham.

Zawahał się. Nie chciał zapytać, ale wiedział, że musi.

– Czy jest jeszcze ktoś?

Odwróciła wzrok. Wstała i boszo podeszła do krawędzi skały.

– Poznałam kogoś – powiedziała. – Na Kirinos. Kiedy myślałam, że nie żyjesz.

Otworzył usta – i zamarł. *Jestem głupcem – pomyślał. Tak mnie pochłonęła cała ta historia z Hellfire – i taką ulgę przyniósł mi widok Jean całej i zdrowej, że nigdy nie myślałem o tym, przez co przeszła. Kiedy byłem przekonany, że umarła, ta myśl prawie mnie zabiła. Nigdy nie zdawałem sobie sprawy...*

...że ona też opłakiwała mnie.

– Czy z tym kimś – powiedział. – To coś poważnego?

Przez chwilę stała plecami do niego, z rękami skrzyżowanymi na piersi. Potem podeszła z powrotem do koca i uklękła przed Scottem. Zanim się zorientował, wyciągnęła rękę i zdjęła mu z twarzy wizjer.

– Jean! – zamknął oczy.

– Wszystko w porządku – powiedziała.

– Wiesz, co się stanie, jeśli otworzę oczy. Bez osłony z kwarcu rubinowego, która powstrzymuje moje optyczne promienie...

– Powiedziałam, że wszystko jest w porządku. – Delikatnie, ale stanowczo przyciągnęła go do siebie na koc i przeturlała się tak, by znalazł się na niej. – Otwórz oczy.

– Mógłbym cię zabić!

– Nie. – Jej głos był miękki, kojący. – Nic się nie stanie.

Uniósł na sekundę jedną powiekę. *Ta energia – uświadomił*

sobie. – *Napięcie, presja, pod którą cały czas żyłem...*

Odeszły.

– Otwórz je – powtórzyła.

Zrobił to bardzo powoli. Zobaczył wpatrujące się w niego piękne i szczerze oczy. Zawsze patrzył na nią przez czerwoną zasłonę. Teraz po raz pierwszy widział wszystkie kolory na jej twarzy. Uderzająca zieleń jej oczu, blady połysk na ustach. Cudowne, płomiennie rude włosy, spływające dookoła.

– Och – wymamrotał, a potem stracił wątek.

– Telekinetycznie utrzymuję twoje optyczne promienie w ryzach. Chciałam tylko zobaczyć twoją twarz. – Uśmiechnęła się przelotnie, nieco zawstydzona. – Masz piękne spojrzenie.

– W jaki sposób to robisz?

– Powiedziałam ci już, że wiele się zmieniło. – Przesunęła delikatnie palcem po jego policzku. – Ale pewne rzeczy pozostały takie same.

Tysiąc pytań przemknęło mu przez głowę, wszystkie naraz. Nagle je odegnał. Wziął ją w ramiona, położył delikatnie na kocu i pocałował. Westchnęła, owinęła ramiona wokół jego szyi i odwzajemniła pocałunek z nienasyconą pasją.

Leżeli tam przez długi czas, wtuleni, zagubieni w sobie. Gorące promienie słońca dotykały ich pleców. Ich ręce wędrowały i błędziły po ciałach, jakby sprawdzając się dotykiem. Przypominali sobie i odbudowywali więź, która połączyła ich, odkąd pierwszy raz spotkali się przed laty w klasie profesora Xaviera.

W końcu Jean wstała, oparła się na łokciu i spojrzała na niego.

– Chcę powiedzieć ci wszystko.

Z zapalem skinął głową.

– To nie takie proste – dodała. – To, co zobaczysz, może ci się nie spodobać.

– Jak na razie wszystko wygląda dobrze. – Uśmiechnął się, dotykając jej twarzy.

Na chwilę grymas wykrzywił jej usta. Potem nagle położyła mu dłoń na czole. Zaparło mu dech, gdy obrazy przepłynęły przez jego umysł. Poczucie żeber Magneto pękających pod jej mocą, żar śmiercionośnej magmy płynącej dookoła. Dzieciaki na Kirinos, wrywające jej torebkę i wpychające ją do wody. Posterunek policji, pierwsze spotkanie z przystojnym, przyjacielskim nieznajomym.

Potem obrazy stały się bardziej surrealistyczne. Sekretna szafa z czarnym jak noc gorsetem. Portret nieznajomego lub jego przodka na ścianie. Dreszcz dzikiego rumaka, na którym galopowała. Zwierzę, będące naprawdę mężczyzną, w obliczu okrutnej śmierci z rąk Jean. I ostatni rzut oka na przystojnego nieznajomego... zaledwie wczoraj, przed budynkiem Frost Enterprises, gdy X-Meni uciekali.

Kiedy Jean zdjęła rękę, Scott zamrugał. Minęła chwila, zanim przypomniał sobie, gdzie się znajduje.

– Mam dużo do przetrawienia – powiedział.

– Mhmmm.

– Ten mężczyzna...

– Wyngarde.

– W wizji... tej w przeszłości. Byłaś jego żoną?

– Nie... nie jestem pewna.

– Ale wspomniał o Hellfire Club.

– Tak. Zdecydowanie.

Usiadł, potrząsając głową. Sięgnął po wizjer, przypominając sobie, że go nie ma.

– W co jesteśmy wciągani, Jean?

– Nie wiem. – Uklękła za nim i położyła mu ręce na ramionach. – Ale myślę, że wiem, co musimy zrobić.

Odwrócił się zaintrygowany.

– Chciałabym przywrócić naszą telepatyczną więź – powiedziała. – Tę, którą mieliśmy, zanim ja... przed wypadkiem wahadłowca.

– Jasne. Tak.

– Nie tak szybko. – Popatrzyła mu w oczy. – Moje moce się zmieniły. Moja telepatia... jest znacznie silniejsza. To byłoby prawdziwe dzielenie się, Scott. Część mnie w twoim umyśle, część ciebie w moim.

Skinął głową.

– Całkowita komunikacja – kontynuowała łamiącym się głosem. – Całkowita intymność, całkowite zaufanie. Wiem, że proszę o wiele, i zrozumiem, jeśli jeszcze nie jesteś na to gotowy... Jeśli tego nie chcesz...

Dotknął policzków Jean, uniósł delikatnie jej twarz ku sobie. Otarł łzę z jej pięknego oka.

– Chcę – powiedział.

12



DOM ANGELA szczycił się przesłoniętą werandą, całkowicie zautomatyzowaną kuchnią, trzema pomieszczeniami z telewizją satelitarną, kręgielnią z czterema torami i salonem wyposażonym we wszystkie możliwe konsole do gier. Do tego dwa kryte korty tenisowe i trzy kolejne na zewnątrz, odgródzone od krawędzi skały.

Nic z tych atrakcji nie interesowało Logana. Krążył po schodach z góry na dół, aż dotarł do piwnicy z brudnym barem pokrytym graffiti. Pod sufitem wisiał telewizor z ekranem CRT, a obok na ścianie obrazek z marlinem w ramkach. Był tam nawet neon z logo piwa Schlitz.

Ale ani jednego okna, które wpuszczałoby naturalne światło.

Wolverine wciągnął nosem powietrze, ledwo ośmielając się uwierzyć w dowody, których dostarczały mu wzmocnione zmysły. Za barem, obok stosu plastikowych kubków, antyczna beczka wciąż była wypełniona nieświeżym koncernowym piwem.

Logan westchnął przeciągle, nalał sobie kubek i zasiadł samotnie przy barze. Drewniany stołek zaskrzypiał pod jego ciężarem.

Dziesięć minut i cztery plastikowe kubki później prawie zdołał zapomnieć o rzeczach, które go gryzły. O tej telepatce mieszającej w jego umyśle. O tym, że musiał zostać uratowany przez małą, która miała jeszcze mleko pod nosem. A przede wszystkim o dziwnym zmartwychwstaniu Jean Grey – wkrótce po tym, jak musiał się pogodzić z jej utratą. Wypił piąte piwo i zgniótł kubek w dłoni. Uzdrawiająca moc Logana miała pewien efekt uboczny – alkohol przepływał przez jego organizm w niesamowitym tempie. Bez względu na to, ile wypił, był pod wpływem tylko kilka minut.

Nigdy nie mógł naprawdę zapomnieć.

– Tutaj jesteś.

Odwrócił się w stronę drzwi, nie był jednak zaskoczony – z bardzo daleka słyszał, że mężczyzna nadchodzi. Warren Worthington zszedł po schodach ze skrzydłami starannie złożonymi na plecach.

– O... – Worthington wszedł do piwnicy. – Widzę, że znalazłeś moje małe sanktuarium.

Logan wstał, podszedł do kranu i napełnił kolejny kubek.

– Takie mam tempo – powiedział.

– Posłuchaj... – zaczął Worthington, patrząc na stos porzuconych kubków. Nagle Logan poczuł ukłucie nienawiści, do tych pięknych oczek, tych starannie wyrzeźbionych mięśni. Tego bogatego dzieciaka, urodzonego, by cieszyć się przywilejami, któremu w każdej sekundzie życia powtarzano, jaki jest wyjątkowy. Czy kiedykolwiek ubrudził sobie te śnieżnobiałe rączki?

– Zapłacę za piwo – warknął Logan.

– Nie, nie, nie o to chodzi.

Worthington podniósł pilota z kontuaru i wycelował w wiszący telewizor. Po dłuższej chwili monitor rozblysnął. Logan zmarszczył brwi, spojrzał na ekran. Nie było na nim żadnego obrazu – tylko wielkie litery.

**PROTOKÓŁ OMNI-WAVE
ŻĄDANIE POŁĄCZENIA
LOGAN, PROSZĘ ODEBRAĆ**

– Co to jest ten pieprzony protokół Omni-Wave? – zapytał Worthingtona.

– Nie mam pojęcia. Ale ten sygnał pojawia się na każdym ekranie w budynku.

– Więc odbierz wiadomość.

– Komukolwiek nie odpowie. – Worthington rzucił mu zniecierpliwione spojrzenie – Czy nie mógłbyś po prostu tego odebrać, żebyśmy spokojnie skończyli grać w *GTA*? Colossus wygrywa, a ja nie mogę pozwolić, by ten dzieciak pokonał mnie w moim własnym domu.

Logan wskazał na ekran i zapytał:

– A co, jeśli to Hellfire Club lub coś w tym rodzaju?

– Wątpię, by atakowali nas za pomocą osobistych połączeń telefonicznych.

Logan wzruszył ramionami, ustępując.

– Kumam – powiedział, wyciągając rękę.

– Dzięki. – Worthington podał mu pilota. – A, i zostaw trochę piwa dla reszty z nas, co? Ciężko tu wjechać ciężarówką.

Logan rzucił gniewne spojrzenie na drzwi, które zamknęły się za Worthingtonem. Potem znowu podszedł do kranu i nalał sobie dwa kolejne kubki. A po chwili jeszcze jeden. Następnie wycelował pilota w telewizor i wcisnął play. Brak odpowiedzi. Próbował wszystkich przycisków po kolei, przełączał kanały, ściszał i pogłasniał. Nic. Wiadomość pozostawała na ekranie. Usiadł z powrotem na stołku, pochylił się i utkwiał wzrok w telewizorze.

– Tu Logan – powiedział. – Dawaj.

Obraz nawet nie mignął. Wiadomość zniknęła od razu, zastąpiona przez wyrazistą twarz profesora Charlesa Xaviera, założyciela X-Menów. Wolverine zobaczył na ekranie łysy łeb, który świdrował go gniewnym wzrokiem. Logan prawie wypluł piwo.

– Nie spieszyłeś się za bardzo – powiedział Xavier.

– Charlie?

– Logan, prosiłem cię, żebyś mnie tak nie nazywał. – Jego głos był tak wyraźny, jakby Xavier stał obok. – Odpowiadam tylko wtedy, gdy ktoś zwraca się do mnie „profesorze”, ewentualnie „profesorze Xavier”, a jeśli już musisz, to nazywaj mnie Charles.

– Łapię, Chuck.

Xavier pokręcił głową i odsunął się od kamery. Nosił dziwną czerwono-czarną tunikę. Nie siedział na swoim zwykłym wózku, ale w jakimś eleganckim fotelu przypominającym poduszkowiec. Ściany za nim były zrobione z gładkiego metalu i poprzetykane wysokimi od podłogi do sufitu iluminatorami, które pokazywały gwiazdy.

– O co chodzi? – zapytał Logan. – A tak w ogóle to gdzie, do

diabła, jesteś?

– W świecie zwanym Imperial Center, bardzo daleko od Ziemi. Moja małżonka Lilandra wkrótce zostanie koronowana na Cesarzową Imperium Shi'ar.

Logan skinął głową.

Wkrótce po wypadku promu Xavier zakochał się w księżniczce Lilandrze Neramani, spadkobierczyni tronu imperium, które panowało nad odległą galaktyką w czasach, gdy życie na Ziemi jeszcze raczkowało. Kiedy Lilandra została wezwana, by objąć tron, Xavier poleciał z nią. Od tamtej pory nie odezwał się do żadnego z X-Menów.

– Cesarzowa – powtórzył Logan. – Wygląda na to, że robisz światową karierę, Chuck. Albo wszechświatową, co? – Wzniósł toast kubkiem.

– Właściwie to... trudne. Nowe obowiązki Lilandry zabierają jej coraz więcej czasu.

– Związki międzyludzkie. – Logan pokręcił głową. – Nie wiedziałem, że tak łatwo możesz dodzwonić się do domu, Chuck. Czuję się przez to trochę olewany. Mówię w imieniu całego zespołu.

– Nie ma w tym nic łatwego. – Xavier zmarszczył brwi. – Musiałem przekupić wysokiego urzędnika Kree tylko po to, by dostać dziesięć minut na... Ech, nie ma czasu na wyjaśnienia. Otrzymałem niepokojący pakiet danych od Moiry MacTaggart. Martwi się sytuacją, która ma bezpośredni wpływ na X-Menów.

Logan poczuł, jak alkohol znika z jego organizmu. Wraz z trzeźwością wróciły zmartwienia zatruwające jego umysł.

– Sporo cię ominęło, Chuck. Nigdy nie myślałem, że to powiem, ale żałuję, że cię tu nie było.

– Ja też – odparł Xavier. – W rzeczywistości planuję wrócić na Ziemię zaraz po koronacji.

– Walczymy z jakimiś świrami od rekonstrukcji historycznych czy czegoś takiego – ciągnął Logan. – Mają telepatkę, taką czarownicę, która może dostać się do twojej głowy. Chciała dorwać tę małąlatę...

– Logan!

Zaskoczony spojrział na ekran.

– Nie opowiadaj mi o tym, to się nie liczy. – Xavier pochylił się do przodu.

– Tu chodzi tylko o Jean.

– Mów dalej. – Logan postawił kubek.

– Czy odniosłeś wrażenie, że jest... inna?

– Masz na myśli, mniej martwa, niż się wydawała?

Xavier tylko rzucił mu ponure spojrzenie.

– Tak – przyznał Logan. *A ja byłem zbyt zajęty przeżywaniem tego – pomyślał. – Płakaniem nad moim piwem z powodu jakiegoś bałaganu, który ta wiedźma zrobiła mi we łbie, podczas gdy Jeannie mnie potrzebuje.*

– Jestem przekonany, że część z was wie, co się z nią dzieje – powiedział Xavier. – Choć tak naprawdę być może tylko ty to rozumiesz.

– To moja wina – odparł Logan – że Jeannie rozbija wahadłowiec w zeszłym roku... Nigdy nie powinienem był na to pozwolić.

– Skończ uzalać się nad sobą, Logan. Gdybyś powstrzymał Jean przed pilotowaniem promu, bylibyśmy martwi.

– Charlie, chyba pierwszy raz w życiu wystawiłeś mi dobrą ocenę. – Wolverine zamrugął.

– Nie dzwonię, żeby prawić ci komplementy.

Logan spojrział na ekran przenikliwym wzrokiem. Coś w tonie Xaviera obudziło w nim drapieżnika. *Tym właśnie jestem* – pomyślał. – *Drapieżnikiem w drużynie.*

– Potrzebuję Wolverine’a – kontynuował Xavier – na misję.

Więc o to chodzi.

Logan dopił piwo, zgniótł kubek o blat baru i zwrócił się do ekranu.

– Masz go – powiedział.

13



– **SORRY, ORORO** – powiedziała Kitty Pryde. – Nic na temat „Massachusetts Academy” i wrednej czarownicy.

Głos dziewczyny brzmiał metalicznie przez głośnik telefonu. Storm przesunęła urządzenie w rękę, tak by Colossus, który siedział obok, też mógł widzieć ekran.

– O! Hej, Peter! – zawołała Kitty. – Fajny garnitur.

– Cześć, Katja – powiedział Colossus, nerwowo pociągając za kołnierz.

Storm uśmiechnęła się. *Widzę, dokąd to zmierza* – pomyślała.

Zajmowali tylne siedzenia eleganckiej limuzyny, zaparkowanej na skraju Midtown Manhattan zaledwie trzy przecznice na zachód od Avengers Tower. Colossus miał na sobie trzyczęściowy smoking doskonale dopasowany do jego masywnej sylwetki. Storm wybrała długą białą suknię z rąbkami i mankietami w afrykańskie wzory.

Wolverine i Nightcrawler siedzieli po przeciwnej stronie w kostiumach X-Menów. Kurt pochylił się do przodu, przysłuchując się rozmowie Storm. Wolverine z uniesioną maską tylko patrzył ponurym wzrokiem przez przyciemnioną szybę.

Wyglądało na to, że jest w jeszcze gorszym nastroju niż zwykle.

– Dzięki za twoje starania, Kitty – powiedziała Storm. – Powinniśmy się spodziewać, że pani Frost będzie miała doskonałe zabezpieczenia.

– Zabezpieczenia? Nie, ‘Roro, przez firewalla przebiłam się o tak. – Pstryknęła palcami. – Problem polega na tym, że nie ma się do czego przyczepić. Wszystko w najlepszym porządku: indeksy, ewaluacje nauczycieli, prace semestralne. Jest nawet zdjęcie z balu maturalnego.

– Balu maturalnego?

– Tak. – Kitty skrzywiła się. – Myślę, że wyretuszowali je, by wyglądać bardziej wielokulturowo, ale to ich największe przewinienie, jakie udało mi się znaleźć.

– Żadnej wzmianki o Hellfire Clubie?

– Albo tylko o Hellfire? – dodał Nightcrawler. – Albo Clubie?

– Sorry. Żadnych mutantów w klatkach ani zbirów bez twarzy.

Cóż – pomyślała Storm, zarzucając szal na ramiona. – To – jak mówią w tym kraju – by było na tyle.

– Muszę iść, Kitty – powiedziała. – Jeszcze raz dzięki za twoje...

– Zaczekaj! – Kitty pochyliła się do przodu, a jej twarz na ekranie stała się niemal karykaturalnie duża. – Czy masz zamiar przeniknąć do gangu pejczy i łańcuchów...? Czy mogę iść z tobą?

– Nie tym razem, dziecko. – Storm uśmiechnęła się słodko. – Ale pamiętaj, jeśli tylko będziesz miała choćby minimalną przesłankę, że ktoś cię ściga, skontaktuj się ze mną natychmiast. Osobiście.

Zawiedziona Kitty skinęła głową.

– Do zobaczenia wkrótce – powiedziała Storm. Wyłączyła telefon.

– Dziewczyna, która potrafi przechodzić przez ściany, mogłaby się nam przydać podczas tej misji – zasugerował Nightcrawler.

– Nie mam zamiaru ponownie ryzykować jej życia – stwierdziła stanowczo Storm. – To ja ją w to wciągnęłam, a Hellfire Club prawie ją zabił. Jesteśmy wyszkoleni do takich akcji, a ona... *Peter, przestaniesz się wreszcie wiercić?*

Colossus zamarł, zawstydzony.

– Czyżby twój garnitur źle leżał, *mein Herr?* – zapytał Nightcrawler.

– Nie w tym rzecz. – Colossus spuścił wzrok. – Nigdy nie nosiłem takich ubrań... Wyglądam w tym świetnie. Nie czuję się jednak dobrze, nosząc garnitur, który kosztuje więcej, niż mój ojciec zarabia w ciągu roku.

– No nie wiem. – Nightcrawler oparł się o pluszowe siedzenie z rękami splecionymi za głową. – Ja tam jestem przyzwyczajony do jeżdżenia luksusowymi pojazdami.

Wolverine parsknął.

– Tęsknisz za domem. – Storm dotknęła kolana Colossusa.

– Zbyt długo tam nie byłem. – Pokiwał głową.

– Przetrwajmy ten kryzys, braciszku. Wtedy pomyślimy o zorganizowaniu ci wycieczki do Rosji.

Posłał jej delikatny uśmiech.

Storm pochyliła się i zastukała w nieprzejrzystą przednią szybę. Przegroda zsunęła się, ukazując twarze Cyclopsa i Jean, które

prawie dotykały się w małej przestrzeni okna. Oni też mieli na sobie stroje wieczorowe – Scott był w czarnej marynarce i pod krawatem, a Jean w długiej czarnej sukni bez pleców.

– Dotrzymujemy tempa, Ororo – powiedział Cyclops. – Jean wszystko monitoruje.

Ororo zmarszczyła brwi. *Monitoruje?* Jean, podobnie jak profesor X w przeszłości, telepatycznie łączyła X-Menów. Jednak, o ile było wiadomo Storm, nigdy nie podsłuchiwała ich myśli bez wyraźnej zgody.

– Kitty zawałiła, moi mili – ciągnął Cyclops. – To znaczy, że teraz wszystko zależy od nas. Wchodzimy.

Storm zawahała się.

Właśnie miało się rozpocząć największe od przełomu tysiącleci przyjęcie urodzinowe Hellfire Clubu. Warrenowi Worthingtonowi udało się zdobyć cztery zaproszenia dla X-Menów pod przybranymi nazwiskami. To był najlepszy plan, który udało im się wymyślić w tych okolicznościach. A jednak...

– Cyclops – zagadnął Nightcrawler – czy mamy pewność, że nie pakujecie się... prosto w pułapkę? – Zrobił pauzę. – Może nawet śmiertelnie niebezpieczną pułapkę?

– To ryzykowne – przyznał Cyclops – ale nic nie wskazuje na to, że Biała Królowa i jej sprzymierzeńcy wiedzą o naszej wizycie. A co ważniejsze, nie widzę lepszego rozwiązania. Nie mamy twardych dowodów na związki Emmy Frost z Hellfire Clubem i nie możemy pozwolić sobie na pomyłkę w tej sprawie. Potrzebujemy potwierdzenia, że jest tak albo inaczej.

– Ororo i Peter: kiedy będziecie w środku, starajcie się nie

rzucać w oczy – kontynuował. – Zobaczcie, czego możecie się dowiedzieć, podsłuchując zwyczajne rozmowy. Jeśli uda wam się zbliżyć do kogoś, kto z pewnością należy do Hellfire Club, starajcie się go unikać. Ostatnia rzecz, której teraz potrzebujemy, to zwrócić ich uwagę.

– Żadnych telefonów, nie są bezpieczne. Jean połączy nasze umysły telepatycznie... będziemy w stałym kontakcie.

– To się tyczy także mnie i elfa? – Wolverine rzucił mu ostre spojrzenie.

– Wszystkich, Logan.

O co chodzi, Logan? – Głos Jean rozbrzmiał w umysłach wszystkich. – *Boisz się, że poznam wszystkie twoje tajemnice?*

– Cenię sobie prywatność, Jeannie.

Zamrugnęła i odezwała się:

– Przepraszam... tylko żartowałam. Ograniczę moje skanowanie do powierzchniowych myśli.

Wolverine skinął głową i złapał za klamkę.

– Miejmy to już za sobą.

– Jeszcze jedno – powiedział Cyclops.

Wszyscy odwrócili się do niego. Nawet Colossus przestał skubać kołnierzyk.

– Hellfire Club uwięził trzech z was. Eksperymentowali na was, grzebali w waszych głowach. – Zawiesił głos. – Wiem, że to było bolesne doświadczenie. Jeśli ktoś chce się wycofać, to całkowicie go zrozumieć, ale decyzję musicie podjąć teraz. Storm?

Skrzywiła się, przypominając sobie wszystko. Biała Królowa zrobiła tylko krótki skan jej umysłu, zanim Wolverine odwrócił jej

uwagę, ale Storm wciąż pamiętała lodowate palce umysłu kobiety w swoim mózgu, zimny dreszcz towarzyszący badaniu i analizowaniu myśli.

– Nic mi nie jest, Scott.

– Colossus?

– Nie chciałbym wkładać tego garnituru na próżno. – Wielki X-Man uśmiechnął się niepewnie.

– Logan? – zwrócił się do Wolverina Cyclops. – Tobie przypadło najgorsze. Jesteś na to gotowy?

Wolverine przez chwilę wpatrywał się w Cyclopsa, po czym odwrócił się w stronę Jean. Przez jego twarz przebiegł cień. Po chwili zniknął, ale to wystarczyło, żeby Storm się wzdrygnęła.

– Zawsze – powiedział.

PADAŁ ULEWNY deszcz, gdy Scott Summers zbliżył się do ozdobnych drewnianych drzwi, trzymając parasol nad głową Jean. Wtuliła się w Cyclopsa, a on poczuł ciepło jej twarzy na swym ramieniu.

Wiesz, że mogłabym telekinetycznie odsunąć krople deszczu – powiedziała w jego umyśle.

To raczej nie byłoby „nierzucanie się w oczy” – odpowiedział. – *Czyż nie?*

Przechylił głowę i przeprowadził mentalny test. Jean połączyła umysły X-Menów w coś w rodzaju rozszerzonej sieci, pozwalając Cyclopsowi na dostęp do wszystkich ich myśli, pojedynczo lub naraz. Wystarczyło, że kliknął jedną lub kilka mentalnych „ikonek”. Był to bezsprzecznie najlepszy systemem komunikacji, jakiego

kiedykolwiek używali – niejednokrotnie uratował im on życie. Ale dziś z jakiegoś powodu Cyclops czuł się z nim nieswojo.

– *Oro i Peter są już na miejscu* – powiedziała Jean. – *Na razie żadnych wiadomości.*

Lokaj w pudrowanej peruce i aksamitnej kamizelce otworzył im drzwi. Cyclops skinął głową, oddał mu parasol i podał rękę Jean. Razem weszli do środka.

Sala była rozległa, wielopoziomowa i wypełniona mężczyznami w trzyczęściowych garniturach oraz kobietami w długich eleganckich sukniach. Na pierwszy rzut oka przypominała typowy prywatny klub w starym stylu z wolnostojącymi barami w rogach, stołami uginającymi się od przekąsek, zdjęciami i obrazami w ramach, które wisiały na wytapetowanych ścianach. Środek sali zajmowały wielkie schody, pokryte jaskrawoszkarałatną wykładziną dywanową. W całej sali rozbrzmiewał swing. Muzyka była na tyle głośna, że utrudniała rozmowę.

Przy bliższym wejrzeniu prawdziwe oblicze tego miejsca stawało się oczywiste. Stuletnie zdjęcia przedstawiały kobiety w gorsetach z biczami. Wśród tłumu przewijał się mężczyzna w kapturze kata. Kelnerki nosiły buty na wysokich obcasach, kabaretki i superkrótkie spódniczki. Nad schodami wisiał ogromny napis:

CZYŃ, CO ZECHCESZ

Przeszli przez salę, mijając stolik, przy którym siedział osiemdziesięciolatek w smokingu i gapił się na kelnerkę po

dwudziestce.

– *Hellfire Club* – powiedział Scott. – *Czy to właśnie to?*

Jean uniosła brew.

– *Mniej więcej tego się spodziewałam.*

– *Znajdź Storm, dobrze?* – powiedział Scott. – *I upewnij się, że z Peterem wszystko w porządku. Ja sprawdzę Wolverine’a i Nightcrawlera.*

Jean posłała mu krótki uśmiech i cmoknęła go w usta. Potem ruszyła w stronę schodów i zbiegła z nich, powiewając trenem czarnej sukienki. Patrzył za nią przez długą chwilę, wdychając wypełniającą powietrze mieszaninę wody kolońskiej i fajkowego tytoniu.

Potem skupił się na mentalnym menu i kliknął parę ikon.

– *Kurt?*

Link natychmiast się uaktywnił – czuł umysły Nightcrawlera i Wolverine’a na telepatycznym obwodzie, choć żaden z nich się nie odezwał.

Wszystko w porządku?

– *Ja* – powiedział Nightcrawler. – *Jesteśmy...*

– *Jesteśmy w pieprzonych kanałach.* – Ton Wolverine’a był ostry. – *Tak jak chciałeś, szefie.*

– *Dobrze* – odpowiedział Cyclops. – *Wiem, że to paskudna robota, ale potrzebujemy was na tej pozycji.*

– *Jesteśmy, Scott* – odpowiedział Nightcrawler. – *Mam na myśli na pozycji.*

– *Deszcz wciąż leje... poziom wody tutaj się podnosi.* – Cisza. – *I...*

– Kurt? Co to jest?

– Scott, tutaj są dodatkowe kable zasilające i komunikacyjne. Wydaje się, że Hellfire Club wykorzystuje ogromną ilość energii elektrycznej... tyle, co cały wieżowiec.

– To dziwne.

– I... – Nightcrawler znów się zawahał. – Cóż, Wolverine postanowił zaatakować kable pazurami.

– Elf. – Uśmiech Wolverine'a przeszedł przez obwód. – To miała być niespodzianka.

– Mówiłem ci, Logan – powiedział Cyclops. – Staramy się nie rzucać w oczy.

– Wyluzuj, Summers. Zdjąłem tylko część izolacji z linii energetycznych. Woda tu spływa... kiedy do nich dotrze, powinno być spięcie. Założę się, że zgasną wszystkie światła w klubie.

Cyclops zawahał się. Na lewo od głównych schodów zobaczył wysokie, charakterystyczne postacie Storm i Colossusa, otoczone przez tłum biznesmenów odzianych w smokingi. Po drugiej stronie sali, obok jednego z małych barów koktajlowych, dostrzegł przyciągające wzrok rude włosy Jean.

Zmarszczył brwi. Co ona tam robi?

– Pomyślałem, że jeśli dziś wieczorem coś pójdzie nie tak – ciągnął Logan – to niespodziewane zaciemnienie może się przydać.

– To będzie niespodzianka także dla nas. Ale, dobrze. Zostań na pozycji. Cyclops się wyłącza. – Przerwał połączenie, przełączył linki. – Jean?

Bez odpowiedzi.

– Jean!

Wciąż nic. Poczł ukłucie paniki.

– *Scott?*

– *Jean! Co tam robisz? Twój głos brzmi jak... z zaświatów.*

– *Myślę, że coś widziałam.*

– *Coś, to znaczy co?*

– *Nie jestem pewna. – Jej „głos” był teraz cichszy. B-R-B.*

– *Jean?*

– *Cyclops? – To była Ororo. – Zgłaszam się.*

– *Chwileczkę, Storm. Jean?*

Znowu brak odpowiedzi. Ponownie rozejrzał się po sali, ale Jean nie było.

– *O co chodzi, Storm?*

– *Peter i ja mamy tutaj wzięcie... i staje się to dość uciążliwe. Dostaliśmy już wiele propozycji, w różnych konfiguracjach.*

W innych okolicznościach Cyclops mógłby to uznać za zabawne. Zamiast tego zmarszczył brwi i ruszył w kierunku małego baru, przy którym ostatnio widział Jean.

– *W tej chwili – kontynuowała Storm – próbujemy się jakoś wymiksować z gorącej dyskusji na temat dziewiętnastowiecznych technik wioślowania.*

– *Rozumiem. Jak się miewa Peter?*

– *Jak sądzę, żałuje, że opuścił ojczyznę.*

Gdy Cyclops przepychał się w kierunku tyłu sali, tłum gęstniał. Dwaj kompletnie pijani mężczyźni obejmujący kelnerkę zatoczyli się i wpadli na niego. Uśmiech na twarzy dziewczyny wyglądał na bardzo wymuszony. Scott zszedł im z drogi, zaciskając zęby.

– *Głowa do góry, Ororo – wysłał wiadomość, ale wiedział, że*

to żadna pocięcha. – *Po prostu zobacz, co możesz...*

– *Scott...*

To znowu Jean. Jej myśli były ledwo słyszalne.

– *Jean? Co się dzieje?*

– *Scott, nie sądzę, żebym mogła go pokonać.*

– *Kogo pokonać?* – Kręcił się dookoła, wypatrując jej w tłumie. – *Jean, gdzie jesteś?*

Odwrócił się, niemal zderzając się z grupą roześmianych biznesmenów w smokingach. Złapał za poręcz u stóp schodów, żeby złapać równowagę.

– *Nie mogę go pokonać, nie mogę się przed tym obronić...*

– *Jean, porozmawiaj ze mną. Powiedz mi, z czym walczysz!*

– *To ja. To jest we mnie.*

Znowu omiół salę wzrokiem, z jednego końca na drugi i z powrotem. Nigdzie jej nie widział, nie mógł nawet dostrzec Colossusa i Storm. Wokół tylko pijani imprezowicze i zmęczone, zniechęcone kobiety z wymuszonym uśmiechem podające drinki facetom, którzy je zatrudnili. Następnie inny „głos” włączył się w obwód. Głos mężczyzny – głęboki, donośny i władczy.

– *Mój piękny kwiat...*

Cyclops obrócił się, szukając źródła tego głosu, i znalazł się naprzeciwko schodów. Kiedy podniósł wzrok, szczęka opadła mu ze zdumienia. Jean wspinała się po schodach zaledwie kilka stopni od niego, ogniste włosy spadały kaskadą na bladą skórę jej pleców. Facet w pirackich butach, jedwabnej koszuli i aksamitnym fraku poprowadził ją powoli na górę, mocno obejmując ramieniem.

– *Jean!* – Krzyknął Cyclops. – *Jean, czekaj!* – Zatrzymała się

kilka schodów wyżej, ale nie odwróciła się. Mężczyzna popatrzył na nią, potem spojrzał w dół. Jego starannie przystrzyżona broda okalała wilczy uśmiech.

Myśl mężczyzny odbijała się echem w umyśle Cyclopsa: ... *niemal w pełnym rozkwicie.*

Wyngarde – uświadomił sobie. To był Jason Wyngarde, ten gość, którego poznała na Kirinos. Cyclops widział go w myślach Jean w Nowym Meksyku.

– *Jean? Dlaczego on... hej!* – Cyclops ruszył za nimi, ale zaraz się zatrzymał, gdy dłoń w rękawiczce złapała go za ramię. Szarpnął się, chcąc się wyrwać, wciąż na dolnym stopniu. Odwrócił się i zobaczył Emmę Frost.

Miała na sobie pełny strój Hellfire, wokół niej wirowała peleryna. W pobliżu kręciło się kilku pijaków, gapiąc się pożądliwie i mamrocząc świństwa, chociaż Emma właściwie nie wyróżniała się wśród mnóstwa kostiumów. Cyclops wyrwał się z uścisku jej dłoni i ruszył po schodach.

– *Nie rób tego* – ostrzegła go w myślach Emma.

Wyngarde i Jean prawie dotarli do szczytu schodów.

Gdy Cyclops zbliżył się do nich, Emma prześliznęła się obok niego. Zatrzymała się o stopień wyżej, zastawiając mu drogę.

– *Odejdź* – powiedział.

– *Nie spodoba ci się to, co znajdziesz.*

Zawahał się. Wyraz jej twarzy nie był okrutny ani nawet żartobliwy. Malowało się na niej raczej coś w rodzaju... współczucia.

– *Twój związek z nią* – powiedziała Emma. – *Już nie istnieje.*

Zszokowany uświadomił sobie, że to prawda. Nie czuł już myśli Jean – ich nowo odkryta intymność, ich wzmocniona więź mentalna zniknęła. Nie mógł też nawiązać kontaktu z żadnym z pozostałych X-Menów. Cała drużyna była głucha, ślepa i ogłupiała.

– Co zrobiłaś? – krzyknął.

– *Ja?* – odparła Emma. – *Nic.* – Dotknęła jego ramienia. – *Ona po prostu odeszła.*

Uniósł wzrok ponad nią. Wyngarde i Jean skręcili za róg, znikając z pola widzenia.

– *Zaufaj mi* – powiedziała Emma. – *Czasem lepiej chodzić w cieniu niż wpatrywać się w słońce.*

Podniósł okulary i wystrzelił wiązkę energii tuż obok jej głowy. Promień uderzył w ozdobną rzeźbę na balustradzie, rozbijając ją w drzazgi. Zaskoczona Emma krzyknęła, gdy kawałek drewna uderzył ją w policzek. Tracąc równowagę, potknęła się na schodach, spadając na pijanych mężczyzn. Kilku z nich wyciągnęło ku niej ręce. Ledwo udało jej się ich uniknąć.

– *Wyjdź z mojej głowy!* – warknął Cyclops, biegnąc po schodach. Grupa biznesmenów i kobiet, wszyscy wystrojeni w smokingi i wieczorowe kreacje, stała na górze, tarasując mu przejście. Odepchnął ich na bok i pobiegł korytarzem wyłożonym starą tapetą, słabo oświetlonym przez wiszące żarówki. Stłumiony śmiech i jęki docierały zza ścian po obu stronach. Zignorował je i ruszył do przodu.

– *Jean!*

Biegł, wydawało się, że bez końca, miotając się po szalenie krętych korytarzach. Nagle ogarnęło go poczucie daremności, jakby

przez całe życie biegał tymi samymi ślepyimi uliczkami, tymi samymi ciemnymi korytarzami, tocząc te same bezsensowne bitwy. Bez Jean, bez głosu w jego umyśle, który by go prowadził, ostrzegał lub dodawał otuchy.

Przed nim, po lewej, właśnie zamknęły się drzwi. Zdążył dostrzec nagie kobiece udo, blade i muskularne, które wyrastało z błyszczącego czarnego buta z wysoką cholewą, związaną sznurówkami. Wykrzyczał imię Jean – a potem już wiedział. Uświadomił sobie, że stało się coś bardzo złego, że w kluczowym momencie źle ocenił sytuację.

Przeszył go palący mentalny podmuch, uderzając w jego głowę i rzucając nim o ścianę korytarza. Nie bronił się, nie było czasu na reakcję. Krzyknął z bólu i upadł na podłogę, wszystko wokół niego zafalowało. W jego głowie rozległ się głos:

– *Mówiłam Ci.*

To nie Jean. To Emma.

Podniósł wzrok, starając się skupić. Jean stała na korytarzu, wyciągając rękę, z której promieniowała moc. Patrzyła na Scotta z wyrazem całkowitej pogardy na twarzy. Miała na sobie czarną wersję stroju Emmy Frost – wysokie buty, obcisłe szorty, skórzany kołnierz nabijany ostrymi kolcami i pelerynę spięta na szyi czerwoną różą. I ten gorset. Czarny gorset, o którym mu opowiadała, ten z szafy na Kirinos. Sznurowany wokół talii, opinał jej ciało równie ciasno jak dziwny uścisk, w którym Wyngarde zdawał się trzymać jej umysł.

– Jean – wychrypiał Scott.

Wyngarde stanął za nią i położył dłoń na jej zakrytym peleryną

ramieniu. Spojrzał na bezwładnego Cyclopsa i uśmiechnął się.

– Wspaniale – powiedział głośno. – Wspaniale, moja kochana.

Spojrzała na Wyngarde'a. Jej oczy błysnęły pożądaniem. Położyła mu dłonie na twarzy. Wpiła się w jego usta, jej ręce wędrowały w górę i w dół po kamizelce i płaszczu mężczyzny.

Cyclops patrzył na to z przerażeniem, desperacko starając się zachować przytomność. Ale jego siła zniknęła. Gdy korytarz pogrążył się w mroku, usłyszał jeszcze jedwabisty, władczy głos Wyngarde'a:

– Moja Czarna Królowa.

14



CZUŁY słuch Storm wychwycił krzyk z oddali. Obróciła się dookoła, przywołując łagodny wiatr, by delikatnie odepchnąć trzech mężczyzn w kostiumach niedźwiedzi. Przeszukała salę, zerkając ponad głowami pijanych biesiadników.

– *Cyclops?*

Nic – żadnej odpowiedzi. Łącze telepatyczne zostało zerwane. Odwróciła się do Colossusa. Młody X-Man stał pod ściennym kinkietem zepchnięty w kąt przez bardzo pijaną młodą kobietę i dwóch mężczyzn w średnim wieku. Jeden z nich trzymał rękę na bicepsie Petera.

– Metalowe pęta! – powiedział mężczyzna. – Znacznie silniejsze niż skórzane.

– Daj mu spokój! – zachichotała młoda kobieta, rozlewając trochę szampana na ramię Petera. Storm podeszła i chwyciła go za rękę.

– Musimy iść.

– Czy Cyclops do ciebie dzwonił? – Colossus z wdzięcznością opuścił towarzystwo.

– Myślę, że wypadł z gry. W każdym razie straciliśmy kontakt telepatyczny.

– To oznacza, że coś się stało z... – Spojrzał na nią z niepokojem.

– Z Jean. Tak.

Mężczyzna w średnim wieku znowu chwycił Colossusa za ramię.

– Czy masz jakieś doświadczenie z metalem? – zapytał bełkotliwie. Peter zatrzymał się na chwilę. Otoczyła go aureola energii i zaczął rosnąć, puchnąć. W jednej chwili jego skóra przekształciła się w solidną, lśniącą stal.

– Trochę – odparł, uwalniając się z uścisku zaskoczonego mężczyzny. Pod schodami zebrał się tłum ludzi, którzy śpiewali rzewną celtycką piosenkę, okropnie fałszując. Większość nie zauważyła transformacji Petera, ale stojący bliżej goście z niepokojem zaczęli wskazywać go palcami, rozlewając drinki na podłogę.

– No cóż – powiedziała Storm – przypuszczam, że jeśli chodzi o tę misję, to etap infiltracji został zakończony. – Uniosła się, wyciągając ramiona, by wzbudzić podmuch wiatru. Jej sukienka opadła, odsłaniając kostium X-Mena w kolorze czerni i kości słoniowej. Stojący najbliżej cofnęli się o kilka kroków i gapili się, osłaniając twarze rękami przed wiatrem.

– Tędy – powiedziała, szybując w stronę schodów. Colossus podążył za nią, jego dudniące kroki wstrząsały salą. Morze smokingów rozstało się przed nimi.

Storm zatrzymała się pod schodami, zauważając roztrzaskaną

drewnianą rzeźbę na balustradzie. Stał tam plecami do niej kelner w smokingu, zmiatając kawałki. Gdy Storm uniosła się ku niemu, odwrócił się i ujrzał ją tuż przed sobą. Z wrażenia upuścił miotłę, jęknął cicho i uciekł. Colossus stawiał stopy co trzy stopnie, drewniane belki skrzypiały pod jego ciężarem. Storm dotrzymywała mu tempa, unosząc się.

– Słyszałam krzyk Cyclopsa – powiedziała. – A przynajmniej wydaje mi się, że to był on.

– Może nasza zasadzka się udała? – odpowiedział Colossus.

– Bogini, spraw, żebyśmy mogli poradzić sobie z tym, co wpadło w nasze sidła.

Na szczycie schodów podest ustąpił miejsca wąskiemu korytarzowi z szeregiem drzwi. Skręcili za róg – i nagle stanęli twarzą w twarz z krępy męczyzną w średnim wieku. Stał z rękami na biodrach, blokując korytarz. Miał na sobie trykoty, pas mistrza sztuk walki i buty ochronne podobne do tych, jakie nosili X-Meni. Jego klatka piersiowa była naga.

– Ororo Munroe – powiedział z sadystycznym uśmiechem na twarzy. – I Peter Rasputin. Jestem Sebastian Shaw.

Storm zatrzymała się w powietrzu. Za Shawem ciągnął się korytarz. Wszystkie drzwi były zamknięte.

– Radzę ci się poddać – powiedział Shaw.

– Poddać się przed tobą? – Colossus ruszył do przodu. – Nie rozśmieszaj mnie. – Podniósł metalową pięść.

– Uważaj, braciszku! – zawołała Storm. – On jest tylko człowiekiem. Twój cios może go zabić.

Colossus skinął głową. Jego pięść wystrzeliła, zatrzymując się,

gdy tylko dotknęła klatki piersiowej Shawa.

Dobrze – pomyślała Storm. Powstrzymał cios w samą porę. To powinno wystarczyć, by pokonać tego najemnego karatekę, nie robiąc mu wielkiej krzywdy.

Shaw się nie poruszył, nawet nie drgnął. W miejscu, gdzie trafiła go pięść Colossusa, błysnęła niewielka fala energii, a potem wniknęła w jego nagą pierś. Colossus cofnął się oszołomiony.

– Mój cios nic mu nie zrobił! – powiedział.

– Mylicie się – oznajmił Shaw. – Obydwoje.

Zanim Storm zdążyła zareagować, Shaw mocno zacisnął pięści i zamachnął się nimi w powietrzu. Zadał cios w brzuch Colossusa, którego, co niewiarygodne, siła uderzenia wyrzuciła w powietrze. Dwieście trzydzieści kilogramów metalicznego mutanta uderzyło w stół na końcu korytarza, rozbijając lustro za nim.

– Peter! – krzyknęła Storm.

Jak myśliwy tropiący swoją zdobycz, Shaw zrobił krok w kierunku Colossusa. Oszołomiony X-Man podniósł wzrok znad podłogi.

– Nie jestem zwykłym człowiekiem – powiedział Shaw, skacząc. – Jestem mutantem, tak samo jak ty, mój nieszczęsny przyjacielu. – Colossus kopnął w górę, krzywiąc się, i zadał potężny cios w brzuch. Shaw wydał zduszone westchnienie, a potem obrócił się w powietrzu i z wdziękiem wylądował. Wyciągnął rękę, chwycił Colossusa za nogę i poderwał go z podłogi.

Tym razem Peter się nie powstrzymywał – pomyślała Storm, obserwując zmagania kolegi z drużyny z Shawem. Ten kopniak zmiażdżyłby czołg.

– Moja moc – powiedział Shaw – polega na wchłanianiu każdej energii skierowanej przeciwko mnie. Twoje ataki tylko mnie wzmacniają... – Colossus z głośnym hukem uderzył o ścianę – ... co czyni mnie jedynym wrogiem, którego nigdy nie pokonasz.

Peter osunął się na podłogę i zastygł.

– Teraz... – Shaw spojrzał na Storm. Odsuwała się do tyłu w powietrzu, prawie dotykając ściany ciasnego korytarza, i patrzyła na Petera. Ledwo się poruszał, ale jego ciało nie powróciło jeszcze do ludzkiej postaci. Najwyraźniej był wciąż częściowo przytomny.

Co ważniejsze, oznaczało to, że nadal żyje.

– Połowa twojego zespołu została pokonana, Storm. – Shaw rzucił jej lubieżny uśmiech. – A bitwa dopiero się zaczęła.

Nie chcę zostawiać Petera, pomyślała, ale jego opancerzone ciało jest zbyt ciężkie, bym mogła je nosić. I muszę ostrzec Nightcrawlera i Wolverine'a!

– Poddaj się – kontynuował Shaw – a okażę ci litość.

– Nigdy – odparła.

Skoncentrowała się, wypełniając powietrze gęstą mgłą, która uniosła się błyskawicznie, otulając Sebastiana Shawa. Potknął się, wymachując pięściami. Storm z łatwością go ominęła i poleciała w kierunku schodów. Ostatnią rzeczą, którą zobaczyła przez gęstą mgłę, było opancerzone ciało Colossusa leżące nieruchomo na podłodze.

Wybacz mi, braciszku.

WOLVERINE parł niepowstrzymanie, jego pazury przedzierały się przez kolejne warstwy gleby. Kiedy uderzył

w beton, opór prawie go przewrócił. Cofnął się, przywierając do ściany pionowego tunelu, który właśnie wydrążył.

– Dokopałem się! – krzyknął w głąb.

Poniżej, w kanale, Nightcrawler stał po pas w wodzie. Uśmiechnął się do kolegi z drużyny i wyciągnął kciuk w górę.

Sarkając, Wolverine przycisnął rękę do brudnej ściany tunelu. Potem zgiął drugą rękę i pchnął w górę. Jego pazury z końcówkami z adamantium roztrzaskały beton na gruz.

Wspiął się na trzeci poziom podziemi Hellfire Clubu. Było ciemno, pusto, tylko podgrzewacze wody i generatory prądu szumiały w kątach. Ogromny piec połączony rurami z siecią zardzewiałych zbiorników z olejem pracował z warkotem. Zanim Wolverine zdążył ponownie krzyknąć, pojawił się przed nim Nightcrawler w chmurze siarki.

– Jesteśmy – powiedział Nightcrawler. – Jak na razie idzie dobrze.

– Tak. – Logan otrzepał brud z kostiumu. – Szkoda, że nie mogłeś po prostu teleportować nas tutaj z zewnątrz.

– Nie wiedząc, jak to wygląda w środku – odpowiedział Nightcrawler – nie mogłem się tu zmaterializować. I w przeciwieństwie do naszej nowej koleżanki nie potrafię przechodzić przez ściany.

– Wiem, wiem. – Logan wciągnął nosem powietrze. – Mimo to poszło dość gładko. Trochę zbyt gładko jak na mój gust.

Nightcrawler wzruszył ramionami.

– Czy w tym kraju nie mówi się: „Brak wiadomości jest dobrą wiadomością”?

– Zależy od kanału. Słyszysz coś od Cyke’a lub Jeannie?

– Nie. – Nightcrawler zmarszczył brwi. – Właściwie nie wydaje mi się, żebym wyczuwał w moim umyśle którekol...

Wolverine uchwycił zapach o sekundę za późno. Z cienia wyskoczył mężczyzna. Złapał Nightcrawlera za gardło i go podniósł. Napastnik był wysoki, ze starannie uczesаныmi blond włosami. Miał na sobie historyczny kostium: kamizelkę z miękkiego aksamitu, długi płaszcz oraz bryczesy. Obrócił się, trzymając przed sobą Nightcrawlera jak tarczę.

Logan kucnął i warknął. *Załatwię go z palcem w nosie* – pomyślał. – *Ale mogę przez przypadek zahaczyć Kurta.*

– Elf ! – zawołał. – Teleportuj się stąd!

Nightcrawler sapnął. Jego głowa huśtała się w przód i w tył w uścisku mężczyzny.

– Nie może. – Odezwał się napastnik kulturalnym tonem zdradzającym wykształconego człowieka. – Przepuszczam przez jego ciało pole elektryczne, uniemożliwiając mu koncentrację.

– Jak tam chcesz – powiedział Logan i machnął ręką. Jego pazury wbiły się prosto w ramię mężczyzny, przecinając płaszcz i jedwab. W tym momencie ładunek elektryczny trafił Wolverine’a. Przeszył go ból od ramienia do piersi. Kiedy się zatrzymał, by ocenić obrażenia, to, co zobaczył, zaparło mu dech. Ramię mężczyzny nawet nie drgnęło. Wciąż trzymał gardło Nightcrawlera w żelaznym uścisku. Ale w miejscu, gdzie Wolverine go zranił, ciało oderwało się, aby odsłonić płataninę iskrzących się kabli.

– Ty dzikusie! – wykrzyknął mężczyzna. – Zobacz, co zrobiłeś!

– Jesteś pokręconym robotem – rzucił Wolverine, gapiąc się na

obnażone obwody.

– Nie! – Mężczyzna z wściekłości zmarszczył czoło. – Donald Pierce jest cyborgiem! – krzyknął, drugą ręką chwytając ramię Wolverine’a. Zanim Logan zdążył zareagować, znalazł się w powietrzu. Wpadł z impetem w zbiornik oleju, uderzając się prosto we wzmacniony kręgosłup. Logan potrząsnął głową i wstał, a na twarzy pojawił mu się niebezpieczny uśmiech.

– O cyborgach wiem wszystko. Sam w pewnym sensie jestem cyborgiem. – Rozłożył obie ręce, pokazując pazury. – Choć wymykam się ścisłym definicjom.

Nightcrawler wydał zduszone westchnienie i omdlał w uścisku Pierce’a. Wolverine zerwał się na równe nogi i pobiegł przez piwnicę – ale zanim zdążył pokonać dzielącą ich odległość, z boku pojawił się miecz, blokując mu drogę. Logan warknął i ujrzał zwalistego mężczyznę z rudą brodą. Lekki uśmiech pojawił się na twarzy mężczyzny, gdy rzucił się do przodu, dźgając powietrze.

– Nazywam się Leland – powiedział – Harry Leland. Obawiam się, że nie mogę ci pozwolić na ponowne zaatakowanie sir Pierce’a.

– Spróbuj mnie powstrzymać. Zapraszam. – Roześmiał się Wolverine.

– Drogi chłopcze. – Uśmiech mężczyzny stał się szerszy. – Wyzwanie przyjęte.

Logan podszedł do Lelanda, groźnie pocierając o siebie pazurami. Leland schował miecz i wyciągnął obie ręce. W jednej chwili Logan miał wrażenie, że przygniata go wielki ciężar, spadając na jego plecy, ramiona i nogi. Każdy krok stawał się trudniejszy niż poprzedni.

– Wy, X-Meni, nie jesteście jedynymi mutantami na świecie – powiedział Leland. – Moja moc jest związana z masą.

Wolverine upadł na podłogę, sapiąc.

– Wystarczy tylko, żebym się skoncentrował – ciągnął Leland – i mogę zwiększyć wagę dowolnego przedmiotu. Albo osoby.

Muszę już ważyć tony – pomyślał Logan. – *I nadal stoję się coraz cięższy. Ale nie mogę się poddać. Muszę uratować elfa... ostrzec innych...* – Wyciągnął rękę, wbił pazur w podłogę i użył dźwigni, by wyrwać się do przodu.

Pierce zbliżył się, wciąż trzymając bezwładne ciało Nightcrawlera.

– Imponujące. – Z jego drugiego ramienia podnosiły się snopy iskier.

– Rzeczywiście – powiedział Leland. – To bardzo odświeżające, testować nasze moce na mutantach zamiast na...

– Bydle? – zapytał Pierce.

– Kwiatkach – odparł Leland.

Dwaj mężczyźni wybuchnęli śmiechem.

Logan nie zwracał na nich uwagi. Ponownie wbił się w podłogę, wkuwając pazury w beton. Z ogromnym wysiłkiem podciągnął się o kolejne sześć cali do przodu.

– Szkoda, że nie mogłem skorzystać z twojej pomocy na spotkaniu Kręgu, stary przyjacielu – powiedział Leland. – Shaw i jego mała Królowa ponownie prowadzili swe gierki o władzę.

– Nic na to nie mogłem poradzić. – Pierce wzruszył ramionami. – Wiesz, interesy za granicą.

– Cóż, dobrze że wróciłeś. Mężczyźni ze szlacheckich rodów to

dziś ginący gatunek.

– Schlebiasz mi – uśmiechnął się Pierce. – Ale oczywiście masz rację.

Logan miał wrażenie, że jego czaszka została odlana z ołowiu. Od Lelanda dzielił go zaledwie metr, ale równie dobrze mogły to być kilometry. Wolverine czuł na plecach potężny ucisk, który pozbawiał go sił.

– Zabiję cię – warknął.

Leland odwrócił się, słysząc głos, jakby dopiero co przypomniał sobie o Loganie.

– Być może, drogi chłopcze – wykonał gest dłońmi. – Albo...?

Ciężar znów gwałtownie wzrósł. Kręgosłup Logana zaczął trzeszczeć, kości wyginały się jak gałązki. Potem poczuł, że podłoga pod nim ugina się i pęka. Runął w dół. Jego zwiększona masa ciągnęła go przez warstwy betonu, brudu i metalu, z powrotem na podziemne poziomy pod budynkiem.

Przebił się przez sufit kanału i wpadł do niego, lądując ciężko z pluskiem. Zalała go masa brudnej wody, siła uderzenia momentalnie pozbawiła go świadomości, a potem wyleciał z Hellfire Clubu na mknącej z wielką prędkością fali.

STORM SZYBOWAŁA przez górne poziomy klubu, a zaskoczone pary i trójki gości wystawiały głowy z ustronnych pokoi. Po zlokalizowaniu klatki schodowej uniosła się na najwyższe piętro, gdzie podwójne drzwi prowadziły do wysokiej biblioteki umeblowanej antycznymi skórzanymi fotelami i drewnianymi biurkami. Wzdłuż ścian rozciągały się półki pełne pachnących

stęchlizną starych książek.

Wylądowała i wyciągnęła telefon. Próbowwała dodzwonić się do Wolverine'a, a potem do Nightcrawlera. Nie odbierali. *Dosyć* – pomyślała i podniosła ramiona, by przywołać błyskawicę. Potężny grzmot uderzył w wykuszowe okna.

I nic. Błyskawica rozplynęła się, nieszkodliwie iskrząc w powietrzu.

To musi być jakieś ochronne pole energetyczne – uświadomiła sobie. – Cały ten Hellfire Club... każda jego część jest zbudowana jak więzienie. – Spojrzała na drzwi. – Pozostała tylko jedna droga: zejść na dół i wyjść przez drzwi. Wmieszam się w tłum imprezowiczów i ukryję moją ucieczkę...

– Niespodzianka.

Nagle z cienia wyłonił się Shaw. Uniosła się w powietrze, ale on był zbyt szybki – chwycił ją za kostkę i trzymał w żelaznym uścisku. Próbowwała się uwolnić.

Wygląda na to, że wie wszystko o naszych mocach – pomyślała. Moją jedyną nadzieją jest zrobienie czegoś nieoczekiwanego!

Podniosła ręce, jakby przywołując wicher, ale zamiast tego machnęła wolną nogą, mocno kopiąc Shawa w brodę. Krzyknął i puścił ją. Ale zanim zdołała wykorzystać przewagę, złapał ją za pelerynę i przyciągnął do siebie.

– Czyżbyś zapomniała, Storm? Absorbuję energię kinetyczną. – Odwrócił ją do góry nogami i rzucił na podłogę. – Twoje ataki tylko mnie... podkrecają. – Upadła prosto na twarz, krzycząc z bólu, gdy krew wypełniała jej usta.

– Dlaczego? – Sapnęła. – Dlaczego my?

– Wypadek genetyki. – Shaw podniósł ją za włosy, odwracając twarzą do siebie. – Mam smykałkę do interesów. Dzięki niej zaczynając od zera, stałem się jednym z największych przemysłowców XXI wieku. Jeśli ja... jeśli Hellfire Club zdoła wyodrębnić genetyczny czynnik X, który tworzy istoty obdarzone ponadprzeciętnymi mocami, takie jak my, możemy go wprowadzić na rynek.

– I nie masz zamiaru eksperymentować na sobie – powiedziała, wycierając krew z twarzy.

– Dlaczego miałbym to robić? – uśmiechnął się. – Kiedy jest tak wiele pięknych, fascynujących obiektów do wyboru.

Obrócił Storm i uderzył jej głową w biblioteczkę. Kątem oka dostrzegła stare książki spadające z półek, oprawione w skórę tomy, które uderzały w wypolerowaną drewnianą podłogę. A potem nie widziała już nic.

SHAW OWINAŁ wokół swej pięści pelerynę Storm i zaczął ciągnąć ją po podłodze. Potem zatrzymał się, odwrócił w stronę drzwi i przechylił głowę.

– *Emmo? Słyszysz mnie?* – Cisza. – *Pokonaliśmy X-Menów – powiedział – i to bez żadnych strat własnych. Hellfire Club triumfuje.*

Tylko lekki szum w jego głowie zdradzał obecność Białej Królowej.

– *Od dawna nie używałem swojej zmutowanej mocy – dodał. – Zapomniałem, jakie to wspaniałe uczucie.* – Przykucnął, podnosząc Ororo, jakby nic nie ważyła. – *Czy jesteś dumna ze swojego króla?*

Śmiech. Cichy, ale przesywający, przenikający jego umysł przez łącze telepatyczne. Okrutna jest ta jego Biała Królowa – tak jak sam Hellfire Club. Jego walutą była władza, jego narzędziem okrucieństwo. Tak było w dawnych czasach i tak będzie zawsze. Westchnął, przerzucił nieprzytomną mutantkę przez ramię i ruszył do podziemnej kwatery Wewnętrznego Kręgu.

15



JEAN!

To była pierwsza myśl Scotta Summersa po przebudzeniu. Następnie pojawiło się czyste, klaustrofobiczne przerażenie.

Nie widzę!

Poruszył głową raz w jedną stronę, raz w drugą. Metalowe kajdany brzęknęły, zaciskając się na jego gardle. Leżał na zimnej kamiennej podłodze. Gruba rękawica na rękach związanych za plecami uniemożliwiała jakikolwiek ruch. Metalowy kołnierz i kaptur zakrywały mu całą twarz i szyję tak ciasno, że nawet nie mógł poruszyć ustami, by wypowiedzieć choćby słowo. Oprawcy założyli mu wizjer, który, nałożony na kaptur, boleśnie naciskał na grzbiet nosa. Gdy Cyclops próbował użyć przełączników na swoich rękawiczkach, aby otworzyć wizjer, energia błysnęła na chwilę i zgasła. Widział tylko czerwoną mgiełkę.

Ten kaptur – dotarło do niego – jest nasycony kwarcem rubinowym. Moja moc jest bezużyteczna!

– Hej! – odezwał się dudniący głos. – On już nie śpi, Pierce.

– Uważaj na niego, Leland. To on jest ich szefem. – Drugi głos

był wyższy, bardziej aksamitny. – Nie dopadliśmy jeszcze wszystkich.

Kogo? – zastanawiał się Cyclops. – *Kogo jeszcze schwytali?*

Usłyszał trzaśnięcie, jakby ktoś otworzył drzwi. Ciężkie kroki zbliżały się z coraz głośniejszym stukotem. Potem coś masywnego – ciało? – wylądowało na podłodze, zaledwie kilka centymetrów od niego.

– To ostatnia z nich. – Trzeci głos był głęboki, władczy. – Hellfire Club zwycięża.

Z podłogi dobiegł cichy jęk. Cyclops rozpoznał głos: *Storm!*

Zebrał wszystkie siły, by się skoncentrować. Jako nastolatek nauczył się adaptować do sytuacji, w których nie widział otoczenia. Te umiejętności były niezbędne chłopcu, który często musiał zaciskać powieki, aby nie skrzywdzić kolegów.

Pomieszczenie było wypełnione zimnym i suchym powietrzem. Słyszał buczenie maszyn, skwierczenie ognia. – *To musi być sanktuarium Wewnętrzznego Kręgu... prawdopodobnie gdzieś pod samym budynkiem.*

– Jak twoje ramię, Pierce?

– To tylko zadrapanie, Shaw. Łatwe do naprawienia, czuję się już dobrze.

Shaw. Kim jest dla Emmy Frost...? Kochankiem? Mistrzem? Partnerem w jej chorych gierkach?

– Zadrapanie! Ha!

Na dźwięk nowego głosu ciarki przeszły Cyclopsowi po plecach. Słyszał go wcześniej tylko raz – krótko, tuż przed utratą przytomności – ale poczuł go, doświadczył jego mocy z drugiej

ręki, w umyśle Jean. Na skale w Nowym Meksyku, kiedy otworzył się na jej myśli i wspomnienia.

Wyngarde.

– Pazury Wolverine’a weszły w twoje cenne bioniczne ramię jak nóż w masło – ciągnął głos.

– Jason, kochanie.

Nie. O nie.

Jean.

– Właśnie odnieśliśmy wspaniałe zwycięstwo – kontynuowała. – Po co je psuć nieprzyjemnymi słowami?

Znał jej głos lepiej niż ktokolwiek, lepiej nawet niż swój własny, ale nigdy nie brzmiał on tak jak teraz. Nigdy nie był tak śliski, przesycony podstępem i oszustwem.

– Twoja Czarna Królowa ma słuszność, Wyngarde – powiedział Shaw. – To był wspólny wysiłek. Wszyscy odegraliśmy w nim jakąś rolę.

– Czyżby? – przerwał mu Wyngarde. – Sądzę, że brakuje nam jednego X-Mana.

– Wolverine nie żyje – powiedział Leland.

– Wątpię w to – prychnął Wyngarde.

– Jeśli przeżył, znowu go zabiję. Gołymi rękami – odezwał się Pierce głosem pełnym gniewu. – Żaden człowiek, który przelał moją krew, nie ujdzie z życiem. A tym bardziej żaden brudny mutant.

– Uważaj, staruszkule – odparł Leland z lekką irytacją w głosie. – Pamiętaj o towarzystwie, w którym przebywasz.

– Panowie – powiedział Shaw. – Nawet jeśli Wolverine przeżył,

z pewnością jest już teraz daleko stąd. Zajmiemy się nim we właściwym czasie, tak jak całą resztą.

Całą resztą – pomyślał Cyclops. – *To znaczy, że dopadli też Petera i Kurta.*

– Świętujmy – kontynuował Shaw – podczas gdy owce na górze oddają się swoim małym bachanaliom. Zupełnie nieświadome tego, że wkrótce ostrzyżemy je razem z resztą świata.

– Racja, Shaw – powiedział Wyngarde. – Pamiętaj tylko, że to moja królowa, Jean Grey, dała nam klucz do zwycięstwa.

– I tak byśmy wygrali – odparł Pierce, pociągając nosem.

– Tak myślisz? Bardzo dobrze. Uwolnię ją spod mojego wpływu. Zobaczymy, jak długo pożyjesz.

– Dosyć! – Głos Shawa stawał się coraz głośniejszy, gdy zbliżał się do zgromadzonych. – Proponuję toast. Za Hellfire Club i za Jean Grey, naszą Czarną Królową.

– Niech nam długo panuje – powiedział Wyngarde.

Ci dwaj są głównymi rozgrywającymi – pomyślał Cyclops. – *Siłują się ze sobą, walcząc o władzę. Shaw z Emmą u swojego boku i Wyngarde z jego... jego Czarną Królową. Tylko oni się liczą. Leland i Pierce to... tylko drugorzędni gracze.*

– Dwór jest bezpieczny, sir Jasonie. – Znowu głos Jean. – Czy nadal chcesz ukarać służących?

Dwór – pomyślał Cyclops. – *Służący?* – Zabrzmiało to jak uderzenie. Niczym świst pejcza na skórze.

Wyngarde ma rację – stwierdził Scott. – *Jean jest kluczem. W jakiś sposób ją oczarował, odkrył w niej pewną słabość, która pozwoliła mu zapanować nad jej umysłem. Zmienił ją*

w zniekształcone odbicie samej siebie.

– Później, moja droga – powiedział Wyngarde. – Teraz cieszymy się owocami mojego... naszego zwycięstwa.

Wyngarde przyciągnął ją do siebie i pocałował. Jego oczy, szorstka broda, piżmowy zapach – wszystko to było niczym odurzający koktajl, który zalewał jej zmysły. Krew w niej zagrała i Jean odwzajemniła się, namiętnie przywierając do niego...

Zaraz. – Cyclops zerwał się, zaskoczony. – Skąd to wszystko wiedziałem?

Łącze – uświadomił sobie. – Nasza telepatyczna więź wciąż jest aktywna. Jean próbowała ją zerwać, odciąć się ode mnie, ale pozostała jakaś cienka nić. Co obiecali sobie w Nowym Meksyku? Całkowitą intymność. Całkowite zaufanie.

Czas to sprawdzić.

Oczyścił myśli, przypominając sobie ćwiczenia koncentracji, których nauczył go profesor X. Czerwona mgła przed nim stała się czarna. Z daleka usłyszał jęk Storm, ale zignorował ten odgłos, wyrzucając go ze świadomości. Odwrócił uwagę od wszystkich zewnętrznych bodźców, skupiając świadomość na jednej jedynej rzeczy: cienkim pasemku czerwieni, słabym światełku połyskującym w ciemności.

Jean – pomyślał. – Jean, wiem, że tam jesteś. Wiem, że cierpisz. Wpuść mnie.

Światło stało się jaśniejsze, gorętsze.

Przypomnij sobie wszystko, co nas łączyło. Wpuść mnie!

UMYSŁ JAK OGIEN *jak serce słońca*

Czysta moc czysta wściekłość.

Oni nie rozumieją. Oni nigdy ty nigdy nie zrozumiesz.

Płomienie tańczące na ciasno zawiązanym gorsecie ze skóry

Światy eksplodujące w ogniu ogniu

ogniu ogniu jestem ogniem. Ogniem i życiem wcielonym

Lodowa skóra paląca zamrażająca

Uwielbiam miłość jesienią. Drzewa się zmieniają opadają liście.

Nieprzerwany krąg

Witaj głosie we mnie beze mnie. Starożytne niepoznawalne JA.

Wpisane w geny, wyryte w pamięci gatunku

Witaj w ostatnich minutach

Pękające kajdany naładowane cząstki mogą spowodować

mutacje w

Twarz w ogniu żołądek podchodzi do gardła

Ja to ja to jest we mnie

Och, och, Jason, moja miłości

Nagi mężczyzna ze zwierzęcymi rogami

Lady Jean

*Niebo rozjarzyło się jak gwiazda jak piec ogień który pochłania
wściekłość*

*wściekłość na mężczyzn na ludzi którzy nienawidzą nienawidzą
mutantów*

kobiet nienawidzą wszystkiego co inne nienawidzą MNIE

*Kochaj mnie mogłabym sprawić że mnie pokochasz. Sprawić
żebyś zrobił*

cokolwiek zechcę. Ty istniejesz żyjesz nadal dzięki mojej łasce

Lady Jean Jestem Lady Jean Grey Jasonie och mój Jasonie twój

zapach twój głos twoje ramiona zwiąż moje uwolnij mnie od tego życia

Jestem Phoenix Jestem gniewem ogniem

To życie może nie być życiem do którego jestem przeznaczona

JA JESTEM LADY JEAN GREY A TO JEST MÓJ DWÓR

CYCLOPS PRZEWRÓCIŁ się na plecy. W umyśle próbował zasłonić się przed oślepiającym światłem, chaosem, który atakował jego zmysły.

Czy to naprawdę ona? – zastanawiał się. – Gniew, rozgoryczenie... poczucie klaustrofobii, zamknięcia w klatce przez całe życie?

„To życie może nie być życiem, do którego jestem przeznaczona...”

Dopadła go straszna myśl. Czy to ja ją blokowałem? Uniemożliwiłem Jean... stanie się jej najlepszą wersją? Dzieliłem jej myśli, lęki... kochałem ją, śmiałem się i płakałem z nią. Ale nawet gdy nasze umysły były ze sobą połączone, nigdy nie znałem... nigdy nie rozumiałem głębi jej...

Przełknął ślinę i uronił kilka łez pod kapturem.

Może nigdy jej nie znałem – pomyślał ponuro. – Może nikt nie jest w stanie naprawdę poznać drugiej osoby.

Nie! To Wyngarde... w jakiś sposób to wszystko jego sprawa. Część jego partii szachów, jego gambitu, który ma na celu przejęcie kontroli nad Hellfire Clubem. Opanował jej umysł, wszczepiając weń trochę fantazji. Jeśli nawet będzie to ostatnia rzecz, którą w życiu zrobię, zatrzymam go.

Zbierając wszystkie siły, Cyclops podniósł się na nogi. Światło znów stało się jaśniejsze, grożąc mu pochłonięciem. Zmusił się, by stanąć z nim twarzą w twarz i otworzyć się na jego tajemnice.

Pokaż mi, kochanie – pomyślał. – Pozwól mi zobaczyć twoimi oczami koszmarny świat, w którym żyjesz. Światło wydawało się jednak opierać, błyskając. Po chwili złagodniało, ustąpiło. Pojawiło się uczucie lotu, upadku...

...a potem zobaczył.

Pomieszczenie było ogromne i jasne, z wysokimi oknami, w których wisały ozdobne zasłony. Lampy gazowe oświetlały dużą przestrzeń, pozostawiając zasłony w cieniu. Wyglądały, jakby pokrywała je warstwa popiołu. Środek wysokiego sufitu zajmował wielki żyrandol z grubymi świecami ociekającymi woskiem.

Główny korytarz – uświadomił sobie. – Brama do rezydencji Lady Jean.

Znów zaatakowały go jej myśli.

Gniew palący lodową skórę...

Odpędził je, używając ćwiczeń profesora do zbudowania mentalnej zapory. Skupił się na wychwyceniu głosu w tym hałasie, na ujrzeniu Jean i jej otoczenia, tak jak ona je widziała. Rudowłosa dama, wyniosła i dumna, z dłońmi zaciśniętymi w pięści na mocno wciętej talii gorsetu. Wokół niej jak stado konkurujących zalotników zgromadzili się członkowie Wewnętrznego Kręgu. Cyclops przyglądał się uważnie jednemu po drugim.

Donald Pierce. Wysoki, szczupły, o pociągłej okrutnej twarzy.

Harry Leland. Zwalisty, ciężki, arogancki, rzucający Jean lubieżne spojrzenia.

Sebastian Shaw. Szorstki, mocno zbudowany, z rękami awanturnika i zimnymi oczami.

Jason Wyngarde u boku Jean. Dziarski, ze starannie przyciętą brodą i wąsami. Uśmiechał się, jakby był właścicielem wszystkiego w tej sali i całego świata.

– Jesteś o wiele bardziej... otwarta niż Biała Królowa, kochanie.

Leland wyciągnął rękę, chcąc złapać Jean za brodę.

– Podoba mi się to. – Jego druga ręka zabłądziła w okolice jej bioder. Oczy Jean błysnęły, kiedy odsunęła się, prawie niezauważalnie, unikając jego dotyku. Potem uśmiechnęła się i odparła:

– Też cię lubię, drogi panie Lelandzie.

Cyclops poczuł ukłucie gniewu i bezradności. W tym miejscu w umyśle Jean nie był w stanie nic zrobić. Mógł tylko patrzeć.

– Gdzie się podziewa twoja ukochana Królowa, Sebastianie? – spytał Wyngarde. – Czy nie powinna uczestniczyć w tej uroczystości?

– Emma ma swoje obowiązki – powiedział Shaw.

– Nie wiesz, gdzie ona jest. – Wyngarde roześmiał się.

Shaw spojrzał spode łba i odwrócił wzrok.

– Oj, chłopcy, chłopcy. – Jean popatrzyła kolejno na obydwu z nich. – Czyż ja wam nie wystarczę? – Wszyscy się uśmiechnęli.

Manipuluje nimi – pomyślał Cyclops. – *Grając na ich najpierwotniejszych instynktach. Och, Jean...*

– A skoro już mowa o obowiązkach – podniosła zwinięty bicz. – Być może nadeszła pora, by wymierzyć komuś karę.

Odwróciła się do czterech osób wspartych o ścianę. Jedna z nich miała na sobie wyświechtane ubranie robotnika rolnego. Kolejna była odziana w białą poplamioną suknię. Trzecia, wąsata postać miała przenikliwe spojrzenie i kolorową apaszkę łotra z minionej epoki. Ręce wszystkich były skute za plecami.

To my – uświadomił sobie Cyclops. – X-Meni, tacy, jakimi widzi nas Jean. Colossus, Storm, Nightcrawler...

Wpatrywał się oczami Jean w czwartą postać. Ten mężczyzna nosił trójgraniasty kapelusz i ciemne okulary. Miał ponurą minę. Podobnie jak pozostali był związany i bezradny.

...i ja. – Zamrugął. – To ja.

– Bunt. – Jean chodziła tam i z powrotem, uderzając biczem w dłoń. – Mojej służby! Służby, którą karmię, ubieram, darzę zaufaniem, która zawdzięcza mi wszystko. – Zawiesiła głos i mocno chwyciła Colossusa za brodę. – To sprawia mi ból, Peter. Czy to rozumiesz? Jego oczy rozszerzyły się, ale nie nic odpowiedział. – Ale najgorszą zdradę – ciągnęła – ranę, która sięga najgłębiej... zadałaś mi ty, moja droga Ororo. – Urwała i spojrzała na Storm. – Czyż nie traktowałam cię dobrze?

– Zawsze byliśmy przyjaciółkami, Jean – odparła Storm, marszcząc brwi.

– Przyjaciółkami? – Jean uderzyła pejczem w policzek Storm. Ororo krzyknęła. Szarpnęła się, ale sznury mocno trzymały jej ręce. – Nie jesteśmy przyjaciółkami – kontynuowała Jean. – Jesteś moją niewolnicą. Urodziłaś się jako niewolnica mojej rodziny i jako taka umrzesz.

Storm zamurowało, nie wierzyła własnym uszom. Po chwili jej

twarz wykrzywiła wściekłość.

– Czy tego chcesz, ślicznotko? – Jean podniosła dużą obręcz z metalowymi kluczami. – Kluczy, które uwolnią ciebie i twoich towarzyszy?

Storm wpatrywała się w zimne oczy Jean.

– Kim jesteś? – zapytała.

Jean wybuchnęła śmiechem – zgrzytliwym i nieprzyjemnym.

Cyclops cofnął się i odwrócił wzrok. Nie mógł tego znieść – to było za wiele. Złośliwość Jean, jej otwarty rasizm, okrucieństwo wobec bezbronnych ofiar...

...nagle wszystko zafalowało. Zasłony zmieniły się w kamień, a okna w ekrany wideo. Lampy gazowe przekształciły się w osadzone na ścianach pochodnie. Cyclops obrócił się, poczuł szarpnięcie więzów na rękach ...A potem, w jakiś sposób zobaczył salę. Nie tak, jak widziała ją Jean, ale tak, jak naprawdę wyglądała. Ciemną kamienną komnatę oświetloną świecami i pochodniami, z najnowocześniejszymi komputerami obok zabytkowej broni, rzędami drewnianych stołów i podium ze stołem konferencyjnym na drugim końcu. Nightcrawler, Storm i Colossus stali w rzędzie pod ścianą z rękami w kajdanach. Mieli na sobie kostiumy X-Menów i elektroniczne obroże – bez wątplenia wyposażone w inhibitory do neutralizowania ich zmutowanych mocy.

Jean wyglądała na niezmienną. Wysoka, władcza, odziana w ten sam ciemny gorset, obcasy i pelerynę, które nosiła w iluzji – kostium, a zarazem okrutną zbroję Czarnej Królowej.

– Jean. – W głosie Storm pobrzmiwał rzadki u niej ton wściekłości. – W imię miłości, którą dzieliłyśmy, dołożę starań, by

zapamiętać cię taką, jaką byłaś.

– Podczas gdy ja – odparła Jean – w ogóle cię nie zapamiętam. Uśmiechnęła się i pomachała kluczami przed nosem Storm.

Nie – uświadomił sobie Cyclops – *to nie obręcz z kluczami*. Jean trzymała w dłoni nakrycie głowy Storm, pełne rozmaitych, małych, wymyślnych wytrychów.

Wyngarde podszedł do Jean. Leland roześmiał się, a Shaw prychnął z aprobatą. Pierce uśmiechnął się w milczeniu.

Oni też wyglądają tak samo – pomyślał Cyclops. – *Wewnętrzny krąg Hellfire Club, z całym ich drogim nadętym cosplayem. Ich arogancja – chciwość i nienawiść elity – jest taka sama w każdej epoce.*

Potem obraz zniknął, ustępując miejsca głębokiej jednolitej czerwieni. Scott znalazł się z powrotem w swoim umyśle, odcięty od myśli Jean. Znowu był ślepy.

– *Herr Shaw*. – To był Nightcrawler. – Przepraszam, że pytam, ale dlaczego wciąż pozostajemy przy życiu? – Kroki Shawa dudniące na kamiennej podłodze stawały się coraz bliższe.

– Jak już wyjaśniłem pani Munroe – powiedział – obdarzone nadludzkimi mocami istoty rodzą się na całym świecie. Jeśli będziemy potrafili tworzyć mutanty na zamówienie dzięki inżynierii genetycznej... to cóż, nasze możliwości staną się nieograniczone.

– A my mamy być waszymi królikami doświadczalnymi – powiedział Colossus.

– Tak. – wtrącił Shaw. – Właściwie... patrząc na to z waszej perspektywy... – Cyclops zacisnął zęby w poczuciu bezsilności.

Był bezradny, złapany w pułapkę zaprojektowaną specjalnie dla niego. Dosłownie zagubiony w ciemności.

– ...byłoby lepiej, gdybyśmy was zabili.

16



PIONKI nie zauważyły, jak się zbliżał. W jednej chwili biegały po ciemnym patio z tyłu klubu, węsząc wokół śmietników i stosów przyborów kuchennych. Otrzymały zadanie zlokalizowania pozostałych X-Menów, którzy mogli gdzieś się zaszyć.

W następnej chwili Wolverine wyskoczył z kratki kanalizacyjnej, dziko wymachując pazurami w powietrzu. Pionki rozpierzchły się, podnosząc karabiny dużego kalibru. Logan skoczył w ich stronę, uśmiechając się. Choć gładkie, przepołowione maski ukrywały twarze, czuł unoszący się w powietrzu zapach strachu.

Jeden z pionków oddał strzał w górę.

– Davey! – krzyknął. – Idzie do ciebie!

Brałem udział w lepszych awanturach – pomyślał Wolverine. – Tutaj przewaga wroga to tylko trzech na jednego.

Wylądował i machnął prawą ręką. Jego pazury wbiły się w jednego z pionków, rozrywając kevlar i ciało. Trysnęła krew. Mężczyzna krzyknął, złapał się za brzuch i zgiął w pół. Jego oczy zrobiły się szkliste, z ust poleciała piana. Upadł.

No to teraz mamy dwóch na jednego. Sorry, Davey.

Pozostałe pionki wskazywały Wolverine'a, krzyczały i mierzyły z karabinów. Logan nie zatrzymał się, nawet nie zwolnił. Wskoczył na skrzynię z zaopatrzeniem, odbił się od niej i przeleciał przez patio. Jego pazury wbiły się głęboko w pierś drugiego pionka, przewracając go na stojący za nim stary metalowy kosz na śmieci. Mężczyzna jęknął i osunął się na ziemię.

Salwa z karabinu przeszła powietrze. Logan upadł i z głośnym hukem uderzył głową o kamienne patio. Przeszył go ból. *To pewnie wstrząs mózgu* – pomyślał, zaciskając powieki. Na szczęście jego zmutowana moc uzdrawiania już leczyła ranę. Otrząsnął się i zignorował ból, przeturlał, przywierając ciałem do ziemi. Obrócił się wokół stosu skrzyń, ruszając w stronę ciemnego płotu na drugim końcu patia.

Przykucnął w cieniu, sapiąc. Tej nocy prawie utonął. Woda porwała go niemal półtora kilometra w dół rury kanalizacyjnej, zanim zdążył wyskoczyć z rwącego prądu. Sam powrót tutaj był wielką przygodą.

– Nie ruszaj się – powiedział ostatni pionek.

Wolverine uśmiechnął się. Schował pazury i wyszedł z ukrycia.

Mężczyzna stał naprzeciwko patia, opierając się o kamienną ścianę budynku. Niepewnie trzymał karabin w trzęsących się dłoniach.

– Co tak śmierdzi? – zapytał.

– Nie miałem czasu na prysznic – powiedział Wolverine. – Słuchaj, koleżko. Wiem, co teraz myślisz.

– He?

– Myślisz: jest zraniony. Stoi pięć metrów ode mnie, a ja mam karabin z pełnym magazynkiem. Więc pytanie brzmi, czy zdążę zabić Wolverine'a, zanim zrobi ze mnie sushi tymi swoimi dziwnymi pazurami.

Mężczyzna obejrzał się w stronę drzwi prowadzących do kuchni. Nikt nie przychodził mu z pomocą.

– To uczciwe pytanie – przyznał Logan – ale musisz wziąć pod uwagę wszystkie czynniki. Po pierwsze, Wolverine jest prawie niezniszczalny. Po drugie, jego pazury są zrobione z adamantium, najmocniejszego metalu na ziemi. Po trzecie, pięć metrów to dla mnie tak naprawdę niewielka odległość. Ale oto zagwozdka. Twoi szefowie trzymają przyjaciół Wolverine'a w tym tandetnym salonie dla zboków, a jeden z tych przyjaciół jest naprawdę bardzo ważny. Nie tylko dla mnie, być może nawet dla całego świata. Chodzi o to, że tak naprawdę wcale nie chcesz wchodzić między Wolverine'a i jego przyjaciół. Twój ruch, bohaterze. Muszę cię jednak ostrzec: mam do wypełnienia misję.

Pionek zawahał się, po czym opuścił karabin, który ze szczękiem upadł na ziemię. Logan doskoczył do mężczyzny, zanim ten zdążył jęknąć. Wzmocnione adamantium palce zacisnęły się na gardle pionka, podnosząc go.

– Ja... grr... poddaję się! – wycharczał mężczyzna.

– Spoko, koleś. Nie zabiję cię.

– Czego, *ggrrrr*... chcesz?

– Dzięki, że pytasz. – Logan uśmiechnął się do niego. – Chcę znać każdy szczegół rozkładu budynku Hellfire Club. Zwłaszcza tajemnicze kryjówki, skórzane szafy i pokoje VIP zboków, którzy

prowadzą ten burdel.

Pionek zawahał się. Logan ścisnął go mocniej.

Mężczyzna skinął głową.

Trzy minuty później Logan rąbnął głową pionka o śmietnik – nie na tyle mocno, by go zabić, ale wystarczająco, by pozbawić go przytomności.

Musiałem go uspokoić – pomyślał – choć chłop był w porządku. Teraz trzeba tylko znaleźć tę windę do podziemi, co oznacza, że muszę spokojnie przejść przez główną salę. A wtedy...

Wtedy będzie musiał zmierzyć się z Jean. O tym jednak nie chciał myśleć – jeszcze nie.

Ruszył do budynku, otworzył drzwi do kuchni i stanął jak wryty. Miał naprzeciw siebie kilkunastu kucharzy i kelnerki z nożami w rękach, których wspierała liczna grupa pionków uzbrojonych w karabiny lub broń energetyczną. Za nimi stało czterech postawnych mężczyzn w pudrowanych perukach oraz płaszczach wojskowych z czasów wojny o niepodległość wymachujących ciężkimi drewnianymi pałkami.

Wolverine westchnął.

To tyle, jeśli chodzi o „spokojne przejście”.

Wysunął pazury i rzucił się do przodu, aby zrobić to, w czym był najlepszy.

– **CYCLOPS?** *Słyszysz mnie?*

– *Tak, Storm, słyszę cię, ale cię nie widzę, a na dodatek nie mogę mówić!* – Sfrustrowany zacisnął w pięści związane ręce.

– *Coś się dzieje* – powiedziała.

Wyprostował się, opierając plecami o ścianę i przekrzywił głowę, żeby lepiej słyszeć. Członkowie Wewnętrznego Kręgu oddalili się, ale wciąż z drugiej strony sali docierały do niego ich głosy. Skoncentrował się, próbując zrozumieć, co mówią.

– ...zamieszanie na górze, Shaw.

– Co takiego? Co się dzieje?

– Nie jestem pewien. Podobno intruz wszedł do kuchni.

– Cóż, dopilnuj, by go zatrzymano. Wezwij więcej ochroniarzy.

Intruz – pomyślał Cyclops. Domyślał się, kto to był, ale to mogło poczekać. Na razie liczyło się to, że Shaw i inni mieli coś innego na głowie.

– Mmmm? – Powiedział.

– Co? – odpowiedział Nightcrawler.

– *Zzzznaczy.*

– Nie roz... a! Jean? – przerwał mu Nightcrawler. – Ona, jakby to powiedzieć... stoi tam.

– Może spróbujemy znów z nią porozmawiać? – zapytał Colossus.

Cyclops pokręcił głową. Odsunął się od nich wsparty o ścianę, uderzając łańcuchami o podłogę.

– Scott? – zapytała Storm.

Nie odpowiedział. Chcieli dobrze, ale nie mogli mu teraz pomóc. Tylko on sam mógł się z tego wykaraskać. Wymagało to całej koncentracji, do jakiej był zdolny, i każdego grama siły woli, którą miał.

I muszę to zrobić szybko.

Wrócił myślami do Nowego Meksyku... do tego dnia na skale,

kiedy on i Jean leżeli razem na kocu piknikowym. Tylko ich dwoje pod oślepiającym słońcem. Przypominał sobie, jak pochyłał się nad nią, wypowiadając słowo, które ujawniło tak wiele:

Tak.

Wykonała nieznaczny gest, jak magik w czasie popisu, i nagle znaleźli się gdzieś indziej. W miejscu wiecznej mgły – bez ziemi, bez nieba, gdzie takie pojęcia jak „góra” lub „dół” traciły sens. Zewsząd dochodziły kojące dźwięki: cykanie świerszczy, śpiew ptaków, uderzenia fal gdzieś poza zasięgiem wzroku. I była tam Jean. Cudownie uśmiechnięta, z rozpostartymi ramionami, by go powitać. Taka ciepła, taka ludzka, tak bardzo różna od zimnej, jadawitej Czarnej Królowej.

Astralna równina – wyjaśniła. – Mała kryjówka telepaty.

Rozmawiali wtedy o wszystkim. Mówili bez słów, bez przeszkód, bez zahamowań. Mówili o swoim życiu, o życiu przyjaciół, o obawach, nadziejach i marzeniach. Wspominali pierwsze spotkanie na schodach szkoły Xaviera, lata temu, Jean ciągnącą za sobą poobijaną walizkę. Mówili o miłości, stracie, strachu, nienawiści i zemście. O zagubieniu i powrocie do domu.

W tej chwili, uwięziony w sanktuarium Wewnętrznego Kręgu, Cyclops zaciskał powieki i przypominał sobie to wszystko. Odgłosy astralnej równiny, delikatny zapach sosny niesiony przez wiatr. Przede wszystkim przypominał sobie kobietę, którą znał, kobietę, którą kochał. Jej psychiczny ślad, kształt jej myśli.

Jej piękną duszę.

W jednej chwili się tam znalazł. Kajdany, kołnierz i kaptur zniknęły. Ogarnęła go panika. Bez Jean, dzięki której mógłby się

tam zakotwiczyć, płaszczyzna astralna była ogromna, dezorientująca. Wszędzie niekończąca się mgła, przesuwająca się i kłębiąca w rytm jego myśli.

Nie – ocknął się. – Nie moich myśli. Nie jestem telepatą, sam nie potrafię tego zrobić. Jeśli ja tu jestem, to ona też musi tu być.

– Jean?

Żadnej odpowiedzi.

Na chwilę ogarnęły go wątpliwości. – *Czy ja oszalałem? Nigdy wcześniej nie próbowałem czegoś takiego. Może to tylko moja wyobraźnia... halucynacje wywołane deprywacją sensoryczną?*

– JEAN!

Rozejrzał się dookoła, a potem spojrzał w dół i zaskoczony potrząsnął głową. Znowu miał na sobie trójgraniasty kapelusz, spodnie z wysokimi mankietem i staroświeckie buty. *To jest strój z halucynacji Jean* – uświadomił sobie. Ale pojawiło się coś nowego: długi rapier z gładką metalową rękojeścią, tkwiący w pochwie u jego pasa.

– Wiem, że tu jesteś – powiedział.

Z mgły zaczął wyłaniać się kształt. Kamienne schody, prowadzące w górę do ozdobnych drewnianych drzwi. Drzwi do Hellfire Clubu.

To nie będzie łatwe – uświadomił sobie. – *Ona dostosowuje mnie do osiemnastowiecznej rzeczywistości swojej historycznej iluzji. Cokolwiek Wyngarde jej zrobił, jego kontrola jest bardzo silna.*

Drzwi otworzyły się z trzaskiem. Pojawiła się płomiennowłosa postać w czarnej pelerynie zapinanej na szyi znajomą spinką

w formie róży.

Jest w kostiumie Czarnej Królowej – pomyślał. – To nie wróży dobrze.

– Jean – odezwał się. – To ja, Scott. – Nie mógł stwierdzić, czy mówił, czy też tylko myślał słowami. Otuliła się peleryną i zmarszczyła brwi.

– Czy my się znamy, sir? – Zrobiła krok do tyłu, stukając obcasami. – Twój głos brzmi dziwnie znajomo, ale twój strój wskazuje, że jesteś amerykańskim buntownikiem. Wrogiem króla Jerzego. I moim.

Doooobraaa.

– Spróbuj sobie przypomnieć – powiedział, idąc w jej stronę. – Jestem Scott Summers. Ty i ja... jesteśmy X-Menami, łączy nas jednak znacznie więcej.

Na jej twarzy pojawił się błysk wątpliwości.

Mówił dalej.

– Nie rozumiem... – wskazał na fasadę Hellfire Club, na w pół uformowaną we mgle. – ...cóż, nie rozumiem bardzo wielu rzeczy. Sądzę, że od dawna cierpisz bardziej, niż zdawałem sobie z tego sprawę. Przykro mi, że nie było mnie z tobą... przepraszam, że do tej pory tego nie dostrzegałem. Ale to nie jest wolność, Jean. To tylko kolejna klatka.

Nagle poczuł się bardzo mały i zamilkł.

– To nie to, czego pragniesz – dodał po chwili.

– Skąd wiesz, czego pragnę? – W jej oczach pojawił się czerwony błysk.

– Nie wiem – przyznał. – Myślę, że to właśnie chcę powiedzieć.

Nie wiem. – Wyciągnął rękę. – Ale chciałbym się dowiedzieć.

Stała przez dłuższą chwilę, wpatrując się w jego dłoń. Nagle ze smutkiem odwróciła wzrok.

Mgła zdawała się ją hipnotyzować, pokazując jej coś, czego Cyclops nie mógł zobaczyć.

– Miałam sen – wyszeptała. – O mężczyźnie, który był dla mnie tak ważny, że zrobiłabym dla niego wszystko. Poszłabym za nim, uległa mu... zrezygnowała z tego, czego najbardziej pragnęłam.

– Ja, ja... nigdy nie chciałem... – Cofnął się urażony.

– Jak mogłam być tak głupia? – Kiedy się odwróciła, jej oczy były zimne. – Zechciej opuścić to miejsce, łajdaku – powiedziała. – Zanim zjawi się tu mój mąż.

Mój mąż.

I wtedy się pojawił. Jason Wyngarde. Stał za nią w drzwiach, obejmując ją w talii. Wysoki i groźny w jeździeckich bryczesach, wysokich butach i tym samym aksamitnym fraku, który nosił w zewnętrznym świecie. Trzymał szablę o długim zakrzywionym ostrzu z rzeźbioną, ozdobną rękojeścią.

– Głupcze – powiedział Wyngarde. – Ani ty, ani twoi X-Meni nic nie znaczą dla mojej małżonki. – Jean pochyliła się ku niemu. Przez chwilę patrzyła szeroko otwartymi oczami na jego miecz.

Potem spojrzała wyniośle na Cyclopsa.

– Proszę wyjść, sir – powiedziała. – Albo mój Jason posieka cię tam, gdzie stoisz.

Cyclops wpatrywał się w nią. Poza ich trojgiem nic w tym miejscu nie wyglądało na solidne. Nawet schody i framugi drzwi

falowały i migotały we mgle.

Wyngarde stał dumny, arogancki, z podniesioną szablą.

Kim on jest? – zastanawiał się Cyclops. – Dlaczego się tu znalazł? Jakim sposobem udało mu się zniewolić Jean, wejść między nas, wkroczyć w naszą tajemnicę, prywatne miejsce komunii? Nie. Nie mogę się teraz tym przejmować. Kimkolwiek on jest, nie mam wyboru. Muszę podjąć z nim walkę na jego warunkach.

– Broń się, sir Jasonie – rzucił, wyciągając rapier.

Zanim Scott zdążył zareagować, Wyngarde zszedł ze schodów. Zablockował pchnięcie Cyclopsa prostym ruchem nadgarstka.

– Ha! – wykrzyknął Wyngarde. – Szczeniak szczyrzy kły i małpuje tygrysa.

Cyclops zrobił zwód. Uczył się szermierki wiele lat temu, ale był osłabiony i nienawykły do walki na płaszczyźnie astralnej.

– Wiedziałem o waszej telepatycznej więzi od momentu, kiedy została zadzierzgnięta – kontynuował Wyngarde. – Tak piękna, cenna chwila na piaskach pustyni. Tak czysta.

Rozeźlony Cyclops rzucił się do przodu. Wyngarde odsunął się na bok, unikając pchnięcia.

– Wiedziałem, że spróbujesz się z nią tutaj skontaktować. Wpadłeś prosto w moje ręce.

– Jak? – Cyclops przeciął powietrze. – Kim jesteś?

Wyngarde cofnął się, uniósł szablę w pozycji obronnej. Wydawał się urażony.

– Nie pamiętasz? – zapytał.

Cyclops wpatrywał się w niego ze zdziwieniem.

Twarz Wyngarde'a, całe jego ciało zaczęło falować. Przystojna, dziarska postać zdawała się kurczyć, zmieniając się w sflaczałą parodię mężczyzny. Jasna skóra spelzła; bujne, gęste włosy przeredziły się do szarych nitek. Nawet jego oczy skurczyły się do maleńkich punktów osadzonych głęboko w wąskich oczodołach.

– Jestem Mastermind – powiedział Wyngarde.

Teraz Cyclops sobie przypomniiał. Mastermind był jednym ze sługusów Magneto, jarmarcznym szarlatanem obdarzonym mocą tworzenia iluzji. Jedną z zagubionych dusz, które Magneto zwerbował do swojego oryginalnego „bractwa” złych mutantów. Mało znaczącym graczem, skazanym na podążanie za potężniejszymi przywódcami.

Do teraz.

Na zniszczonej twarzy Masterminda pojawił się dziki uśmiech. Gdy pchnął szablą do przodu, jego sylwetka stała się większa, a plecy wyprostowane.

Zanim czubek ostrza zbliżył się do Cyclopsa, Mastermind znów był Wyngarde'em. Scott zdążył podnieść miecz w ostatnim momencie.

– Ty – zaczął Cyclops – nigdy nie byłeś...

– Zbyt męski? – powiedział Wyngarde.

– Nie przypuszczałbym, że będę wydawać takie osądy.

– Nie byłem – warknął Mastermind. – Ale wszystko się zmieniło, chłopcze. Po tym jak zabiję cię w tym pojedynku, ostatnia nić łącząca Jean Grey z X-Menami, z życiem, które kiedyś prowadziła, zostanie zerwana.

Cyclops cofnął się, patrząc w stronę drzwi. Jean stanęła na

szczybie schodów, obserwując pojedynek z szeroko otwartymi oczami.

Wyngarde rzucił się do przodu, tnąc raz po raz. Jego szabla świszczała w powietrzu. Wydawał się szybszy i bardziej zwinny niż jakikolwiek szermierz, którego Cyclops dotychczas widział.

To nie przypadek – uświadomił sobie. – Płaszczyzna astralna jest kontrolowana przez Jean – wszystko jest możliwe dzięki jej mocy. A on kontroluje ją. Co oznacza, że gram według jego reguł.

Ten pojedynek jest ustawiony. Nie mogę wygrać.

– Jean Grey będzie moja – warknął Wyngarde. – Ciałem i duszą. Będzie moją miłością, moją niewolnicą, moją cholerną Czarną Królową. Razem będziemy rządzić Hellfire Clubem, a kiedyś całym światem.

Nadeszła chwila na ostatni, desperacki atak. Cyclops uskoczył w bok, zrobił zwód, po czym przerzucił rapier z prawej ręki do lewej. Jeśli uda mu się wytrącić przeciwnika z równowagi...

Wyngarde rzucił się do przodu. Długie ostrze uderzyło w lewą rękę Cyclopsa w momencie, kiedy łąpał własną broń. Krzyknął, cofnął się i upuścił rapier, patrząc, jak broń obraca się i znika we mgle.

Przeciwnik chwycił Cyclopsa za kamizelkę i przyciągnął go do siebie. Wyngarde śmierdział stęchlizną i potem.

– Rycerski mężczyzna – rzekł – pozwoliliby ci się poddać.

– Sam to powiedziałaś – prychnął Cyclops. – W ogóle nie jesteś mężczyzną.

Jean zrobiła krok w ich stronę. Wydawała się zafascynowana, niemal zahipnotyzowana walką.

Wyngarde puścił Cyclopsa i zrobił krok w tył. Uśmiechnął się i machnął szablą. Przez chwilę, gdy Wyngarde rzucił się naprzód, Cyclops znów zobaczył go takim, jakim naprawdę był: marnym sługusem rojącym o podbiciu świata. Żalonym, zwiędłym pretendentem do wielkości.

Potem szabla przebiła serce Cyclopsa, a cały jego świat skurczył się do uczucia bólu. Scott zgiął się wpół, sapnął i próbował jeszcze coś powiedzieć. Zakrwawionymi i drżącymi rękami chwycił ostrze i runął na zaskakująco twardą podłogę.

– **CYCLOPS!** – krzyknęła Storm.

Stojący na podwyższeniu Shaw obrócił się. Pobiegł po schodach, nakazując gestem Lelandowi i Pierce'owi, by poszli za nim. Przemaszerowali przez salę, mijając stoły – a potem uśmiechnęli się, jeden po drugim, gdy zauważyli ciało Cyclopsa rozciągnięte na kamiennej podłodze.

– Właśnie upadł! – krzyknął Colossus. – Co się stało?

Nightcrawler osunął się na kolana, walcząc ze swymi więzami. Pochylił się i przyłożył ucho do klatki piersiowej Cyclopsa.

Wyngarde i Jean byli ostatnimi, którzy się zbliżyli. Przepchnęli się obok innych, przyglądając się leżącej postaci. Wyngarde miał triumfalny uśmiezek na twarzy. Spojrzenie Jean było twarde i złe.

– Trafił na lepszego od siebie – powiedział Wyngarde.

– Kurt? – odezwała się Storm.

Nightcrawler spojrział w górę z szeroko otwartymi oczami.

– On nie oddycha.

17



– **ACH, POMYŁKA.** – Nightcrawler pochylił się ponownie, przysuwając bliżej głowę. – Jednak oddycha.

Drzwi wleciały do środka, rozpadając się na kawałki. Rycząca postać z obnażonymi pazurami wpadła do sali. Dwa zamaskowane pionki Hellfire przywarły do jej pleców.

– W końcu! – warknął Logan. – Buduar z szampanem.

Nie zwracając uwagi na słabe uderzenia pionków w głowę i ramiona, przyjrzał się sytuacji. Spod przeciwległej ściany szamotaninę obserwowali Nightcrawler wraz ze Storm i Colossusem – wszyscy związani, bezradni. U ich stóp leżał Cyclops z nieprzezroczystym czerwonym kapturem na twarzy. Nie ruszał się, ale Logan słyszał bicie jego serca.

W kącie stały trzy postacie ukryte w cieniu. Jedna z nich pachniała niepokojąco znajomo, ale Logan nie miał teraz czasu się nad tym zastanawiać. Leland i Pierce już na niego ruszali.

Schował jeden garnitur pazurów. Potem wyciągnął rękę, zrzucił pionka z pleców i cisnął nim w powietrze. Leland zobaczył nadlatującego pionka i odruchowo użył swojej mocy, zwiększając

jego wagę.

Logan uśmiechnął się. *Zły ruch, koleś.*

Pionek uderzył w Lelanda z siłą naprowadzanej rakiety. Dwaj mężczyźni wpadli na stół, rozbijając go na kawałki.

Pierce ledwie zerknął na trafionego towarzysza.

– Dobrze – powiedział, odwracając się twarzą do Logana. – Teraz mogę wypełnić moje przyrzeczenie i zabić cię na miejscu. – Jego ręce iskrzyły elektrycznością.

Pozostałemu pionkowi udało się trafić Wolverine'a w ucho. Logan wyciągnął rękę i uderzył go w głowę.

– W bardziej cywilizowanych czasach – kontynuował Pierce – nasz spór zostałby rozwiązany strzałem z pistoletów z odległości dwudziestu kroków. Jednak w zaistniałych okolicznościach wskazane jest bardziej skuteczne rozwiązanie. Na Boga, człowieku, śmierdzisz jak świńska ferma...

Logan przewrócił oczami. Chwycił oszołomionego pionka na swoich plecach i wyrzucił go w powietrze. Pierce odruchowo wystrzelił ładunek elektryczny w nadlatującego pionka. Piorun uderzył go w twarz. Mężczyzna skulił się i krzyknął z bólu, wymachując rękami.

– Nie! – krzyknął Pierce, który zbyt późno zrozumiał swój błąd.

Uderzył w niego pionek, wciąż wygięty w łuk, wstrząsany przepływającym przez jego ciało prądem. Ręce mężczyzny sięgnęły do gardła Pierce'a, zaciskając się na nim odruchowo. Ten sapnął, nie mogąc złapać oddechu. Wyciągnął rękę i próbował oderwać dłonie pionka, ale oczy mężczyzny wywróciły się do tyłu. Jego mięśnie przebiegł skurcz i zastygły w żelaznym uścisku. Pierce

zatonął się do tyłu i obydwaj upadli na podłogę.

– To za świnie – powiedział Logan.

Pierce i Leland leżeli teraz razem z dwoma pionkami.

– Potrzebujesz pomocy, ‘Roro? – rzucił Logan, odwracając się do kolegów z drużyny.

– Byłabym wdzięczna, Logan. – Storm szarpnęła więzy. Zerwała się i pobiegła w kierunku przyjaciół. Wolverine ruszył ku niej, omijając połamane stoły i potłuczone szkło, ale w połowie drogi jego uwagę przyciągnął jakiś ruch.

– Logan! – wrzasnął Colossus.

Wolverine podążył za wzrokiem Petera. Po drugiej stronie sali pozostałe trzy osoby wciąż czały się w cieniu. Jedna była niska i krępa, druga wysoka, z zadartym nosem. Trzecia postać pozostawała prawie całkowicie w ukryciu, ale zauważył buty, bladą skórę, pelerynę...

Wciągnął powietrze, oddech uwiązał mu w gardle.

Jeannie.

Zza drzwi dobiegły kroki. Trzech wielkich mężczyzn w pudrowanych perukach wpadło do sali, wymachując pałkami.

Logan zacisnął pięści, schował pazury i skoczył na równe nogi. *Lepiej ostrożnie z pazurami* – pomyślał. Mogą to być członkowie Wewnętrznego Kręgu – ale równie dobrze legalni pracownicy, firmy cateringowe lub wynajęci ochroniarze. Nawet agenci służb specjalnych, biorąc pod uwagę listę gości.

Gdy pierwszy mężczyzna przeskoczył przez stół, Logan przywalił mu pięścią w brzuch, odrzucając go do tyłu. Kiedy uderzył drugiego łokciem w podbródek, usłyszał trzask kości.

– Dosyć – odezwał się zwały głos z drugiego końca sali.

Trzeci napastnik wycofał się, opuszczając pałkę w geście kapitulacji. Człowiek, który wypowiedział to słowo, wyszedł z cienia: groźny mężczyzna wzrostu Wolverine'a o krępych, muskularnym ciele. Ostrożnie obszedł nieprzytomnego Lelanda i Pierce'a.

– Ty jesteś szefem tych zboków? – spytał Logan.

Mężczyzna złożył uroczysty ukłon i przedstawił się:

– Sebastian Shaw.

Wolverine przenosił wzrok tam i z powrotem. Ostatni facet w peruce stał w drzwiach ze złośliwym uśmieszkiem – nie wykonał jednak żadnego groźnego ruchu.

– Bez ofiar śmiertelnych, Wolverine? – Shaw spojrzał na leżące pionki. – Jestem prawie rozczarowany.

– Noc jeszcze młoda – odparł.

– Logan – powiedziała Storm z szeroko otwartymi oczami. – Bądź ostrożny.

– Dobra, Sebastian. Zrobimy tak. – Wyciągnął jeden pazur dla podkreślenia swoich słów. – Po pierwsze, uwolnisz moich przyjaciół.

– Wątpię w to – odparł Shaw z uśmiechem.

Wolverine wysunął kolejny pazur.

– Po drugie, wszyscy się stąd zmyjcie. Każdy pionek, rycerz, kaletnik i bandzior w tym domu. I po trzecie... – przerwał, wysuwając trzeci i ostatni pazur na lewej dłoni. – ...chcę pogadać z panią, która stoi z tyłu.

W cieniu pojawiła się płomienna aura. Zniknęła tak szybko, że

Logan nie był pewien, czy rzeczywiście ją widział.

– Po co czekać?

Wysoki arogancki mężczyzna wyszedł z cienia. Jego starannie przycięta broda sprawiła, że Logan poczuł chęć, by uderzyć go w twarz. Shaw zdawał się przez chwilę analizować sytuację. Następnie cofnął się, puszczając przybysza do przodu przesadnie dwornym gestem.

– Wyngarde?

Brodaty mężczyzna skinął głową z aprobatą. Zatrzymał się, wyciągnął rękę i skierował ją w mroczny kąt.

– Chodź, moja droga.

Wolverine z zaskoczeniem obserwował, jak Jean Grey – prawie nie do poznania w kostiumie Czarnej Królowej – wychodzi z mroku. Szła sztywno, ceremonialnie, jakby gorset ograniczał jej ruchy. Logan poczuł, że nogi się pod nim uginają, jak gdyby dostał cios w żołądek. Jean pachniała znajomo, ale wyraz jej twarzy sprawił, że włosy na karku stanęły mu dęba.

– Jeannie – zagadnął ostrożnie. – Jak się masz, dziewczyno?

– Wspaniale – powiedział Wyngarde. – Teraz, kiedy porzuciła dawne, ograniczone życie.

– Nie wtrącaj się, wåsaczu. Rozmawiam z panią.

Wyngarde posłał mu gniewne spojrzenie. Potem wyciągnął rękę i dotknął ubranej w czarną rękawiczkę dłoni Jean. Ujęła go za rękę, nie spuszczając oczu z Wolverine'a.

Niedobrze – pomyślał Logan. – *Ona przypomina pistolet czekający na naciśnięcie spustu. Nabój jest już w komorze.*

– Myliłem się co do ciebie, dziewczynko. – Starannie dobierał

słowa. – Wtedy w wahadłowcu. Powiedziałem, że nie jesteś stworzona do takiego życia.

Coś za nim zaszeleściło – powietrze zafalowało. Nie zareagował.

– Okazuje się, że jesteś bardzo podobna do mnie – kontynuował. – To wszystko w tobie buzuje. Wściekłość. Rozgoryczenie. Przemoc.

Powietrze znowu zadrgało. Nie oderwał jednak wzroku od Jean. Podniósł tylko pazury i wypatroszył lokaja w peruce, na chwilę zanim pałka mężczyzny dotknęła jego głowy. Sługa zadrżał na końcu pazurów Logana, krew trysnęła mu z ust. Wydał przeraźliwy krzyk, zamilkł i zawisł bezwładnie.

Nightcrawler odetchnął. Storm syknęła. Logan skrzywił się, ale nawet się nie odwrócił; zignorował ich. Z reguły starał się nie używać zabójczych mocy w obecności kolegów z drużyny. Tym razem było to nieuniknione.

– Zwierzęce instynkty – kontynuował. – Ty i ja, Jeannie, my je rozumiemy. – Wskazał na X-Menów, a potem na Shawa. – Oni nie.

Strząsnął martwego mężczyznę z pazurów, rzucając ciałem, które wylądowało z hukiem u stóp Shawa.

Jean wciąż go obserwowała. W jej oczach był ogień – i coś jeszcze. Coś, czego nie mógł zidentyfikować.

– Chodzi o to – kontynuował – że musisz nauczyć się to kontrolować. Oswoić zwierzę. W przeciwnym razie znajdziesz się na drodze, z której nie można zawrócić. – Pozwolisz, że ci pomogę?

Jean zrobiła krok do przodu. Wyngarde podążył za nią, uśmiechając się do swojej Królowej.

– Myślisz, że mnie znasz – syknęła.

Logan cofnął się. Czuł rosnące napięcie, odciąganie spustu gotowego do strzału.

Jean omiotła salę wzrokiem. Przyjrzała się zwłokom zabitego przed chwilą mężczyzny u stóp Shawa, a następnie samemu Shawowi. Potem nieprzytomnym ciałom Lelanda, Pierce'a i pionków. Nightcrawlerowi, Storm i Colossusowi, stojącym bezradnie nad nieruchomym ciałem Cyclopsa. Rzuciła przelotne spojrzenie Wyngarde'owi z dziwnym, pustym wyrazem twarzy.

Kiedy odwróciła się do Logana, jej oczy rozbłyły.

– Nikt z was – wyszeptała – nikt z was naprawdę mnie nie zna.

Wyngarde podszedł do przodu. Posłał Wolverine'owi uśmiech człowieka, który wierzy, że ma w garści wszystkie atuty.

– Moja Czarna Królowo – powiedział. – Zajmij się nim.

– Z przyjemnością – odparła.

Jean uniosła ramiona, a na jej twarzy pojawił się chytry uśmiech. Energia iskrzyła z jej dłoni, połyskując jasno na czarnych rękawiczkach. Siła Phoenix podniosła się i otoczyła ją, świecąc jak gwiazda.

Telekinetyczny ładunek w postaci pioruna przemknął przez salę i uderzył Logana. Przeszył go, rozdzierając kostium i pozostawiając setki drobnych nacięć na jego skórze. Wolverine poleciał prosto na stół, rozbijając go na kawałki, i uderzył w kamienną ścianę niedaleko drzwi.

Logan potrząsnął głową, starając się zachować przytomność. Pełen samozadowolenia szyderczy śmiech Wyngarde'a dotarł do

niego jakby z oddali. Kiedy znów spojrział w górę, Jean zbliżała się do niego. Jej ciało świeciło, czarna peleryna wirowała wokół niej jak płaszcz diabła. Oczy wwiercały się w niego.

Wygląda na to, że już po wszystkim – pomyślał. – Z tej ścieżki nie można się cofnąć. Nie ma odwrotu, Jeannie.

Dla żadnego z nas dwojga.

Z trudem wstał, przygotowując się do bitwy. Rany piekielnie bolały, ale jego lecznicza moc już je zabliźniała, zszywając małe szczeliny w niesamowitym tempie. Skrzyżował pazury przed twarzą, spoglądając przez nie na zbliżającą się Jean.

Wszystkie jego zmysły maksymalnie się wyostrzyły. Analizował układ sali, szukając drogi ucieczki z tej sytuacji bez wyjścia. Zauważył bezbronnych X-Menów pod ścianą, ciała na podłodze, połamane stoły, pochodnie dopalające się na ścianach. Jasona Wyngarde'a, stojącego tuż poza jego zasięgiem z nieznośnym uśmiechem na twarzy.

I jeszcze coś dotarło do jego uszu. Wysoki, słaby dźwięk, zaledwie kilka metrów dalej.

Klik.

18



KLIK.

Nagle ucisk na gardle Cyclopsa się zmniejszył. *Moja obroza* – dotarło do niego. – *Rozpięła się!* – Ręce wciąż miał związane za plecami. Podniósł ramiona, przesuważąc kaptur zakrywający mu głowę. Potem wstał, oparł się o ścianę i przekręcił głowę w bok. Kaptur zsunął się i spadł na podłogę.

Szybko omiół pomieszczenie wzrokiem: kamienne ściany, duży ekran, kilka połamanych stołów i drzwi, które wyglądały, jakby przeszła przez nie stalowa kula. Jean i Logan krążyli na środku sali, omijając połamane stoły. Shaw i Wyngarde stali w bezpiecznej odległości, obserwując walkę. Żaden z nich jeszcze nie zauważył, że Cyclops się uwolnił.

– Scott – szepnęła Storm. Podeszła do niego wzdłuż ściany, a jej śladem ruszyli Nightcrawler i Colossus. Cyclops pokręcił głową, nakazując im milczenie.

Telekinetyczne uderzenie z wyciągniętych rąk Jean. Logan uskoczył, ledwo go unikając, i rzucił się w jej stronę. Jean cofnęła się, stukając obcasami o kamienną podłogę. Gdy wyciągnęła rękę,

żeby do niego strzelić, na jej twarzy pojawił się lekki uśmiech.

– Jean – powiedział Cyclops cicho. – Zrobiła to... uwolniła mnie swoimi telekinetycznymi mocami, walcząc z Loganem, by odwrócić uwagę. Wyrwała się spod władzy Wyngarde'a.

Ona wróciła – twarz Storm rozjaśnił szeroki radosny uśmiech.

Wyngarde wpatrywał się w Jean z pożądlivym i pełnym triumfu wyrazem twarzy. *On o tym nie wie* – uświadomił sobie Cyclops. – *Wciąż myśli, że ma nad nią kontrolę.*

Cyclops wyciągnął rękę, sprawdzając telepatyczne łączy, które dzielił z Jean. Wyczuwał ją ponownie, w myślach... ale połączenie było słabe. Jej umysł pozostawał dla niego zamknięty.

– Peter – powiedziała Storm – na co się gapisz?

Colossus kiwnął głową w stronę walczących.

– Wolverine...

Logan ruszył, zbliżając się do Jean z zaciśniętymi pięściami. Uniosła się i rozłożyła ramiona. Ognisty awatar Phoenix rozpostarł się wokół niej.

– ...nie używa pazurów – zakończył Colossus.

Jean cofnęła się, zmierzając w stronę stołu konferencyjnego na szczycie podium. Logan rzucił się za nią w pościg, przewracając szereg stolików. Shaw i Wyngarde podążyli za nim, lawirując między leżącymi meblami.

– Wie, co jest grane – powiedział Cyclops. – Logan zorientował się, że ona tylko udaje. Pracują razem, odwracając uwagę Kręgu, odciągają ich od nas. Dają nam szansę.

– Ale w co my gramy? – spytał Nightcrawler, podchodząc bliżej.

Cyclops zmarszczył brwi. Potem niezgrabnie cofnął się wzdłuż ściany, ciągnąc łańcuchy po podłodze.

– Peter – powiedział. – Nie ruszaj się. – Starannie wycelował i wystrzelił z oka promień, trafiając precyzyjnie w kajdanki na przegubach rąk Colossusa.

Nic się nie stało. Metalowe obręcze pochłonęły cały promień bez żadnej szkody.

– *Unglaublich* – wykrzyknął Nightcrawler. – Wygląda na to, że Hellfire Club wyciągnął wnioski z naszego gambitu w Deerfield.

– Zamieniliśmy wtedy przeciwników i udało nam się ich pokonać – wyjaśniła Storm. – Wydaje się, że podjęli stosowne kroki, aby zapobiec temu w przyszłości.

Jasny błysk mocy Jean przyciągnął wzrok Cyclopsa. Odwrócił się w samą porę, by zobaczyć Wolverine'a przelatującego szybko w kierunku dużego ekranu na ścianie nad stołem konferencyjnym. Głośny trzask wstrząsnął salą, gdy wzmocnione adamantium ciało Logana roztrzaskało szkło, przechodząc prosto przez ekran i wybijając dziurę w kamiennej ścianie.

– Logan – powiedział Nightcrawler.

– Twoje promienie optyczne, Scott – odezwała się Storm. – Musisz coś zrobić.

Cyclops spojrział na podium. Ciało Wolverine'a tkwiło w ścianie. Drgnął, a potem ześlizgnął się bezwładnie na podłogę.

– Jeszcze nie teraz. – Wizjer Cyclopsa błysnął na czerwono ledwo powstrzymaną mocą. – Logan ma twardą skórę, a Jean wie, co robi. Pozwólmy jej zagrać to do końca.

– Może powinniśmy podejść – zasugerował Colossus.

Cyclops skinął głową, wskazując Storm drogę. Okrążyli pozostałe stoły, mijając nieruchome ciało mężczyzny w peruce. Szli powoli, bo wciąż więżące ich łańcuchy utrudniały każdy krok. Cyclops podążył za nimi, kuląc się, by nie zostać zauważonym.

Jeśli Shaw i Wyngarde mnie nie zobaczą, może będę mógł wykorzystać moją przewagę. Oni nie wiedzą, że mogę użyć optycznych promieni.

Prawie potknął się o ciało: Donald Pierce wciąż leżał na podłodze. Kiedy dzwonienie łańcuchów dotarło do uszu Cyclopsa, otworzył oczy. Nightcrawler chrząknął, machnął swym częściowo związanym ogonem w powietrzu i uderzył Pierce'a w twarz. Cyborg przewrócił się na drugi bok i znowu stracił przytomność.

– Nie lubię tego gościa – powiedział Nightcrawler.

– Cicho! – syknęła Storm.

Wolverine leżał wstrząsany drgawkami, ledwie przytomny, w kupie szkła obok stołu konferencyjnego. Wyngarde wziął Jean za rękę i razem wspięli się po stopniach podium.

– Teraz, moja Królowo – powiedział Wyngarde, patrząc na dzikiego mutantą. – Dobij go. Jean uniosła się ponad podłogę, jej czarna peleryna wirowała w powietrzu. Spojrzała na X-Menów, widocznych teraz w dole. Przez jej twarz przemknął zimny uśmiech.

Cyclops poczuł lodowaty chłód wątpliwości. A co, jeśli się mylę? A jeśli... nadal jest pod kontrolą Wyngarde'a?

Jean obróciła się w powietrzu i spojrzała na Wyngarde'a. Stojąc poniżej, wydał jej się mały. Sylwetka Phoenix zapłonęła, większa i bardziej wściekła niż kiedykolwiek wcześniej.

Twarz Wyngarde'a zbladła.

– Biedny człowiek – powiedziała. – Biedny, głupi człowiek.

Jej piorun uderzył w podłogę, robiąc dziurę w kamieniu – ale Wyngarde'a już tam nie było. Cyclops rozejrzał się uważnie najpierw w jedną stronę, potem w drugą. Żadnego błysku energii, płomienia telepatycznego ani *bamf* dymu. Nie było też śladu Wyngarde'a – ani w sali, ani w cieniu, ani w drzwiach. Zniknął.

Zwykła iluzja – uświadomił sobie Cyclops. – Mastermindowi, Wyngarde'owi, udało się oczarować Jean, wykorzystując jej zdolności telepatyczne, ale jego własną mocą jest tworzenie iluzji. Zaskoczył nas wszystkich, udało mu się nawet sprawić, że Jean nie widziała go wystarczająco długo, by mógł uciec.

– *NIE NA ZAWSZE* – odpowiedziała Jean.

Jej głos był jak grzmot, jak supernowa eksplodująca w umyśle Cyclopsa. Odwrócił się w samą porę, by dostrzec okropny grymas wściekłości, boskiego gniewu na jej twarzy. Potem przeleciała przez salę, kierując się w dół ku wyjściu. Phoenix rozłożyła skrzydła, topiąc kamień i wzniecając mnóstwo małych pożarów wzdłuż powierzchni potrzaskanych drzwi. Wzbiła się przez otwór, a potem zniknęła w czeluściach Hellfire Clubu.

Jean – pomyślał. Jean, odpowiedz mi!

Nic. Telepatyczne połączenie znowu zostało zerwane – jakby ten gwałtowny, brutalny przekaz spalił je raz na zawsze.

A może ona z rozmysłem mnie odrzuca...

– Cyclops? – zawołała Storm.

Obrócił się, brzękając łańcuchami o kamień. Zobaczył Lelanda i Pierce'a zwróconych w stronę X-Menów. Drogi frak Lelanda był

podarty, a w kąciku jego ust zebrała się krew. Czując ukłucie w sercu, Cyclops zorientował się, że jego drużyna z powrotem znalazła się przy ścianie.

– A zatem – powiedział Pierce. – Wygląda na to, że jeden baranek uciekł z zagrody.

Leland roześmiał się i wskazał na związane ręce Cyclopsa.

– Nie całkiem – powiedział.

Shaw wszedł między nich. Był rozebrany do pasa, ręce miał skrzyżowane na piersi.

– Lubisz wstawać z martwych – stwierdził. – Co, X-Manie?

– Shaw. – Wizjer Cyclopsa rozjarzył się.

– Wspominałem już o tym twojemu koledze z drużyny. – Shaw uśmiechnął się. – Mogę wchłonąć wszystkie formy energii kinetycznej, w tym twoje optyczne promienie.

– *Herr* Shaw. – Nightcrawler skinął głową w kierunku dymiących drzwi. – Czy nie masz innych problemów do rozwiązania?

– Masz na myśli Wyngarde'a? – Shaw zaśmiał się. – Był pozerem. W swojej obsesyjnej pogoni za Czarną Królową zasiał ziarno własnego upadku. Wiedziałem, że tak się to skończy.

– Jean nie jest niczyją Czarną Królową – powiedział Cyclops.

– Właśnie. – Shaw wystąpił naprzód, wpatrując się bezpośrednio w wizjer Cyclopsa. – Ty i ja jesteśmy tutaj jedynymi królami. Wywołujemy poczucie lojalności. Dzięki sile, a czasami dzięki dyscyplinie.

Doszedł ich łoskot gdzieś z daleka nad salą, w której się znajdowali. Cyclops wzdrygnął się, słysząc go.

– Uwierz mi – kontynuował Shaw – robię ci niesamowity zaszczyt, zapraszając cię do tego towarzystwa. Ale natura królów to walka, dopóki nie pozostanie tylko jeden. – Cofnął się, taksując więźnia.

Potem pochylił się i uniósł pięści jak bokser.

Leland cofnął się z błyskiem w oku. Pierce zaśmiał się zimno.

– Twoje optyczne promienie przeciw moim... szczególnym zdolnościom. – Shaw zrobił krok do przodu, wymierzając cios w powietrze. – Nie mogę się doczekać...

Klik.

Klik.

Klik.

Klik klik klik klik.

Kajdany Cyclopsa rozpięły się i opadły na ziemię. Zobaczył, że z szyi Storm i Nightcrawlera spadają obroże. Colossus wyciągnął rękę i zdjął swoją. Napiął mięśnie i zerwał resztki więzów.

Wszyscy na chwilę zamarli. Potem Shaw wycofał się, nakazując Lelandowi i Pierce'owi, by poszli w jego ślady. Storm, Nightcrawler i Colossus zebrali się wokół Cyclopsa i zaczęli poruszać zeszywniałymi rękami i nogami, by przywrócić je do życia.

Widoczne na górze za członkami Wewnętrznego Kręgu wyjście z sali nadal spowijał gęsty dym pozostawiony przez płonącą Jean. Mimo to Cyclops mógł tam dostrzec wirującą pelerynę i szczupłą sylwetkę z talią osy.

– Jean? – wyszeptła Storm, która też ją zauważyła.

– Nie – powiedział Cyclops.

Emma.

Jej śmiech, głęboki i wyniosły, rozległ się w czaszce Scotta. Zagrział i podniósł się, łącząc się w trzy kpiące słowa.

Ostatnia przysługa, Summers.

Potem odeszła. Zdanie, które wypowiedziała kilka godzin wcześniej, rozbrzmiało teraz w jego umyśle: *Lepiej chodzić w cieniu niż wpatrywać się w słońce.*

Shaw wciąż gapił się na X-Menów.

Nie widział Emmy – uświadomił sobie Cyclops. – Nie wie, że tu była.

Oczy Storm błysnęły. Podniosła ręce, przywołując wiatr.

Colossus zrobił potężny krok do przodu. Nightcrawler podbiegł do ściany, przygotowując się do skoku.

Shaw naprężył mięśnie. Otworzył usta, żeby wydać rozkaz do ataku, a następnie obrócił się ze zdziwieniem, gdy palec w niebieskiej rękawiczce dotknął jego ramienia.

– Noc nie jest już taka młoda – powiedział Wolverine.

Snikt.

19



NA ZEWNĄTRZ trwała ulewa. Prawnicy w garniturach kroczyli przez zalane ulice, wysoko unosząc parasole. Młode kobiety przeskakiwały między markizami, trzymając nad głowami torebki. Para turystów zatrzymała się przed starym budynkiem i z zaciekawieniem przyglądała się wystylizowanej literze „H” i trójzębowi na fasadzie.

Bezdomny poruszył się i zadrzał, mocniej naciągając na siebie mokry śpiwór.

Jean Grey czuła to wszystko. Wszystkie ich myśli, cierpienia, radości. Jej moc była jak bęben, który wypełniał wnętrze Jean bezlitosnym dudnieniem. Moc już nie śpiewała, już do niej nie przemawiała. Po prostu była – i nie dało się zaprzeczyć jej obecności.

Weszła na tylne schody Hellfire Clubu, stukając obcasami o beton i powiewając peleryną. Jej krok był równy, miarowy. Wyprostowane plecy opinał bezlitosny gorset Czarnej Królowej.

Ten gorset, którego koronki wrzynały się w skórę, wstrzymywał oddech w jej ciele. Ale tego właśnie potrzebowała, jeszcze przez

chwilę. Musiała trzymać wszystko w środku.

Do końca.

Kiedy mijala główne piętro, dopadły ją chaotyczne myśli. Fantazje podstarzałych mężczyzn na temat kelnerek, młode pary obściskujące się pod stołami. Mieszanina alkoholu, pożądania, ambicji i rozpacz.

Przyspieszyła kroku. Wiedziała, że wkrótce wszystko się dokona.

Wkrótce się zemści.

Wbrew niej samej myśli Jean powędrowały ku X-Menom. Byli jej przyjaciółmi, kolegami z drużyny... tak na prawdę jej rodziną. Sięgnęła umysłem do podziemi i dotknęła...

PETERA RASPUTINA.

Colossus zmagał się z Donaldem Pierce'em, cyborgiem, szlachetnie urodzonym członkiem Wewnętrznego Kręgu Hellfire Clubu. Skakali wokół jak bokserzy, to chowając się za połamane stoły, to wychodząc zza nich.

– Odejdź ode mnie – warknął Pierce. – Ty dziwolągu.

Ta zniewaga wzbudziła w Colossusie gniew.

Och, Peter – pomyślała Jean. – Byłeś taki młody, tak niewinny, kiedy dołączyłeś do X-Menów. Bardzo mi przykro z powodu tego, co ci się przydarzyło.

Co się przydarzyło nam wszystkim.

Spojrzała na salę. Nad drzwiami Storm i Nightcrawler walczyli z Sebastianem Shawem. Logan gonił po kamiennej podłodze przestraszonego Lelanda. Nie było śladu Scotta.

– Mówisz tak, jakbym był niepełnym człowiekiem, Pierce – odparł Colossus, zaciskając pięści.

– Bo jesteś!

Pierce skoczył. Colossus zmienił ciało w litą stal, w jednej chwili zwiększając swoją masę. Pierce wylądował przed nim, uśmiechnął się i złapał Colossusa za metalową rękę. Potem powoli zmusił młodego mutantą do odgięcia się do tyłu.

– Na kolana – syknął Pierce. – Zmutowany psie.

Oczy Colossusa rozszerzyły się, gdy jego przeciwnik nadal przyginał go do ziemi. Jean czuła jego zaskoczenie siłą mężczyzny – i coś jeszcze. Szok, niedowierzenie.

– Czy ty nie jesteś... – Colossus skrzywił się. – Czy ty sam nie jesteś mutantem?

Umysł Pierce'a zatrzęsł się z oburzenia. Jean poczuła, jak ją wciąga, odrywając od Petera Rasputina w chaos myśli...

DONALDA PIERCE'A.

Nienawidzę nienawidzę wszystkich mutantów dołączyłem do Wewnętrznego Kręgu tylko po to by ich zabić odzyskać ich bogactwo dla prawdziwych ludzi. Shaw Wyngarde Leland to wszystko mutanty obrzydliwe dziwolągi nie ludzie zwierzęta niewolnicy zabij ich zniszcz od wewnątrz eksterminuj zabij zabij mutanty.

W reakcji na gniew Pierce'a w Jean wybuchła wściekłość.

Jego bigoteria – uświadomiła sobie. – Brzmi... znajomo. Dehumanizacja, nienawiść tak silna, że wymaga całkowitej dominacji, całkowitego wymazania jaźni innej osoby.

To uczucia, które żywił do mnie Jason.

Pierce krzyknął, czując siłę myśli Jean. Colossus wykorzystał chwilę słabości przeciwnika, rozciągając jego ramiona jak najszerzej. Zanim Pierce zdołał uwolnić się z uścisku, jego lewa ręka poluzowała się, podnosząc snop iskier i zerwane kable. Cyborg krzyknął.

Colossus rzucił oderwane ramię na bok. Potem zatoczył się naprzód, złapał Pierce'a za klapy i przytrzymał go w powietrzu.

– Jestem dumny z tego, kim i czym jestem, człowieku – powiedział Colossus. – I nie muszę niszczyć innych, aby to udowodnić.

Kikut Pierce'a błysnął w powietrzu. Colossus cofnął się i rzucił cyborgiem przez salę...

...a świadomość Jean znów przeskoczyła. W ciało...

HARRY'EGO LELANDA.

Podniósł wzrok w samą porę, by zobaczyć, jak jasnowłosy pocisk leci w jego kierunku. Wygramolił się, potknął, uniósł ręce – a potem Donald Pierce trafił prosto w niego. Obaj uderzyli o ziemię, tworząc bezładną plątaninę kończyn. Leland wytoczył się na górę, jęcząc z bólu.

– Zejdź ze mnie! – krzyknął Pierce, podnosząc się na nogi. Spojrzał na Lelanda z czystą nienawiścią w oczach. – Zmutowany draniu!

– Więc, staruszkule – warknął Leland – w końcu pokazałeś swoją prawdziwą twarz.

– Skończyłem z tobą. – Pierce odmaszerował. – Z wami

wszystkimi, zmutowane szumowiny... – Nagle wzmocniony adamantium łokieć stanął mu na drodze.

Podbródek Pierce'a nadział się na niego i cyborg znów upadł. Tym razem już się nie podniósł.

– Dumne z siebie szumowiny – warknął Wolverine.

Jean poczuła przelotne rozbawienie Lelanda wywołane nieszczęściem Pierce'a. *Zasłużył* – pomyślała. – *Elity zwrócą się przeciw wszystkim. Nawet ludziom ze swych szeregów.*

– Jak się masz, Harry? – zapytał Logan, odwracając się do Lelanda. – Masz coś do powiedzenia na temat mutantów?

– Źle mnie oceniasz, drogi chłopcze. Ja jestem mutantem. – Leland podniósł brew z pogardą. – Ale nie mam nic wspólnego z takim menelem, jak ty.

– Wygląda na to, że na świecie jest wiele rodzajów nienawiści.

Umysł Lelanda kipiał urazą: *jak motłoch śmie zakłócać spokój mojego sanktuarium? Rzucić wyzwanie mojej mocy?*

Gdy Wolverine podszedł bliżej, Leland cofnął się z odrazą.

– Poważnie. Byłeś w ryszotoku?

– Wolałbym być tam niż tutaj. – Logan wyciągnął pazury. – Zmów paciorek, grubasie.

Dłoń Lelanda rozbłysła mocą. Wolverine poleciał do przodu, jego masa wzrosła do poziomu, w którym nogi nie mogły go już utrzymać. Instynktownie szarpnął się, wyciągając pazury.

Leland zbyt późno zrozumiał swój błąd.

Pazury Wolverine'a przebiły jego płaszcz, kamizelkę i pierś. Leland upadł, ciągnąc za sobą napastnika. W wyniku zwiększonej masy Logana jego pazury przebiły się przez tułów przeciwnika.

Z ran na podłogę połała się krew. Leland wydał z siebie okropny charczący dźwięk.

W tym momencie Jean wyskoczyła z jego głowy. Do...

LOGANA.

Nie, nie, nie mogła tego znieść – nie teraz. Wolverine za dużo wiedział. Zbyt dobrze ją rozumiał. Rzuciła się rozpaczliwie, bez celu, trafiając na...

KURTA WAGNERA.

Nightcrawler skakał, znikał i ponownie się pojawiał, uderzając za każdym razem, gdy leciał w dół, a potem znów się teleportował. Kiedy Jean wślizgnęła się do umysłu Kurta, zobaczyła jego cel: Sebastiana Shawa.

– Dobrze się pan bawi, *Herr Shaw*? – Nightcrawler zniknął znowu tylko po to, by pojawić się dwa metry powyżej. – Jestem.

Jest – zdała sobie sprawę Jean. Kurt miał trudną młodość, ludzie unikali go ze względu na diaboliczny wygląd i musiał za głodowe stawki pracować w cyrku. Ale jego zdolności akrobatyczne, dreszczyk emocji, który czuł zawsze, gdy wykonywał trudny manewr, przynosiły mu radość.

Shaw nie zwracał uwagi na ciosy Nightcrawlera. Przykucnął, wyczuwając drogę wzdłuż linii szerokich kamieni osadzonych w ścianie. Jego ruchy były ostrożne, niespieszne.

Gdy Nightcrawler znów uderzył, Jean zdała sobie sprawę z jego błędu. *Shaw pochłania energię kinetyczną. Ataki Kurta nie ranią go, tylko czynią silniejszym!*

Rozważyła, czy nie ostrzec Nightcrawlera, wysyłając mu bezpośrednio telepatyczną wiadomość, ale nie zdecydowała się na to. To mogłoby go rozproszyć w decydującym momencie pojedynku.

Nightcrawler opadł, machając pięściami. Shaw uśmiechnął się, złapał go i wyrzucił w powietrze. Kurt krzyknął i przeleciał przez salę, ledwie łapiąc oddech. Jean miotła się, zdezorientowana, i wyskoczyła z oszołomionego umysłu Nightcrawlera do...

SEBASTIANA SHAWA.

Odwrócił się z powrotem do ściany i kontynuował badanie kamieni, aż usłyszał trzask. Poczuł dreszcz triumfu, dominacji nad wrogami. Był Białym Królem, przywódcą Wewnętrznego Kręgu Hellfire Clubu. Już posiadał więcej bogactwa i władzy niż jakikolwiek monarcha w historii, a wkrótce będzie kontrolował najcenniejszą walutę w ludzkiej przyszłości: zmutowany gen X.

Jean wzdrygnęła się, dotknięta arogancją jego myśli. *Ty też – pomyślała. – Musisz podporządkować sobie wszystko, co znajdzie się w zasięgu twego wzroku. Zniszczysz każdego, kto nie zechce zgiąć przed tobą karku. – Jej gniew się rozjątrzył. – Jesteś grubiańskim, dumnym mężczyzną. Sprowadzę cię na ziemię. Wszystkich was.*

Nagle gwałtownie spadła temperatura. Wiatr uderzył w nagą klatkę piersiową Shawa i jego skóra zaczęła pokrywać się lodem. Zadrzał.

– Storm – prychnął pogardliwie.

Ororo unosiła się kilka centymetrów nad podłogą, wyciągając

obie ręce, aby przywołać zamieć. Jean rzadko widywała jej prawdziwy majestat, moc zupełnego panowania nad pogodą. Stawała się dzika, ale opanowana i niewyobrażalnie piękna, gdy korzystała ze swojego daru. Mocy, która była jej dumą, jej dziedzictwem, jej pierworództwem.

Na ułamek sekundy ogarnęła Shawa panika. Wtedy Jean wyczuła w jego umyśle inną obecność, przyglądającą mu się z daleka. Telepatkę taką jak ona, która monitorowała każdego i manipulowała wszystkimi w sali.

Emma Frost.

Shaw ruszył w stronę Storm, krok za krokiem przebijając się przez zamieć. Zanim zdążył do niej dotrzeć, Jean wyskoczyła. Ostatecznie nie miałyby to znaczenia – ale nie chciała, by Biała Królowa dowiedziała się o jej obecności. Jeszcze nie. Lepiej zostawić Shawa swojemu losowi i przejść do...

ORORO MUNROE.

Moc Storm była prostą, doskonałą melodią, wybrzmiewającym crescendo refrenu. Jean rozpoznała to uczucie z głębokim smutkiem. Kiedyś posługiwała się telepatią z tą samą łatwością, tym samym opanowaniem. Kiedyś była szczęśliwa.

Ale już nie jestem.

Shaw parł pod wiatr ku Storm, zaciskając zęby. Stawiał ciężkie kroki na zimnych kamieniach – ale atak go osłabiał. Tym razem Storm nie użyła przeciw niemu energii kinetycznej. Moc Ororo z daleka zmieniała warunki atmosferyczne w sali. W przeciwieństwie do innych X-Menów rzeczywiście mogła go

zranić.

Podnosząc ramiona, Storm przywołała pełną furię żywiołów. Pojawiła się lodowata wichura i zawirowała, niemal unosząc Shawa. Jego muskularna sylwetka zniknęła na chwilę w oślepiającej burzy.

Kiedy wiatr ucichł, Shawa nie było.

Storm przykucnęła, odpędzając resztki wiatru szybkim gestem. Wyciągnęła rękę i dotknęła ściany tuż po tym, jak zamknęły się ukryte drzwi.

– Cholera – zakłęła. Przesuwała dłonie wzdłuż ściany, szukając kierującego drzwiami mechanizmu. Ale nie zostało po nich śladu, nawet widocznego spojenia tam, gdzie kamienie się zamknęły. Shaw uciekł po mistrzowsku.

Storm wstała i omiotła całe pomieszczenie wzrokiem. Wolverine podszedł do niej, wycierając krew z pazurów. Nightcrawler podniósł się z podłogi i potarł głowę.

Colossus zatrzymał się nad bezwładnym ciałem Donalda Pierce'a. Pochylił się, aby podnieść jego oderwaną rękę, zmarszczył brwi i spojrzał na dymiący kikut z dziwnym wyrazem twarzy. Dla Jean, patrzącej z daleka, wyglądało to bardziej na smutek niż wściekłość.

Nagle ogarnęło ją dziwne uczucie.

To już koniec – uświadomiła sobie. – Czas się pożegnać.

Ororo – pomyślała. – Byłaś moją najbliższą przyjaciółką wśród nowych X-Menów. Siostrą, której nigdy nie miałam. Życzę ci pokoju, szczęścia, spełnienia do końca twoich dni.

Życzę tego wam wszystkim.

A potem zniknęła.

JEAN ZROBIŁA ostatni krok, wchodząc na najwyższe piętro klubu. Odgłosy popijawy, krzyki przerażenia i ekstazy stawały się coraz cichsze. Była sama.

Nagle znowu ogarnął ją smutek. Zatrzymała się na chwilę, aby zidentyfikować jego źródło. *Shaw* – uświadomiła sobie. – *On i Emma to węże, manipulatorzy. Żadne z nich naprawdę nie ufa drugiemu. Ich naturą jest zdrada, całe ich życie to gra ciosów i uników. Pragną tylko władzy, we wszystkich jej postaciach.*

A jednak łączy ich więź. Połączenie w umyśle. Tak jak...

Przegoniła tę myśl. Ta część jej życia się skończyła. Takie myśli mogły doprowadzić tylko do cikliwej, bezsensownej rozpacz.

Gorset. Tak ciasno ją opinał.

Wkrótce – powiedziała sobie. – *Wkrótce będziemy wolni.*

Otworzyła drzwi i weszła do biblioteki. Potem, jak drapieznik w cieniu, przyczała się, by czekać na ofiarę.

20



W tunelu głęboko pod Hellfire Clubem Emma Frost stała oparta o ścianę, przesuwając starannie wypielęgnowany paznokieć w dół ekranu swojego telefonu. Uśmiechnęła się na widok nagrań z kamer bezpieczeństwa. Każdy z prywatnych pokoi klubu został wyposażony w ukryte kamery, które zarejestrowały bardzo ciekawy materiał.

Opuściła telefon i spojrzała w dół. Strużka deszczówki przeniknęła do wąskiego korytarza, gromadząc się i unosząc na kamiennej podłodze. Podniosła but, krzywiąc się z niesmakiem, gdy jej rękawiczka dotknęła błota.

– Brudzisz sobie ręce?

Sebastian Shaw wyszedł z ukrytego przejścia, wchodząc do tunelu z gracją tygrysa. Duży kamień zsunął się z powrotem tuż za nim.

– Tylko kiedy muszę – odpowiedziała. Zobaczyła jego podarte spodnie i uniosła brew. – Sam wylądowałeś w błocie.

– Dopadła mnie ta wiedźma od pogody – powiedział, otrzepując ramię. – Ale to oczywiście już wiesz.

– Zrobiliśmy kilka przydatnych filmów – powiedziała, podnosząc telefon. – Powinny nam zapewnić... wpływ... na pewnych luminarzy z Waszyngtonu przez dłuższy czas.

– Dziękujemy naszym latveriańskim partnerom biznesowym za ten pomysł. Jest też zła wiadomość. Obawiam się, że straciliśmy X-Menów. Ale przynajmniej możemy zrzucić na nich winę za cały ten bałagan. Kiedy informacja, że zakłócili naszą uroczystość, się rozniesie, zostaną uznani za międzynarodowych terrorystów. „Gorszych niż Hydra...” Brzmi to całkiem nieźle.

– A Wyngarde?

– Jego mała zabawka zaraz wybuchnie mu w twarz. Myślę, że „Mastermind” przez chwilę będzie miał z nią pełne ręce roboty. – Shaw stanął za Emmą i położył dłoń na jej talii. – Ale o tym też już wiesz. – Pocałował ją w szyję, obejmując mocniej.

– Sebastianie – powiedziała. – Coś cię niepokoi.

Nie odpowiedział. Wtulił twarz w jej szyję.

– Wiesz, że nie możesz tego przede mną ukryć – dodała.

– Nie mogę. – Jego głos brzmiał zaskakująco łagodnie. – Ale za to ty wiele przede mną ukrywasz.

Znów się uśmiechnęła. Wyciągnęła rękę i pogłaskała jego gęste włosy dłonią w białej rękawiczce.

– Chciałbym być bliżej ciebie – kontynuował. – Jak...

– Jak Scott Summers i Jean Grey?

Zawiesił głos, a potem skinął głową.

– O nie – wyszeptała. – Zaufaj mi, wcale tego nie chcesz.

– Zaufać ci – zadumał się, jakby nigdy wcześniej nie przyszło mu to do głowy.

Ale z niego dzieciak – pomyślała. – Chłopiec grający w męskie gry, ale czy wszyscy faceci nie są tacy?

– No cóż – powiedziała, ruszając korytarzem – lepiej zobaczmy, co zostało z Lelanda i...

– Emmo! – zawołał.

Odwróciła się. Shaw stał nieruchomo w ciasnym korytarzu, chociaż wzbierająca woda niemal całkiem zalała mu buty.

– A co z X-Menami? – kontynuował. – Pomogłaś im uciec?

W jednej chwili atmosfera się zmieniła. Stanęli naprzeciw siebie ostrożni i spięci, jak drapieżniki, którymi byli. Jakby żywoty, narody, nawet całe światy zawisły w równowadze, ciężkie i spowite w wilgotne powietrze.

Potem twarz Frost złagodniała. Emma przysunęła się do Shawa i dotknęła jego piersi. Przycisnęła policzek do jego policzka i czekała cierpliwie, aż Sebastian ją obejmie.

– Kochanie – wyszeptła. – Wiesz, że należę tylko do ciebie.

Jego dłoń zadrżała na jej plecach. Odsunął się, skinął głową i uśmiechnął się.

– Chodź – powiedział, kierując się w stronę powierzchni. – Mamy dużo do zrobienia.

Uśmiechnęła się, obróciła telefon w dłoni i ruszyła za nim.

GDY UKRYTA winda zatrzymała się, Cyclops zasyczał. *Zaraz wejść do głównej sali w pełnym kostiumie – dotarło do niego. – Równie dobrze mógłbym sobie namalować na plecach tarczę strzelecką, zwłaszcza że Wyngarde wciąż jest na wolności.* Jednak nie było czasu, by wymyślić inny plan. Jego cywilne ubranie już

dawno zniknęło, a psychiczne połączenie z Jean zostało zerwane.

Musiał ją odnaleźć jak najszybciej.

Pchnął drzwi – i jego oczy za wizjerem otworzyły się szeroko ze zdziwienia. Główna sala wyglądała, jakby uderzyła w nią bomba. Poprzewracane stoły, rozbite bary ogołocone z butelek. Kolorowe światła zamigotały, wywołując chaotyczny, stroboskopowy efekt. Roześmiane pijane kobiety przedzierały się przez potłuczone szkło. Mężczyźni siedzieli na podłodze w małych grupkach, pokrzykując i mamrocząc nad butelkami whisky.

Za zaimprovizowanej fortecy z przewróconych stołów po drugiej stronie głównych schodów wznosił się gęsty dym. Cyclops ruszył w tym kierunku, schylając się nisko. Trójka roześmianych pijaków niemal potknęła się o niego, nie zauważywszy jego obecności.

Za barykadą ze stołów siedziało na podłodze ze skrzyżowanymi nogami dwóch mężczyzn i dwie kobiety. Mężczyźni byli bez koszuli. Cała czwórka miała wymalowane na twarzach podobne barwy plemienne. Rozpalili ogień na stosie obrusów i nóg od krzeseł i zbudowali prowizoryczny rożen z antycznego miecza. Jedna z kobiet obracała nim, piekąc dużą świnie. Śledziła wzrokiem smugę szarego dymu, który unosił się w kierunku wysokiego sufitu.

Światła znów zamigotały. Cyclops potrząsnął głową, czując się jak we śnie.

– To tyle, jeśli chodzi o czujniki dymu – mruknął.

Kobieta podniosła wzrok i krzyknęła. Wskazała Cyclopsa palcem i cofnęła się, upuszczając miecz.

Ciężka świnia spadła w ogień, wzniecając snop iskier.

– Hej, hej... – zaczął Cyclops.

Dwaj mężczyźni chwycili kobietę obronnym gestem. Druga kobieta spojrzała na Cyclopsa i również zaczęła krzyczeć.

– Wszystko w porządku! – Powiedział Cyclops. – Ja tylko...

Krzyki kobiety stały się niezrozumiałym bełkotem. Dołączyli do nich ich towarzysze, wskazując z przerażeniem na Cyclopsa. Przechodzący pijak zatrzymał się z szeroko otwartymi oczami i przerażony uciekł.

Co się dzieje? – zastanawiał się Cyclops. – Dlaczego wszyscy się mnie boją?

Światła zamigotały jeszcze raz, po czym zgasły. Sala natychmiast pogrążyła się w chaosie. Słyszał rozbijanie szkła, trzaskanie drzwiami. Ludzie biegali z krzykiem we wszystkich kierunkach. Jedynie z tłącego się, dogasającego ognia na podłodze sączyło się światło.

Mocna dłoń chwyciła go za ramię i wciągnęła do wnęki w ścianie. Obrócił się, błyskając oczami, i się zatrzymał.

– Cyke – powiedział Wolverine. – Musimy przestać spotykać się w ten sposób.

– Logan. – Cyclops przywarł do ściany. – Ja nie... Nie rozumiem.

– Jedno słowo: Mastermind – odparł Logan. – Sprawił, że wszyscy ci ludzie widzą, jak niszczysz salę swoimi promieniami. Zdążyłem go zobaczyć przez ułamek sekundy, a potem wykonał swoją tanią sztuczkę ze znikaniem i znowu straciłem go z oczu. Nie wiem, gdzie się teraz ukrywa.

Cyclops skinął głową. Spojrzał za Logana, na pogrążonych

w mroku gości, wyglądających teraz jak bezładnie biegające ciemne sylwetki.

– Ja też to widziałem – kontynuował Wolverine. – Widziałem, jak zabiłeś tę dziewczynę, wpychając ją w ogień. Uwierzyłbym w to, ale nie pachniałeś, jakbyś naprawdę to robił.

– Logan. – Cyclops zrobił pauzę, by wziąć oddech. – Nie wiem, czy kiedykolwiek wcześniej ci to powiedziałem, ale dzięki.

– Co? – Zapytał Cyclops. – O co chodzi?

– O nic – warknął Wolverine. – Moje małe zaciemnienie powinno przynajmniej ukryć naszą ucieczkę.

– Racja, zrobiłeś to w kanałach. Zapomniałem. – Cyclops przerwał, zastanowił się. – Zabierz stąd innych, dobrze? Znajdę Masterminda i Jean.

Logan zawahał się. Coś w jego spojrzeniu sprawiło, że ciarki przeszły Scottowi po plecach.

– Co? – spytał Cyclops. – Widziałeś ją?

– Nie. Nie od... – Logan przerwał. – Słuchaj, muszę ci o czymś powiedzieć.

– To będzie musiało poczekać.

– Tak, ale...

– Logan! Nie ma czasu. Jean znalazła się na krawędzi... ona jest niebezpieczna. Martwię się o nią, ale obawiam się także o to, co może zrobić.

W ciemności rozbił się żyrandol. Ludzie uciekali, śmiejąc się i krzycząc. Połowa głosów nadal była przerażona, ale wyglądało na to, że druga połowa uznała wszystko za wyszukaną, pijacką zabawę.

– Znajdź Storm i resztę i zabierz ich na statek. Zadzwoń do ciebie, gdy tylko odszukam Jean. Ja... wiem co do niej czujesz.

– A ja wiem, co ona czuje do ciebie.

W głosie Logana pobrzmiwał jakiś dziwny ton, coś, czego Cyclops nie mógł odczytać. To nie była tylko troska czy nawet nieodwzajemniona miłość, ale coś głębszego, mroczniejszego.

– Co? – zapytał Cyclops.

– Idź po naszą dziewczynę – powiedział Logan, ignorując pytanie, i klepnął Scotta po plecach.

Cyclops zmarszczył brwi, skinął głową i pobiegł w kierunku schodów.

JASON WYNGARDE wszedł do biblioteki.

Jean stała nieruchomo, jak cień pośród cieni, z niezwykłym spokojem na twarzy. Światła zgasły dziesięć minut wcześniej, pozostawiając tylko słaby poblask z zewnątrz. Ale nie zobaczyłby jej nawet przy świetle dziennym. Jej moc, jej stale rosnąca telepatyczna sprawność ukryła ją przed wszystkimi oczami.

Była przerażona, czuła trwogę, która sięgała do rdzenia jej istoty. Ale to musiało poczekać. Teraz liczyła się tylko wściekłość Phoenix.

Nie jesteś telepatą, Jason – pomyślała, starannie chroniąc swoje myśli. – *Jak ci się udało wejść tak głęboko w mój umysł?* – Próbowała go odepchnąć, przepędzić jego podłe, agresywne myśli. Ale ich więź, stworzona przez oszustwo i iluzję, była zbyt silna.

Przegry z Hellfire Club pode mną

*Straciłem Jean straciłem moje połączenie z nią
W jaki sposób? Przewidziałem każdy przypadek
Muszę uciec ukryć się pozbierać do kupy*

Jego powierzchowne myśli były wystarczająco podłe – małosłowna nienawiść, plany małego człowieka dotyczące władzy i wpływów. Ale wściekłość, uraza, które się pod nimi kryły, sprawiały, że się wzdrygnęła.

*X-Meni nienawidzę X-Men sprawię że świat ich znienawidzi
Nienawidzę też Lelanda Pierce'a Shawa
Bogacze urodzeni w bogactwie kupują kobiety jak niewolnice*

Stał twarzą do ściany, zaciskając i rozluźniając pięści, a surowa pogarda i mizoginia wylewały się z jego umysłu. Gdy nasilił się psychiczny przepływ, otworzyła się na jego mroczne myśli. Zaprosiła je do środka, wpuściła, pozwoliła im wzniecić w niej ogień.

*Zabij kobiety kochaj kobiety dlaczego one mnie nie kochają
Przez całe moje życie wszystkie kobiety egoistyczne samolubne
nienawidzę ich
Zmuszę je żeby zobaczyły poczuły mój ból
Jestem mistrzem Mastermindem Jean Grey
Jean Grey kocham ją nienawidzę jej naginam ją do mojej woli
Tajemnice znam jej tajemnice znam wszystkie ich tajemnice
Mistrz mistrz mistrz JESTEM MASTERMIND*

– Jason – powiedziała głośno.

Odwrócił się w ciemności.

– Jean...!

– Jesteś zaskoczony, Mastermind? Nie tylko ty potrafisz stwarzać iluzje. – Na jej mentalne polecenie pojawiła się płomienna aureola, oświetlając ich oboje. – Być może kobiety cię nie kochają, ponieważ uważasz je za podludzi. – Uśmiechnęła się i zrobiła krok w jego stronę. – Czy kiedykolwiek przeszło ci to przez myśl?

Zatoczył się w stronę regału z książkami.

– Dlaczego tu przyszedłeś?

Jego strach przyciągnął ją bliżej. To było odurzające. Przeszła obok niego i wyciągnęła przypadkową książkę. Jej brew uniosła się, gdy dostrzegła tytuł: *Magick Without Tears* Aleistera Crowleya.

– Wiedziałaś, dokąd idziesz. Wiem o tobie wszystko – odpowiedziała. – Popełniłeś błąd, Jason. Na planie astralnym. – Przerzucała strony, nie patrząc na niego. – Zabiłeś człowieka, którego kochałam, naprawdę kochałam, na moich oczach.

Rozejrzał się w obie strony. Nie potrzebowała telepatii, żeby odczytać jego myśli.

– Zamiast zerwać więź z moim poprzednim życiem – kontynuowała – to było dla mnie jak kubeł zimnej wody. Myślałeś, że zniewoliłeś mnie na zawsze, ale zamiast tego wyrwałeś mnie ze snu.

– Nie. – Pokręcił głową. – Zneutralizowałem tę reakcję. Moja moc połączona z twoją własną telepatią powinna była...

– Twoja moc jest niczym.

Wyciągnęła rękę, wypuściła telekinetyczny pocisk, który odrzucił Wyngarde'a na drugi koniec sali. Wpadł w lustro, rozbijając je, i osunął się na podłogę pełną potłuczonego szkła.

Jej płomień stał się jaśniejszy, cieplejszy. Wzniósł się, migocząc i tańcząc, by przybrać swój charakterystyczny kształt. Ale Phoenix była teraz dzika, bardziej nieokiełznana. Krzyknęła, rozpaczliwie sięgając skrzydłami do nieba. Zmieniała się, rosła, tak jak sama Jean. Ucząc się, szukając, ewoluując.

Mutując.

– Głupcze. – Podeszła do Wyngarde'a. – Czy masz pojęcie, co zrobiłeś? Czy zdajesz sobie sprawę, jakie obudziłeś siły?

Oszołomiony, podniósł się z podłogi.

– Nie – sapnął. – Już nie.

– Przyszedłeś do mnie, kiedy byłem najbardziej bezbronna. Jak to się stało? Skąd wiedziałeś, gdzie mnie znaleźć? Nie jesteś telepatą tylko tanim iluzjonistą.

– Biała Królowa – powiedział, wyciągając w obronnym geście rękę. – Odszukała cię... powiedziała mi o tobie wszystko. Kiedy myślałaś... że inni X-Meni zginęli, na Antarktydzie... wykorzystaliśmy naszą szansę.

– Uszkodziłeś statek, którym płynęłam. – Niemal bez wysiłku podniosła go swoją telekinetyczną mocą z podłogi. – Frost wiedziała, że dotrę na Kirinos... wysłała cię tam, żebyś mnie spotkał, a moja własna telepatia dokonała reszty.

Wisiał w powietrzu, kręcąc się i wierzgając. Próbował coś powiedzieć, ale Jean podniosła rękę w czarnej rękawicze.

– Wykorzystałeś mój smutek – kontynuowała. – Zdobyłeś moje

zaufanie, wypełniłeś emocjonalną pustkę i przez cały czas mnie wykorzystywałeś. Zaszczepiłeś w moim umyśle swoje chore złudzenia.

– Nie... nie w całości moje. – Z trudem łapał oddech. – Iluzje, skoki w czasie pochodziły częściowo od ciebie.

– Och, wiem.

Odwróciła się, zostawiając go unoszącego się w powietrzu.

– Wykorzystałeś moje... moje fantazje – powiedziała. – Najbardziej prywatną, wypartą część mojej duszy. Dałeś mi coś, czego skrycie poszukiwałam. – Odwróciła się z płomiennym wzrokiem. – *Ale nigdy naprawdę mnie nie znałeś.*

Patrzył na nią z przerażeniem. Już nie był wielkim graczem, oszałamiającym Królem Wewnętrznego Kręgu Hellfire Clubu, tylko przestraszonym dzieckiem w jarmarcznej budzie, spragnionym ciepła.

– Handlujesz tajemnicami kobiet. – Krążyła wokół Wyngarde'a, przyglądając się jego bezradnej postaci. – Wyławiasz je, używając swoich tanich iluzji. Nie po to, by je poznać, zostać ich przyjacielem lub partnerem. Tylko po to, żeby je zniewolić.

Głośno przełknął ślinę.

– Mogłabym ci pokazać sekrety. – Zatrzymała się przed nim z uśmiechem. – Chciałbyś?

Pokręcił głową.

– Chciałbyś je zobaczyć?

W jej wnętrzu narastała moc. Ognista, niepowstrzymana. Jednocześnie pradawna i nowa, wszystko ledwie utrzymywane jej desperacką wolą. Napędzane gniewem, żądne zemsty, buzujące

pierwotnymi energiami wszechświata.

Jednym pociągnięciem wbiła je w jego mózg.

Wyngarde zeszywniał. Jego świadomość rozszerzała się z prędkością myśli, pędząc z jednej strony rzeczywistości na drugą. Miliony światów, miliardy gwiazd, biliony tragicznych zgonów. Jego umysł zakrzywił się, zapadł i niemal rozsypał na dwie części.

– „Patrzeć z góry na śmiertelnych ludzi” – zacytowała. – Czyż nie tego chciałeś?

Wrzeszczał, wił się rozpaczliwie, wymachując nogami w powietrzu. Trwała przy nim, wlewając coraz więcej mocy w jego mały, ludzki umysł. Zmusiła go do spożywania pokarmu bogów – ogromnej, nieuniknionej prawdy istnienia.

Kiedy jego umysł pękł, Wyngarde zacharczał. Wisiał luźno w powietrzu, z zapadniętymi oczami. Pojawił się teraz w swojej prawdziwej formie, wszystkie złudzenia zniknęły. Chudy, siwowłosy strach na wróble, z cienką strużką śliny zwisającą z ust. Jean opuściła go na ziemię i oparła o regał.

– Żegnaj, sir Jasonie – powiedziała. – Już nie wrócisz.

Jego oczy wpatrywały się w nią przez chwilę. Potem głowa opadła mu na bok, a szczęka się rozluźniła.

Prawie mu zazdroszczę – pomyślała. – *Jason Wyngarde ma spokój.*

Phoenix nie wie, co oznacza to słowo.

Wyszła z biblioteki. Na korytarzu było ciemno, ale od razu wyczuła czyjaś obecność. *Nie* – pomyślała. – *Nie on. Nie teraz!*

– Jean!

Wzdrygnęła się, przywierając do ściany, zanim Scott zdążył ją

dotknąć.

– Jean. Coś nie tak?

Trzymaj go z daleka – pomyślała. Muszę trzymać go z dala od mojej głowy. Gdyby się dowiedział... gdyby miał jakiegokolwiek pojęcie...

– Musimy stąd iść – ponaglił ją. – Storm właśnie dzwoniła... policja jest w drodze. Ma rozkaz aresztować X-Menów.

Spojrzała na niego, ledwo mogąc zrozumieć, o co mu chodzi.

Policja? Jakie to mogło mieć znaczenie w obliczu sił, które zostały tu dzisiaj rozpętane?

– Jean? Rozumiesz mnie?

Dostrzegła jego twarz – i poczuła nagły, bezdenny smutek. *Taki dobry człowiek. Taki szczery, taki wierny. Taki troskliwy.*

Moja miłość.

Odwróciła się, nie chcąc się rozplakać. *Nie teraz – powiedziała sobie. – Później będzie czas na łzy. Będzie mnóstwo łez.*

– Kurt wzywa statek – powiedział. – Musimy stąd wyjść. Teraz.

Skinęła głową, zmusiła się do uśmiechu i ruszyła korytarzem. Czula jego niepokój, lęk o nią, wnikał przez jej obronę. Wiedziała, że ten strach to dopiero początek.

– Tędy – powiedziała, prowadząc go do ukrytych schodów.

21



W ulewnym deszczu statek poderwał się z powierzchni rzeki Hudson przez nikogo niezauważony. Okolica była całkowicie ciemna – mola, ulice, szereg starych magazynów, które stały między nimi, woda i majestatyczny budynek Hellfire Club. Mrok rozjaśniały jedynie światła samochodów, które powoli opuszczały okolicę.

– Zaciemnienie się rozprzestrzeniło – powiedział Colossus, patrząc przez duże boczne okno statku. – Wygląda na to, że narobiłeś więcej szkód, niż zamierzałeś, mój przyjacielu.

Wolverine nie odpowiedział. Włosy na karku i ramionach stały mu dęba, a on walczył ze sobą, by nie odsłonić pazurów. Każdy jego instynkt ostrzegał go przed niebezpieczeństwem.

I nie chodzi o pogodę.

Statek podskoczył. Logan przytrzymał się ściany, żeby nie stracić równowagi. W fotelu pilota Nightcrawler zmagął się ze sterem. Storm stała tuż za nim, z szeroko rozłożonymi ramionami.

– Storm – powiedział Nightcrawler. – Czy możesz uspokoić, cóż, burzę? Choćby troszeczkę?

– Przepraszam, Kurt. – Zmarszczyła czoło w skupieniu. – Gromadzę jej moc wokół statku, aby ukryć nas przed wzrokiem ciekawskich. Przynajmniej do czasu aktywacji osłony *stealth*.

Wolverine nie zwracał na nich uwagi. Jean Grey, źródło jego niepokoju, kucała przy przeciwległej ścianie kabiny statku, wpatrując się w okno. Nadal w kostiumie Czarnej Królowej. Cyclops ukląkł obok niej, mówiąc niskim, kojącym głosem. Dzięki wzmocnionemu słuchowi Logan zdołał wychwycić wypowiedziane przez nich słowa.

– ...Wyngarde? – Zapytał Cyclops. – Czy on nadal... jest, wiesz. W twojej głowie?

– Nie – odparła Jean. – Nie poruszyła się, nie odwróciła twarzy od okna. – Poradziłam sobie z nim.

– Ach, tak.

Wokół niej na krótką chwilę rozbłysła energia. Cyclops cofnął palce, jakby się bał, że zostanie poparzony.

Wolverine przypomniał sobie słowa profesora Xaviera: „*Nic innego się nie liczy. Tu chodzi tylko o Jean*”.

– Tak mocno... – Jean dotknęła brzucha, manipulując przy zapięciu gorsetu. – Zawiązany. Powiedział... to miała być wolność. Ale nie jest.

– Jean. – Cyclops dotknął jej ramienia. – Dużo przeszłaś, ale to już koniec.

Pazury Wolverine'a wysunęły się mimowolnie. Jego instynkt krzyczał jeszcze głośniejsze niż wcześniej. Jean pachniała dziko, niepokojąco. Jej ciało było skulone, napięte, jak u osaczonego zwierzęcia.

– To nie koniec. – Wybuchnęła straszonym, zimnym śmiechem. – To w ogóle nie jest wolność.

– Zaradzimy temu jakoś – kontynuował Scott. – Skontaktuję się z profesorem. Będzie wiedział, co zrobić.

Odsuń się, Summers – pomyślał natychmiast Logan. Krążył z tyłu kabiny, starając się znaleźć miejsce, z którego mógłby ich lepiej widzieć.

– Proszę – powiedział Cyclops. – Chcę ci pomóc.

Spojrzała na niego po raz pierwszy od wejścia na pokład. Jej oczy były puste, skupione, zimne. Pozbawione jakichkolwiek emocji z wyjątkiem wyniosłego, powściągliwego gniewu.

– Chcesz – powtórzyła.

Statek znów się zachwiał.

– Ororo! – krzyknął Nightcrawler.

– To już nie moja sprawka – odpowiedziała Storm. – Burza powinna teraz odpuścić, ale wygląda na to, że staje się gwałtowniejsza. Zrobię, co w mojej mocy.

– Nie chcę tego – powiedziała Jean, szarpiąc tasiemkę gorsetu. – W ogóle mi się to nie podoba.

– Jean. – Cyclops zerwał się na równe nogi. – Ja...

Nie mów tego – pomyślał Wolverine. – *Nie.*

– ...kocham cię.

Spojrzała w górę z płonącym wzrokiem. Logan wydał z siebie pomruk i rzucił się ku niej – za późno. Energia wybuchła – paląca, przedwieczna, niezgłębiona. Uwolniona, w końcu pełna, nieskrępowana wściekłość siły żywiołów.

– Słuchajcie mnie, X-Meni. – Jean uniosła się nad podłogę. –

Nie jestem już kobietą, którą znaliście.

Jej włosy tworzyły ognistą koronę, a oczy zmieniły się w kule rozjarzone mocą. Peleryna i gorset Czarnej Królowej wyparowały, rozpadając się na atomy. Jean po raz kolejny stała się Phoenix – ale teraz miała na sobie inny kostium. Ciemniejszy, intensywnie czerwony, świecący blaskiem tak jasnym, że aż nieznośnym dla ludzkiego oka.

– Jestem ogniem – kontynuowała – i życiem wcielonym.

Cyclops podszedł do niej. Wolverine złapał go za ramię. Cyclops obrócił się z bólem i desperacją w oczach.

– Puść mnie, Logan!

– Nie – powiedział Wolverine.

– Teraz i na zawsze jestem PHOENIX!

Statek eksplodował.

METALOWE ŚCIANY rozerwały się jak papier. Silniki warknęły, zawyły i zakaszły, gasnąc. Na chwilę czas się zatrzymał.

Potem Cyclops spadał wśród strug deszczu.

Na początku widział tylko Jean. Z rozpostartymi ramionami i płomiennymi włosami świeciła jak gwiazda. Pierwotna energia wybuchła we wszystkich kierunkach, wypełniając niebo. Kawałki statku rozleciały się wokół, wirując i podskakując w powietrzu.

Obrócił się i spojrzał w dół, po kolei licząc X-Menów: Nightcrawler, Wolverine, Colossus – wszyscy spadali. Colossus instynktownie przybrał swoją metalową postać. Ponad nimi Storm wzbijała się wysoko na dmących wiatrach.

– Colossus! – wrzasnął Cyclops. – Upadek nie zrobi ci krzywdy. Postaraj się wylądować pierwszy, aby pomóc innym! – Nie mógł dostrzec wyrazu twarzy Petera przez padający deszcz, ale młody Rosjanin odwrócił się, wycelował pięściami w ziemię i zanurkował.

Czerwone i żółte drzewa nowojorskiego Central Parku coraz bardziej się zbliżały. *Przynajmniej nie wysadziliśmy się na Piątej Alei!*

– Nightcrawler, będziesz musiał się teleportować na dół – zawołał. – Szybko, zanim nabierzesz zbyt dużego rozpędu!

Grymas na twarzy Kurta Wagnera był widoczny nawet mimo burzy. Zaciskając pięści, zniknął w obłoku siarki. Ponownie pojawił się niżej, a potem krzyknął, kiedy spadł na ziemię i uderzył o drzewo.

Cyclops zwrócił w końcu uwagę na własne położenie.

Mógłbym zwolnić opadanie moimi więzkami optycznymi – pomyślał – ale ich siła może skrócić mi kark!

– Storm! Tylko ty spośród nas potrafisz latać...

– Już się tym zajęłam.

Zobaczył, że Ororo złapała Wolverine'a i trzymała go mocno za pasek. Obydwoje spadali tuż za nim.

– Trzymaj się, Cyke.

– Tylko nie wysuwaj pazurów.

– Nie potrzebuję żadnych dobrych rad.

Logan chwycił Cyclopsa pod ramiona. Mocne ręce szarpnęły go w górę, spowalniając jego pęd. Storm zatoczyła z kolegami z drużyny szeroki łuk, omijając drzewo, kiedy zbliżyli się do ziemi.

– Logan! – zawołał Scott. – Puść mnie!

Wolverine uwolnił go z uścisku. Cyclops zeskoczył na skrawek błotnistej ziemi porośniętej trawą, lądując z głośnym pluskiem. Grunt dookoła był kamienisty, nierówny, z utwardzoną ścieżką, która wiła się wokół stosu głazów. W tę deszczową noc dookoła nie było żywej duszy.

– Colossus? Nightcrawler?

– Mamy się dobrze, Cyclops. – Peter zatoczył się, obejmując Kurta.

– Tak czy inaczej, żyjemy. – Nightcrawler potarł głowę. – Co w nas uderzyło?

Jakby w odpowiedzi, niebo rozjarzyło się jasno. Światło opadało, przenikając przez deszcz, i rzucało surowe cienie między gnącymi się pod naporem burzy drzewami. W samym środku świetlnej erupcji Jean Grey obróciła się twarzą w dół. Jej ciało, ukryte w czerwono-żółtym stroju Phoenix, płonęło w furii.

– Och – rzucił Nightcrawler. Potem jego oczy rozszerzyły się. – Och.

Drużyna bez słowa ruszyła do akcji. Wolverine pobiegł w kierunku Colossusa, który splótł metalowe ręce. Gdy Logan podskoczył ku niemu, Colossus złapał go i podrzucił. To był ich popisowy numer: Fastball Special.

Logan popędził w stronę Phoenix, jego pazury obnażyły się, by zadać cios. Rzuciła w jego stronę krótkie spojrzenie i wyciągnęła rękę. Piorun energii telekinetycznej odepchnął go, wyrzucając wysoko nad drzewami, poza zasięg wzroku.

Storm wyleciała spomiędzy drzew, wylądowała na szczycie

stosu gładów i podniosła ręce. Wokół Jean zerwały się wiatry o potężnej sile, które ją odpychały. Machała rękami, broniąc się przed podmuchem, chwilowo zdezorientowana.

– Peter! – wrzasnął Cyclops. – Teraz!

Colossus chwycił wysoki na ponad dziesięć metrów dąb o sękatym pniu szerokim prawie na metr. Stęknął i wyrwał drzewo, z którego korzeni posypała się ziemia, ulatując w wilgotne powietrze. Podniósł pień nad ramieniem i wycelował.

Phoenix ponownie wyciągnęła rękę. Nie było rozbłysku energii ani widocznej demonstracji siły, ale nagle Colossus znów stał się człowiekiem z krwi i kości.

Przekształciła go z powrotem, zniwelowała efekt jego mutacji – pomyślał Cyclops. – Jak potężną mocą dysponuje?

Ludzkie mięśnie Petera Rasputina napięły się pod ciężarem stuletniego drzewa. Krzyknął i zaczął upadać, uderzany ciężkimi konarami. Nightcrawler teleportował się, złapał go i razem z Colossusem teleportował się jeszcze raz. Potężny pień spadł na moką ziemię.

Światło padło na Cyclopsa, odbijając się od kropli deszczu, i stworzyło wokół niego jasną poświatę. Podniósł wzrok, zasłaniając się dłonią przed oślepiającym blaskiem. Phoenix unosiła się mniej niż pięć metrów powyżej, wpatrując się w niego.

Uśmiechała się.

Cieszy się tym – uświadomił sobie. – Używanie mocy w ten sposób: nieskrępowanie, bez ograniczeń, przypomina endorfinową euforię. Podkręca Jean fizycznie i emocjonalnie.

– Jean! – krzyknął.

Zalała go fala obrazów, rozproszonych myśli.

Mój jest ogień

Głupi człowieku

To życie może nie być życiem które ja

Nie płacz nie płacz

Wy wszyscy jesteście dla mnie niczym zupełnie niczym

Głupi człowieku co możesz mi zaoferować

Wzdrygnął się, upadł na kolana. Doświadczył jej myśli w tej formie już wcześniej, w Hellfire Clubie. Przypominały silny strumień wody, który tryska ze strażackiego węża. Ale teraz było inaczej. Teraz szaleństwo głosów w niej przechodziło ludzkie pojęcie, przekraczało jego zdolność objęcia ich umysłem.

Krąg

Nieprzerwany Krąg

Jestem ogniem i wcielonym życiem

Naładowane cząstki

Nagi mężczyzna z rogami zwierzęcia

Nie mogę go pokonać nie mogę tego pokonać

Głos w głosie bez

Jej ekstaza, jej cierpienie przeniknęły go jak laser. Umysł Cyclopsa zaczął się rozpadać pod ich naporem.

Twarz w ogniu

*Rozwścieczony umysł
Co oferujesz
Wszyscy jesteście niczym niczym
Już posiadam to, co oferujesz
Myślałam że mnie zniewolisz
To nie jest to nie wolność
Jestem ogniem jestem życiem
JA JESTEM PHOENIX PRZYNOŚĘ BURZĘ*

– JEAN!

Głos Storm przerwał telepatyczne połączenie Cyclopsa. Spojrzał w górę, ścierając wodę z wizjera.

Storm stała na szczycie stosu głazów, wołając przez padający deszcz.

– Jean, chciałabym z tobą porozmawiać! – Jej głos był zarazem stanowczy i łagodny. – Posłuchaj, proszę!

Phoenix zacisnęła wargi z obrzydzeniem, ale uspokoiła się i rozświetliła niebo. Burza zdawała się uspokajać razem z nią.

– Byłaś już taka wcześniej – ciągnęła Storm. – Po wypadku wahadłowca... kiedy po raz pierwszy wykorzystałaś moc Phoenix. Ale ta moc została wtedy złagodzona przez ludzkie uczucia, przez litość. Przez twoje relacje z przyjaciółmi.

Nightcrawler teleportował się obok Cyclopsa.

– Peter i Logan padli – oznajmił. – Tylko my zostaliśmy.

Cyclops nakazał mu gestem milczenie.

– Przypomnij sobie – powiedziała Storm, nie spuszczać wzroku z Jean. – Przypomnij sobie, kim jesteś. Swoich przyjaciół,

ludzi, których kochasz. Tych, którzy kochają ciebie.

Jean unosiła się w idealnym bezruchu, płomienie jasno świeciły wokół niej. Jej twarz nie wyrażała nic, nie pojawiło się na niej żadne uczucie. Ponad nią księżyc zaglądał przez dziurę w chmurach. Deszcz ustawał.

Udało się? – zastanawiał się Cyclops. – *Czy Storm zdołała do niej dotrzeć?*

Wtedy nastąpił wybuch psychicznej energii, która wypełniła powietrze falami. Kiedy dotarła do Storm, ta zachwiała się i spadła z podwyższenia. Nightcrawler też bezgłośnie upadł na ziemię.

Cyclops zebrał się w sobie. To uczucie było dziwnie delikatne, jakby sama świadomość została wyrwana z jego ciała. Przez ułamek sekundy miał świadomość deszczu, który znów się wzmógł, kropli uderzających w jego wizjer i z niego skapujących. Potem nawet to wrażenie się zatarło.

PHOENIX WYLĄDOWAŁA miękko wśród ciał X-Menów. Strugi deszczu siekły Jean bezlitośnie, ona jednak nie zwracała na to uwagi. Krople syczały w zetknięciu z jej płomieniem, znikając we mgle.

Jej życie było teraz mocą, przepływającą przez nią jak ładunek elektryczny, rosnący wraz z każdym pokonanym wrogiem. Starożytna siła stała się jej wewnętrzną istotą, ożywiając śmiertelną formę Jean – a jednocześnie ostatecznym wyrazem wściekłości młodej kobiety.

Komórki się rozpadają.

Ciało się rozchodzi.

Ogień tańczy na skórze.

Spojrzała na ciała porozrzucane po błotnistej trawie. Wysoka ciemnoskóra kobieta była jej przyjaciółką. Ten włochaty... był niebezpieczny. Ten duży był jak dziecko; ten z niebieskim futrem rozśmieszał ją.

– Drodzy – mruknęła.

Rosła w niej moc – a wraz z nią budził się głód. Głód tak stary jak sam czas, świeży jak wszystkie nowe przepływające przez nią doznania. Nie ma tu – w tym zimnym, małym świecie nic... co mogłoby ten głód zaspokoić. Potrzebowała więcej.

Zatrzymała się na chwilę, jej wzrok spoczął na ostatnim ciele. Szczupły, umięśniony mężczyzna z jednym czerwonym okiem. Kiedyś coś dla niej znaczył. Był wyjątkowy.

Ale już nie jest.

Mroczna Phoenix rozłożyła skrzydła, rozjarzyła się jasno i poleciała do gwiazd.

INTERLUDIUM 2



Nagły podmuch wiatru prawie wyrwał parasol z dłoni młodego mężczyzny. Jego towarzyszka krzyknęła, gdy krople deszczu wleciały jej do oczu. Potrząsnęła długimi blond włosami i przysunęła się blisko mężczyzny, kładąc głowę na jego ramieniu.

– Tak się cieszę, że w końcu mieliśmy prawdziwą randkę, Peter – powiedziała.

– Ja też – odparł. – Niezła zabawa, nie, Gwen?

Stała jak wryta na ścieżce prowadzącej przez Central Park. Rozsiane wokół latarnie oświetlały mokrą trawę, tworząc mozaikę cieni.

– Jak mnie nazwałś?

– Przepraszam – powiedział Peter. – Przykro mi, Cissy!

– Gwen... – Odeszła kilka kroków od niego, ale zaraz skulona i mokra wróciła pod parasol. – Mam już po dziurki w nosie słuchania o Gwen Stacy.

Peter Parker przełknął ślinę. *Jest wściekła* – pomyślał. – *I całkiem słusznie.*

– Nie chciałem, żeby...

– Rozumiem – kontynuowała. – Straciłeś kogoś. To prawdziwa tragedia. Jestem... Bardzo mi przykro.

Peter już miał odpowiedzieć, ale nagle zamarł, gdy w jego głowie rozległo się głośnie brzęczenie. *Pajęczy zmysł!* Rozejrzał się, szukając źródła dźwięku.

– Ale kiedyś będziesz musiał ruszyć do przodu – mówiła dalej. – Wiesz?

– Co? – spytał.

– Peter. Czy ty mnie w ogóle słuchasz?

Nie słuchał. Już nie. Ponad ramieniem Cissy Ironwood, w odległości mniej więcej półtora kilometra, pojawił się potężny, płonący kształt. Unosił się nad parkiem: drapieżny ptak, wymachujący ognistym dziobem z boku na bok.

W umyśle Petera trwała gonitwa myśli: *Inwazja obcych? Super czarny charakter? Czy jest czarny charakter, który używa ognistego ptaka jako broni? Nie znam nikogo takiego!*

Patrząc na płonący kształt, w jakiś sposób wiedział jednak, że to nie był zwykły superzłoczyńca. Pojawiło się tutaj coś znacznie większego, nawet boskiego. Coś daleko poza zasięgiem przyjaznego Spider-Mana z sąsiedztwa. Patrzył z szeroko otwartymi oczami, jak ogromny ptak wzniósł się i dziko zatrzepotał skrzydłami, zmagając się z burzą. Wydał dziwny, nieziemski wrzask, potem ruszył w niebo.

Peter spojrzał w górę, obserwując chmury. Podobna do ptaka istota nie pozostawiła po sobie śladu. Trudno było to wyraźnie dostrzec z powodu burzy, ale przez chwilę wydawało mu się, że w sercu płomieni zobaczył kobiecą postać. *Prawdopodobnie to*

tylko gra światła.

– Peter!

Zawrócił. Cissy stała całkiem przemoknięta, obejmując ramiona dłońmi. Była bardziej wściekła niż kiedykolwiek. Zaintrygowany ognistym zjawiskiem odszedł z parasolem w dłoni, pozostawiając ją na pastwę żywiołu.

– Przepraszam! – Podeszedł do niej, wskazując na niebo. – Widziałaś...?

– Co miałam widzieć?

Wściekłość malująca się na jej twarzy nie pozostawiała wątpliwości, że nawet nie zauważyła płomiennego ptaka. Całe zjawisko trwało krócej niż minutę.

– Nie sędzę, żeby to się udało – powiedziała.

Pajęczy zmysł Petera odbierał już tylko cichy szum. Cokolwiek to było, niebezpieczeństwo, które stwarzało, zniknęło... przynajmniej na razie. Odwrócił się do Cissy z przeproszającym wzruszeniem ramion.

DOKTOR STEPHEN STRANGE wpatrywał się w regał z książkami, który wznosił się od podłogi aż do sufitu, zajmując całą ścianę jego gabinetu. Omiótł wzrokiem półki, starając się nie zwracać uwagi na żaden konkretny tytuł. To zniweczyłoby cel tego ćwiczenia.

Kiedy wrócił do domu z poranną kawą, po drzwiach pełzł duży ślimak bez skorupy. Niepokojący znak. Po kilku godzinach medytacji nie był w stanie wskazać jego źródła.

Tak więc, z pewną niechęcią, zajął się ćwiczeniem

przekazanym mu dawno temu przez jego mentora, Przedwiecznego. Pośród zgromadzonych w pokoju książek znajdowały się starożytne teksty chalcedońskie, manuskrypty ocalałe z Biblioteki Aleksandryjskiej, a nawet kilka tanich czasopism z lat 30. XX wieku z zakłęciami zaszyfrowanymi na niedbale porozcinanych stronach. Strange poprosił swojego współpracownika Wonga o poukładanie książek zupełnie przypadkowo, by zburzyć ich ustalony porządek.

Zrobił wydech i zacisnął powieki. *Tam, gdzie zawodzi metodyczność – pomyślał – może koincydencja osiągnie cel.* Sięgnął po grubo podniszczony tom. Zanim jednak otworzył oczy, potężna mistyczna fala zalała jego umysł. Ujrzał obrazy namiętności, gniewu i wielkiego zła. Awatar ze starożytnych pism greckich: Phoenix, symbol ognia i odrodzenia.

Natychmiast się zorientował: *to nie jest zagrożenie z zewnątrz – żadna inwazja z jakiegoś innego świata. To się dzieje właśnie tutaj, właśnie teraz, w tym mieście.*

Muszę wezwać innych.

Wybiegł z gabinetu, upuszczając książkę na biurko. Dopiero później zauważył jej tytuł: *Magick Without Tears* Aleistera Crowleya.

SCOTT LANG, bohater o pseudonimie Ant-Man, wpatrywał się w ekran komputera. Wspiął się na monitor, zatrzymał i pochylił, by spojrzeć raz jeszcze. Kiedy dotarł na jego górną krawędź, oparł o nią odnóża i zawisł przed ekranem.

– Nie – powiedział. – Do góry nogami też nie ma to żadnego

sensu.

Spojrzał na małą salę monitorującą na najwyższym piętrze Avengers Tower. Natasza Romanoff chodziła tam i z powrotem, z zaangażowaniem rozmawiając przez telefon komórkowy. Miała na sobie kostium Black Widow, co – uświadomił sobie Scott – prawdopodobnie nie zapowiadało niczego dobrego.

Tony Stark opierał się o sąsiednie biurko. Nosił dwuczęściowy garnitur od Armaniego i rękawicę Iron Mana, z której wyrósł wysokiej rozdzielczości hologram pokazujący pomiary ciepła i odczyty spektrometru. Jego wargi poruszały się szybko i cicho, a oczy przeskakiwały tam i z powrotem, gdy przeglądał holograficzny wyświetlacz.

Scott zeskoczył na biurko.

– Tony! – zawołał.

Stark drgnął i odwrócił głowę.

– Co to jest? – Scott wskazał ekran całą swoją ręką o długości jednego cala.

Stark podszedł, od niechcienia dezaktywując hologram.

– To – powiedział – to odczyt termiczny ze źródła ogromnej mocy. Sygnał powstał w Central Parku, na północ od Great Lawn, i obecnie wchodzi na orbitę ziemską.

– Tak, ale co to jest?

Wspólnie wpatrywali się w obraz. „Sygnał” miał z grubsza owalny kształt, z wypukłościami przypominającymi skrzydła po obu stronach. W środku był jaskrawoczerwony, przechodząc w pomarańczowy i żółty na brzegach. Licznik wysokości z boku obrazu pokazywał postęp nieznanego obiektu przez górne warstwy

atmosfery.

– Nie wiem – oznajmił Tony.

Z pomieszczenia dobiegł stukot. Scott zobaczył, że Natasza gapi się na nich. Jej telefon leżał na podłodze.

– Przepraszam – powiedziała, wdzięcznym ruchem podnosząc telefon. – Po prostu nie wydaje mi się, żebym kiedykolwiek słyszała, jak to mówisz.

– Ciągle to mówię. – Tony przewrócił oczami.

– Czy to Thanos? – zapytał Scott. – Proszę, powiedz, że to nie Thanos. Zaczynam mieć naprawdę dość tej jego rękawicy.

– To nie on – odpowiedział Stark. – Odczyty nie pasują. Czy udało ci się skontaktować z Thorem?

– Nie. – Scott wzruszył ramionami. – On jest... jak ty to mówisz? Poza planetą. Poza wymiarem? Poza... gdzieś tam.

Tony skinął głową.

– A doktor Strange? – zapytał Scott.

– On też nie ma pojęcia. – Tony zaśmiał się sucho. – Pierwszy raz widziałem, jak magiczna różdżka tego faceta opadła.

Naprawdę się martwi – zauważył Scott, uważnie przyglądając się koledze z drużyny. – *Cokolwiek to jest, to coś wielkiego.*

Natasza podeszła, marszcząc brwi nad ekranem.

– Co nasz sygnał teraz robi?

– Przyspiesza – odparł Tony, pochylając się, by przyjrzeć się bliżej.

– Skręca... w stronę słońca, a przynajmniej na to wygląda. Ej, tak szybko iiii... zniknął. – Sygnał zniknął z ekranu. Pojawiło się okienko z tekstem.

OBIEKT ZNALAZŁ SIĘ POZA ZAKRESEM CZUJNIKA

– Zniknął. – Scott zamrugał. – Zniknął. To dobrze, nie?

– Może – powiedziała Natasza. – A może nie.

Tony Stark nie odpowiedział. Chodził po pomieszczeniu tam i z powrotem. W końcu zatrzymał się i dotknął przełącznika na rękawicy.

– Piątek – powiedział. – Otwórz kanał do Starcore.

Scott wymienił puste spojrzenie z Nataszą. Uświadomił sobie, że czasami w towarzystwie Tony’ego czuł się jak młodszy brat, który nigdy nie będzie dopuszczony do zabawy ze starszymi dziećmi.

– Co to do cholery jest Starcore? – zapytał.

– **ODPOWIEDŹ** do Tony’ego Starka – powiedział doktor Peter Corbeau. – Jeszcze nie osiągnęliśmy gotowości do akcji. Jednostki czujników nadal są instalowane, a połowa naszych pracowników jest w drodze z Ziemi. Niezależnie od tego, z jakim atakiem infragalaktycznym lub inwazją ludzi-kretów ma do czynienia, będzie musiał poradzić sobie sam.

Corbeau rozejrzył się po lśniącym, dopiero co wybudowanym centrum kontroli. *Całe szczęście, że wiadomości radiowe potrzebują siedmiu minut na dotarcie do Ziemi* – pomyślał. – *Naprawdę nie mam ochoty kłócić się ze Starkiem w czasie rzeczywistym.*

Starcore został zaprojektowany, sfinansowany i skonstruowany

szybciej niż jakakolwiek instalacja satelitarna w historii.

Wykorzystując swoją błyskotliwą inteligencję i urok osobisty, Corbeau ominął wszystkie przeszkody i w rekordowym czasie zdobył potrzebne środki finansowe. Astronauci jednak wciąż pracowali na zewnątrz, podłączając moduły czujników i monitorując sprzęt. Tylko dwie z ośmiu konsol w centrum się świeciły – większość urządzeń nadal pozostawała w mroku. Centralny ekran ścienny nawet nie został podłączony.

– Peter. – Ciemnoskóra kobieta podniosła się znad drugiej stacji roboczej. – Na pewno zechcesz to zobaczyć.

– Nie mam czasu, Shira. Jesteśmy stacją monitorowania Słońca, a nie osobistą wieżą komórkową jakiegoś superbohatera playboya.

– Popatrz – powiedziała, wyciągając tablet w jego kierunku.

Chwycił go zniecierpliwionym gestem. Spojrzał na wyświetlacz – i zamarł. Ogarnęła go lodowata panika.

– Daj zbliżenie tego – powiedział.

– Czego? – Shira zmarszczyła brwi.

– Tego wszystkiego! Wszystkiego, co mamy. Podeszedł do terminalu i wszedł do dzienników pracy. – Wezwij wszystkie ekipy EVA do wstrzymania prac i powrotu do stacji. Kamera numer cztery działa, prawda?

– Tak sędzę. – Wróciła do swojej stacji i zaczęła kręcić przełącznikami. – Rozumiem, że wcześniej widziałeś tę długość fali?

– Tak – powiedział. – W... w pewnym sensie.

Patrzył na ekran, na dane wysłane przez Starka. Proste tablice cyfr, kilka rozmazanych obrazów termicznych – ale Corbeau

przypominały one rzeczy, o których przez ostatni rok próbował zapomnieć. Obrazy mrocznej furii, podsycanej pasją wykraczającą poza ludzkie zrozumienie. Wspomnienie zimnych palców badających jego mózg, dotykających ukradkiem jego najmroczniejszych tajemnic.

– Kamera numer cztery – powiedziała Shira.

Ekran ścienny zamigotał i się włączył. Pokazywał gwiazdy świecące w pustce – i coś jeszcze. Jaskrawo płonący punkt na skraju lewej krawędzi obrazu.

– Powiększ to – powiedział.

Shira manipulowała przełącznikami. W miarę powiększania obrazu punkt stawał się coraz bardziej widoczny, skacząc z boku na bok. Kamera ustabilizowała się, ukazując ognisty kształt przypominającej ptaka istoty, która kipiała mocą. Shira wpatrywała się w ekran.

– Co to jest, do cholery?

– Nie to – powiedział Corbeau. – Ona.

– Leci z Ziemi, zmierzając w kierunku Słońca – powiedziała.

– Promieniująca energia... poziomy wykraczają poza skalę.

– Czy wszyscy nasi ludzie są w środku?

– Ostatnia ekipa właśnie zamknęła za sobą śluzę – potwierdziła.

Corbeau patrzył zahipnotyzowany, jak zbliża się ptasia postać. Rok temu Jean Grey użyła umiejętności zaczerpniętych z jego umysłu, by sprowadzić wahadłowiec na Ziemię. Otrzymała śmiertelne dawki promieniowania, ale jakoś przetrwała. Corbeau wysnuł teorię, że promienie słoneczne – ciężkie promieniowanie – zmieniły ją na poziomie molekularnym, pobudzając jej zdolność

mutowania w jakimś nieznanym stopniu. Uważał, że w tej nowej formie Jean dosłownie zmusiła się do powrotu do życia.

Oczywiście była to tylko teoria. Aby to sprawdzić, musiałby zbadać Jean Grey osobiście. Próbował skontaktować się z X-Menami, ale nie oddzwaniali. Najwyraźniej szukali go tylko wtedy, gdy potrzebowali jego pomocy między walką z Sentinelami i Magneto.

A może – pomyślał – po prostu nie chcieli stawić czoła prawdzie.

Ogniste zjawisko – Phoenix – rozpostarło skrzydła, prawie wypełniając nimi duży ekran. W tak dużym zbliżeniu postać Jean była wyraźnie widoczna w centrum płomieni. Twarz miała dziką, nieludzką, niczym oblicze gniewnego boga, posłanego, aby dokonać sądu nad śmiertelnym światem.

Corbeau znów ogarnęła panika. *Czy przybywa po mnie? Żeby mnie zabić i zniszczyć wszystko, co przypomina jej o przeszłości? Czy w jakiś sposób obwinia mnie o to, co się z nią stało?*

Wziął głęboki oddech.

Nie. To tylko... pycha. Czymkolwiek stała się Jean Grey, jest daleka od zaprzętania sobie głowy jednym człowiekiem.

Jakimkolwiek człowiekiem.

– Właśnie pojawił się czujnik jednostki beta – powiedziała Shira. – Kreśli teraz trajektorię... obiekt oddala się od nas.

Corbeau odwrócił się od ekranu, by przyjrzeć się wykresowi na własnym monitorze. Przerywana linia wskazywała ścieżkę Jean odbijającej eliptycznie od Ziemi i przechodzącej przez stację Starcore, by zakręcić wokół płonącej kuli Słońca. Mrugający punkt

na końcu linii określał jej aktualną pozycję.

– Mój Boże – powiedział – ona wciąż przyspiesza. Jest w punkcie ósmym koma dziewięć prędkości światła.

– Nurkuje prosto w Słońce! – Shira stanęła za nim, gapiąc się przez ramię. – Przesuwa się przez koronę, poruszając się niebezpiecznie blisko fotosfery. Jakim cudem cokolwiek mogłoby to przetrwać?

– Wykorzystuje je – powiedział Corbeau. – Słońce. Rozciąga się wokół niego, wykorzystując je do zwiększenia prędkości. – Włączył licznik i zaczął analizować prędkość obiektu. Punkt dziewiąty prędkości światła. Punkt dziewiąty koma dwa. Punkt dziewiąty koma pięć.

Przez stację przeszła fala uderzeniowa. Ekran zamigotały, światła zgasły i ponownie się włączyły. Corbeau chwycił podłokietniki, odwracając się, i zobaczył, jak Shira wpada na krzesło przy nieczynnym stanowisku pracy. Potem jego wzrok przykuł ścienny ekran. Pozostał na nim zamrożony obraz Phoenix, wypalającej swoją drogę w głębię kosmosu. Płonęła intensywną czerwienią, ogniste żółte skrzydła emanowały energią, a w jej rdzeniu – jak dziecko uwięzione w płonącym domu – tkwiła mała ludzka postać.

Ekran stał się czarny.

– Co to, do diabła, było? – Shira pokręciła głową i włączyła stację roboczą.

Corbeau zmarszczył brwi, przytrzymując klawisze, aby ponownie uruchomić swoją stację.

– Czy kiedykolwiek widziałaś formowanie się wielorakiej

hiperprzestrzeni?

– Nie. – Wpatrywała się w niego. – Nikt nie widział.

– A zatem właśnie przeszliśmy do historii. Kolejny raz Peter Corbeau jako pierwszy... Przypomnij mi, żebym zaktualizował swój życiorys. – Uświadomił sobie, że Shira gapi się na niego. – No co?

– Trzymaj się tego ego, doktorku. – Posłała mu kwaśny uśmiech. – Ono również może przejść do historii.

Corbeau odsunął się i zaczął krążyć po pokoju. Ekran ścienny wrócił do życia po ponownym uruchomieniu zewnętrznej kamery. Obraz rozmazał się, poruszył i znów ustawił automatycznie na przedmiocie badań Starcore.

Słońce. Źródło wszelkiego życia w Układzie Słonecznym, najpotężniejszy generator reakcji termojądrowych na przestrzeni czterdziestu bilionów kilometrów. Świeciło stałymi, małymi rozbłyskami, tańczącymi na krawędzi chromosfery. Nic nie zakłóciło jego powierzchni, na licznikach elektromagnetycznych nie pojawiły się żadne przekraczające normę odczyty.

Nie było śladu Jean Grey – Phoenix.

Ona – one – zniknęła.

Uśmiech zniknął z twarzy Corbeau. *Powinienem poczuć ulgę – pomyślał. – Zagrożenie mojego życia – a nawet całej ludzkości – opuściło nasz układ słoneczny, być może na zawsze. Ruszyło w stronę gwiazd, gdzie może wreszcie znaleźć... cóż, spokój.*

Powinienem poczuć ulgę.

A jednak, kiedy zajął się ponownym uruchomianiem systemów Starcore, czuł tylko nieokreślony, nienazwany strach.

X-MEN

AKT III

ZWIASTUN ZAGŁADY

22



HIPERPRZESTRZEŃ dała jej kopa jak narkotyki. Poczowała się, jakby w jej żyłach krążyły igły. Tachiony przesunęły się w przeszłość, kwarki wywoływały mrowienie na skórze. Gwiazdy popędziły obok niczym klejnoty połyskujące w przejrzystym strumieniu, kiedy pozostawiała je za sobą.

Mroczna Phoenix odrzuciła głowę do tyłu i roześmiała się.

Jej moc nie przypominała już piosenki, ale rozbudowaną symfonię graną na superstrunach, które utrzymywały razem cały czas i przestrzeń. Tutaj, w świecie ponad prędkością światła mogła je zobaczyć – czterdzieści dwa pasma hiperprzestrzeni. Sześć punktów, a z każdego z nich wychodziło po siedem strun. Prześwitywały przez ściany, przepalając cienkie membrany istnienia i obnażając wewnętrzną strukturę wszechświata.

Wyciągnęła pazur, aby szarpnąć strunę, która zawibrowała, zaśpiewała i odbiła się echem wśród gwiazd. Jean była teraz o krok bliżej. Bliżej pierwotnych sił – ostatecznych prawd. Ostatecznej wiedzy.

Jak mogłam kiedykolwiek temu odmówić? – rozmyślała.

To było jej miejsce. Wśród gwiazd, ale obok nich. Wewnątrz wszechświata, ale poza nim. Nasyciała się fundamentalnymi siłami, czując, jak wnikają w nią, krążą w niej i odpływają. Phoenix nie potrzebowała mężczyzny, kobiety ani żadnej śmiertelnej istoty. To była czysta pasja, czysta radość. Będzie trwała wiecznie.

Będę żyć wiecznie.

Zaraz po tym uczuciu przyszło kolejne. Głód. Mroczny, dziki, pochłaniający. Instynkt ze zwierzęcej przeszłości jej żywiciela, potrzeba, której nie mogła zaprzeczyć. Zgięła się wzdłuż, skręcając się z łaknienia, desperacko szukając pożywienia.

Drżąc, przywołała kolejną bramę. Zakwitła przed nią jak kwiat – idealnie symetryczna sześciowymiarowa forma. Gwiazdy zwolniły, a struny hiperprzestrzeni ustąpiły miejsca lodowatej próżni. Phoenix rozłożyła ramiona, rozciągając ogniste skrzydła, by się ogrzać.

Jej trofeum było tuż przed nią. Gwiazda ciągu głównego, typu G. O średnicy około półtora miliona kilometrów, stabilnym składzie i szacunkowym czasie życia około sześciu miliardów lat.

Phoenix wskoczyła w nią z płonącymi oczami. Gdy weszła w heliosferę, uderzył w nią słoneczny wiatr. Rozwiał jej włosy, wiejąc prosto w twarz. Miotając wokół spiralnymi wzorami, tworzył wszędzie potężne pola magnetyczne. Było w tym coś znajomego.

Spiralne wzory. DNA.

Mutacja.

Oddychając z ulgą, wciągnęła w siebie energię. Leciąca w dół przez koronę, w obszar o gwałtownie rosnącej temperaturze.

Dziesięć milionów stopni Kelwina. Dwanaście milionów. Czternaście. Zaśmiała się, zaśpiewała i wypła to wszystko.

Phoenix śmignęła w dół, jej kurs był prosty i wyraźny, poza ciemną fotosferą gwiazdy, przez burzliwą strefę konwekcji w obszar silnego promieniowania. Z szeroko rozpostartymi ramionami pochłonęła to wszystko: ciepło, plazmę, wodór i hel oraz wszelkie ciężkie pierwiastki.

Usłyszała krzyki, które docierały skądś, milknąc w jej umyśle. Wydawały się odległe, oddzielone przestrzenią i myślą oraz wiekami ewolucji. Nie zwracała na nie uwagi, kontynuując lot i zbliżając się do centrum – źródła, początku, miejsca, w którym narodziło się światło, ciepło i życie.

Do jądra gwiazdy.

Kiedy tam dotarła, temperatura wokół niej znowu gwałtownie wzrosła – do szesnastu milionów kelwinów. O wiele więcej niż jakakolwiek żywa istota we wszechświecie kiedykolwiek była w stanie przetrwać. Czysta reakcja termojądrowa, dzika i niekontrolowana, rozsadzająca atomy, rozdzielająca czas i przestrzeń. Tutaj, w tym unoszącym się piekle, cała materia – i cała energia zostały wchłonięte i włączone w jeden niepowstrzymany proces: narodziny ognia.

Phoenix rozłożyła skrzydła i pochłonęła to wszystko.

Protony zderzyły się i gwałtownie rozpadły, wypełniając próżnię w jej wnętrzu. Wzbudziły jej gniew, pasję, radość. Nieskończony głód Phoenix.

Kilka minut później wzbila się w przestrzeń, płonąc nowo odkrytą mocą. Ból zniknął. Wróciły jej siły życiowe, jej zapał.

Znowu się roześmiała.

To moje życie – pomyślała. – Życie, które miałam wieść.

Jakiś obiekt przyciągnął jej wzrok. Małe metalowe pudełko, napędzane tachionowymi silnikami. Szybko kierowało się ku niej. Oczy Phoenix rozszerzyły się, na jej twarzy błysnął drapieżny uśmiech.

Zmieniła kurs, z zadowoleniem przyjmując nowe wyzwanie. Nie zatrzymała się, nawet nie zwolniła tempa. Nie odwróciła się ani razu, by spojrzeć na tłący się żużel, który zaledwie sześć minut temu był zdrową, błyszczącą gwiazdą.

– **PIERWSZY OFICERZE.** Co mam przed oczami?

– To transmisja z systemu D’Bari, milordzie kapitanie. Wysłana... dwanaście minut temu.

Na pokładzie imperialnego krążownika Shi’ar pierwszy oficer Eluke wpatrywał się w przerażający obraz na głównym ekranie. Kapitan Juber ruszył naprzód przez otwartą przestrzeń u podstawy trzypiętrowego mostka, by do niego dołączyć, minął unoszące się komunikaty i stacje bezpieczeństwa.

Ekran pokazywał ulicę miasta, wysokie budynki otaczające ruchliwe skrzyżowania wypełnione unieruchomionymi pojazdami. Dziesiątki, setki obywateli D’Bari – z ich wyrazistą oliwkowozieloną skórą i pociągłymi twarzami – tłoczyły się na ulicach. Wszyscy patrzyli w górę, gdy poraziło ich oślepiające światło, wypełniając niebo od jednego krańca horyzontu po drugi.

– Światło Armagedonu – wyszeptał Juber.

Mieszkańcy D’Bari spoglądali w niebo, osłaniając oczy. Ich

duże usta otwarły się z przerażenia i dezorientacji. Jeden z nich odwrócił się do kamery, szaleńczo gestykulując i wydając ostre gardłowe dźwięki.

– Mogę to przepuścić przez tłumacza... – Eluke zmarszczył brwi.

– Nie ma potrzeby – powiedział Juber.

Transmisja nagle się urwała. Na monitorze ukazał się widok słońca D’Bari, dziko drżącego i pulsującego.

– Dać mi taktycznego. – Juber zwrócił się do stacji nawigacyjnej na poziomie podłogi.

Pochylił się do przodu, opierając się o przednią barierkę. Gdy seria przerażających obrazów przesuwała się po wysokim na kilka metrów ekranie, Juber przecesał dłonią ciemne pióra okalające jego głowę i szyję. Pióra zdradzały naturę jego ludu – Shi’ar pochodzili ewolucyjnie nie od małp, ale od ptaków.

Ogromny płomień wystrzelił ze Słońca. Kamera podążyła za rozbłyskiem, kiedy mijał on trzy wewnętrzne planety, których nazwy wyświetlał komputer. Czwarty świat, niebieski i pokryty chmurami, leżał bezpośrednio przed Juberem.

– Ta planeta to D’Bari-d – powiedział Eluke. – Źródło transmisji. To fala termiczna, podążająca za światłem, które zobaczyli chwilę wcześniej.

Fala uderzyła w czwartą planetę. Niebieski świat prawie zniknął w błysku oślepiającego światła. Atmosfera i cząstki elementarne wybuchły, tworząc aureolę.

– W chwili gdy rozbłysnął płomień, atmosfera i oceany po jasnej stronie zagotowały się. Para i przegrzane powietrze wirowały

wokół planety, pochłaniając wszystko na swojej drodze. Nieliczni ludzie, którzy obudzili się po ciemnej stronie, prawdopodobnie ujrzeli spektakularną Aurorę Borealis, zanim dosięgła ich śmierć. – Głos Eluke’a załamał się. – Pozostali umarli we śnie.

– Szczęściarze – powiedział Juber. – Ustaw widok na odległość zero koma jeden roku świetlnego.

Perspektywa się zmieniała. Gwiazda D’Bari błysnęła jasno, pochłaniając wszystko w układzie. Juber zwrócił się w stronę umieszczonej wyżej stacji, pełnej holograficznych wyświetlaczy.

– Oficerze naukowy?

– Rozszerzanie się gwiazdy spowalnia. – Sonneb, oficer naukowy, błyskawicznie przesuwała hologramy. – Teraz wyraźnie widać kontrakcję w fotosferze. Ten obiekt zachowuje się jak właściwa supernowa, milordzie, ale w fantastycznie przyspieszonym tempie.

Juber zacisnął pięści. Obrazy były potworne, niemal niezrozumiałe, ale zachował kamienną twarz. Nie mógł okazywać słabości na mostku swojego statku.

– Jakież wyjaśnienie? – zapytał.

– Nie mam żadnego, milordzie – powiedział Eluke. – To była średnia, normalna gwiazda typu G. Można było się spodziewać pewnej liczby rozbłysków, ale to...

– Sprawdziłem poranne odczyty – powiedziała oficer naukowy. – Nie zarejestrowaliśmy żadnych anomalii w strukturze gwiazdy na poziomie atomowym ani subatomowym. To nie powinno, nie mogło się zdarzyć.

Juber wpatrywał się w gwiazdę. Wypełniła ekran, drgając

i pulsując jak umierające serce.

– Nie samo z siebie – mruknął.

– Milordzie!

Juber odwrócił się gwałtownie. Nigdy wcześniej nie słyszał takiego przerażenia w głosie Eluke’a.

– Czujniki rejestrują teraz zakłócenie pola. – Eluke szybko przesunął ręce między przełącznikami na swojej stacji. – Oddala się od rdzenia gwiazdy. Ruchy w górę i w dół widma... na poziomach tak ekstremalnych, że nasze instrumenty nie są w stanie za nim nadążyć...

– To jakaś forma życia – powiedział oficer naukowy.

Juber zerknął na ekran. Gwiazda kurczyła się, jej ognie dogasały, a w jej centrum zobaczył... coś... Gdy Eluke ruszył, aby do niego dołączyć, Juber usłyszał, jak pierwszy oficer gwałtownie wciąga powietrze.

– Pełne powiększenie – powiedział Juber. – Tam!

Na ekranie szybowała w ich kierunku młoda kobieta o rudawych włosach z szeroko rozłożonymi rękami. W jej oczach malowała się okrutna, straszliwa ekstaza. Gwiazda za nią skurczyła się i umarła, resztki jej energii wniknęły w masywną wiązkę energii w pozostawionej przez kobietę smudze.

– To jest humanoidalne – powiedział Eluke – ale cóż to za stworzenie?

Wiem – pomyślał Juber. – *Choć wolałbym nie wiedzieć.*

– Phoenix – powiedział, oddychając ciężko.

– To legenda. – odparł Eluke.

– Legenda, której nasz lud bał się od czasu, kiedy pierwszy raz

rozpostarł skrzydła i opuścił drzewa. – Juber znów nerwowo przeczesał dłonią swój grzebień z piór. – Żaden sąd nie wzbudza większego lęku niż sąd Phoenix.

– Niech Sharra i K'ythri mają nas w opiece – wyszeptał Eluke.

Juber odwrócił się. Cała załoga obserwowała go z położonych wyżej stacji i stanowiska bezpieczeństwa na poziomie podłogi.

– Włączyć stacje bojowe – rozkazał. – Atakujemy.

Eluke położył dłoń na ramieniu.

– Czy to rozsądne, milordzie?

– To moralny obowiązek. – Juber spojrział na ekran.

– D'Bari było sojusznikiem Imperium. Pięć miliardów ludzi, eksterminowanych przez to... coś. Muszą zostać pomszczeni!

– Słyszałeś kapitana. – Eluke wypuścił ramię Jubera i ruszył przez mostek. – Stacje bojowe!

Obiekt na ekranie zatrzymał się w przestrzeni. I uśmiechnął.

– Oficerze naukowy – powiedział Juber – czy mam rację, zakładając, że ta bestia czerpie energię życiową z pochłoniętej przez nią gwiazdy?

– Odczyty to potwierdzają, sir.

– W takim wypadku powstrzymanie tego jest tym bardziej konieczne. Teraz, zanim zniszczy więcej światów. Zanim jej moc stanie się tak wielka, że żadna siła we wszechświecie nie zdoła się jej przeciwstawić.

– Kierować się na bestię – zapowiedział Eluke.

Kobieta rozłożyła ramiona, ogniste skrzydła podążyły za jej ruchami. Energia Phoenix zdawała się wypalać przestrzeń wokół niej, spowijając ją w płomienie.

– Główne baterie – rozkazał Juber. – Ognia!

Pocisk plazmowy wystrzelił z potężnego krążownika. Phoenix z łatwością uchyliła się przed piorunem, niemal z prędkością światła wykonując pętlę wokół szlaku czerwonej energii.

– Znów się zbliża – powiedział Eluke.

Phoenix rozbłysnęła jasno, zataczając szeroki łuk w otwartej przestrzeni. Gdy odwróciła się, by skierować się na krążownik, na jej twarzy pojawił się grymas wściekłości.

– Osłony! – Rozkazał Juber.

Phoenix wystrzeliła do przodu, nabierając prędkości. Uderzyła w jedną z gondoli napędu statku i przecięła ją, wywołując deszcz cząsteczek tachionów. Skrzydło gondoli zaskrzypiało, zaiskrzyło i pękło.

Na mostku wybuchł chaos. Napłynęły raporty o stratach: liczba ofiar, polecenia naprawy, odczyty energii – natłok nakładających się głosów. Eluke zwrócił się do Jubera:

– Moc tachionów spadła do czterdziestu procent – powiedział. – Broni o połowę.

– Osłony?

– Zawodzą – odparł Eluke zwięźle. – Mamy szczęście, że żyjemy, milordzie. Musimy uciekać, dopóki możemy!

– Czy naprawdę uważasz, że możemy prześcignąć naszego wroga, Eluke? – zapytał Juber. – Albo że pozwoli nam odejść?

Obaj spojrzeli na ekran. Bestia rozjarzyła się jaśniej niż kiedykolwiek, płonąc na tle gwiazd. Zatoczyła łuk, skręcając ponownie w kierunku krążownika Shi'ar.

– Niezależnie od tego, jaki los nas czeka, przyjacielu,

przyjmiemy go z honorem. – Juber odwrócił się do stacji łączności. – Przygotuj się do wysłania wiadomości do Cesarzowej.

Ogromny wybuch wstrząsnął mostkiem. Juber przytrzymał się poręczy, by nie upaść. Ekran wypełnił się teraz straszliwymi ognistymi rozbłyskami energii Phoenix.

– Ogromne straty – poinformował Eluke. – Sekcja inżynieryjna wystawiona na działanie próżni. Straciliśmy zdolność hiperprzestrzeni.

– Rejestrowanie przekazów na twoje polecenie, milordzie – zameldował oficer komunikacyjny. Juber nacisnął guzik na poręczy przed sobą, włączając nagrywanie.

– Wasza Cesarska Mość – powiedział, wskazując na ekran przed sobą. – Mam nadzieję, że ta wiadomość do ciebie dotrze. Jesteśmy pobici, bez broni, bez mocy. Załoga w większości martwa. Ze statku został tylko poszarpany, wypatroszony kadłub.

– Bestia się zbliża – powiedział Eluke.

– Strzeż się, moja cesarzowo – kontynuował Juber. – Strzeż się Phoenix.

Jak na zawołanie, drapieżny ptak wypełnił ekran. Jego płomień rozciągał się teraz na miliony kilometrów – manifestując siłę zdolną do gaszenia całych gwiazd, dzierżoną przez jedną młodą kobietę.

– Wyślij wiadomość – powiedział Juber. – Teraz!

– Juber, mój kapitanie. Mój przyjacielu. – Eluke mocno uściskał dłoń Juber. – Myślę, że to już koniec.

Juber odwzajemnił uścisk dłoni Eluke'a. Wpatrywał się w płomień i w ich głębi ujrzał ruiny dumnej cywilizacji Shi'ar. Pożogę, która mogłaby zniszczyć imperium, a może nawet

pochłonąć sam wszechświat.

Cesarzowo Lilandro – pomyślał. – Jestem twoim sługą, teraz i na zawsze. Niech K'ythri sprawi, byś otrzymała moje ostrzeżenie.

Phoenix rozjarzyła się raz i drugi, a myśli Jubera, jego modlitwy i dumny okręt wojenny – wszystko w mgnieniu oka rozpadło się na atomy.

23



– **DELIKATNIE...** delikatnie. Ach, nie!

Drukowana płytką spadła na kuchenną podłogę. Nightcrawler wyrzucił z siebie stek niemieckich przekleństw, a następnie opuścił lutownicę i zwrócił się do Colossusa.

– Peter. Ta rzecz jest wystarczająco trudna do złożenia nawet bez twojej niezdarności.

– Przepraszam. – Colossus uniósł ręce, które były ogromne nawet w jego postaci z krwi i kości. – Myślę, że chyba nie jestem stworzony do tak delikatnej pracy.

Wolverine siedział okrakiem na składanym krześle po drugiej stronie kuchni, kiwając głową w przód i w tył. *To beznadziejne – myślał. Nie ma mowy, żebyśmy kiedykolwiek pokonali Jeannie. Nawet jeśli wciąż jest na tej cholernej planecie.*

– Tutaj, braciszku. – Storm podała tablet Colossusowi.

– Przeczytałeś nam wskazówki dr MacTaggert. Ja przytrzymam te obwody elektryczne. – Zamienili się miejscami, pochylając nad stołem kuchennym. Na blacie pełno było porzucanych narzędzi, zacisków, nakrętek i śrub oraz obwodów wyciągniętych

z prototypowej wersji komputera mainframe Cerebro.

– Może Cyclops mógłby nam pomóc – zaproponował Colossus.

– Wie o obwodach pamięci tyle samo, co ty czy ja – powiedziała Storm. – Poza tym może mieć wstrząs mózgu. Pozwólmy mu odpocząć.

Logan przestał przysłuchiwać się ich rozmowie. Wciąż powtarzał w myślach trzy ujęcia – trzy wspomnienia twarzy Jean Grey, kolejno, jak pokaz slajdów. Pierwsze z nich pochodziło z chwili, kiedy wpadł do sanktuarium Hellfire Clubu. To była Jean w kostiumie Czarnej Królowej, gniewnym spojrzeniem rzucająca mu wyzwanie. W jednej chwili rozpoznał w niej furję, nad którą ledwo panowała. Zobaczył szkody wyrządzone przez manipulacje Wyngarde'a.

Drugie wspomnienie dotyczyło tego, co stało się kilka minut później. Usłyszał kliknięcie obroży Cyclopsa i Logan zrozumiał, że to Jean uwolniła Scotta za pomocą telekinezy. Utkwiła wzrok w Wolverine, pozwalając mu na załapanie jej planu – podtrzymywanie walki, aby odwrócić uwagę Wewnętrznego Kręgu, podczas gdy Cyclops uwalniał innych.

Jej wyraz twarzy był... dziwny. Nuta uśmiechu, odrobina zadowolenia z oszustwa. Ale też iskierka gniewu, płomienia, który jasno w niej płonął. Znak, że wszystko poszło źle, że najgorsze dopiero przed nimi.

Trzecie wspomnienie sprawiło, że się wzdrygnął. Przypomnił sobie Jean unoszącą się nad Central Parkiem w strugach deszczu. W ponurym i dzikim kostiumie, z twarzą niczym maska wykrzywioną wściekłością, pogardą, grymasem całkowitego

odrzućenia. Machnięciem ręki zrzuciła go z nieba.

Wtedy wiedział już, bez cienia wątpliwości, że Jean zniknęła. W jej twarzy nie było nic ludzkiego, nie zostało w niej nic z kobiety, którą znał. Kobiety, którą kochał.

Strzepnęła nas jak muchy. Swoich przyjaciół, kolegów z drużyny – i nieprzypadkowo, jeden z najpotężniejszych zespołów bohaterów na tym cholernym świecie. – Pokręcił głową na to wspomnienie. – Miałeś rację, Chuck. Tak czy inaczej, niech cię szlag. Dlaczego musisz mieć rację?

Trzy dni wcześniej

– **NIE DZWONIE**, żeby prawić ci komplementy – powiedział profesor Xavier. – Mam misję dla Wolverine’a.

Twarz Xaviera patrzyła z ekranu małego telewizora.

Logan opróżnił swoje piwo i zgniótł kubek o bar w podziemnej jaskini Angela.

– Wchodzę w to.

– Mam zostać mężem cesarzowej – oznajmił Xavier. – Przygotowując się do tej zaszczytnej funkcji, zgłębiłem mitologię i tradycje Shi’ar.

– To musiało być cholernie nudne.

– Właściwie jest to łatwiejsze, niż mogłoby ci się wydawać na... – Xavier poklepał swą łysą głowę. – Ale nieważne. Jedna z legend ludu Shi’ar szczególnie zapadła mi w pamięć. Ich najwcześniejsze zapiski mówią o Phoenix... niepowstrzymanej sile,

znanej jako „koniec wszystkiego, co istnieje”.

– Nie podoba mi się kierunek, w jakim to zmierza. – Logan syknął krótko.

– Uwierz, że mnie również nie. – Bolesny grymas przemknął przez zazwyczaj kamienną twarz Xaviera. – Byłem gotów zlekceważyć tę historię jako zwykły zbieg okoliczności, dopóki nie otrzymałem nowych danych od Moiry. Jej analizy pokazują, że moc Jean rośnie wzdłuż geometrycznej krzywej, której koniec znajduje się poza zasięgiem wzroku.

Wolverine skrzywił się. Bardziej niż czegokolwiek na świecie pragnął kolejnego piwa. Ale czuł się przyrośnięty do barowego stołka, niezdolny, by się podnieść.

– Jak powiedziałem – ciągnął Xavier – wrócę na Ziemię przy najbliższej okazji. Wierzę, że w tym czasie zdołam ocenić sytuację Jean i przy odrobinie szczęścia pomóc jej kontrolować szybko wzrastającą moc. Ale nie mogę wyruszyć przed koronacją Lilandry. Wyniki badań Moiry martwią mnie, bo... cóż, mogę przybyć za późno.

– Chuck. – Gardło Wolverine’a było suche. – Co próbujesz mi powiedzieć?

– Że Jean Grey, moja wybitna uczennica i młoda kobieta, którą kocham jak własną córkę, jest niebezpieczna. Bardzo, bardzo niebezpieczna.

– Rozumiem. Dam znać Cyke’owi...

– Cyclops kocha Jean miłością głęboką i bezkompromisową. Nie mógłby sobie z tym poradzić. – Oczy Xaviera spojrzały na niego z ekranu. – Logan, nie zawsze było nam po drodze...

– Delikatnie mówiąc.

– ...ale ja ci ufam.

Xavier przerwał, pozwalając, by jego słowa zawisły w powietrzu.

– Ufam, że zrobisz to, co musi zostać zrobione.

Ciarki przeszły Loganowi po plecach. *Charlie* – pomyślał – *ty zimny draniu. Niech cię.* – Jego pazury wysunęły się z trzaskiem, po czym z powrotem schowały. – *Niech cię diabli wezmą na zawsze za to, że mnie tym obarczyłeś.*

– Wiem. – Głos Xaviera lekko się załamał. – Wiem, co to dla ciebie znaczy, i wzdrygam się na myśl, co musisz o mnie myśleć w tej chwili. Ale to jest znacznie ważniejsze niż ty czy ja, a nawet cały zespół. – Opanował emocje. – „Koniec wszystkiego, co istnieje”.

Logan nie odpowiedział. Tkwił na stołku całkowicie nieruchomo, poddając się fali wściekłości i frustracji. Zadrżał tylko na wspomnienie okrutnego, koszmarnego treningu, któremu został poddany w przeszłości. Podobnie jak życie z X-Menami, to doświadczenie też było jego częścią. Częścią jego tożsamości.

Czy mu się to podoba, czy nie, na zawsze pozostanie Bronią X. Kiedy to sobie uświadomił, wstał.

– Chuck – powiedział – mam wielką nadzieję, że się mylisz.

Wyszedł, nie czekając na odpowiedź Xaviera.

PRZEZ OSTATNIE trzy dni żył tylko nadzieją, że nie będzie musiał robić tego, o czym nie był w stanie choćby pomyśleć. Nawet gdy Jean uległa czarowi Hellfire Clubu, jakaś cząstka Logana

wierzyła, że jego przyjaciółka w końcu znajdzie drogę powrotną.

Kolejny sen skończył się i zniknął – pomyślał.

– Ta instrukcja to jakiś bełkot – zaprotestował Colossus. – Czy próbowaliśmy wezwać eksperta?

– Hank McCoy jest niedostępny – odpowiedziała Storm.

Drzwi zaskrzypiały. Cyclops wszedł do kuchni w cywilnym ubraniu i okularach przeciwsłonecznych z kwarcu rubinowego. Trzymał dłoń przy obandażowanej głowie, zataczając się, gdy odsuwał krzesło.

– Wyglądasz jak siedem nieszczęść, szefie – powiedział Wolverine.

– Scott? – Nightcrawler podszedł do niego. – Co się dzieje?

– Czuję ją – powiedział Cyclops. – Jakiś... mały ślad naszego psionicznego połączenia jest nadal aktywny.

– I? – Wolverine zerwał się na równe nogi.

– Jest daleko w kosmosie. Ale wraca na Ziemię... i jest głodna. – Cyclops spojrział na niego pustym wzrokiem zza swych czerwonych okularów. – Znowu.

24



STAŁA na trawniku dużego zadbanego domu w Annandale-on-Hudson, sennym akademickim miasteczku osiemdziesiąt kilometrów na północny zachód od rezydencji X-Menów w Westchester. Ściągnęła ją tu potrzeba, której nie potrafiła nazwać, pragnienie całkowicie odmienne od głodu, który kazał jej wznieść się do gwiazd.

Dom, w którym ja – w którym ona – się urodziła.

Mroczna Phoenix rozluźniła zaciśnięte dłonie i płomień wokół niej zgasł. Noc znów stała się ciemna, rozświetlało ją tylko kilka odległych latarni ulicznych. Zerknęła na garaż i ruszyła frontowymi schodami.

Drzwi były otwarte, tak jak oczekiwała.

Kiedy weszła do ciemnego salonu, poczuła zalewającą ją falę bolesnych wrażeń.

Półki z książkami, prezentujące naukowy dorobek ojca, profesora w Bard College. Wszędzie wokół rośliny: krokusy, zioła i kaktusy, sadzonki w doniczkach, oraz wiekowe miniaturowe drzewo bonsai w osobnym terrarium. Wszystkie hodowane

i pielęgnowane przez matkę ogrodniczkę.

W powietrzu unosił się delikatny zapach kurczaka z czosnkiem. Ulubionej potrawy jej siostry.

Pewnie Sara przyjechała w odwiedziny – pomyślała.

Nic się nie zmieniło. Wszystko wydawało się znajome. Ale wspomnienia były odległe, jakby należały do kogoś innego.

Tak jak na wahadłowcu. Kiedy ona... ja... uzyskałam dostęp do wiedzy i umiejętności doktora Corbeau. To samo poczucie wtargnięcia, robienia czegoś niewłaściwego. Ale te wspomnienia nie należą do kogoś obcego. One są moje.

Czyż nie?

Podeszła do stołu i podniosła zdjęcie w ramce. Młoda Jean Grey w jasnozielonej sukience mini – jej drugi kostium Marvel Girl. Trzyma maskę z boku, wystawiając język do obiektywu.

Jedna fotka – pomyślała – stojąca gdzieś na stole. Wiedzieli o moim życiu z X-Menami, ale nigdy go nie zaakceptowali.

Na podłodze obok sofy leżał stos kartonów. Greyowie musieli ostatnio robić porządki w domu. Ukłękła i zaczęła grzebać w pudle stojącym na wierzchu. Dokumenty, notatniki... wyblakłe wydrukowane zdjęcie Sary z przyjęcia sprzed wielu lat. Pamiątki dwóch młodych kobiet ze studenckich czasów.

Wyciągnęła notatnik z odręcznym pismem na okładce.

J.G. – DRUGI ROK (JEŚLI MI SIĘ UDA!)

Na pierwszej stronie wpis ręką Jean:

Rozmowa w Pendant Publishing. Sobota, godzina piętnasta, Chancellor's Hall. Nie spieprz tego, dziewczyno!

Przerzuciła kartki. Kolejny wpis dotyczył przygotowania

próbki, kiedy starała się o pracę reporterki. Na następnej stronie pojawiła się wzmianka na temat spotkania w Goldman Sachs. Była zamasyście przekreślona długopisem. Jeszcze dalej znalazła pełne nadziei zapiski na temat czekającej ją rozmowy kwalifikacyjnej przez Skype'a, w sprawie stażu w organizacji Lekarze Bez Granic.

Nie udało mi się z nimi porozmawiać – przypomniała sobie. – To był ten weekend, kiedy pierwszy raz walczyliśmy z Mesmero.

Zamknęła notatnik.

Jean Grey – pomyślała Phoenix. – Mogłaś stać się tyloma osobami, wieść tak wiele żywotów, ale zawsze byłaś zbyt zajęta. Walczyłaś ze złymi mutantami, włączyłaś się za Scottem Summersem po całym świecie. Żyłaś, trenowałaś i walczyłaś u boku X-Menów.

Zawsze zbyt zajęta umieraniem.

– Jean?

Odwróciła się gwałtownie, potrząsając płomienistymi włosami. Jej ojciec, John Grey, stał na podeście w szlafroku i kapciach. Gdy zobaczył twarz córki, pospieszył jej na spotkanie.

– Jean! Mój Boże!

Wzdrygnęła się. *Nie – pomyślała. Nie, proszę, o nie!*

– Od tygodni nie dawałaś znaku życia. Gdzie byłaś?

Cofnęła się, niemal potykając o stolik do kawy. *Jego myśli – moja moc jest teraz zbyt wielka, zbyt czuła. Czytam w nim jak w otwartej książce!*

Po chwili w salonie pojawiła się reszta rodziny. Ich myśli brzęczały w powietrzu. Jej matka, Elaine, niższa, niż ją zapamiętała, w szlafroku i okularach. Sara, nieco starsza wersja

Jean, z tymi samymi szmaragdowymi oczami.

– Łał – powiedziała Sara, lustrując z góry na dół kostium Phoenix. – Mama nie żartowała. Rzeczywiście się zmieniłaś.

– Dobrze cię widzieć, kochanie – powiedziała matka niepewnym głosem.

Phoenix odwróciła się.

Tak samo jest ze wszystkimi – pomyślała. – Nie mogę przestać czytać w ich umysłach. Nic ma już żadnej tajemnicy, nic świętego.

– Co to za... strój? – Sara wyciągnęła rękę, dotykając rękawa Jean. – Czy to prawda? Jesteś jakąś superbohaterką?

– Wyglądasz tak chudo, kochanie – powiedziała matka. – Czy odżywasz się właściwie?

– Nic mi nie jest. Czuję się dobrze – odparła Phoenix, a jej głos odbił się echem od ścian.

Nie czuję się dobrze. Wyjdźcie mi wszyscy z głowy. Natychmiast!

Nie powinnam się tu pojawiać. Czuję, że mama mnie kocha, czuję jej troskę, ale pod tym uczuciem tkwi lęk przede mną – ukryty tak głęboko, że prawdopodobnie nawet sama nie wie o jego istnieniu.

– Jest bardzo późno, Jean – powiedział ojciec, włączając światło. – Czyżbyś miała jakieś kłopoty?

Tata też się martwi. Denerwuje się tak samo jak mama. A Sara jest przerażona. Ma dwoje dzieci – teraz zastanawia się, czy wyrosną na takich mutantów jak ja.

Spojrzała na notatnik w dłoni. Relikt jej przeszłości, której częścią był ten dom i ci ludzie. Ze swym małostkowym życiem

i strachem przed nieznanym. Przed bogami i *homo superior*, który ich zastąpi.

Z jej palców wzniósł się płomień. Notatnik zajął się i spłonął na popiół, opadając jak śnieg na dywan.

– Boicie się mnie – powiedziała. – Wszyscy. Słusznie.

Podniosła rękę, kierując energię Phoenix w stronę wiszącej doniczki z paprocią. Przez moment nic nie robiła, delektując się napięciem w pokoju. Następnie za pomocą telekinezy zamieniła roślinę w szkło.

John Grey ruszył ku niej. Wściekłość i duma walczyły w nim ze strachem. Czuła to w powietrzu, miał to wypisane na twarzy.

– Kim jesteś? – zapytał. – A raczej czym jesteś?

– Jestem tym, kim jestem. – Jego gniew rozbrzmiewał w jej umyśle, wzmagając jej własny. – Byłam twoją córką.

– Już nią nie jesteś – odpowiedział. – Odejdź. Opuść to miejsce.

– Nie rozmawiaj ze mną tym tonem, stary człowieku.

– Co tam się dzieje? – zapytała Elaine Grey.

Phoenix obróciła się. Matka i siostra Jean stały pod oknem z tyłu salonu, wpatrując się w ciemne niebo...

...które nie było już ciemne. Wszystko wypełniała gęsta biała mgła, rozświetlona pojedynczą lampą ogrodową.

Nic innego nie było widać.

– Skąd się wzięła ta mgła? – spytała Sara.

Phoenix zacisnęła pięści i rozbłysnęła jasno.

– Wiem – powiedziała.

Po raz ostatni spojrzała na tych ludzi, których kiedyś tak dobrze znała. Samolubna młoda kobieta, przestraszona starsza i ta mała

człekokształtna, która uważała się za obrońcę swojej rodziny. Byli teraz niczym dla istoty zdolnej do międzygwiazdnych podróży. Niczym.

Uniosła się.

Zaledwie zdążyła pomyśleć, a okno się otworzyło. Wyleciała na zewnątrz. Natychmiast otoczyła ją mgła, mocno ją oblepiając.

Miałam rację – pomyślała. – To nie jest naturalne. Pora roku, współrzędne geograficzne, nic nie pasuje do tego rodzaju zjawiska atmosferycznego. Pozostaje więc tylko jedna możliwość.

Storm.

Phoenix wzbiła się w górę ponad dziedziniec, tuman mgły podążał za każdym jej ruchem. Czuła w pobliżu X-Menów, ich myśli brzęczały jak komary w powietrzu. *Kulą się w cieniu – pomyślała. – Są przerażeni konfrontacją ze mną. Tak jak...*

– Niespodzianka, *Liebchen*. – Nightcrawler pojawił się w kłębie siarki. Zanim Phoenix zdążyła zareagować, wylądował na jej plecach i zacisnął na jej czole metalową opaskę. – Przepraszam za to...

Obróciła się w powietrzu i odepchnęła go. Wpadł w mgłę, znikając z ledwie słyszalnym *bamf*.

Pewnie teleportował się na dół – pomyślała, ale nie mogła zobaczyć ziemi przez gęstą mgłę. Zleciała nisko, szukając go. Pojawiło się kilka drzew... równe rabatki w matczynym ogrodzie. Metalowy stół ogrodowy otoczony krzesłami...

Przypomniała sobie o metalowym meblu chwilę za późno. Fala prądu przebiła jej czaszkę, przeszywając mózg. Wrzasnęła, rzucając się w powietrzu. Zaczęła majstrować przy opasce, ale... w jakiś

niemożliwy sposób – nadal mocno trzymała się jej głowy.

Jestem Mroczną Phoenix – pomyślała. – Pochłonęłam gwiazdy. Jakim cudem... – Zachwiała się, tracąc wątek. – Mój umysł płonie – nie jestem w stanie się skupić. Nie mogę użyć mocy!

Stalowe palce zacisnęły się wokół jej kostki, ściągając ją w kierunku ziemi.

– Nie walcz z nami, Jean – powiedział Colossus. Stał na metalowym stole, trzymając ją.

Jeszcze raz przeszył ją prąd. Znowu krzyknęła.

– To zakłócacz pamięci. – Dobiegł z dołu głos Nightcrawlera. – Sprawia jej ból!

Colossus nie wypuszczał jej nogi z uścisku.

– Im bardziej się zmagasz, tym bardziej dotkliwy się staje – powiedział.

– Ból? – Warknęła. – Pokażę ci, czym jest ból, chłopcze.

Podskoczyła w górę, zaciskając zęby. Colossus nadal ją trzymał, a ona podniosła go ze stołu. Z wysiłkiem zgięła kolano i wyskoczyła w powietrze, błyskawicznie prostując nogę. Colossus rozluźnił ucisk, opadł bezwładnie i zniknął.

Ta cholerna mgła – pomyślała. Przywarła do niej, ograniczając widoczność. – Wiedźma pogodowa wciąż ukrywa się przed moim gniewem.

Phoenix wyciągnęła rękę, walcząc z bólem. Skoncentrowała się na szczególnym wzorcu myślowym, skupisku impulsów elektrycznych, którego nie mogą ukryć żadne anomalie pogodowe. Przedzierała się nieubłaganie przez mgłę, dopóki nie zamajaczyła w niej wysoka, majestatyczna postać. Storm unosiła się

w powietrzu, rozpościerając ramiona. Miała zmrużone powieki i zaciśnięte zęby, a na jej palcach igrała moc żywiołów.

– Nie ustąpisz – oznajmiła Storm, zwracając puste białe oczy prosto ku Jean. – Nie bardziej niż ja, gdybym była na twoim miejscu.

– Byłaś mi bliższa niż własna siostra, Ororo – powiedziała Phoenix. – Ale już raz powaliłam cię na ziemię. I zrobię to ponownie.

– Nie chcę tego, Jean. – Storm podniosła rękę, wywołując podmuch wichury. – Żadna z nas tego nie chce.

Phoenix znów krzyknęła. Wzdrygnęła się przed wiatrem, drapiąc zakłócacz. Mocno przywarł do jej czoła dzięki nieznaney kombinacji magnetyzmu i kleju. Wykrzesła z obręczy pojedynczą iskłę.

Spalam to – uświadomiła sobie. – *Jeszcze kilka minut...*

– W imię miłości, którą dzieliłyśmy – powiedziała Storm – pozwól, żebyśmy ci pomogli.

Nie – pomyślała Phoenix. – *Już nie. Dość tego!*

Wystrzeliła mentalny pocisk, sprawiając, że panująca nad pogodą mutantka zawirowała w powietrzu. Storm spadła, wymachując rękami, udało jej się jednak przywołać dość wiatru, by złagodzić upadek. Oszołomiona wylądowała na rabatce połamanych tulipanów.

Mgła zaczęła się przerzedzać, światło na podwórzu przeszywało ciemność przedświtu. Phoenix zeszła niżej, unosząc się metr nad ziemią. Trzy umysły pozostały świadome i ukrywały się jak szczury w cieniach wokół ogrodu. Pozostali X-Meni...

...poczekaj. Czy został jeszcze jakiś? Jakaś czająca się obecność, która ukrywała swoje myśli?

Cholerny zakłócacz – pomyślała. – Muszę się skoncentrować – przebić zasłonę. Kim jesteś? Kto tam jest?

Wolverine rzucił się na nią, wytrącając z równowagi. Chwycił ją za ramiona i rzucił na ziemię. Wpadła w błoto, krzycząc, gdy jego dłoń zacisnęła się na jej gardle.

– Wszyscy inni – warknął – się powstrzymują. – Jego palce były jak stalowe kable na jej szyi. – Myślą, że wciąż jesteś Jean, próbują cię złapać. Zamknąć cię w klatce, żeby mogli ci pomóc.

Podniósł drugą rękę, uwalniając śmiercionośne pazury.

– To się nie uda – powiedział. – Już nigdy więcej.

Czuła jego cierpienie, niczym rój pszczół w powietrzu. *On próbuje siebie przekonać – uświadomiła sobie. – Przygotowuje się do zrobienia tego, co musi.*

– Muszę to zakończyć – powiedział. – Wybacz mi, kochanie.

Mój Boże – pomyślała – co ja mu zrobiłam? Na pokładzie wahadłowca, gdy nalegałam, żeby pozwolił mi umrzeć. Jakim ciężarem obarczyłam tego człowieka?

Logan trzymał ją mocno. Głowa pękała jej z bólu. Ogarnęło ją straszne znużenie. Moc – Siła Phoenix – wydawała się wymykać, znikać poza krawędzią jej świadomości.

– Zrób to – sapnęła.

Patrzył na nią szeroko otwartymi oczami.

– Jesteś jedyną osobą, która... która to rozumie – powiedziała. – Ty zawsze...

Wciąż się wahał. Pazury zawieszono w powietrzu, między

życiem i śmiercią.

Za późno – powiedziała Phoenix, krzyżąc w jej wnętrzu. – *Teraz już za późno. Za późno na wszystko.*

Zakłócacz pamięci zaiskrzył i zajął się ogniem. Phoenix wyciągnęła rękę i wystrzeliła w Wolverine'a piorun psionicznej energii, która w jednej chwili poraziła jego impulsy nerwowe. Rozluźnił uścisk i poleciał w powietrze.

Niewiele myśląc, starła zakłócacz w pył. Odrzuciła resztki, metalowe odłamki spadły na ziemię, na to, co zostało z ogrodu matki. Phoenix kipiała wściekłością. *Wystarczy. Dość tego!*

Wyczuła, że w cieniu skrada się w jej stronę Nightcrawler. Zanim zdążył się teleportować, uspiła go jedną myślą.

Pozostał ostatni przeciwnik. Stał na drugim końcu podwórka, w pobliżu drewnianego ogrodzenia. Patrzył na nią przez błyszczące szkarłatne okulary.

– Jean – powiedział Cyclops. – Musisz to powstrzymać.

Zaczekaj. Zatrzymała się, przechylając głowę. Czy był tam ktoś jeszcze? Wciąż wyczuwała inną obecność... gdzieś w pobliżu...

Wbrew zdrowemu rozsądkowi Cyclops podszedł do niej. *Czy on jest samobójcą?*

– Mogłabyś mnie zdmuchnąć w każdej chwili – przyznał. – Ale wysłuchaj mnie.

– Wysłuchać cię? Nie, Scott. Czas to zakończyć.

– Więc mnie zabij. – Wskazał na ciała Storm i Wolverine'a leżące nieruchomo na ziemi. – Nie mogę cię powstrzymać... Nawet nie będę próbował. Zabij mnie, Phoenix. Jeśli potrafisz.

Zawahała się. |Czytała w jego myślach jak w otwartej książce i wiedziała, że każde słowo, które wypowiedział, było szczere. To był jego ostatni gambit – ale zarazem naprawdę to wcale nie był gambit.

– Ale jeśli nie potrafisz... – zrobił kolejny krok w jej stronę – ...to zadaj sobie pytanie dlaczego. Udowodniłaś, że we wszechświecie nie ma siły, która może ci się przeciwstawić. X-Meni walczyli z tobą, stawili ci czoła, sprawili ból. A jednak nadal żyjemy. Dlaczego?

– Jesteście... – Odwróciła wzrok. – Nic dla mnie nie znaczą.

– Nie. Myślę, że to coś innego. – Rozłożył ramiona. – Jesteś Mroczną Phoenix, cokolwiek to znaczy. Czymkolwiek jednak się stałaś, jesteś także Jean Grey. Bez względu na to, jak bardzo będziesz się starać, nie możesz wyegzorcyzmować tej części siebie.

– Nie – przyznała.

– Nie możesz nas zabić, ponieważ nas kochasz. A my kochamy ciebie.

Znów ta słabość. *Nie* – pomyślała. – *Nie teraz. Nie teraz! Jestem tak blisko... tak blisko uwolnienia się od tego wszystkiego...*

– Phoenix nie wie, co to miłość – oznajmiła.

Cyclops uśmiechnął się.

– Nie wiesz, co to miłość? – Podszedł jeszcze bliżej. – Z miłości do X-Menów poświęciłaś się na wahadłowcu. Prawie umarłaś ponownie, walcząc z Magneto. Wracałaś znad krawędzi raz po raz. Dlaczego?

Nie z miłości – pomyślała. – *Nie, nigdy. Nigdy!*

– Nie z miłości? – Wyciągnął rękę i dotknął jej twarzy. – Jean,

ty jesteś miłością.

Czuła, jak łzy napływają jej do oczu. Dotknęła jego dłoni i przycisnęła ją do policzka.

– Nie zaprzeczaj. Nie zaprzeczaj temu – kontynuował Scott. – Nie zaprzeczaj wszystkiemu, czym jesteś... życiu, które sobie stworzyłaś.

Odsunęła się, nie mogąc znieść emocjonalnego napięcia.

– Dręczy mnie głód, Scott. – Jej głos był niski, ponury. – Głód radości, zachwytu poza ludzkim rozumieniem. Ta potrzeba... również jest częścią mnie.

– Wiem – odparł drżącym głosem. – Ja... nie rozumiałem tego wcześniej. I szczerze mówiąc, nie jestem pewien, jak sobie z tym radzić. – Roześmiał się nerwowo. – Ale chcę spróbować.

– To mnie pożera – wyszeptała.

– Nie musi tak być. – Złapał ją za rękę i odwrócił do siebie, tak że stanęli twarzą w twarz. – Pozwól mi sobie pomóc.

Wściekłość i głód osłabły. Czuła się pozbawiona sił, wyczerpana. Wyrzucona jak zwłoki na jakimś odległym brzegu.

– Chciałabym...

Przeszył ją ból. Bez ostrzeżenia, nie pozostawiając czasu na obronę. To był potężny, miażdżący atak na każdą komórkę jej ciała.

Nie – pomyślała słabo – *nie ciała*.

Umysłu.

Mdlejąc, poczuła jeszcze, jak Cyclops chwytą ją w ramiona. Przyćmionym bólem wzrokiem dostrzegła mężczyznę na wózku inwalidzkim, który jechał szybko w jej kierunku, pozostawiając za sobą zgniecione kwiaty. Jego myśli pozostawały niedostępne dla

mocy Jean. Jedynymi emocjami, jakie do niej dotarły, gdy walczyła o zachowanie przytomności, były szok i przerażenie Scotta Summersa.

– Profesor Xavier? – zapytał zdumiony.

25



CYCLOPS BYŁ tak oszołomiony, że prawie upuścił Jean. Profesor Xavier podjechał bliżej, nieubłagany i niepowstrzymany, z ponurym spojrzeniem.

– Profesorze – powtórzył Scott. – Co pan zrobił?

– To, co musiałem – powiedział Xavier.

Jego ton – pomyślał Cyclops – jest tak zimny. Co mu się stało? Czy podczas tylu miesięcy w kosmosie... coś go odmieniło?

Xavier zatrzymał się mniej niż metr od Summersa. Patrzyli na siebie w milczeniu, w cieniu rodzinnego domu Greyów. Powietrze było chłodne. Ciemność przecinała tylko lampa ogrodowa, rzucając cienie na zgniecione łądygi.

– Nic się nie zmieniło – powiedział Xavier. Cyclops zapomniał, jak wkurzające może być czytanie przez profesora w jego myślach. – Przynajmniej jeśli chodzi o mnie.

Jean wisiała bezwładnie na rękach Scotta.

– Niech mi pan powie, co pan zrobił! – zażądał.

– Zwykły strzał telepatyczny – odpowiedział Xavier – kiedy była rozproszona.

– Nie rozpraszałem jej. Docierałem do niej.

– To niemożliwe.

Cyclopsowi zakręciło się w głowie. Moira MacTaggart zasugerowała, że była w kontakcie z profesorem, ale...

– Kiedy przybył pan na Ziemię?

– Dopiero przed chwilą. Nie było czasu, żeby cię ostrzec. – Xavier wpatrywał się badawczym wzrokiem w Jean. – Odejdź na bok.

– Nie!

Cyclops rozejrzył się, szukając pomocy. Najbliżej niego na ziemi leżała nieruchomo Storm. Dostrzegł jeszcze Colossusa i Wolverine'a wśród połamanych mebli ogrodowych. Nie było śladu Nightcrawlera. Popatrzył na dom. Z okna na drugim piętrze patrzyli ze strachem krewni Jean.

– Nie masz pojęcia, jakie siły tu działają, Scott. – Xavier spojrział na Jean. – Tylko inny telepata ma choćby cię szansy w konfrontacji z nią.

– Nie chcę być przeciwko niej.

– Scott! Być może została nam tylko chwila. – Xavier uniósł palce wskazujące do skroni i pochylił się do przodu. – Nie chcę, żeby stała ci się krzywda.

Za późno.

Jean uwolniła się, podnosząc obie ręce. Mentalna eksplozja uderzyła w Cyclopsa, zwalając go z nóg. Zachwiał się i upadł, uderzając się w głowę. Krzyknął i poczuł, że zaczyna tracić przytomność.

Kiedy znów ją odzyskał, zobaczył, że Jean ruszyła na Xaviera.

Starszy mężczyzna nie ustępował, nie miał zamiaru się wycofać.

– Wścibski stary głupcze – powiedziała Jean. – Podpisałeś na siebie wyrok śmierci. – Błysk jej umysłu uderzył prosto w Xaviera. Rozbił jego wózek inwalidzki i rzucił ciałem. Profesor spadł na ziemię i przez chwilę leżał bezradnie.

Powoli, z wielkim wysiłkiem Xavier zaczął się podnosić. Podparł się na łokciach.

– Być może, Phoenix... – warknął.

Nie, profesorze – pomyślał Scott. – *Nie rób tego. Ona cię zabije!*

– Może dziś umrę. – Xavier zakrzuszył się ziemią i krwią. – Ale nawet jeśli będzie mnie to kosztowało życie, zrobię z tym porządek.

– Dlaczego, profesorze? Mówisz tak, jakbyś czuł się winny.

Phoenix rozbłysła. Jej ogień zapłonął wokół niej, oświetlając podwórze. Szalejący, wygłodniały. Niepowstrzymany.

– Powinieneś poczuwać się do winy – kontynuowała. – To właśnie ty wiele lat temu nauczyłeś mnie, jak używać moich ukrytych zdolności telepatycznych. Zapoczątkowałeś ciąg wydarzeń, które stworzyły pierwszą Phoenix, potem Czarną Królową i teraz – wreszcie – Mroczną Phoenix.

Cyclops podniósł się na kolana. Ogarnęła go fala zawrotów głowy i znowu upadł.

– Spójrz na swoje dzieło, Charlesie Xavierze. – Jean jaśniała teraz oslepiająco białym światłem, awatar Phoenix skrzeczał w niebiosa. – Ja jestem Czarnym Aniołem, Zwiastunem Zagłady. Jestem przedwieczna i nowa. Jestem fundamentalną mocą wszechświata, która przeniknęła gniew młodej kobiety. Jestem

czystą mocą.

– Mocą bez ograniczeń. – Xavier podniósł ręce do swojego czoła. – Wiedzą bez mądrości. Starością bez dojrzałości...

Jean niemal zlała się w jedno z płonąca formą Phoenix. Cyclops osłonił oczy dłonią, obserwując z lękiem, jak jej moc rozprzestrzenia się we wszystkich kierunkach. Płomień zakradł się bliżej profesora, który leżał na ziemi. Bezradny...

...a przynajmniej tak się wydawało.

– ...*pasją bez miłości.*

Cyclops spojrział zaskoczony na Xaviera. Profesor nie wypowiedział tych słów na głos. Scott słyszał je w myślach.

– *Nie. Już nigdy więcej nie mów o miłości!*

Odpowiedział „głos” Jean.

To jest ich psi-wojna... – uświadomił sobie Scott. – Toczy się wszędzie, na tysiącu płaszczyzn istnienia jednocześnie. Wybuchają wokół telepatyczną energią, jak głośniki odkręcone na full. Mogę „usłyszeć” tylko ułamek tego.

W miarę jak walczący kontynuowali swoje zmagania, ich myśli stawały się bardziej spójne.

– *Muszę cię pokonać, Jean* – pomyślał Xavier. Teraz on też się świecił. – *I wygram.* – Z jego umysłu wystrzeliły smugi siły telekinetycznej. Sondowały, wchodziły w ten chaos, szukały kobiety w środku ściany ognia.

Phoenix podniosła głowę i roześmiała się.

– *Wygrasz?*

Kolejna fala sond Xaviera przeszła przez płomienie otaczające Jean Grey. Forma Phoenix zachwiała się, drżąc lekko. Sondy

połyskiwały w niej jak rój uwięzionych owadów.

Wykorzystując przewagę, Xavier podczołgał się do przodu, wpatrując się w przeciwnika z przerażającą intensywnością. Kilkanaście kolejnych sond wystrzelonych z czoła przeniknęło blask Phoenix.

Och – pomyślała Jean. – Och, nie, nie.

Uniosła się, rozbłyskując jasno. Sondy Xaviera poruszyły się dziko, rozpraszając się w powietrzu. Krzyknął z bólu i złapał się za skronie.

– S-Scott!

– Profesorze? – Oczy Cyclopsa rozszerzyły się.

– Potrzebuję twojej pomocy.

Cyclops wpatrywał się w Phoenix, w nieziemską energię bijącą od kobiety, którą kochał. Moc kipiała wściekle, stapiając krzesła na patio i wznecając ogień w całym zdewastowanym ogrodzie. Jean była maleńką żółtokarmazynową cząstką w oślepiającej kaskadzie.

– Próbuję... powstrzymać jej moc – kontynuował Xavier. – Ale ona ma nade mną przewagę. Nie mogę tego zrobić sam.

– Co... – Cyclops wstał. – Profesorze, wy dwoje jesteście najpotężniejszymi telepatami na Ziemi. Cóż ja mogę zrobić?

– To, co robiłeś przed moim przyjazdem.

– Masz na myśli...

– Mów do niej.

Cyclops przełknął ślinę, a potem skinął głową. Zebrał wszystkie siły i spojrzał w oślepiające światło.

– Jean?

Ona – bestia ogarnięta furją – odwróciła się do niego.

– *Nie* – powiedziała. – *Nie Jean. Phoenix.*

– *W takim razie Phoenix.* – pomyślał ze złością.

Jean ewoluowała ponad człowieczeństwo, ponad śmiertelne obawy. Podróżowała przez kosmos, widziała i robiła rzeczy, których on nigdy nie byłby nawet w stanie zrozumieć. Jak miał do niej dotrzeć? Co mógłby powiedzieć?

– *Kocham Cię.*

– *Nie znasz mnie* – Jej śmiech przypominał zderzenie się gwiazd. – *Nie możesz mnie nawet zobaczyć.*

– *Mogę* – odpowiedział. – *Widzę, jak płoniesz niczym gwiazda.*

Xavier zdołał usiąść, opierając się o skałę.

– *Świecisz w moim umyśle* – kontynuował Cyclops. – *Codziennie, w każdej chwili. Nawet gdy jesteś daleko.* – Roześmiał się. – *Nawet gdy jesteś martwa.*

Czuł ją: Jean. Jej ludzkie ja, po przejściach, ale nienaruszone, zaczynało się przebijać. Upominało się o swoją władzę, swój intelekt, swoją osobowość. Przedzierało się ku wolności, walcząc z nieubłaganym przyływem gwiazdowego szaleństwa.

– *I jesteś piękna.*

Odwróciła się, żeby na niego spojrzeć. Płomień migotał nisko i przez chwilę zobaczył jej uśmiech, znajomy, urzekający i ciepły.

– *Ech, ty* – powiedziała.

Potem popatrzyła na profesora. Ich spojrzenia się spotkały. Skinęła Xavierowi głową.

Xavier zamknął oczy. Jego mentalne sondy znów się zebrały, zmierzając w kierunku Jean. Przeniknęły przez jej twarz i czaszkę, zbiegając się w jej mózgu. Scott zobaczył je – poczuł – poprzez

łącze. Sondy szukały jej wspomnień, połączeń synaptycznych, wszelkiego rodzaju impulsów elektrycznych. Prądów i kanałów, centrów mocy, które uczyniły ją najpotężniejszą telepatką na świecie.

Xavier odcinał i zszywał, konstruując mikroskopijne struktury siły psychicznej do kontrolowania mocy Jean. Gdzie jej umysł przebłyskiwał najjaśniej, sondy zbudowały zapory i ściany, wzmocnione mentalne ekrany ochronne. Stworzył miliony psionicznych wyłączników, sieć tak rozległą, tak wielokrotnie wzmocnioną, by nigdy nie można było jej zerwać.

Cyclopsowi zakręciło się w głowie. To była operacja jedyna w swoim rodzaju – bezprecedensowa, niepojęta. Mentalne obrazy go przerażały, ale nie odważył się od nich oderwać. *Cokolwiek to jest – pomyślał – cokolwiek on ci robi, Jean... zostanę tu z tobą.*

Koniec nadszedł nagle.

W jednej chwili rozbłysk Phoenix rozjaśnił okolicę niczym małe słońce. Potem zamigotał i zgasł, a kilka ostatnich ognistych smug na niebie zniknęło. Gdy światło przedświt zaczęło pojawiać się na horyzoncie, Jean Grey upadła na ziemię jak marionetka, której podcięto sznurki.

Cyclops błyskawicznie znalazł się przy niej. Nie zwracał uwagi na pulsowanie w swojej głowie ani głosy dookoła. X-Meni powoli podnosili się z ziemi, Greyowie i ich druga córka wybiegli do ogrodu. Ale on widział tylko Jean. Uniósł ją w ramionach, przysunął jej twarz do swojej. Ledwo mógł wyczuć jej oddech.

Czy ona... czy ona nadal jest sobą? Czy psychiczna chirurgia profesora... zadziałała?

Strój Phoenix zniknął. Jean miała na sobie postrzępioną czarną sukienkę z poszarpanym i nadpalonym rękawem. Rozpoznanie jej zajęło mu chwilę – to sukienka, którą nosiła w dniu lotu wahadłowcem, a więc wiele miesięcy temu.

Czy to dobry omen? Może to znaczy, że na powrót stała się osobą, którą była. Ale w środku wciąż może być Mroczną Phoenix. A jeśli... operacja zrobiła z nią coś strasznego?

To nie ma znaczenia – pomyślał. – Będę ją kochał bez względu na wszystko.

Oczy Jean otworzyły się. Przyglądała mu się, patrząc prosto w wizjer.

– Hej – powiedziała.

Poczuł napływające łzy.

To ona – uświadomił sobie. – Jest człowiekiem. Znowu jest Jean.

– H-hej, prawdziwa Jean – odpowiedział.

Jeden po drugim X-Meni wstali. Storm i Nightcrawler zbliżyli się ostrożnie, podczas gdy Wolverine zachowywał dystans. Colossus trzymał profesora w swoich silnych ramionach, obok stał zniszczony wózek inwalidzki. Matka i siostra Jean przyniosły koc.

– Jean – odezwała się Sara. – Nie jest ci zimno?

Jean uśmiechnęła się, przyjmując pled.

– Ororo, Kurt – powiedziała. – Przepraszam za siniaki.

Storm uśmiechnęła się i odparła:

– Myślę, że tobie też kilka nabiliśmy.

– Jeannie – odezwał się Wolverine. – Wróciłaś do nas?

Zamrugnęła, przesuwając się w ramionach Cyclopsa. Odwróciła

się do Logana, z niezwykłą powagą w oczach.

– Tak – powiedziała. – Dzięki za... cóż, no wiesz.

– Nic wielkiego.

Cyclops spojrział na nich oboje. Zdał sobie sprawę, że między nimi wydarzyło się coś ważnego. Coś, czego może nigdy w pełni nie zrozumie.

– Och, jasne. – Nightcrawler przewrócił oczami. Napięcie opadło.

– Nic wielkiego. Po prostu kolejna noc w Sali Ćwiczeń.

– Scott? – Jean oparła głowę na jego ramieniu.

– Chcesz, żebym cię zaniósł do środka? – Dotknął jej twarzy, uśmiechając się.

Spojrzała na niego. Powoli, ale stanowczo skinęła głową.

– Tak – wyszeptała.

– Xavier! Summers!

Wszyscy odwrócili się na dźwięk ostrego głosu. Ojciec Jean stał w drzwiach, wymierzając w nich oskarżycielski palec.

– Co tu się do cholery dzieje?! – John Grey ruszył ku nim zdecydowanym krokiem. – Co robiłeś z moją córką?!

– Tato, nic mi nie jest – zaprotestowała Jean. – Już wszystko w porządku.

– Cieszę się, że mogę to wyjaśnić, doktorze Grey – powiedział Xavier. – Czy nie sprawię panu kłopotu, prosząc o filiżankę herbaty? To było najbardziej...

ŻADNEGO ostrzeżenia. Białe światło całkowicie wypełniło podwórko. W jednej chwili X-Meni zniknęli.

Dr Grey cofnął się, wstrząśnięty. Wyciągnął rękę, dotykając pustej przestrzeni, w której przed chwilą była jego córka.

– Gdzie oni są? – zapytała Elaine Grey, podbiegając do niego.

– Po prostu... zniknęli.

Elaine nie odpowiedziała. Powoli, jakby w oszołomieniu, ujęła jego dłoń. Wrócili do domu, trzymając się za ręce.

Siostra Jean została na podwórku. Patrzyła na drzewa i żywopłoty, połamane meble ogrodowe i zdeptane rabatki.

– Powiedziała... – wyszeptała Sara. – Powiedziała, że wszystko jest w porządku.

Pierwsze promienie słońca prześlizgnęły się po linii drzew, wpadając jej do oczu. Zapowiadały nowy dzień, kolejny cykl odnowy świata. Wiedziała jednak, że w tym świecie nie ma już jej siostry. Przez długi czas samotnie rozmyślała o dzieciach, mutantach i utraconej niewinności. Jej pięści zacisnęły się i rozluźniły kilka razy, zostawiając na dłoniach ślady paznokci. A potem, jak to robią ludzie, Sara Grey-Bailey po prostu odwróciła się i odeszła, zostawiając światło za sobą.

26



PRZED CHWILĄ stali w ogrodzie, czekając na świt. Nightcrawler, Storm, Wolverine, Cyclops tulący Jean w swoich ramionach i Colossus, który trzymał profesora Xaviera. Potem było tylko światło – absolutne, przytłaczające. Biały oślepiający blask, który zdawał się odrywać z ich ciał warstwę po warstwie: skórę, mięśnie, organy wewnętrzne.

Dezorientujący, nienaturalny proces.

Tylko Charles Xavier rozpoznał to uczucie, ponieważ doświadczył go już wcześniej. To był promień teleportacyjny Shi'ar.

Chwilę później stali na środku dużej hali, na podwyższonej platformie. Na ścianach wokół nich wzniesiono prowizoryczne trybuny z szyn i przykręconych do nich w rzędach ławek. Siedzenia, przejścia, otwartą przestrzeń u podstawy trybun – wszystkie miejsca wypełniali ponurzy, uzbrojeni wojownicy.

Wojownicy z kosmosu – zauważył Xavier.

Reprezentowali co najmniej kilkanaście różnych ras. Przypominający ptaki Shi'ar, o olśniewająco barwnym upierzeniu.

Pluton niebieskoskórych Centaurian, z łukami i strzałami przy pasach. Wyglądający jak roboty Recorderzy z obwodami, które klikały, kiedy monitorowali otoczenie. Wojowniczy Skrulle w fioletowych szatach i pojedynczy żołnierz Kree, z oczami ukrytymi za bojowymi hełmami.

– Co... – Cyclops rozejrzał się.

– Profesorze? – zapytał Colossus, przekładając Xaviera z jednej ręki na drugą. – Gdzie jesteśmy?

Xavier podniósł wzrok. Przezroczysty sufit ukazywał oszałamiającą przestrzeń kosmiczną. Gwiazdy świeciły ostrzej, wyraźniej niż z jakiegokolwiek miejsca na Ziemi. Nie mogło być wątpliwości: znajdowali się na pokładzie statku kosmicznego.

Ładownia imperialnego krążownika – pomyślał pospiesznie – przebudowana na... co to właściwie jest. Sala sądowa? Arena walki? To nie jest pierwszy lepszy statek – uświadomił sobie. – To flagowy okręt Imperium Shi'ar.

Cyclops wypuścił Jean. Zatoczyła się do tyłu, szeroko otwierając oczy, gdy wylądowała w dużej sali wypełnionej wojownikami z różnych stron wszechświata. Szarpnęła nerwowo podarty rąbek sukienki.

– Scott? – zapytał Nightcrawler. – Kim są ci ludzie?

– Jesteśmy otoczeni przez uzbrojonych i opancerzonych wojowników – powiedziała Storm – więc nie sądzę, żeby mieli pokojowe zamiary.

Wolverine milczał. Po prostu przykucnął, lustrując salę.

– X-Meni – rozległ się głęboki, pewny głos. – Przemówi do was Gladiator, pretor Straży Cesarskiej.

Wszyscy się odwrócili. Gladiator – wysoki humanoid w czerwono-błękitnym mundurze, z włosami ułożonymi w efektownego kobaltowego irokeza – stał podparty pod boki. Po obu stronach miał członków swojej straży: Hussar, dziką kobietę o szkarłatnej skórze z biczem, i Oracle, niższą kobietę o bladej skórze i dużej głowie, porośniętej gęstymi włosami o barwie królewskiego błękitu.

Xavier skierował wzrok w stronę wojownika Kree, który stał sztywno w szmaragdowo-białym mundurze – tuż obok zielonoskórego Skrulla. Skrullowie byli mistrzami zmiany kształtu, ale ten utrzymywał swoją naturalną postać. Jego pomarszczoną twarz wykrzywił gniewny grymas.

Kree i Skrullowie pogardzają sobą – pomyślał Xavier. – Ich rasy toczyły ze sobą wojny, które wstrząsały galaktykami. Dla nich stanie obok siebie...

– Gladiatorze – odezwał się profesor. – Co to ma znaczyć?

Pretor uśmiechnął się ponuro. Dowodził Strażą Imperium – elitarnym oddziałem, którego obowiązkiem była obrona tronu – z niezachwianą pewnością siebie i arogancją. Xavier nigdy go nie lubił.

– Masz zostać osądzony – odpowiedział.

– Jestem mężem cesarzowej. – Xavier zachował chłodny ton. – Odpowiadam tylko przed nią.

Starzec w fioletowych szatach z długim pióropuszem wystąpił naprzód. Xavier rozpoznał w nim premiera Arakiego, politycznego przywódcę Shi’ar. Araki wykonał gest w kierunku gromady strażników z tyłu sali, którzy sprawnie jak maszyna rozsunęli się,

by odsłonić majestatyczną kobietę w srebrnej zbroi. Miała na głowie lśniący hełm, spod którego wystawał jej pióropusz, a w dłoni trzymała kunsztowną, zakończoną licznymi wypustkami ceremonialną laskę.

– Stoisz przed Lilandrą Neramani – oznajmił Araki. – Władczynią Shi’ar, panią wszystkiego, na co padnie jej wzrok. Twój los jest w jej rękach.

Na jej widok Xavierowi zaparło dech w piersiach. *Jest tak piękna – pomyślał – i nosi koronę z gracją i pewnością siebie. Tak wiele osiągnęła. Jednak kilka ostatnich miesięcy było trudnych. Dla nas, dla naszego wspólnego życia.* – I coś mu mówiło: *będzie jeszcze gorzej.*

– X-Meni. – Lilandra wystąpiła naprzód. – Cieszę się, że widzę was w dobrym zdrowiu.

– Lilandro – Cyclops ruszył w jej stronę, ale natychmiast zatrzymali go strażnicy, zagradzając mu drogę skrzyżowanymi elektrycznymi lancami. – O co tu chodzi?

Cesarzowa dała znak swoją laską. Strażnicy wycofali się, stając obok innych przed trybunami.

– Zawsze byliście moimi przyjaciółmi – powiedziała – jak również uczniami mojego małżonka.

Nie patrzy na mnie – zauważył Xavier.

– Ale jako cesarzowa w pierwszej kolejności jestem odpowiedzialna za mój lud.

– Ach! – uśmiechnął się Nightcrawler. – Czyżby zbliżało się jakieś hiperkosmiczne zagrożenie? Może rój potworów z Mgławicy Kraba? Jeśli szukasz naszej pomocy, Lilandro, nie musiaś nas

porywać. Sami ochoczo pospieszylibyśmy na twoje wezwanie.

– Nie sądzę, żeby nas tu ściągnęli po to, żeby sprzątnąć nietoperze – warknął Wolverine.

– Nie – przyznała Lilandra. – Aby zapewnić przetrwanie Shi'ar... dla dobra całego wszechświata... – przesunęła laskę wzdłuż wszystkich X-menów, zatrzymując ją na Jean. – ...Phoenix musi zostać zniszczona.

Wokół rozległ się pomruk. Uzbrojeni wojownicy stukali elektrycznymi lancami o podłogę i walili pięściami w rękawicach o ławki.

– Phoenix? – Jean zamrugła. – Ja?

– Lilandro – powiedział Xavier – to z tego powodu śledziłaś mnie na Ziemi?

W końcu odwróciła się do niego. Jej oczy były zimne, czuł jednak emanujący z niej ból.

– Nie miałam wyboru – powiedziała. – Nie byłeś... szczery, jeśli chodzi o powody wyjazdu.

– Bo ja... wiedziałem... – Wskazał ręką.

Bo wiedziałem, że będziesz mnie śledzić. Ponieważ miałem nadzieję, że uda się uniknąć... tego.

– Co pan wiedział? – zapytał Cyclops. – Dlaczego Shi'ar są tak zainteresowani Jean?

Xavier przyjrzał się Jean. Nie było w niej już nic z Phoenix, choćby najmniejszego śladu. Nawet jej kostium zamienił się w strój, który nosiła tego pamiętnego dnia, kiedy pilotowała wahadłowiec w drodze na Ziemię. Jego chirurgia psychiczna przywróciła ją do tej wcześniejszej, nie tak potężnej formy.

A jednak...

– Koniec wszystkiego, co istnieje – powiedział Wolverine ściszonego głosem.

– Co? – zapytał Cyclops.

– Ja... – Jean dotknęła ręką czoła. – Nie rozumiem.

Lilandra popatrzyła na nią groźnie. Jean wytrzymała jej spojrzenie, mrużąc oczy z zażenowania. Lilandra pokręciła głową.

– Gladiatorze?

Pretor klasnął w potężne dłonie. X-Meni cofnęli się, gdy przed nimi, w samym środku Sali, wzniósł się czterometrowy hologram. Ukazywał jaskrawożółte słońce, które świeciło w otwartej przestrzeni.

– To gwiazda D’Bari – powiedział Gladiator – tak jak wyglądała dwa dni temu.

Obserwowali, jak za gwiazdą pojawiła się niewielka kropka, która po chwili zbliżyła się, przekształcając w formę Mrocznej Phoenix, płonącej jasnym płomieniem mocy. Postać Jean była maleńką plamką w sercu bestii.

– A to jest legendarny Czarny Anioł – kontynuował Gladiator. – Zwiastun Zagłady, niszczyciel światów.

Xavier spojrzał na Jean. Oczy miała utkwione w hologramie, wpatrując się weń z przerażeniem. Zobaczyli, jak Phoenix zanurzyła się głęboko w centrum gwiazdy. Jej powierzchnia zaczęła nabrzmiwać i pulsować, eksplodując dziko płomiennymi protuberancjami.

– Wygłodniała po swojej długiej podróży bestia pożarła gwiazdę. Gdy słońce umarło, zagłada spotkała także krążące wokół

niego planety. – Gladiator przerwał i spojrział na Xaviera. – D’Bari było zamieszkałym układem.

Obraz znów się zmienił – teraz ich oczom ukazało się centrum miasta, zatłoczona arteria w jakimś obcym świecie. Stłamszone oliwkowozielone istoty wpatrywały się ze strachem, jak palące światło wypełnia ich niebo.

– Czwarta planeta była domem dla pięciu miliardów istnień.

W sali zapadła cisza. Lilandra wystąpiła naprzód i odchrząknęła.

– Te obrazy zostały odebrane przez krążownik Imperium latający pod moją cesarską flagą. To była jego ostatnia transmisja.

Obraz poruszył się, zastąpiony widokiem otwartego, wielopoziomowego mostka krążownika. To była scena masakry. Urządzenia płonęły, członkowie załogi ginęli zgniatani i miażdżeni przez części rozpadającego się statku. Na stację roboczą osunęło się ciało w pełnym mundurze, z oczami o pustym spojrzeniu.

Kapitan krążownika, mężczyzna o popielatej twarzy z dumnym pióropuszem, wskazywał na ekran statku. Na nim widać było, jak szybko nadciąga Phoenix, nieustępliwa w swojej furii.

– Mam nadzieję, że ta wiadomość do ciebie dotrze – powiedział kapitan. Zostaliśmy pokonani, straciliśmy broń i moc. Załoga w większości jest martwa. Statek zmienił się w poszarpany, wypatroszony kadłub. – Na ekranie pojawił się wysoki rangą oficer.

– Bestia się zbliża – powiedział.

– Strzeż się, moja cesarzowo – kontynuował kapitan. – Strzeż się Phoenix.

Transmisja zakończyła się. Hologram zniknął.

Nie – pomyślał Xavier, ogarnięty poczuciem winy. – Zdawałem sobie sprawę z ryzyka, ale myślałem, że dotrę do Jean na czas. Wszystkie te żywe istoty. Wszystkie te dusze... – Co powiedziała mu Phoenix w ogrodzie? – Ty zapoczątkowałaś ten ciąg wydarzeń.

– Jean. – Colossus gapił się na nią. – Czy mogłabyś? Czy ty... to zrobiłaś?

– Zrobiła – warknął Logan.

– To nie była ona – powiedział Nightcrawler.

Storm się nie odezwała, ale wyraz jej twarzy sprawił, że Xavier zadrżał. Wzmocnił swoje psychiczne osłony, starając się nie czytać w jej myślach.

– Nie – szepnęła Jean. – Nie... – Pochyliła się w stronę Cyclopsa, łapiąc się za głowę. Wydawała się zdezorientowana, zagubiona.

Przypomina sobie – uświadomił sobie Xavier. – Moc Phoenix jest jak narkotyk. Obezwładniła ją na chwilę, zapanowała nad jej lepszymi instynktami. Ale to wciąż była ona.

Zrobiła to.

Cyclops trzymał ją mocno, choć ręce wyraźnie mu drżały. Miał zaciśnięte usta, a jego wargi zbieleły z napięcia.

Xavier zwrócił się do Lilandry. Patrzyła na niego oskarżycielskim wzrokiem.

– Umiłowany mężu – powiedziała. – Ty powinieneś o tym wiedzieć pierwszy. Powinieneś być mnie ostrzec.

Xavier nie odpowiedział.

– Czy nie zgłębiałeś tradycji Shi'ar? Nie znałeś legendy o Zwiastunie Zagłady? Znałeś. – Pokręciła głową. – Powinieneś być

mi zaufać.

Ona ma rację. – Odwrócił wzrok. – *Nie mam nic więcej do powiedzenia.*

– X-Meni – zwróciła się do drużyny Lilandra. – Szanuję wasz ból, ale jako cesarzowa nie widzę innego rozwiązania.

– Nie podoba mi się ten ton – mruknął Nightcrawler.

– Oddajcie ją – kontynuowała Lilandra – albo poniesiecie konsekwencje.

Jean wbiła wzrok w ziemię, pokręciła głową. X-Meni wymienili się zaniepokojonymi spojrzeniami. Ramiona Colossusa trzęsły się. Xavier musiał zmienić pozycję, by utrzymać się w rękach wielkiego człowieka.

Być może – pomyślał – pozostało jeszcze bezpośrednie mentalne połączenie z Lilandrą. Ostatni wysiłek, by sprawić, żeby zrozumiała...

Cyclops wystąpił naprzód.

– Cesarzowo Lilandro – powiedział – nadal mówisz o Mrocznej Phoenix, niszczycielce światów. Ale ta bestia już nie istnieje. – Wskazał na Xaviera. – Profesor egzorcyzmował tę część świadomości Jean. Jej moc została znacznie zmniejszona i znajduje się w pełni pod jej kontrolą. Ona nie stanowi już zagrożenia dla ciebie, twojego imperium ani wszechświata.

– Dajcie Jean spokój – powiedział Colossus, sprawiając, że Xavier spojrzał na niego ze zdziwieniem. – Czy już nie dość się nacierpią?

– Nacierpią? – premier Araki machnął pięścią. – Powiedz to milionom martwych D’Bari. Ich duchy wołają o pomstę!

Tłum wojowników zerwał się na nogi, rycząc zgodnie. Tupali ciężkimi butami, walili pięściami w metalowe ławki. Wojownik Kree wydał okrzyk bojowy, wywołując grymas niesmaku u swojego towarzysza Skrulla.

X-Meni stanęli blisko siebie, tworząc ochronny krąg wokół Jean. Wolverine wysunął pazury.

Lilandra uniosła laskę. W jednej chwili sala ucichła.

Cesarzowa podeszła do X-Menów i stanęła przed Jean Grey, która z grymasem na twarzy odwróciła wzrok. Lilandra chwyciła ją za podbródek, przyglądając się jej badawczo.

– To, co raz zostało odwrócone, może zostać odwrócone ponownie. – Lilandra brzmiała, jakby recytowała starożytną przepowiednię. – Dopóki istnieje Phoenix, w jakiegokolwiek formie, o dowolnym poziomie mocy, stanowi zagrożenie dla wszystkiego, co żyje. Przepraszam, Cyclops. Wiem, że jesteś szczerzy, ale to zbyt ryzykowne.

Cyclops zrobił krok do przodu, stając między Jean i władczynią Shi'ar. Nightcrawler poszedł za nim, osłaniając koleżankę z drużyny przed Lilandrą. Wolverine stanął obok nich, a w końcu – jak się wydawało Xavierowi, niechętnie – dołączyła do grupy Storm. Tylko Colossus został z tyłu, wciąż trzymając na rękach profesora.

– Nie – powiedział Cyclops.

Lilandra odsunęła się. Po raz kolejny podniosła swą laskę.

– Wojownicy – rozkazała. – Brać ją.

– Wszechwładna Cesarzowo! – krzyknął Xavier. – Wysłuchaj mnie.

Oczy wszystkich zebranych zwróciły się ku niemu. Wyciągnął rękę w stronę Lilandry.

– Jean Grey Arin’nn Haelar – powiedział.

Z trybuny dobiegł pomruk. Lilandra stała z ponurą miną, patrząc Xavierowi prosto w oczy.

– *Widzisz* – powiedział, wysyłając słowa bezpośrednio do jej umysłu. – *Studiowałem twoje tradycje.*

Lilandra skinęła głową.

– *Arin’nn Haelar* – odpowiedziała mentalnie. – *Wyzwanie, którego nie można odrzucić.*

W jej umyśle odczytał szacunek. I coś jeszcze: bezbrzeżny smutek. Xavier uświadomił sobie wagę swojego czynu: *Spaliłem mosty. Zrobiłem coś nieodwracalnego.*

Przerwał połączenie i zwrócił się do X-Menów.

– Wyzwałem Shi’ar na honorowy pojedynek o życie Jean – wyjaśnił.

– Wasza wysokość – wojownik Kree podszedł do przodu. – Obiecano moim ludziom, że Phoenix zostanie usunięta. Nie było mowy o żadnym „honorowym pojedynku”.

Lilandra zwróciła się do Kree. Skrull unosił się za nim, przypatrując mu się nieufnie.

– Możecie skonsultować się ze swoimi rządami, jeśli tylko chcecie – powiedziała. – Ale zgodziły się one, że ta sprawa zostanie przeprowadzona zgodnie z prawem Shi’ar.

Kree zmarszczył czoło.

– Możecie oczywiście obserwować walkę, każdy w imieniu swojego imperium.

– Czy muszę stać obok tego pomiotu robaka błotnego? – odezwał się Skrull, wskazując na Kree, i prychnął z oburzenia. – Jak długo potrwa ta walka?

– Tak długo, jak to będzie konieczne! – warknęła Lilandra. – W tej materii rozstrzyga wyłącznie prawo Shi’ar. – Skrull cofnął się, posyłając gniewne spojrzenie swojemu towarzyszowi Kree. Ten patrzył prosto przed siebie, a jego oczy były ukryte pod zieloną przyłbicą.

– Gladiatorze – powiedziała Lilandra, odwracając się ku niemu. – Czy straż jest gotowa do podjęcia tego wyzwania?

Gladiator uklonił się i odparł:

– Mamy zaszczyt służyć Waszej Wysokości.

– W takim razie twój gambit się powiódł, Charles – powiedziała Lilandra. – Shi’ar podejmuje twoje wyzwanie. Wiedziałeś zresztą, że tak postąpimy.

– Pojedynek? O moje życie? – Jean pokręciła głową. – Nie. Nie, nie pozwolę na to.

– Jean... – Cyclops próbował zaoponować.

– Było już zbyt wiele śmierci!

– Wyzwanie zostało rzucone i w należyty sposób przyjęte. – Lilandra spojrzała na Xaviera płomiennym wzrokiem. – Z tej ścieżki nie można zawrócić.

Profesor przełknął ślinę i skinął głową. Potem zwrócił się do Jean z wymuszonym uśmiechem na twarzy.

– Moje dziecko – powiedział. – To jedyne wyjście.

– Szanuję waszą odwagę i lojalność, X-Meni – rzekła Lilandra. – Będziecie mieć noc na odpoczynek, by odzyskać siły.

Przygotujcie się najlepiej, jak potraficie. Pojedynek zacznie się o świcie.

Gladiator podniósł dziwne urządzenie do ust i dmuchnął w nie, wydobywając niski dźwięk. Wojownicy wstali i kolejno zaczęli opuszczać pomieszczenie.

Para służących z jasnozielonym upierzeniem zbliżyła się do X-Menów, gestem nakazując im pójść za nimi. Cyclops podał rękę Jean. Zadrżała, chwyciła jego dłoń i razem wyszli z sali. Storm podążyła za nimi, dalej Nightcrawler i Wolverine. Colossus poruszył się niepewnie, rzucając pytające spojrzenie mężczyźnie, którego wciąż trzymał w ramionach. Xavier skinął głową, dając mu do zrozumienia, by poszedł za innymi.

Kiedy młody Rosjanin niósł go do drzwi, profesor zerknął z powrotem na salę. Gladiator kroczył w stronę przeciwnego wyjścia, zaciskając swą kwadratową szczękę i gniewnie mrużąc oczy. Oracle i Hussar podążyły za nim, ta ostatnia uderzała lekko biczem w swoje muskularne udo.

Lilandra na środku ładowni cicho rozmawiała z premierem. Wyglądała jak cesarzowa w każdym calu, suwerenna władczyni swojego ludu. Dumna księżniczka Shi'ar, w której zakochał się Xavier, teraz w pełni rozwinęła swój potencjał.

Spłynęła na niego fala smutku.

To koniec – pomyślał. – Nawet jeśli nasi ludzie przeżyją, to ona i ja już nigdy sobie nie zaufamy.

Mimo najlepszych intencji jego umysł zbłądził ku jej myślom. Subtelnie, cicho podsłuchiwał jej rozmowę. *X-Meni rzucili wyzwanie, któremu nie mają szans sprostać, Wasza Wysokość –*

mówił Araki. – *Ale są wyjątkowymi istotami. Załóżmy, że wygrają pojedynek.*

Umysł Lilandry wypełniał smutek, uczucie, które odzwierciedlało emocje Xaviera. Spojrzała w górę ku gwiazdom, zimnym i wyraźnie odcinającym się na tle nieba.

Nie wygrają – odparła, a jej słowa odbiły się echem w umyśle Xaviera. – *Masz na to moje słowo.*



JEAN GREY nie była na pokładzie zbyt wielu statków kosmicznych, ale ten nie przypominał niczego, co kiedykolwiek sobie na ich temat wyobrażała. Miał szerokie korytarze i bardzo przestronne pomieszczenia. Mostek i sektory inżynieryjne były poza zasięgiem X-Menów, ale Lilandra udzieliła im dostępu do większości pozostałej części statku. Jean miała wrażenie, jakby wędrowała całymi kilometrami.

I jest tu tak cicho.

Rozważała, czy faktycznie powodem tego stanu rzeczy był statek. Kiedy poziom jej mocy się zmniejszył, głosy w głowie zniknęły. Nieustanny szum myśli, nieunikniony przepływ tajemnic innych ludzi.

Głos Phoenix. On także zniknął.

Czy mi go brakuje?

Zaniepokojona pokręciła głową i zeszła korytarzem do okrągłego przejścia, które otworzyło się przed nią. To, co zobaczyła po drugiej stronie, zaparło jej dech.

Stała w przezroczystej kopule obserwacyjnej, wystającej

z głównego korpusu statku. Wyciągając szyję, mogła zobaczyć stalowoszary kadłub – rozciągający się na dużą odległość, nafaszerowany bronią i pełen śladów po stoczonych bitwach. Kwadratowe tachionowe silniki unosiły statek w przestrzeni międzygalaktycznej.

Prawdziwa uczta dla oczu była jednak tuż przed nią. Ziemia w całej swojej chwale świeciła jasno na tle gwiazd. Aureola chmur, która ją okrywała, skąpana w błękicie i bieli, rozproszyła się, aby odsłonić głębszy błękit oceanów oraz jasny brąz i zieleń kontynentów.

Wpatrywała się w chmury, jakby próbowała przebić ich jedwabistą zasłonę. Wróciły niechciane wspomnienia. Straszne, a jednocześnie piękne obrazy, przenikające przez mgłę mentalnych bezpieczników profesora Xaviera.

Uderzenie wahadłowca w pas startowy, które strzaskało jej kręgosłup.

Płomienie na jej skórze.

Drapieżny ptak powstający z pierwotnego ognia.

Żebra Magneto, pękające pod psychokinetycznym naporem.

Pionek Hellfire Clubu, bezradny w jej żelaznym uścisku.

Wyngarde. Jego ramiona. Jego piżmowy zapach i wilczy uśmiech. Krew, nienawiść, żądza – wszystko wciągane w wir wściekłości. Wyngarde w jej żelaznym uścisku. Jego umysł, który pęka, otwierając się na wszechświat. Pochłaniany, połknięty przez wir.

Chciałbyś zobaczyć?

A potem Phoenix. Nieskrępowana, całkowicie wolna.

Wolverine zrzucony z nieba, Colossus pozbawiony mocy, zmuszony do powrotu do ludzkiej postaci. Storm, Nightcrawler, Cyclops – wszyscy rzućni na kolana przed majestatem Zwiastuna Zagłady.

Jean zmarszczyła brwi i zamruwała. W jakiś sposób przebyła niewyobrażalną odległość. Pamiętała głód, niepowstrzymaną żądzę. Przypomniała sobie nurkowanie w gwiazdę, skwierczenie reakcji kwantowych, słodki ból przekształcania się atomów wodoru na jej skórze. Karmiących ją, podsycających jej moc. Kojących pragnienie.

Jakaś jej część wiedziała. Wyczuwała krzyki, panikę mieszkańców D'Bari. Telepatyczny krzyk miliardów istot, przeżywających swoje ostatnie chwile.

Jakaś jej część czerpała z tego satysfakcję.

– Milady?

Jean obróciła się. Przed nią stała istota należąca do rasy, której nigdy wcześniej nie widziała, z długą, zwięzającą się twarzą i w pomarszczonym z przodu płaszczu z watowanymi ramionami. Cała postać idealnie wpisywała się w dziwacznie oficjalną specyfikę Imperium Shi'ar.

– Skąd wiedziałeś, gdzie jestem? – zapytała Jean.

Obcy wzruszył ramionami i podniósł starannie złożony kawałek jasnozielonego materiału.

– Czy to odzież, o którą prosiłaś?

Jean poczuła, jak łyzy napływają jej do oczu. Sięgnęła po ubrania.

– Dziękuję – powiedziała. – To wszystko, czego potrzebuję. –

Sługa uklonił się i wyszedł przez okrągłą membranę.

Jean znów popatrzyła przez kopułę obserwacyjną na Ziemię, wypełniającą niebo ponad nią. *Tak piękna* – pomyślała. – *Tak jasna, tak pełna życia, chaosu i chwały. A ja... mogłam ją zniszczyć.*

Zniszczyłam ją. Albo świat bardzo podobny do niej.

– Nigdy – powiedziała głośno. – Nigdy więcej.

Zrzuciła buty i zaczęła się przebierać.

NIGHTCRAWLER wdrapywał się po równoległych prętach, sięgając po wiszący niedaleko metalowy pierścień. „Wiszący” nie było właściwym słowem. Płatanina sprzętów do ćwiczeń wypełniała dużą salę gimnastyczną, a ich rozmaite elementy wystawały i przecinały się pod dziwnymi kątami. Wrażenie było bardzo... kosmiczne.

Grawitacja przesunęła się, rzucając go w bok. Nie trafił do celu, zaczął spadać i poczuł, że włącza się jego instynkt teleportacji. Potem wyciągnął rękę, zdążył chwycić pierścień i podciągnąć się. Lub opaść. Lub coś w tym stylu.

– Dobrze – powiedziała Oracle. – Zaczynasz łapać, jak to działa.

– *Danke* – mruknął, podchodząc do sufitu. – Ale ja tylko chciałem potrenować.

Oracle, bladoniebieska członkini Straży Cesarskiej, wspięła się na drabinkę z wyćwiczoną łatwością. Brakowało jej naturalnej zwinności Nightcrawlera, ale lepiej знаła układ sali gimnastycznej – i jej ciągle zmieniające się pola grawitacyjne.

– Sztuczka nie polega na próbie przewidzenia zmian –

powiedziała, skacząc z wiszącej huśtawki. – Po prostu podążaj za nimi.

Nightcrawler patrzył z podziwem, jak wylądowała w przysiadzie na wąskiej belce w samym środku sali.

– Domyślam się, że ćwiczyłaś tutaj wcześniej.

– Są jeszcze cztery inne sale podobne do tej – uśmiechnęła się z nieco wyniosłym wyrazem twarzy. – To duży statek, człowieku. Ponad sześćset dusz z różnych ras nazywa go domem.

– Czy będziemy walczyć w jednej z tych... sal... jutro? – zapytał.

– Nie. – Urwała, oddychając ciężko, i uśmiechnęła się. – Jej wysokość wybrała wasz księżyc na miejsce pojedynku.

Pokiwał głową. Lubił Oracle i docenił jej ofertę zaprezentowania mu sprzętu do ćwiczeń. Miał wrażenie, że większość Shi'ar to ponuraki bez krzty humoru. Ona była znacznie bardziej skłonna do uśmiechu, od czasu do czasu rzuciła nawet jakiś żart.

Poza tym była niebieska.

– Zdajesz sobie sprawę, że działasz teraz na korzyść wroga – powiedział. – Jeśli wygramy jutro dzięki treningowi, który mi pokazałaś...

– Nie martwię się o to – odparła.

Nie – uświadomił sobie – *naprawdę się nie martwisz.*

– Strzeż się, *Fräulein*. – Powiedział lekkim głosem. – Galaktyka Shi'ar jeszcze nie widziała, do czego jestem zdolny. – Odbił się od belki i chwycił dwa wiszące obok siebie pierścienie. Nie tracąc rozpędu, rzucił się do przodu i puścił je. Jego stopy zatańczyły

lekko na szczeblach drabiny, a potem wyciągnął ręce i skoczył na ścianę.

– Ach – powiedziała. – Zapomniałam cię ostrzec...

Jego ręce dotknęły ściany – i ześliznęły się. Unosząc się w powietrzu, usłyszał w głowie głos Oracle.

...ściana jest powierzchnią bez tarcia.

Upadł z szeroko otwartymi z przerażenia oczami. Moce Nightcrawlera pozwalały jego dłoniom i stopom na przylgnięcie do niemal każdej powierzchni. Na Ziemi mógł wspiąć się na ścianę dowolnego budynku.

Ale nie jesteśmy na Ziemi – przypomniawszy sobie.

Poczuł wyraźne pulsowanie swojej mocy na szyi. Rozejrzał się wokół, szukając celu, miejsca do teleportacji. Ale pomieszczenie było wypełnione metalem i tworzywem, labiryntem sprzętów do ćwiczeń. Gdyby teleportował się w ciemno, mógłby skończyć z jakimś drążkiem w brzuchu.

Nagle para silnych rąk złapała go w locie. Colossus przyciągnął go do siebie i opadł na ziemię, zginając kolana, by zamortyzować uderzenie.

– *Danke* – powiedział Nightcrawler, wyskakując z uścisku wielkiego mężczyzny. – Peter, czy wiesz, że lubisz się popisywać? Mogłeś przynajmniej przybrać stalową postać, zanim rzuciłeś się, by uratować mi życie.

– Ten statek trochę mnie przytłacza, *tawariszcz*. – Colossus uśmiechnął się nieśmiało. – Pomyślałem, że wezmę udział w treningu.

– Cóż, nie bierz lekcji od...

Nightcrawler rozejrzał się. Oracle zniknęła.

– Od kogo? – Zapytał Colossus.

– Nieważne. – Nightcrawler oparł się o urządzenie do ćwiczeń i podrapał się po głowie. – Przynajmniej dowiedziałem się, że jest telepatką. Wygląda na to, że dzisiaj każda grupa ma swoją.

Zaprowadził Petera na drugi koniec sali, gdzie stały dwie ławki. Przynajmniej na tym poziomie grawitacja wydawała się stała.

– Kurt – powiedział Colossus – mam dylemat.

Nightcrawler wskoczył na ławkę. Gestem zaprosił Colossusa, by usiadł naprzeciwko niego.

– Jestem najmłodszym X-Manem – kontynuował Colossus – ale znam Jean Grey. Wiele razy z nią walczyłem. Zawdzięczam jej życie. Niejednokrotnie dowiodła, że jest zarówno koleżanką z drużyny, jak i wspaniałą osobą.

– I?

– Kiedy walczyliśmy z Jean, nie próbowaliśmy jej zniszczyć. Walczyliśmy, żeby ją uleczyć. Ta determinacja wynikała z naszej miłości do niej. Miłości, która się nie zmieniła.

Nightcrawler skinął głową.

– Ale?

– Ale ta istota, zwana Mroczną Phoenix, jest... zła. – Głos Petera był przepełniony bólem. – Wiem to. Czuję jej moc, słyszałem, jak szaleje w mojej głowie. Jeśli naprawdę to zrobiła...

– Tak – przerwał mu Nightcrawler. – Miałem podobne myśli.

Zamilkł na chwilę, sięgając myślami w przeszłość.

– Jako dziecko poznałem w cyrku bardzo starego człowieka. Był dla mnie miły, karmił mnie słodyczami, gdy brakowało

jedzenia. Przeżył Holokaust, nazistowskie obozy śmierci. Zamordowali jego rodziców, przeprowadzali ohydne eksperymenty na jego rodzeństwie.

Jego głos drżał. Przerwał, żeby się pozbierać.

– Peter, wciąż nie potrafię wybaczyć rzeźnikom, którzy popełnili te okrucieństwa. – Podniósł wzrok. – Jak więc mógłbym wybaczyć Jean?

Długo patrzyli sobie w oczy. Potem Peter wstał, zgiął ręce w łokciach i zmienił ciało w litą stal.

– Ponieważ to jest Jean – odparł.

Nightcrawler zamrugał. Skinął głową, wstał i chwycił za wiszący pierścień. Podskoczył na najniższy szczebel drabinki, a następnie zawisł na nim głową w dół i uśmiechnął się do Colossusa.

– Naprawdę jesteś najmłodszym X-Manem, *mein Freund* – powiedział. – Ale być może także najmądrzejszym.

– **JUŻ** idę! No idę!

Logan podszedł do drzwi swojej kajuty, ociekając wodą. Wszędzie tam, gdzie krople dotknęły dziwnej posadzki, natychmiast zniknęły. *Kosmiczna nora* – pomyślał. *Dość przytulna, żeby spędzić w niej noc, ale zwariowałbym, gdybym musiał tu mieszkać.*

Ale jutro o tej porze być może już nie będę musiał się martwić o to, gdzie spać. Pukanie do drzwi powtórzyło się. Złapał ręcznik, jakby nagle się zreflektował, i owinął go w pasie. Potem mocnym szarpnięciem otworzył drzwi.

– Och. – Storm stała tam, ubrana w elegancką tunikę w afrykańskie wzory. Zrozumiała sytuację i skierowała się do wyjścia. – Przepraszam. Do zobaczenia w...

– ‘Roro. – Cofnął się, zapraszając ją do środka. – To tylko ja – ręcznik zaczął mu spadać z bioder, ale chwycił go w samą porę. – Storm uśmiechnęła się.

– Świetnie – powiedziała, zamykając za sobą drzwi. – Ale włożysz coś na siebie ?

– Jasne, dla ciebie wszystko. – Poszedł do kąta za mały parawan. – Ale bez maski.

– Nie. Żadnych masek.

– Rozumiem, że to metafora.

Wyszedł ubrany w kostium. Storm usiadła na niskim fotelu. Jego poręcze wygięły się powoli do wewnątrz, dostosowując się do kształtu jej ciała.

Wolverine nie mógł się do tego przyzwyczaić. Kiedy pierwszy raz usiadł na kanapie, instynktownie pociął ją w samoobronie. Po tym nacięciu nie pozostał jednak nawet ślad – najwyraźniej samouzdrawiająca moc mebli Shi’ar niemal dorównywała jego własnej.

– Co ci chodzi po głowie?

Westchnęła i spojrzała na gwiazdy przez iluminator.

– Wspominałam czasy, kiedy byłam po prostu Ororo, jeźdźcem wiatru. Samotnym... wolnym.

– Idealizujemy przeszłość? – Logan chrząknął, sadowiac się na krześle.

– Może. – Spuściła wzrok. – Ale teraz nie jestem ani sama, ani

wolna... i rzadko bywam szczęśliwa.

– Dzikie zwierzę źle się czuje w klatce. – Pokiwał głową ze zrozumieniem.

– Jednak zdecydowałam się dołączyć do X-Menów. – Podniosła wzrok, napotykać jego spojrzenie. – Z własnej woli opuściłam mój dom, Afrykę. X-Meni stali się moją rodziną, a Jean Grey siostrą, której nigdy nie miałam.

– Powinienem był ją zabić, ‘Roro.

Storm spojrziała na niego.

– Mogłem to zrobić. – Uniósł rękę, wysuwając jeden zabójczy pazur. – Jedno cięcie i zaoszczędzilibyśmy sobie tego wszystkiego.

– Ja... bardzo się cieszę, że... nie...

– Błagała mnie, żebym to zrobił. – Odwrócił się, patrząc na swoje pazury. *Zamknij się* – powiedział do siebie. – *Nie obciążaj jej tym.* Jednak kiedy słowa zaczęły płynąć, nie mógł ich powstrzymać.

– Nikt tego nie rozumie – powiedział. – Ani ty, ani elf, a już na pewno nie Summers. Nawet Xavier... widział problem do rozwiązania, cholernego wroga, który zostanie pokonany i zamknięty w klatce. Wszyscy myślicie, że Phoenix to jakaś rzecz: kosmita o oczach robala, który przejął nad nią kontrolę.

– Ludzie Lilandry znają tę „rzecz” – odparła Storm, marszcząc brwi.

– Możliwe – rzucił. – Być może jest jakaś „Siła Phoenix”, wielkie galaktyczne ptaszysko, które ma miliony lat i opanowuje ludzi jak porywacz ciał. – Odwrócił się i zaczął chodzić tam i z powrotem po kajucie. – Ale jest też Jean Grey.

– To właśnie chcę powiedzieć – wyjaśniła, patrząc na niego ze

zdziwieniem.

– Nie. Nie, nie, nie. – Spojrzał na nią. – Wściekłość, zabójczy instynkt, wszystko, co zrobiła Phoenix nam i tej biednej planecie w innej galaktyce. – *Wszystko jest w Jean.* – To część jej i tylko ja...

Zawiesił głos, jakby nagle zabrakło mu sił.

– I tylko ty to widzisz. – Storm podeszła do niego, położyła mu ręce na ramionach. – Ponieważ to także część ciebie.

Odwrócił wzrok.

– Nie potrafię tego zaakceptować – powiedziała. – Nawet jeśli to prawda, w Jean jest też miłość. Wierzę, muszę wierzyć w jej odkupienie. – Cofnęła się i uniosła. – Będę o nią walczyć.

– To nie ma znaczenia – mruknął.

Zmarszczyła brwi.

– Co?

– To znaczy: to nie ma znaczenia, co mówi mi o niej moja głowa – wyjaśnił Logan. – Też będę o nią walczyć. Jesteśmy tym, kim jesteśmy, ‘Roro.

– Tak. – W jej dzikich oczach odbiła się błyskawica. – Ale niektórym trudniej z tym żyć niż innym.

Wszedł do małej kuchni i wrócił z butelką gęstej zielonej cieczy w dłoni.

– Badoon tequila – powiedział. – Zwinąłem ją z ładowni. Przyłączysz się?

Zanim zdążyła odpowiedzieć, postawił dwa kieliszki i zaczął nalewać.

– Logan – powiedziała Storm – jestem zdumiona, że przeżyłeś

tak długo.

– Ty i ja, my oboje, kochanie. – Podał jej kieliszek, wznosząc toast swoim. – Za nas oboje.

GDY CYCLOPS przeszedł przez membranę, z jego ust wyrwało się ciche „och”.

Kopuła obserwacyjna ukazywała wielkie pole gwiazd. Z jednej strony pojawił się srebrny kształt Ziemi, szybko się oddalając. Statek skręcił i rozpoczął podejście do areny jutrzejszej bitwy.

Jednak Cyclops ledwo to zauważył. Widział tylko Jean, uśmiechającą się niepewnie, na tle pięknych gwiazd. Miała na sobie dużą, spiczastą maskę domino, dopasowane do niej kolorem żółte rękawiczki i olśniewającą zieloną sukienkę, której od dawna nie widział. Dygnęła, lekko zażenowana.

– Głupio wyglądam? – spytała.

Uśmiechnął się. Podszedł do niej, wziął ją w ramiona i pocałował.

– Moja Marvel Girl... – zamruczał jej do ucha.

– Zawsze... – odpowiedziała.

Cofając się, wskazał na kostium.

– Prezent od Shi’ar? – zapytał.

– Poprosiłam o to. Wyglądało na to, że mnie zrozumieli. – Zmarszczyła brwi.

– Są bardzo... ceremonialni. W pewnym sensie przypominają mi Hellfire Club.

– To niepokojąca myśl.

– Potrzebowałam kostiumu na jutro i pomyślałam... – Spojrzała

mu w oczy. – Zaczęłam jako Marvel Girl i jako ona to zakończę, jeśli muszę.

W jednej chwili nastrój się zmienił. Cyclops odsunął się, usiadł na małej ławce i spojrzał na nią przez kwarc rubinowy.

– Nie będziesz musiała – powiedział.

– Scott. – Usiadła obok niego, wzięła go za rękę. – Nie pozwolę, by ktoś inny za mnie ginął.

– Nie dojdzie do tego. – Ścisnął jej dłoń. – Tak wiele przeszliśmy, przetrwamy i to. Bez zabijania kogokolwiek.

Podniosła drugą rękę, ściągnęła rękawiczkę. Obróciła nią w powietrzu, pozwalając, by odbiło się od niej światło gwiazd.

– Moje moce zmniejszyły się, Scott. Wciąż czuję cię w umyśle poprzez nasze łącze. Ale nie mogę już zmieniać materii i słyszę tylko powierzchowne myśli... obrazy, wrażenia lub wiadomości przeznaczone bezpośrednio dla mnie. Jednak Phoenix... – Wstała, zaczęła chodzić tam i z powrotem. – Trudno to wyjaśnić. To część mnie, coś, co zawsze czułam. Rodzaj wściekłości, ale coś więcej. Coś, co teraz jest okiełznane, pod kontrolą.

Scott obserwował ją, marszcząc brwi. *Co ona chce powiedzieć?*

– Ale Phoenix jest też czymś innym – zawiesiła głos. – Czymś bardzo starym, starszym niż ty czy ja, do diabła, niż cała ludzkość. To rosło, ewoluowało, mutowało, zanim staliśmy się choćby iskrą w oku wieczności.

– Ja... nie sądzę, że powinniśmy się tym przejmować. – Rozłożył ramiona w geście bezradności. – Jesteśmy tylko ludźmi, prawda?

– Cóż. – Wskazała na „X” na jego pasku. – Nie do końca.

– Wiesz, co mam na myśli – powiedział z uśmiechem.

– Wiem, i wiem, że jesteś człowiekiem. Ty, Ororo, Kurt, Peter i drogi stary Charles, który ryzykował własnym zdrowiem psychicznym, by uratować moje. Logan też.

– Logan być może. – Scott wzruszył ramionami.

– Każdy z was. – Z powrotem włożyła rękawiczkę i skrzyżowała ręce na piersi. – Ale jeśli chodzi o mnie, to nie mam pewności. Już nie.

– Ja mam pewność.

Stała przed nim, spuszczać wzrok.

– Prawie cię zabiłam.

– Prawie.

– Scott, a co, jeśli Lilandra ma rację?

– Nie możesz skapitulować – powiedział. Wstał i dotknął jej twarzy. – To byłoby jak poddanie się Mrocznej Phoenix. Pozwolenie jej, temu, wygrać. Przyznanie, że jesteś zła. Że twoje człowieczeństwo nic nie znaczy w obliczu jakiejś starożytnej mocy.

Spojrzała na niego i łzy napłynęły jej do oczu.

– Wiem, że to nieprawda – kontynuował. – Znam miłość, którą masz w swoim sercu. I wierzę, że ta miłość pozwoli ci to przetrwać. Pozwoli to przetrwać nam wszystkim.

Wydała z siebie pojedynczy szloch. Potem zakłopotana wytarła oczy.

– Mięczak – powiedziała, szturchając go w pierś.

Zaśmiał się.

– Jutro będzie wielki dzień. – Wskazał na membranę.

– Lepiej chodź do łóżka.

– Długo musiałam czekać, żebyś w końcu poprosił. – Uśmiechnęła się do niego, figlarnie przechylając maskę.

– Tak bardzo cię kocham – odparł.

Ruszył w stronę wyjścia. Jean zawahała się tylko przez chwilę, ponownie spoglądając na kopułę obserwacyjną. Ziemia po prostu zniknęła z pola widzenia, zasłonięta przez zimną, szarą kulę Księżyca.

Nigdy się nie dowiem – nagle dotarło do niego. – Nigdy nie poznam impulsów, które nią kierują. Nigdy nie zrozumieję ognia w jej wnętrzu, wściekłości, głodu i frustracji, i tak, miłości.

Nigdy się nie dowiem. I tak jest dobrze.

Wyciągnął rękę. Ona ścisnęła jego dłoń, uśmiechnęła się i poszła za nim.

HUNN-TAR umierał. Pluton wrogich Skrullów w sztucznych purpurowych egzoszkieletach i hełmach z cienkiej skóry wdarł się przez plastilowe okna platformy orbitalnej Kree. Hunn-Tar poczuł spadek ciśnienia i usłyszał ryk w uszach, gdy powietrze wyleciało na zewnątrz, momentalnie całkowicie znikając w próżni. Jego twarz zrobiła się zimna, powieki zastygły w miejscu, gdy patrzył na swoich towarzyszy – elitę sił inwazyjnych Kree – wijących się i szamoczących, kiedy ich ciała wylatywały w otwartą przestrzeń.

W ciągu ostatnich czterech lat Hunn-Tar wielokrotnie umierał w swoich snach. Ta bitwa skończyła się gigantyczną klęską. Tylko on przeżył. Ale tym razem było w tym coś innego. Gdy jego stopy oderwały się od pokładu i poleciał w górę ku surowej próżni, szkarłatne światło wypełniło niebo. Zobaczył rozszalałego

drapieżnego ptaka z czystego, pierwotnego ognia.

Natychmiast się obudził i zerwał na równe nogi. Chwilę zajęło mu przypomnienie sobie, gdzie jest: na pokładzie przeklętego statku Shi'ar, krążącego po tym małym świecie w Układzie Sol. W ręku trzymał protonowy nóż, którego ostrze świeciło ogniem mikroreakcji termojądrowych.

Obok jego łóżka stała kobieta w jasnozielonej sukience. Miała lśniące i wyraziste oczy, długie włosy splecione w warkocze, purpurowe jak płomienna zjawą, którą widział w swoim śnie.

Stała zupełnie nieruchomo, nie wydając żadnego dźwięku. Jej słowa uformowały się w jego mózgu tak wyraźnie, jak fale przecinające gwiazdy.

Hunn-Tarze z Kree – powiedziała. – Potrzebuję twojej pomocy.

28



KIEDY CYCLOPS zszedł na pokład, w ładowni panowała cisza. Kilku techników krzątało się, regulując sprzęt do teleportacji na skraju centralnej platformy.

Gdy Storm i inni podeszli, gestem nakazał im, by zaczekali. Jego wizjer płonął szkarłatem, ledwo mógł utrzymać energię za soczewkami z kwarcu rubinowego.

– Chcę wam tylko powiedzieć... – Głos mu się załamał.

Spojrzał na zgromadzonych kompanów z drużyny: Storm, Colossusa, Wolverine'a i Nightcrawlera, wszyscy mieli na sobie kostiumy i byli gotowi do walki. Obok nich stała Jean.

Każde z nich, a może nawet wszyscy mogą dzisiaj umrzeć – pomyślał.

– Chcę, żebyście wiedzieli, że walczę o Jean – powiedział. – Ale nie proszę nikogo z was, żeby do mnie dołączył. Nie mam takiego prawa i nie pomyślę o was gorzej, jeśli nie weźmiecie w tym udziału.

– *Mein Herr* – Nightcrawler uśmiechnął się – zjedź na ziemię, co?

– Już o tym rozmawialiśmy, Cyclops – odparła Storm. – Jesteśmy z tobą.

– Do końca – dodał Wolverine.

– Dziękuję – powiedziała Jean, a na jej twarzy pojawił się niepewny uśmiech. – Tym razem postaram się was nie zabić...

Drzwi w odległej ścianie rozsunęły się. Technicy zeszywnieli i stanęli na baczność. Lilandra weszła do środka, lśniąc srebrnymi regaliami. Za nią szli premier Araki i profesor X. Twarz Xaviera była ponura – wyglądał, jakby nie zmrużył oka. Sunął gładko na poduszkowym wózku inwalidzkim, który nie wydawał absolutnie żadnego dźwięku. *Cuda technologii Shi'ar* – pomyślał Cyclops.

Gdy Lilandra się zbliżyła, X-Meni weszli jeden za drugim na platformę transportową. Jean uśmiechnęła się do Cyclopsa, a on wyciągnął rękę, żeby jej pomóc.

– Jej Cesarska Mość – ogłosił Araki.

Lilandra zatrzymała się przed platformą. Uderzyła laską o metalową podłogę.

– *Arin'nn Haelar* został zaproponowany i przyjęty zgodnie z prawem. – Spojrzała na Cyclopsa. – Wysłuchajcie moich warunków, X-Meni. Wy i moja Cesarska Straż będziecie walczyć, dopóki jedna lub druga drużyna nie zostanie pokonana. Jeśli X-Meni okażą się zwycięzcami, ci którzy przeżyją, będą mogli odejść wolni. Natomiast jeśli przegracie...

Lilandra zawiesiła głos, rzucając okiem na Xaviera. Nie odwzajemnił jej spojrzenia.

– ...jeśli przegracie, Jean Grey, Phoenix, należy do nas i będziemy z nią mogli zrobić to, co uważamy za właściwe dla

dobra wszechświata. Czy zgadzacie się dotrzymać tych warunków?

– Zgadząmy się – odpowiedział Cyclops.

Lilandra podniosła rękę, dając znak technikowi. Oślepiający blask promieni teleportacyjnych spłynął na X-Menów. Cyclops poczuł, jak jego skóra odrywa się, a ciało cofa się do surowej struktury molekularnej. Minęła chwila lub wieczność.

Potem znaleźli się gdzieś indziej. Zobaczyli płaską skalistą powierzchnię otoczoną starożytnymi, zniszczonymi ruinami. Świątynie, maszyny i długi mur obronny, który kiedyś wznosił się na wiele metrów, teraz był w wielu miejscach zawalony i podziurawiony. Wyrzeźbione twarze o wysokości ponad dziesięciu metrów patrzyły z góry na strome ściany krateru oddalone co najmniej o półtora kilometra.

– Słynny Niebieski Obszar Księżyca – powiedział Nightcrawler. – Moim zdaniem jest raczej szary jak łupek.

Cyclops spojrział na ciemne niebo. Ziemia i Słońce pozostawały niewidoczne. Gwiazdy świeciły jaśniej, niż kiedykolwiek widział je z domu. Powietrze było rozrzedzone i chłodne.

Jean wpatrywała się w zrujnowaną świątynię, połączenie kosmicznej maszynerii i doryckich kolumn, które leżały zwalone na ogromną hałdę na skałach.

– Kirinos – mruknęła.

– Mmm? – Cyclops zmarszczył brwi.

– Nic. Po prostu... coś mi się przypomniało.

– Ostatniej nocy grzebałam w bankach danych Shi'ar – powiedziała Storm. – Te ruiny pozostały po jakimś starożytnym konflikcie między Kree i Skrullami. Jakimś cudem w całym

kraterze panuje normalna ziemska atmosfera.

– Słyszę maszyny – powiedział Wolverine. – Buczą gdzieś pod nami.

Cyclops zmarszczył brwi. Nie dotarło do niego żadne buczenie, ale Wolverine miał lepszy słuch. Zauważył za to wznoszącą się z powierzchni luminescencję, która skąpała cały obszar w bladoniebieskiej poświacie. Bliżej krawędzi krateru poszarpane wyrwy w skale odsłaniały przypominające jaskinie przejścia, które prowadziły w mrok.

– Zeskanowałam obszar psionicznie, Scott – powiedziała Jean. – Moja moc nie jest już taka, jak wcześniej, ale nie wykryłam żadnych innych myśli. Jesteśmy tu sami.

– To nie potrwa długo. – Cyclops ponownie przemówił do zespołu. – Bądźcie czujni. Spotkaliśmy kilku członków Straży Cesarskiej, ale są też inni, o których nic nie wiemy. Musimy być gotowi na wszystko.

– Peter, Ororo, Kurt. – Jean zawiesiła głos. – Chcę tylko powiedzieć...

– Jeannie – przerwał jej Wolverine, wężąc.

– Wyczuwam ich. – Skinęła głową. – Wiele telepatycznych sygnałów. – Właśnie się pojawili.

– Błysk światła z tej strony. – Wolverine wskazał na zrujnowaną świątynię w oddali. – Pewnie to teleporter.

– Polecę na górę – powiedział Nightcrawler. – Będę miał lepszy widok.

– Kurt, nie! – Cyclops chciał go powstrzymać, było jednak za późno. Jego ręka przeszła przez kłęb siarki w miejscu, w którym

przed sekundą stał kolega z drużyny. Scott zaklął i spojrzał w górę.

– Och! – powiedział Colossus, wskazując w górę.

Nightcrawler siedział wysoko na resztkach iglicy. Drżał.

– Jesteś za wysoko! – Wrzasnął Cyclops. – Poza szczytem krateru jest tylko próżnia!

Nightcrawler chwycił się za gardło, zachwiał się i zaczął spadać. Storm w jednej chwili znalazła się w powietrzu i pomknęła ku niemu.

– Ostrożnie! – zawołał Cyclops. – Pamiętaj o słabszej grawitacji. Możesz odlecieć w przestrzeń kosmiczną.

Storm zanurkowała i zatoczyła łuk, pozostając nisko, a potem wyciągnęła rękę, by złapać sztywne ciało Nightcrawlera.

– Spada bardzo powoli – powiedział Colossus.

– To kwestia grawitacji – przytaknął Cyclops.

Storm chwyciła Nightcrawlera. Jego ciężar sprawił, że straciła równowagę i oboje polecili w dół. Skrzywiła się, napięła i przywołała prąd wstępujący. Wylądowali razem, nieco twardziej niż zwykle.

– Środowisko krateru utrudnia korzystanie z moich mocy – powiedziała Storm. – Mam ograniczoną liczbę atmosferycznych „narzędzi” do pracy.

– Jest całkiem zimny! – krzyknął Colossus, chwytając Nightcrawlera.

– Nic mi się nie stało. – Kurt wzruszył ramionami, uśmiechając się nieśmiało do Storm. – Przypuszczam, że ja też powinienem był zapoznać się z bazami danych.

Cyclops złapał go za ramiona.

– Następnym razem pomyśl, zanim zaczniesz działać – powiedział. – Jest nas tylko sześcioro, walczymy o życie Jean, więc nie możemy sobie pozwolić na żaden błąd.

Nightcrawler skinął głową, rozcierając dłonie, by je ogrzać.

– Cyclops!

Colossus i Wolverine stali na szczycie kawałka zawalonego muru na drugim końcu polany. Logan wbił wzrok w wysoki, zdewastowany kompleks maszyn po przeciwnej stronie krateru.

– Wolverine zauważył Straż Cesarską – ciągnął Colossus. – Kierują się w tę stronę. – Cyclops zmrużył oczy. Nie widział Strażnika, ale ufał wzmocnionym zmysłom Wolverine’a.

– Podejmujemy walkę, szefie? – zapytał Logan.

– Kiedy będziemy gotowi i na własnych warunkach. Nie wiemy, ilu jeszcze ich tam jest. – Rozejrzał się wokół, oceniając teren. – Zaczniemy od taktyki *hit-and-run*. Wytrącimy cesarskich z równowagi, zmniejszając ich siły.

– Podoba mi się brzmienie tych słów.

Cyclops pomachał do Jean. Dołączyła do nich.

– Wyczuwam ich – powiedziała. – Zbliżają się.

– Jakież szczegóły? – zapytał Cyclops.

– Moja moc... nie jest... – Potrząsnęła głową, jakby próbowała coś z niej zrzucić. – Myślę, że Oracle może blokować moje psychiczne sondy.

– Jesteś gotów poprowadzić zespół? – Cyclops zapytał wprost Wolverine’a.

– Jesteś gotów mi zaufać? – odparł zaskoczony Logan.

– Ja jestem. – Jean zwróciła się do Wolverine’a. – Kładąc na

szali moje życie.

Logan już miał odpowiedzieć, ale zamilkł i położył się na ziemi. Przycisnął ucho do zimnego kamienia.

– Kroki – oznajmił. – Ciężkie. Niektórzy z nich muszą się do nas skradać pod ziemią. – Popatrzył w górę i napotkał spojrzenie Cyclopsa.

Zaczęło się – pomyślał Cyclops. – *Nadeszła chwila prawdy.*

– Idź – powiedział.

Logan poderwał się i odszedł od grupy.

– Petey, elf! – zawołał. – Jesteście ze mną.

Ruszył ku szczelinie w skale. Nightcrawler teleportował się za nim i jako pierwszy pojawił się przy wyjściu z jaskini.

Colossus rzucił szybkie spojrzenie za siebie. Cyclops skinął głową i gestem nakazał mu iść. Gdy Peter zaczął biec, jego ciało szybko zmieniło się w stal. Jego buty uderzały o skałę, pozostawiając głębokie ślady. Kiedy dotarł do wlotu do jaskini, wszedł do środka za Wolverine'em i Nightcrawlerem.

– Dobra. – Storm uniosła się lekko i wylądowała między Scottem a Jean. – Co teraz?

Cyclops dostrzegł ruch wokół jednej z na wprost zawalonych iglic po drugiej stronie krateru.

– Jesteśmy tu zbyt widoczni – powiedział. – Ukryjmy się. Storm, tak trzymaj. – Nagle podniósł się wiatr. Ororo uniosła się w bańce powietrza krateru. Wskazała na ciąg ruin i skręciła w ich kierunku.

– Chodź – powiedział Cyclops.

Jean zawahała się. Spojrzała na iglice, gdzie znajdowała się

Straż Cesarska.

– Może... – wskazała w ich kierunku. – Może powinnam im pozwolić...

– Nie – powiedział i podał jej rękę. Jean skinęła głową i ścisnęła jego dłoń. Pobiegli śladem Storm pomiędzy ruiny Błękitnego Obszaru.

WOLVERINE skierował swój zespół w dół rampy, przez niski korytarz. Pokryte grubą warstwą kurzu kable i przewody zwisały luźno ze wszystkich stron. Resztki technologii kosmitów, która przyczyniła się do powstania tego miejsca.

Mam złe przeczucia – pomyślał Logan. – To nie będzie jedno z tych wesołych historycznych lądowań na księżycu.

Nightcrawler teleportował się do przodu i rozejrzał dookoła. Dał znak, by Wolverine i Colossus podążyli za nim.

– Coraz ciemniej – powiedział Colossus. – Czy nie powinniśmy...

– Cicho! – syknął Logan. Włosy zjeżyły mu się na karku.

Poczuł zapach, który postawił go na równe nogi.

Zdecydowanie obcy. Z nutą... oleju maszynowego. Może robot?

Cokolwiek to jest, to nie ludzka istota.

Nightcrawler znów teleportował się naprzód – a potem krzyknął. Logan spojrzał w jego kierunku. Korytarz przed nimi rozszerzał się, sufit zakrzywiał się w górę. Ogromna metaliczna postać wypełniła przejście.

– Ziemianie. – Głos istoty był głęboki, zniekształcony.

– Jesteśmy Warstar. Dajemy wam wybór: honorowa kapitulacja

lub honorowa śmierć.

– Colossus – powiedział Logan – wygląda na to, że ten odrzutek z *Zagubionych w kosmosie* stoi na twojej drodze. Pomóc ci?

– Będę zaszczycony, *tawariszcz*.

Colossus pomaszerował do przodu. Jego kroki wstrząsały tunelem.

Zamachnął się i wbił metalową pięść w brzuch Warstara. Strażnik zgiął się wpół, zaczął się cofać...

...i rozdzielił na dwie części. Gdy ciało Warstara zachwiało się, odzyskując równowagę, drugi stwór wyskoczył z jego szyi, pozostawiając ciało bez głowy.

– Zajmij się metalowym facetem, C'cll – powiedział mały.

– Włochaty jest mój.

– Jak sobie życzysz, B'nee. – Drugi głos był stłumiony, dobiegał gdzieś z głębi dużego metalowego korpusu.

Mniejszy Warstar, B'nee, rzucił się na Wolverine'a.

– Logan! – krzyknął Nightcrawler. – Jest ich dwóch!

Wolverine uśmiechnął się, wyciągnął pazury i machnął nimi. B'nee uchylił się, skręcając w powietrzu, ale Logan trafił go w środek korpusu.

Pazury zgrzytnęły o metal, wznecając iskry.

– Nightcrawler! – zawołał Logan. – Pomóż Pete'owi uporać się z przecenionym Sentinelem.

– Jak sobie życzysz, *mein...*

Odpowiedź Nightcrawlera przerwał zduszony krzyk. Wolverine zobaczył, że jego kolega z drużyny z trudem łapie powietrze. Wokół jego szyi owinał się jasno świecący bat. Za nim, w głębi

ciemnego korytarza, Hussar – szkarłatna strażniczka – mocno szarpnęła biczem, zwalając Nightcrawlera z nóg.

– Zaprzestańcie walki, Terranie – powiedziała Hussar. – Nie macie szans w starciu z moim neurobiczem.

Kątem oka Wolverine zobaczył, że B'nee – młodsza połowa Warstar – rzuca się do kolejnego ataku. Logan schował pazury i przycisnął łokciem małego stwora do ściany korytarza.

Hussar machnęła biczem. Opleciony nim Nightcrawler szamotał się krótko, po czym wylądował twardo na podłodze jaskini. Bicz odwinął się z jego szyi, wycofując się, jakby był żywą istotą. Niebieski X-Man zacharczał i przestał się ruszać.

Jeden już padł – pomyślał Logan. – Oni wiedzą o nas wszystko, a my dosłownie walczymy w ciemności.

Colossus wymieniał ciosy z C'cllem, korpusem Warstara. Pojedynek wydawał się prawie wyrównany – ale przeciwnik spychał X-Mana powoli, równomiernie w kierunku ściany. Wolverine pobiegł w ich stronę, wyciągnął pazury i wbił je z całej siły w plecy C'clla.

Nie mogę przebić tej zbroi! Z czego, do cholery, jest zrobiona?

Spojrzał w głąb korytarza. Hussar szła w ich kierunku, uśmiechając się i trzaskając z bicza.

– Pete! – zawołał Logan, skacząc przed C'cllem. – Raz, dwa!

Colossus wziął zamach, by zadać cios. Logan schował pazury i uderzył w środek stwora dokładnie w tej chwili, gdy Colossus trafił go w pierś. C'cill zachwiał się i upadł. Pięść rozbolała Logana jak diabli.

– Za minutę znowu stanie na nogi – rzucił Wolverine i ruszył

korytarzem do tyłu. – No chodź.

– Ale Kurt... – Colossus zawahał się.

– Kurt wypadł z gry. Jeśli żyje, już go nie skrzywdzą... takie są zasady. Jeśli nie... – Logan zobaczył, że Hussar się zbliża, a B'nee wstaje z podłogi. – Musimy wrócić na otwartą przestrzeń, tutaj nasi przeciwnicy mają w ręce wszystkie atuty. Chodźmy!

Wolverine pobiegł do góry w kierunku powierzchni. Colossus niechętnie podążył za nim, ciężkim, ale równym krokiem.

Logan pierwszy usłyszał odgłos stłumiony przez warstwy skał. Miał właśnie o tym powiedzieć, gdy Colossus zapytał:

– Co to jest?

– Promienie optyczne Cyke'a. Na górze. – Wolverine skrzywił się. – Mam nadzieję, że jemu idzie lepiej niż nam...

Zatrzymał się nagle w korytarzu, wyciągając rękę. Colossus uderzył w nią pełnym ciężarem swojego masywnego stalowego korpusu. Logan stęknął, otrząsnął się z bólu i odwrócił, by stawić czoła nowemu zagrożeniu.

Tuż przed nimi stanęła czerwono-niebieska postać, blokując im drogę. Jej wysoki irokez odbijał się cieniem w promieniach światła spływającego z powierzchni.

– Niestety – powiedział Gladiator – nigdy nie dowiecie się, jak sobie radzą wasi przyjaciele.

– *Tawariszcz?* – Colossus podszedł do Wolverine'a. – Co rozkazujesz?

Logan naprężył się, przykucając.

– *Snikt* – powiedział głośno.

29



NA POWIERZCHNI bitwa toczyła się niepomysłnie już od samego początku. Cyclops stał na polanie, miotając błyszczące promienie optyczne w niebo. Starbolt, ognisty czerwono-złoty żołnierz Straży Cesarskiej, unikał ich bez wysiłku, odskakując i nurkując w powietrzu. Wypuścił z palców strumień ognia i spalił ziemię mniej niż metr od ciskającej promienie postaci, w którą celował.

Jean oparła się o ścianę na wpół zniszczonej świątyni. Oracle z dłońmi na skroniach unosiła się tuż nad nią. Ich walka była niewidoczna, toczyła się na płaszczyźnie mentalnej, ale Jean wyraźnie przegrywała pojedynek.

Wszyscy strażnicy potrafią latać! – dotarło do Storm. – *To im daje ogromną przewagę.*

Zauważywszy nowego wroga, uniosła się. Potężny szary stwór z wielkim czołem podkradał się w jej stronę. Od jego kroków drżała ziemia. Storm wyciągnęła rękę, starając się zebrać wystarczającą ilość powietrza, aby stworzyć wicher. Szara postać zatrzymała się i potrząsnęła głową, walcząc z wicherem, po czym ruszyła naprzód.

Niedobrze. Atmosfera jest po prostu zbyt rozrzedzona.

Podniosła się wyżej, by pozostać poza zasięgiem stwora. Nowo przybyły nie ruszył za nią, nawet na nią nie spojrział. Kiedy dotarł do miejsca tuż pod unoszącą się Storm, przykucnął i dotknął powierzchni krateru. Zbyt późno przypomniała sobie imię strażnika.

Earthquake.

Ziemia zadrżała i zapadła się. Warstwy księżycowego pyłu ze zniszczonej podłogi od dawna zrujnowanego budynku rozproszyły się i opadły. Storm rozłożyła ramiona i uniosła się, instynktownie odskakując od powstałego właśnie dołu.

– Dobra robota, ‘Quake! – zawołał Starbolt. – Teraz się odsuń!

Storm zawirowała i zobaczyła unoszącego się w powietrzu Starbolta, który trzymał w rękach miotającą się postać Cyclopsa. Patrzyła z przerażeniem, jak strażnik wrzuca Scotta do dołu.

Przez ułamek sekundy Storm zawahała się. Potem obróciła się w powietrzu – tylko po to, by usłyszeć w swoim umyśle głos Jean.

Idź! Ratuj go!

Zanurzyła się w dole, lawirując między iskrzącymi kablami i częściami maszyn pozostałymi po cywilizacji, która mieszkała tu niezliczone eony temu.

– Scott! – zawołała. – Rozluźnij się!

Dno dołu szybko się zbliżało. Wyciągnęła rękę, chcąc, by wiatr przyspieszył jej pęd. W ostatniej chwili chwyciła nogę Cyclopsa, zwalniając jego upadek, i rozłożyła pelerynę, aby złapać prądy wstępujące. Ich opadanie wyhamowało.

– Dzięki – powiedział Cyclops.

Przyciągnęła go bliżej, próbując odwrócić ręką kierunek wiatru.

Powoli zaczęli się podnosić.

– Jean... – Cyclops zakaszłał. – Została tam sama.

Wyskoczyli z dołu. Storm zauważyła Jean opartą o ścianę świątyni. Oracle i Starbolt unosili się po obu jej stronach, miotając w jej kierunku płomienie i atakując ją telepatycznie.

Jean ledwo trzymała ich na dystans za pomocą migoczącej tarczy psionicznej.

– Storm! – Cyclops wyrwał się z jej uścisku i skoczył w kierunku ziemi. – Uważaj...

Ororo obróciła się w powietrzu. W jej pobliżu unosiła się szczupła kobieta w białym body okrytym wirującym czarno-żółtym płaszczem. Jej twarz wydawała się niemal pozbawiona wyrazu w słabym księżycowym świetle. Manta – Storm przypomniała sobie jej imię – rozpięła płaszcz, szeroko rozchylając jego poły. Oślepiający błysk światła poraził Ororo, parząc jej zakończenia nerwowe. Ze wszystkich sił starała się utrzymać w powietrzu i nie stracić przytomności.

Nie mogę – pomyślała. – Nie mogę teraz zawieść Jean. Nie po tym, co razem przeszliśmy! Ale nie miała wyboru. Storm zachwiała się, gwiazdy zawirowały jej przed oczami. Potem upadła i uderzyła o ziemię, tracąc świadomość.

MIĘŚNIE NÓG Wolverine'a pracowały bez wytchnienia, kiedy pędził w górę przez mroczny korytarz. Za sobą słyszał huk ciosów wymienianych przez Colossusa i Gladiatora.

Mam nadzieję, że Petey daje radę – pomyślał. Naprawdę nie chciał porzucać Colossusa – ale otrzymał kolejne wezwanie, pilne

telepatyczne wołanie o pomoc. Głos Jean odbijał się echem w jego umyśle.

– Logan, chodzi o Scotta. Zabijają go.

– Poczekaj, Jeannie. Już idę!

W korytarzu rozjaśniło się, gdy Wolverine zbliżył się do powierzchni. Zebrał siły. Pomyślał o Colossusie, który zmagał się z najbardziej doświadczonym członkiem Straży, i o bezradnym Nightcrawlerze, leżącym nieruchomo w jaskini poniżej.

W tej bitwie cały czas ma przewagę tylko jedna strona. Nie nasza.

Dotarł do końca tunelu i przeskoczył przez poszarpany wylot. Wylądował w przysiadzie na zewnątrz, z maksymalnie wyczulonymi zmysłami. Pierwszą rzeczą, jaką zobaczył, było ciało Storm na powierzchni krateru.

Cholera – pomyślał. – Przykro mi, 'Roro, ale zajmę się tobą później.

Po drugiej stronie krateru Cyclops stał pod zewnętrznym murem starej świątyni. Strzelał z pełną mocą, kierując promienie na trójkę latających wrogów: Starbolta, Mantę i Oracle. Unikali jego ataków niemal bez żadnego wysiłku.

Nie spieszyli się.

Logan ruszył w ich kierunku, wyciągnął pazury i zatrzymał się.

Za Cyclopsem leżała nieprzytomna Jean, rozciągnięta za zniszczonym skalnym ustępem. Logan jeszcze raz spojrzął na Scotta, dostrzegając, jak odpala kolejną parę śmiertelnych promieni.

Poczekaj, szefie. Jeszcze chwilę.

Skulił się i podpełzł po krawędzi krateru. Unoszący się członkowie Straży jeszcze go nie zauważyli. Kryjąc się za maszynami, przemknął pod na wpół zwalonymi ścianami, wykorzystując wszystkie swe umiejętności, by nie zdradzić się choćby najcichszym dźwiękiem.

W końcu dotarł do Jean. Nie ruszała się, jej oddech był płytki. Wyciągnął ku niej rękę, ledwie przypominając sobie w porę o schowaniu pazurów. Kiedy dotknął jej twarzy, otworzyła oczy.

– Uhh!

– Jeannie. Dzięki Bogu – powiedział Logan, opadając na kolana.

– Nie można mnie zabić. – Uśmiechnęła się, z trudem podnosząc się i klękając. – Ty powinienes już to wiedzieć.

Logan złapał się skały, żeby nie stracić równowagi, gdy ziemia się zatrzęsała.

Spojrzał na Starbolta, który bombardował powierzchnię płomieniami. Ogień uformował półkole, przygniatając Cyclopsa do ściany świątyni.

– Idź – powiedziała Jean. – Pomóż mu. I, Logan?

Zatrzymał się i odwrócił.

– Dzięki. – Uśmiechnęła się. – Za... za wszystko.

Tysiące odpowiedzi przeszły mu przez głowę. *To nic nie znaczy. Jesteśmy kolegami z drużyny. Dla ciebie, ruda, jasne. Zapłaciłaś mi tysiąc razy.*

Kocham Cię.

W końcu tylko skinął głową i pobiegł, by włączyć się do walki.

Cyclops zobaczył, jak Logan skacze, tnąc w locie dwóch

strażników jednym pociągnięciem pazurów. Inny – Scott nie był pewien który – dotknął ziemi, wywołując potężny wstrząs. Pradawna konstrukcja rozpadła się i obaj X-Meni padli na ziemię. Bitwa szybko przybrała niepomysłny dla nich obrót, kiedy coraz więcej strażników zaczęło wychodzić z ukrycia – tęcza kostiumów wypełniła nocne niebo, promienie energii wybuchały z rąk, ust i oczu kosmitów.

Logan zaczął odczuwać skutki zwielokrotnionego ataku. Widział coraz mniej wyraźnie, w końcu całkiem pociemniało mu przed oczami. Kiedy spadł na dno krateru, tracąc przytomność, pamiętał tylko uśmiech na twarzy Jean Grey. Spojrzenie pełne głębokiej wdzięczności i tak, miłości. Nie romantycznej miłości, za którą tęsknił, nie bliskości, o jakiej marzył w chwilach cichego cierpienia. Ale mimo wszystko miłość – głębokie i nieprzemijające ciepło, które pozostanie z nim, prowadząc i strzegąc niespokojnego ducha Logana aż po kres jego dni.

NA PLATFORMIE w centrum ładowni pojawił się hologram przedstawiający dwie kołyszące się postacie, ciemne sylwetki i cienie na ścianie, uchwycone przez mikrokamery drona Shi'ar. Charles Xavier pochylił się w swoim poduszkowym wózku inwalidzkim, starając się dostrzec szczegóły.

– Zwiększ rozdzielczość – powiedziała Lilandra. Technik przy pobliskiej konsoli pospiesznie spełnił jej polecenie.

Obraz stał się wyraźniejszy. W jaskiniach pod Błękitnym Obszarem Gladiator rzucił się przed siebie, wymierzając miażdżący cios w stalową szczękę Colossusa. Młody X-Man krzyknął

i poleciał na ścianę, która pękła pod jego ciężarem. Kawałki skały opadły wokół niego.

Nie – pomyślał Xavier. – *Nie nie nie nie nie nie.*

W hologramie Gladiator podszedł do powalonego wroga.

– *Żeby pomóc przyjaciołom, będziesz musiał usunąć mnie z drogi* – powiedział. – *A szczerze mówiąc, nie sądzę, żeby to było możliwe.*

Zanim Colossus zdołał się podnieść, Gladiator przykucnął i rąbnął torsem X-Mana o podłogę. Stara skała znowu pękła i rozsypała się.

– Jeśli... – Colossus zakaszłał, uciekając po nierównym podłożu – jeśli czegoś się nauczyłem podczas mojego życia z X-Menami...

Sięgnął za siebie i chwycił kawałek ściany. Jej zewnętrzne poszycie zostało zerwane i odsłoniło grubą, starą krokiew. Wyrwał belkę i rzucił ją w stronę wroga.

– ...to tego, że nic nie jest niemożliwe.

Gladiator stał nieruchomo. Belka złamała się na jego głowie, nie wyrządzając mu żadnej szkody.

Xavier podskoczył, czując dotyk na ramieniu. Lilandra stanęła za nim i wpatrywała się w hologram. Wspólnie śledzili z uwagą, jak Gladiator rzucił się do przodu i zadał Colossusowi miażdżący cios w brzuch.

– Przykro mi, kochanie – powiedziała Lilandra.

– Nie musiałaś tego robić – odparł Xavier, odwracając się gwałtownie.

– Musiałam – stanowczo zaoponowała, choć na jej twarzy

malowało się cierpienie.

– Miałem sytuację pod kontrolą.

– Więc dlaczego mnie okłamałeś? Powiedziałeś, że wracasz na Ziemię, by odwiedzić rodzinę. – Spojrzała na niego gniewnie. – Jestem zaprzysiężoną obrończynią tysiąca światów. Nigdy tego nie rozumiałeś.

– Rozumiem więcej, niż myślisz. Twój poddani uważają mnie za niższą formę życia, swojego rodzaju zwierzątko. Maskotkę.

– Czy kiedykolwiek potraktowałam cię w ten sposób?

Odwrócił się do hologramu. Colossus i Gladiator zwarli się, wymieniając ciosy, które normalnemu człowiekowi roztrzaskałyby czaszkę. Tunel wokół nich zadrżał.

Nie – pomyślał Xavier – *nigdy byś tego nie zrobiła.* Ale jego gniew nie pozwolił mu powiedzieć tego głośno.

– Być może ostatecznie – powiedział – ty i ja jesteśmy po prostu sobie zbyt obcy.

Colossus wbił Gladiatora w ścianę.

Dobrze – pomyślał Xavier. – *Nie odpuszczaj, Peter. Może... może jest szansa...*

Gladiator chwycił Colossusa w pasie, obrócił go dookoła i cisnął nim w sufit. Ściany tunelu zachwiały się i zaczęły się rozpadać. Dwaj wojownicy znów się starli, nie zauważając spadających odłamków skały. Dron obrócił się, próbując utrzymać ich w polu widzenia, kiedy gruz wypełniał przejście.

– Jakkolwiek się to skończy – powiedział Xavier – wrócę na Ziemię. Z moimi uczniami, którzy przeżyją.

– Niczego więcej nie oczekiwałam. – Lilandra cofnęła się

z kamienną twarzą.

W hologramie zawały się kolejne warstwy skał. Gladiator i Colossus zniknęli w chmurze pyłu i kamieni. Przez chwilę nic się nie działo – a potem kamienie zaczęły się poruszać, rozsuwając się ciężko na bok. Czerwono-niebieski mężczyzna podniósł się z ziemi. Miał poszarpany kostium, ale wciąż patrzył wściekłym, niewzruszonym wzrokiem.

Gladiator.

– Widziałem wystarczająco dużo – rzucił Xavier, odwracając się do Lilandry.

– Charles... – zaczęła. Spojrzała na niego. Jej oczy były zimne. – Oddałabym wszystko, żebyśmy tylko... żeby wszystko ułożyło się inaczej. Ale proszę, byś się nad czymś zastanowił. Być może nie różnimy się od siebie aż tak bardzo. Nie jesteśmy aż tak obcy. Może po prostu się myliłeś.

Spuścił wzrok, w jego oku pojawiła się łza.

– Czuję ich – wyszeptał. – Kiedy każdy z nich upada, ich ból odbija się echem w moim umyśle.

– Ty i ja – powiedziała – mogliśmy władać kosmosem.

Przez chwilę w ładowni panowała cisza. Hologram zatrzymał się na Gladiatorze, kiedy ten przedzierał się przez gruz. Potem obraz zniknął.

– Ilu X-Menów nadal walczy? – spytała Lilandra technika.

Xavier znał odpowiedź, jeszcze zanim nadeszła.

– Tylko dwóch, Wasza Wysokość. – Technik przekreślił gałkę, wyświetlił nowy obraz. – Tylko dwóch.

30



JEAN GREY przykucnęła we wnęce, przyciskając dłoń do ściany. Słyszała szum silników ukrytych za rzędami skał. Sekretne maszyny, zaprojektowane tak, by działać przez setki tysięcy lat, podtrzymywane przez nieznaną źródło zasilania.

Czy one wystarczą? – zastanawiała się.

Znajome łaskotanie w jej mózgu świadczyło o tym, że zbliża się Scott. Jean uniosła obie ręce, manipulując pionową ścianą pyłu, którą wzniosła, aby zasłonić wnękę. Szare cząsteczki zamigotały i rozproszyły się na jej telekinetyczny rozkaz, tworząc wejście.

Wychyliła się i wyjrzała przez otwór krateru. Ślad komety przebijał się przez rozgwieżdżone niebo.

To pewnie Starbolt.

Cyclops wskoczył przez wejście. Jean zamknęła je szybko, zanim członkowie Straży zdążyli to zauważyć.

– Super! – powiedział.

Podążyła za jego wzrokiem. W wyniku bitwy odsłonił się obszar, który wyglądał na zbrojownię. Wnękę wypełniały przytwierdzone do podłogi karabiny, niektóre z nich wyższe od

człowieka. Większość z nich rdzewiała tu od dawna. Nie działały. Kawałki mechanizmów spustowych i jednostki sterujące leżały na ziemi lub zaginęły na wieki.

Cyclops badał największy obiekt: długie na trzy metry i prawie tak samo wysokie zaawansowane technologicznie działo. Przesunął dłonią po zmatowiałym wylocie lufy.

– To wygląda na Kree.

– Storm powiedziała, że mieszkali tu dawno temu – przytaknęła.

Zmienię temat! – Jak tam Logan?

– Nie mogłem do niego dotrzeć. Myślę, że oddycha. – Scott spojrział na ścianę z pyłu, którą stworzyła Jean. – Bardzo sprytne.

– Dzięki niej zyskujemy na czasie. – Wzięła go za rękę i odciągnęła od broni. – Ale prędzej czy później nas znajdą.

– Tak.

Przez chwilę stali razem. Maszyny zdawały się szumieć głośniej. Moc krążąca tu od wieków przenikała przez ściany.

Roześmiał się.

– Co w tym zabawnego?

– Przepraszam. To tylko... – Wziął ją za rękę. – Chociaż jest to przerażające, przypomina mi stare czasy. Ty i ja? Przeciwno armii obdarzonych supermocami złoczyńców?

– Jak Bractwo. – Przytaknęła.

– Albo Factor Three. O co chodziło z tymi kolesiami?

Mocno go objęła i wtuliła twarz w jego ramię.

– Bardziej mi się to kojarzy z wahadłowcem – wyszeptwała. – Każde rozwiązanie jest złe.

– Miałaś rację. – Głos mu się załamał. – Na pokładzie promu.

Uratowałaś nas wszystkich. Chciałbym... Dałbym wszystko, gdyby był jakiś inny sposób, ale miałaś rację, a ja się myliłem. – Odsunął się i spojrzał na nią przez zasłonę kwarcu rubinowego.

Nie płacz – uspokajała się. – *Nie płacz.*

– Kocham cię – powiedziała. – Kiedyś myślałam... czasami myślę, że to mnie osłabiało. Że powstrzymywało mnie, ograniczało, dusiło. Ale to było tylko...

– Gadanie Phoenix?

– Może. Nie wiem. – Skrzywiła się. – Wiem tylko, że moja miłość do ciebie nie jest słabością, ale siłą. Daje mi siłę. Cokolwiek się stanie, proszę, pamiętaj o tym.

– Jean, chciałbym powiedzieć ci o wiele więcej. Ale... brakuje mi słów.

– Liczy się myśl. Pamiętasz? – Uśmiechnęła się, klepiąc go w czoło. – A twoje myśli, tak jak ty, są piękne.

– Nie tak piękne jak kobieta, którą kocham.

Podniosła głowę i wpiła się w jego usta.

– Zaczekaj tutaj – powiedziała łamiącym się głosem. – Ja tam wyjdę.

– Zrobimy to razem – odparł, ściskając jej dłoń.

Nie – pomyślała. – *Pozwól, że ja to zrobię. Nie chcę, żeby coś ci się stało!* Ale znała Scotta Summersa lepiej niż kogokolwiek na świecie. Nigdy nie pozwoli jej samej stawić czoła niebezpieczeństwu.

– W porządku – zgodziła się. – Razem.

JEDNĄ myślą usunęła zasłonę z pyłu. Ich oczom ukazał się

krater usiany gruzami i ciałami w kostiumach. Straż Cesarska krążyła powyżej niczym rój owadów na tle gwiazd.

Cyclops ścisnął ją za rękę i ruszył do przodu. Jean poszła za nim. Jej myśli zawirowały... i powróciły...

...do tego dnia pod jesiennymi drzewami. Wspólny spacer, chłód na jej stopach w sandałach. Jasne światło słoneczne przesączające się przez gęstwinę liści.

Także w tym obcym miejscu powietrze było chłodne, nawet bardziej niż tam, a na dodatek rzadsze. Ziarnista ziemia, pokryta osadem z popiołu, zgrzytała pod stopami. Jean popatrzyła przed siebie i dostrzegła ciało Logana za filarem. Dalej leżał pognieciony płaszcz Storm.

Czerwone, złote, kasztanowe i zielone liście. Kruche, umierające, gotowe, by spaść. Mimo to wciąż trzymają się gałęzi drzewa, z której wyrosły.

Trzymają się życia.

– Nadchodzą – powiedział Cyclops, wskazując na ciemne, bezlitosne niebo.

Wyciągnęła rękę i ścisnęła jego dłoń. Kiwnęła głową w stronę liści.

– Uwielbiam jesień.

Gładiator wylądował, prężąc mięśnie w gotowości do walki. Ale Oracle wskoczyła przed niego, wznosząc rękę. Posłała Jean przenikliwe spojrzenie i przekazała jej telepatycznie wiadomość.

– *Jak już powiedziałam twojemu niebieskiemu przyjacielowi – rzekła Oracle. – Wynik tego pojedynku od początku nie budził wątpliwości.*

– *Przypominasz mi* – odparła Jean – *inną lodową telepatkę.*

Cyclops ruszył szybko do przodu, podniósł głowę i wystrzelił w górę wiązkę promieni. Oracle uchyliła się, ale promień musnął jej bok, sprawiając, że zawidniała w powietrzu. Gladiator zawołał coś w języku, którego Jean nie rozpoznała.

Nagle strażnicy pojawili się wszędzie. Warstar zgrzytał, poruszając się po zrytej powierzchni, jego metaliczny pancerz promieniał mocą. Starbolt świecił na niebie, wspierając atak Gladiatora. Manta migotała światłem. Nawet gdy Jean uniosła tarczę psioniczną, wiedziała, że to nie wystarczy. Cyclops odpierał wrogów, raz po raz strzelając optycznymi promieniami, ale było ich zbyt wielu.

A ja nie mam mocy. Już nie.

Gdy uruchomiła tryb walki, nakierowując pociski plazmowe i psioniczne sztylety z szybkimi wybuchami telekinezy, ogarnęło ją głębokie poczucie bezradności. Czowała wszystkie nurty, które doprowadziły ją do tej chwili. Kosmiczne siły na pokładzie promu, mrowienie na skórze. Głos w środku – niezrozumiale obcy, ale równie znajomy jak jej własne imię. Legendy Shi'ar przekazywane od wieków.

Rwąca rzeka historii.

Nagle nadszedł koniec. Trzęsienie ziemi dotarło do nich, zrzucając Jean i Cyclopsa z nóg. Neurobat Hussar świsnął i owinął się wokół bioder Scotta. Starbolt jarzył się mocą, gromadząc energię w wyciągniętej ręce, a Gladiator wylądował na ziemi i uderzył pięścią w podbródek Cyclopsa.

Scott Summers krzyknął, upadł na ziemię i znieruchomiał.

Jean poczuła wściekłość. Pierwotną wściekłość zrodzoną z miłości, miłości, która – jak powiedziała Scottowi, a teraz była tego pewna – dawała jej siłę. Siłę, by ją pobudzić, poruszyć, rozpałić. Siłę, która mogłaby osiągnąć...

...wszystko.

Wszelkie blokady ustąpiły. Otworzyły się psychiczne blizny, bezpieczniki rozpuściły się w popiele neuronów.

Klik

Klik

Klikklikliklikliklik...

Rozłożyła ramiona i wstała z ziemi, czując ogarniający ją gniew, który pochłoniął wszelkie wątpliwości, cały rozsądek, całą litość. Świadomość, że przez cały czas miała rację, wypełniła ją głębokim smutkiem.

Straż Cesarska rozproszyła się w powietrzu. Bestia wzniosła się, ciemna i groźna, górując nad nimi. Zaskrzeczała w próżni, wysoko nad bezpieczną atmosferą krateru.

Phoenix odetchnęła głęboko ich strachem i uśmiechnęła się.

– *Witajcie* – powiedziała – *w ostatnich minutach waszego życia.*

31



I TYM RAZEM Xavier wiedział. Podczas gdy technicy usiłowali odczytać wskazania narzędzi pomiarowych, Araki wygłaszał gorączkowe apele, żołnierze Shi'ar pędzili do ładowni, a Kree i przedstawiciele Skrullów rzucili się za nimi – już wiedział.

– Wasza Wysokość, poziomy mocy przekraczają naszą skalę – oznajmił technik.

– Na Sharę i K'ythri – powiedział Araki, wskazując na hologram, który właśnie pojawił się w polu widzenia. – Popatrz!

Phoenix skrzeczała i płonęła, z furią wznosząc się ku niebu. Jej blask wydawał się wypełniać krater. Bestia stała się większa, groźniejsza niż kiedykolwiek wcześniej – nawet wtedy, gdy pochłonęła całą gwiazdę. Sylwetka Jean była ledwo widoczna w rozpalonym do białości rdzeniu.

W hologramie język ognia wystrzelił w Gladiatora, który krzyknął i spadł na ziemię. Bestia zaczęła się obracać, wyciągając w górę ognistą szyję. Wypatrywała pozostałych członków Straży na niebie. Jej wzrok był zimny, pozbawiony litości i skierowany prosto na okręt flagowy.

– Araki. – Oczy Lilandry rozszerzyły się z przerażenia. –
Rozpocznij procedury ewakuacyjne.

Za późno – pomyślał Xavier.

Trzydzieści trzy tysiące kilometrów dalej, na powierzchni Księżyca, Phoenix ziała ogniem w niebo. Płomień uderzył w statek, w jednej chwili przebijając ekrany ochronne. Ładownia zatrzęsała się gwałtownie. Grawitacja zniknęła, ale po chwili wróciła. Xavier wyleciał z wózka i upadł na podłogę.

Potrząsnął głową, przytłoczony paniką, którą czuł w kłębiących się wokół niego myślach. Powietrze wypełniły głosy.

– ...raport o zniszczeniach...

– ...energia plazmy. Ogromne poziomy...

– ...Kadłub pękł! Mostek wystawiony na działanie próżni...

Poczuł, jak silne ramiona podnoszą go z podłogi. Spojrzał w górę i zobaczył Lilandrę, wpatrującą się w niego z mieszaniną litości i gniewu.

– Zostań tu – powiedziała, sadzając go delikatnie na poduszkowym wózku inwalidzkim. – A ja spróbuję uratować nam życie.

– ...utracony kontakt ze Strażą...

– ...grawitacja spadła do trzydziestu procent...

– ...dziesiątki ofiar...

– Araki! – rozległ się głos Lilandry, przekrzykującej zgiełk. –
Zaalarmuj wielką flotę. Plan Omega.

– Wasza Wysokość – powiedział Araki, podnosząc się niepewnie na nogi. – Czy wiesz, co mówisz?

Xavier obrócił fotel i spojrzał na hologram. Obraz zamigotał,

gdy kamera drona znalazła się w polu potężnej erupcji energii. Kiedy widok nabrał ostrości, Jean Grey stała na szczycie zrujnowanej świątyni, szeroko rozkładając ręce. Rozszalała Siła Phoenix wznosiła się wokół niej. Ziemia dokoła była usłana ciałami.

Statek znów się zatrzęsł. Lilandra wsparła się na konsoli, pospiesznie wydając polecenia Arakiemu.

– Wyślij wiadomość – powiedziała. – Jeśli nasza misja się nie powiedzie, flota ma zrobić wszystko, co w jej mocy, by zniszczyć Phoenix.

Znów popatrzyła na hologram.

– Spalić ten świat. – Jej głos był teraz chłodny, poważny. – Ten układ słoneczny, całą galaktykę. *Co tylko będzie trzeba.*

Xavier ruszył za nią, posyłając w jej kierunku łagodnego telepatycznego kuksańca. Ale Lilandra wpatrywała się w obraz Zwiastuna Zagłady, który groził zniszczeniem wszystkiego, co istnieje. Phoenix wypełniła teraz krater – Xavier nawet nie mógł dostrzec ciał członków Straży Cesarskiej. Ani X-Menów.

W jego głowie rozbrzmiewały słowa Lilandry:

„Może po prostu się myliłeś”.

Może – pomyślał. – Jeśli tak, to moja wina, moja odpowiedzialność. I tylko ja mogę to naprawić.

Rozgorączkowane głosy wypełniły ładownię. Wojownicy Kree i Skrullów podnosili broń, mierząc do siebie. Araki wymachiwał rękami w kierunku swoich podwładnych, starając się utrzymać porządek. Xavier wyrzucił ich myśli ze swojego umysłu. Podniósł obie ręce do skroni, wysyłając swoją promieniującą świadomość na

zewnątrz.

Scott – pomyślał. – Usłysz mnie. Musisz mnie usłyszeć. Zwróć uwagę na mój głos... moją pilną prośbę...

...OBUDŹ SIĘ!

Cyclops usiadł i natychmiast oprzytomniał. Zakrztusił się, otrzepał pył z wizjera.

– Scott – głos profesora odbijał się echem w jego czaszce. – Czy mnie słyszysz?

– Tak, profesorze.

– Słuchaj uważnie. Musisz zaatakować Phoenix.

Cyclops spojrzał w górę, osłaniając oczy przed najgorszym koszmarem. Jean stała na ruinach świątyni, ponownie miała na sobie ciemnoczerwony kostium Mrocznej Phoenix. Jej energia płonęła szaleńczo, zasłaniając gwiazdy.

– Profesorze, to kobieta, którą kocham!

– Już nie. Popełniliśmy, ja popełniłem już ten błąd. – Przez telepatyczne łącze przepłynął żal. – Musisz uderzyć teraz, kiedy jest słaba!

Muskularny mężczyzna w niebiesko-białym kostiumie i ciemnoczerwonych okularach śmignął mu nad głową. *Smasher* – przypomniał sobie Cyclop – *jeszcze jeden członek Straży Cesarskiej*. Gdy strażnik zbliżył się do Jean, skrzydło Phoenix uniosło się i otoczyło go płomieniem.

Krzyknął i upadł na ziemię.

– Słaba? – spytał Cyclops. – Chyba żartujesz?

– Zaufaj mi – powiedział profesor Xavier. – Teraz mamy szansę.

– *Ja...* – Cyclops potknął się, trzymając się za głowę. Jego kostium był rozdarty, pierś pocięta i posiniaczona. – *Nie sądzę, żebym mógł to zrobić sam, profesorze.*

– *Na szczęście...*

Scott odwrócił się, słysząc kroki.

– *...nie jesteś sam.*

Na czele kroczył Wolverine, podtrzymując Nightcrawlera. Colossus włókł się za nimi. W jego metalowym ciele było wiele wgnieceń i kawałków gruzu. Storm unosiła się w powietrzu ze zranioną ręką, owiniętą strzępami peleryny, zamykając pochód.

– *Cóż.* – Wolverine spojrzał na świątynię. – *Wygląda to beznadziejnie.*

– *Połączę wasze umysły* – powiedział Xavier. – *Żebyście mogli uzyskać maksymalną wydajność.*

Cyclops niechętnie skinął głową. Zamknął oczy, wyczuwając znajomą mentalną obecność kolegów z drużyny. Jasna i błyskotliwa Storm. Poważny i pełen nadziei Colossus. Pogoda ducha Nightcrawlera, pod którą ukrywał smutek i cierpienie.

I Logan. Rywal Scotta, sól w jego oku... i... prawdopodobnie najbardziej lojalny, honorowy z X-Manów.

– *Wszystko gotowe, profesorze. Będziemy podążać za twoimi wskazówkami.*

– *Nie, Scott.*

Cyclops spojrzał na niego zaintrygowany.

– *Ty jesteś liderem X-Menów.*

Fala sprzecznych uczuć przeszła przez umysł Cyclopsa. Wdzięczność, lęk, nadzieja. Ciepło i miłość, żal i przerażenie.

Przytłaczające poczucie nieuniknionego przeznaczenia.

Potem z pełną mocą wystrzelił wiązkę światła. Błyskawicznie przemknęła ona sto metrów, uderzając w podstawę wysokiego budynku z precyzyjną dokładnością. Zrujnowana budowla zachwiała się i rozpadła. Jean ledwo miała czas, żeby podnieść wzrok, zanim setki ton kamienia i stali poleciały na dół, miażdżąc ją. Podniosła rękę, odrzucając niewielką część gruzu – ale reszta wystarczyła, by ją przewrócić i przyćmić płomień.

Lekko.

Ten widok sprawił, że ból wykrzywił twarz Cyclopsa. Potrząsnął głową, jakby chciał przegnać ogarniające go uczucia. *Nie mogę być teraz tą osobą: zwyczajnym mężczyzną, zatroskanym o kobietę, którą kocha. Muszę być zimnym, wyrachowanym strategiem. To jedyna nadzieja, by uratować nasze życie.*

Skoncentrował się, projektując swoje myśli na zewnątrz.

– *Nightcrawler!* – zawołał. – *Storm!*

Zanim zdążył wypowiedzieć te słowa w myślach, tuż nad leżącym ciałem Jean w kłębie dymu pojawił się Nightcrawler. Spojrzał w górę, osłaniając się przed ostatnimi odłamkami spadających szczątków. Następnie wyciągnął wielki kamień ze stosu gruzu.

– Wybacz mi – powiedział i rzucił głaz na głowę Jean. W ostatniej chwili uchyliła się, jej oczy błysnęły. Wyciągnęła rękę i wystrzeliła wiązkę energii, która rzuciła Nightcrawlera na drugą stronę krateru.

Jean usiłowała wstać. Płomień Phoenix zamigotał, teraz słabszy, bardziej chwiejny. Kiedy się podnosiła, uderzył w nią wiatr o sile

cyklonu i porwał ją do góry.

– *Cyclops* – powiedziała Storm w myślach. – *Nie mogę tego długo utrzymać. Nie ma tu odpowiedniej... atmosfery.*

– *Po prostu nie pozwól jej odzyskać równowagi* – odparł. – *Colossus, Wolverine...*

– *Wiemy, towarzyszu* – powiedział Colossus. – *Fastball Special!*

Podniósł Wolverine'a i trzymając go obiema rękami, nakierował na ich szamoczący się cel. W tym momencie Logan wyslizgnął się, skoczył na ziemię i – ku zaskoczeniu wszystkich – uniósł Colossusa.

– Logan! – zawołał Colossus. – Co robisz?

– Nieoczekiwana zmiana miejsc, Rusku – odpowiedział Wolverine. – Przy takiej grawitacji ja mogę rzucić tobą.

Colossus spojrział na płonącą w oddali postać i westchnął.

– Poza tym... – Logan skrzywił się, przekładając ogromne ciało kolegi z drużyny. – Wcześniej nie byłem w stanie dopełnić dzieła. Nie masz pewności, że tym razem to zrobię.

– Więc... więc mówisz, że to ja muszę...

– Masz tylko jeden strzał. Nie spieprz tego. – Logan odchylił się, gotowy do rzutu. – Pete?

– Tak?

– Przepraszam.

Logan skoczył do przodu, z całej siły rzucając Colossusa w powietrze.

Metalowy X-Man pomknął niczym lśniący pocisk zagłady, wyciągając pięści. Uderzył Phoenix prosto w twarz, zadając tak potężny cios, że szczeka odskoczyła jej na bok. Krzyknęła i spadła

na ziemię.

– *Cholera!* – Głos Jean zdawał się rezonować zarówno w powietrzu, jak i w umyśle Scotta. – *Udał ci się ten cios, Peter. I nawet... go poczułam.*

– *Jean?* – Cyclops zmarszczył brwi.

– *Ty... naprawdę przemówiłeś mi do rozsądku.* – Pokręciła głową, wpatrując się w Colossusa. – *A ja...* – Zawiesiła głos. – *Widzę to. Phoenix... to, czym jest, kim ja jestem. Wszystko.*

Płomień wydawał się teraz niższy, niemalże niewidoczny wokół jej oszołomionej postaci. Cyclops patrzył, ledwo ośmielając się mieć nadzieję. *Czy ona wróciła?*

Colossus stał nad Jean, zaciskając pięści. Przez telepatyczne łącze Cyclops czuł jego wątpliwości i niepewność. Ruszył w ich kierunku, przedzierając się przez nierówny teren. Minął leżącą na ziemi kobietę wstrząsaną drgawkami – Oracle ze Straży Cesarskiej. Żyła, ale wyglądała na ciężko ranną.

– *Phoenix to... to moja siła życiowa* – kontynuowała Jean. – *A ja zapewniam jej żywy punkt skupienia dla jej mocy... jej nieskończonej mocy. To... jeden ze sposobów, w jaki można na to spojrzeć...*

Zawiesiła głos i popatrzyła w gwiazdy.

Cyclops szedł przez płytkie koryta powstałe w czasie bitwy wokół gigantycznego dołu prowadzącego do niższych warstw Księżyca.

Wolverine i Storm ruszyli za nim bez słowa. Za Jean widział wnękę, w której ukryli się przed Strażą Cesarską. Czy to było mniej niż godzinę temu?

– *Phoenix nie można kontrolować.* – Jean podeszła do Colossusa, patrząc mu w oczy. – *Nie, kiedy ma ludzkie naczynie. Nieuchronnie przejmie kontrolę, a potem...*

Wskazała na zniszczenia dookoła.

– Nie. – Colossus pokręcił głową. – Nie możesz mnie o to prosić.

Jej oczy płonęły.

– *To jedyne wyjście.*

– Jean! – zawołał Cyclops, wskakując na podwyższenie. – Nie musi tak być – kontynuował. – Masz intelekt i wolę. Użyj ich! Walcz z tym!

Patrzyła na niego, a ogień w jej oczach przybierał na sile. Potem je zamknęła. Tak jak w Central Parku, Phoenix wysłała falę mentalnej siły, która rozprzestrzeniła się na zewnątrz jak impuls elektromagnetyczny. Kiedy uderzyła w Colossusa, Storm i Wolverine'a, złapał ich skurcz i upadli na ziemię.

Energia przeszła przez Cyclopsa, nie robiąc mu krzywdy. Jean wpatrywała się w niego przez chwilę przerażającym spojrzeniem. Potem odwróciła się i pobiegła.

Ruszył za nią, wołając jej imię. Jego serce ścisnęło się, gdy zobaczył wznoszący się wokół niej płomień, który oświetlał ruiny świątyni. Wpadła do wnęki, sekretnego miejsca, gdzie znajdował się arsenał starożytnej broni Kree. Wybiegł z zakrętu – i zatrzymał się, prawie zderzając się z ogromnym działem w środku.

Kiedy stracił równowagę, Jean wyciągnęła rękę i uniosła go.

– J-Jean – wysapał. Nie mógł się ruszyć, ledwie oddychał.

Phoenix rozbłysnęła wysoko, wyżej niż poprzednio, wznosząc swój dziki dziób nad szczytem otwartej wnęki.

– Walczyć – powiedziała Jean. – Chcesz, żebym walczyła?

Zmrużył oczy, usiłując dostrzec jej postać w sercu płomieni. Twarz Jean zdawała się pulsować, ukazując sprzeczne emocje, od zwątpienia po wściekłość i z powrotem.

– Wszystko, co robiłam, było walką – kontynuowała. – To wszystko, czego pragnę. Z mojej żądz, w furii, zabiłam pięć miliardów ludzi.

– Nie ty.

– Tak. Tak, ja. – Podeszła do przodu, wpatrując się w jego nieruchomą sylwetkę. – Nienawidzę tego, Scott. Nie chcę tego. Moje serce jest wypełnione wściekłością na siły, które doprowadziły mnie do tego miejsca.

Jej twarz zdawała się łagodnieć.

– Ale nie mogę kontrolować siebie przez całe życie. Choćby tylko jeszcze jedna osoba miała zginąć z moich rąk...

Zamknęła oczy. Za nią jarzyło się wysokie działo Kree, budząc się do życia.

– Jean?

– Tak będzie lepiej. Wyciągnęła rękę i dotknęła twarzy Scotta.

Jej głos, jej dotyk – były teraz chłodniejsze, bardziej łagodne. Całkowicie i w cudowny sposób ludzkie.

– Jean, nie. Nie rób tego.

– Pamiętaj o mnie, dobrze? – Odsunęła się, uśmiechając się smutno.

– Pamiętaj o tym rześkim jesiennym dniu. Pamiętaj Marvel

Gir...

– *Nie!*

Działo wystrzeliło tylko raz. Wiązka przeniknęła przez Jean, ogarniając ją światłem. Efekt przeszedł wszelkie wyobrażenia – to była dawno zapomniana moc z innej epoki. Promienie objęły Siłę Phoenix, pochłaniając ją i opanowując jej wściekły ogień.

Ten ogień wystrzelił w górę z powierzchni jak pocisk z pistoletu. Phoenix rozbłysnęła krótko na niebie, jasna i dzika na tle gwiazd. Potem odleciała, znikając jak kometa.

Na powierzchni księżycy leżała Jean Grey.

Cyclops spadł na ziemię, uwolniony od pola siły telekinetycznej. Podczołgał się do jej ciała, wiedząc, co zobaczy.

Brak oddechu. Brak pulsu.

Żadnych oznak życia.

– Zaplanowałaś to – wyszeptał. – Wiedziałaś, że być może nie ma alternatywy. Wiedziałaś, że możemy wyssać z ciebie wystarczająco dużo energii, byś mogła... by to... Pokręcił głową i otarł łzy. – Wszłaś w umysł obserwatora Kree. – Popatrzył na działo, znowu było ciemne, pozbawione mocy. – Wiedziałaś, że starożytna technologia tego ludu mogłaby... pozwoliłaby ci...

A potem zabrakło mu słów i sił. Zaszlochał głośno i upadł na jej ciało, płacząc jak dziecko.



NA KRAWĘDZI krateru błysnęło światło teleportacyjne. Pojawił się profesor Xavier. Zbadał pozostałości po walkach – głębokie doły, zavalone budynki, spalone i popękane ściany.

Czy można było tego wszystkiego uniknąć?

Nigdy się tego nie dowie.

Manewrując poduszkowym wózkiem inwalidzkim po powierzchni, skanował umysłem każdą leżącą postać, obok której przejeżdżał. Członkowie Straży Cesarskiej byli ranni, ale zapewne wrócą do zdrowia. Jego X-Meni już się budzili.

Scott Summers siedział w kącie wnęki pełnej broni, oparty plecami o kamienną ścianę. Trzymał Jean w ramionach, gładząc jej włosy.

Xavier zbliżył się do niego i położył mu dłoń na ramieniu.

– Moi pierwsi uczniowie – powiedział profesor cichym głosem. – I moi najlepsi.

Scott nie podniósł wzroku.

Powoli dołączyli do nich pozostali X-Meni. Nightcrawler z diabolicznymi oczami szeroko otwartymi z przerażenia. Gniewnie

powarkujący Logan. Storm unosząca się w rozrzedzonym powietrzu niczym ponury anioł. I Colossus, który powrócił do swojego zwykłego ciała, z twarzą zmienioną w maskę udręki.

– Mogła żyć jako bóg. – Xavier wskazał ręką ciało Jean. Na jej martwej twarzy zdawał malować się spokój. Oczy miała skierowane w górę, jakby spoglądała gdzieś poza ten wymiar istnienia. – Ale ważniejsze było to, żeby umarła jako człowiek.

– Jest... – Scott zachwiał się. – Jest tak wiele rzeczy, których nie rozumiem. – Sięgnął ręką do jej twarzy i delikatnym ruchem zamknął jej oczy.

– Wiem tylko, że ją kocham.

PROLOG



DOKŁADNIE w tej chwili, trzysta osiemdziesiąt pięć tysięcy kilometrów dalej, SUV z różowymi wąsami na zderzaku zwolnił, zbliżając się do znanego adresu na Graymalkin Lane. Włączył kierunkowskaz i skręcił w dobrze utrzymany podjazd, wjeżdżając przez zewnętrzną bramę Instytutu Nauk Wyższych Xaviera.

Na tylnym siedzeniu samochodu Kitty Pryde zmarszczyła brwi, patrząc na swój telefon. Jej ostatnie cztery SMS-y pozostały bez odpowiedzi, wysłała więc jeszcze jeden.

ORORO? LUDZIE? PRZYJECHAŁAM! JEST TU KTO?

Zastanowiła się przez chwilę, po czym dodała:

HEJ, ŻYJECIE?

Posesja wydawała się opuszczona. Gdy podjeżdżali do frontowych drzwi, Kitty musiała powstrzymać się przed przeniknięciem przez karoserię samochodu, zanim kierowca się zatrzymał. Otworzyła drzwi, pobiegła po schodach i trzy razy nacisnęła dzwonek.

Cisza.

Przyszedł kierowca, ciągnąc za sobą walizkę.

– Czy chcesz, żebym poczekał? – spytał.

Zmarszczyła brwi, zastanawiając się przez chwilę. Wiatr rozwiewał jej rozczochrane kręcone włosy. To było przyjemne, odświeżające uczucie.

– Nie, dziękuję – wzruszyła ramionami. – Zawsze lubiłam wcześniej przychodzić do szkoły.

– Ach! Jesteś kujonem. – Kierowca uśmiechnął się do niej. – To dobrze.

Roześmiała się. Położyła bagaż obok siebie i usiadła na frontowych schodach, chłonąc atmosferę. Oto miejsce, w którym ma nadzieję spędzić resztę swoich nastoletnich lat. Gdzie nauczy się wykorzystywać swoje zmutowane moce dla dobra ludzkości.

Pomachała odjeżdżającemu kierowcy SUV-a. Rozsiadła się wygodnie, ledwo powstrzymując ekscytację.

– Tak – powiedziała z szerokim uśmiechem na twarzy. – Jest dobrze.

PODZIĘKOWANIA



TO TRZECIA powieść z uniwersum Marvela, którą napisałem i muszę przyznać, że nastęczyła mi ona wielu trudności. Zaadaptowanie tego klasyka do realiów XXI wieku było pod wieloma względami prawdziwym wyzwaniem. Pewna redaktorska dłoń Steve’a Saffela przeprowadziła mnie przez wszystkie kluczowe punkty. Cat Camacho i Hayley Shepherd podzielili się ze mną ważnymi uwagami tuż przed wysłaniem książki do druku i wprowadzili niezbędne poprawki. Dziękuję również niesamowitym ludziom z Marvela za ich pomoc i wsparcie – szczególnie Caitlin O’Connell i oczywiście Jeffowi Youngquistowi.

Dziękuję także wszystkim słuchaczom mojej gadaniny o kobiecej sile i erze #metoo. Na szczególne uznanie zasługuje powieściopisarka Corinne Duyvis, która ogromnie mi pomogła w całkowicie nieoczekiwanej dyskusji w Emerald City Comic Con. Oczywiście tylko ja odpowiadam za postawy bohaterów i interpretacje wydarzeń przedstawionych w tej książce i nie można za nie winić nikogo innego.

Tom Peyer, Hart Seely i pracownicy AHOY Comics nieustannie

dostarczali mi rozrywki. Gdyby nie wy, mógłbym skończyć tę książkę kilka miesięcy wcześniej.

Specjalne podziękowania składam też – jak zwykle – najmądrzejszej osobie, jaką znam, płodnej autorce (i uroczej żonie) Liz Sonneborn. Bez której itd.

O AUTORZE



STUART MOORE jest pisarzem, redaktorem książek i wielokrotnie nagradzanym redaktorem komiksów. Do jego najnowszych prac należy seria *Captain Ginger* oraz *Bronze Age Boogie* dla AHOY Comics i adaptacja powieści *Batman: Nightwalker* wydana przez DC's Ink.

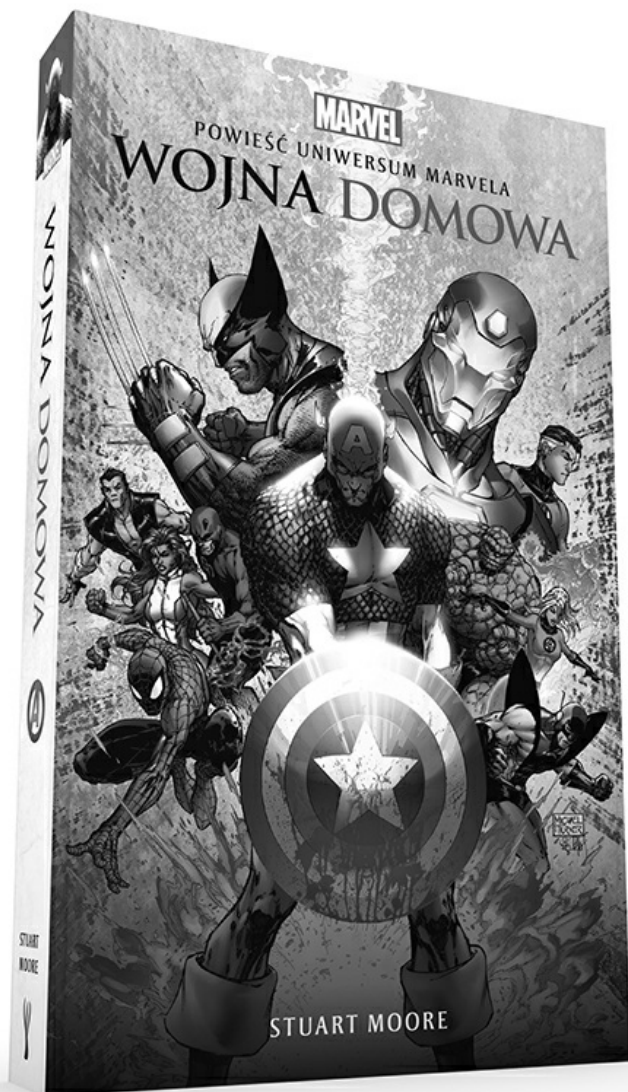
Stuart stworzył ostatnio komiksy *Deadpool the Duck* (Marvel), *Batman: Noir Alley* (DC / Turner Classic Movies) i *EGOs* (Image). Ma na swym koncie powieść *Thanos: Death Sentence* (Marvel) oraz napisaną wspólnie ze Stanem Lee trylogię *Zodiac Legacy* wydaną przez Disneya. Jest też twórcą komiksów *Wolverine Noir*, *Namor: The First Mutant* (Marvel) i *Firestorm* (DC Comics), różnych projektów związanych ze *Star Trekiem* i *Transformers*, a także autorskich powieści graficznych science fiction *Earthlight*, *PARA*, *Shadrach Stone* i *Mandala*. Napisał również powieściową wersję komiksów Marvela *Civil War* oraz *John Carter: The Movie Novelization*.

Stuart nosi obecnie tajemniczy tytuł „Operatora” w AHOY Comics. W przeszłości był redaktorem książek w St. Martin's Press

i redaktorem w Virgin Comics / SciFi Channel oraz wydawnictwach komiksowych Marvel Knights. Pracując w DC Comics, założył cieszący się uznaniem imprint Vertigo, gdzie był redaktorem. Otrzymał tam nagrodę Eisnera dla Najlepszego Redaktora i nagrodę Dona Thompsona dla Ulubionego Redaktora. Stuart mieszka w Brooklynie w Nowym Jorku, około sto pięćdziesiąt kilometrów na południe od Instytutu Nauk Wyższych Xaviera.

Polecamy również poprzednią powieść Uniwersum Marvela
pióra Stuarta Moore'a

Polecamy również poprzednią powieść Uniwersum Marvela
pióra Stuarta Moore'a



MARVEL

POWIEŚĆ UNIWERSUM MARVELA

WOJNA DOMOWA

STUART MOORE

WOJNA DOMOWA

STUART MOORE